Migotania

Gazeta literacka

Nr 2 (83) 2024 kwartalnik

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Nic piękniejszego niż głuche milczenie świata. Dzięki niemu mogę słyszeć samego siebie.
Stefan Chwin w: Dziennik życia we dwoje.

Polecamy w numerze
Zbigniew Majchrowski, Esej przy-graniczny
Dariusz Pawlicki, O drogach prawie zapomnianych, ESEJ
Anna Czekanowicz, wiersze
Krystyna Lars, Elegia na chwałę pokonanych
Marta Fox, Kto się kochał w Marcie Fox? rozmawia Jerzy Fryckowski
Małgorzata Dorna (Wendrychowska). Malarstwo Adama Nowackiego, SZTUKA
Elżbieta Juszczak, Szaleństwa popkultury, ESEJ
Jelyzaweta Żarikowa, wiersze w tłumaczeniu Leszka Szarugi

Wiktor Woroszylski

Elegia o umarłych poetach

Ciągną moi umarli każdy z trumną pod pachą
Światłości wiekuistej szukają po omacku
Wiecznego odpoczywania bardzo się zziajali
Może w jakim słowniku pod garścią dobrego słowa
Może w jakim śpiewniku pod wysokim śpiewem
Ze swoim grzechami ze swoimi strachami
Młodym starym szaleństwem niedościgłym braterstwem
Ciągną moi umarli milczą im wszystkie dzwony
Płaczą im Antygony a wokół świat zielony
Wargami poruszają kogo oni wołają

Stefan Chwin

W numerze prezentujemy - rysunki Stefana Chwina
- prace malarskie Adama Nowackiego
Plakat poetycki: Elżbieta Juszczak, Piosenka dla dziecka ukraińskiego
Plakat artystyczny: Stefan Chwin, rysunek „Taksówka”,

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2024

FELIETON

Wit Romanowski

Czego uczył Tom Clancy?

Książki Toma Clancy'ego poszły dziś już nieco w zapomnienie. Tymczasem w latach 90–tych, w czasach gdy internet dopiero zaczynał swoją ekspansję, Clancy był najpoczytniejszym (a także najbogatszym) autorem literatury sensacyjno–politycznej. Jego karierę zapoczątkował słynny tom „Polowanie na Czerwony Październik", po czym nastąpił wysyp podobnych tak w ciężarze gatunkowym, jak i rozmiarze bestsellerów takich jak „Kardynał z Kremla", „Suma wszystkich strachów", „Dług honorowy", „Dekret", „Bez skrupułów", „Stan zagrożenia", czy „Patrioci". Były to niezwykłe książki – bardzo obfite w rozmaite frapujące wątki, o których na pierwszy rzut oka trudno było sądzić, że mogą się połączyć. Większość tomów dotyczyła rywalizacji politycznej USA i ZSRR, umieszczonej w sporej, historycznej perspektywie. Clancy z lubością i z wielkim znawstwem opisywał różne rodzaje zaawansowanego uzbrojenia, które znajdowało się w posiadaniu USA, a także odsłaniał kulisy działania agend rządowych i amerykańskich sił zbrojnych – jak napisano na jednym ze skrzydełek tych książek – „od szczebla plutonu piechoty po broń kosmiczną".

Mimo że książki te liczyły po kilkaset stron, ich rozmiar czytelników nie odstraszał. Były czytane. I to jeszcze jak. I przez kogo. Dziś wiadomo, że Clancy'ego czytano także na Kremlu oraz – że takie właśnie były rachuby jego mocodawców: twórczość Clancy'ego była bowiem wspierana przez CIA, a jego książki poprzez wszechstronną prezentację tego czym dysponują i na co stać USA – miały wystraszyć Rosjan i ich odpowiednio zmiękczyć, gdy u schyłku zimnej wojny USA i ZSRR zasiadali do negocjacji w sprawie redukcji zbrojeń nuklearnych.

Jakże to zamierzchłe i odległe czasy! Kto dziś na Kremlu (o oczywiście nie tylko tam) byłby w stanie skupić się nad 600–stronicowymi tomami? Kto byłby skłonny z ich treści wyciągać jakieś relewantne nauki i wnioski? Dziś króluje i święci triumfy przekaz nadzwyczaj krótki, lakoniczny, błyskawiczny, a przez to pod wieloma względami powierzchowny, zwodniczy i iluzoryczny. Dziś za obszerną recenzję książki uchodzi nota zawierająca co najwyżej 600 znaków! (Wiem, bo nie tak dawno ktoś próbował zlecić mi napisanie czegoś takiego.) Obłęd! Skrótowość, czy wręcz hasłowość rządzą dziś światem przekazu – także przekazu intelektualnego, a to – co oczywiste – nie pozostaje bez zasadniczych konsekwencji dla sposobu w jaki postrzegany jest świat i jak rozumiana jest historia.

Mówiąc jeszcze inaczej – nie pozostaje to bez wpływu na to, jak dziś historii po prostu się nie rozumie. Bo żeby ją pojmować, na to co się dzieje, trzeba spojrzeć z odpowiednio długim oddechem i z odpowiedniego oddalenia. Dopiero wtedy można dostrzec większe całości i jakąś nadrzędną logikę. A jak to zrobić, czy to pisząc, czy też czytając notatkę na maksymalnie 600 znaków?

Żeby nie być gołosłownym – jako przykład weźmy wojnę w Ukrainie. By jej istotę móc w pełni pojąć, trzeba sięgnąć… aż do początku XX wieku, do I wojny światowej. Jak wiadomo skończyła się ona pokojem wersalskim, który w twarde dyby zakuł Niemców. Tak twarde, że pośrednio doprowadziło to do wybuchu II wojny światowej, która – jak uważa m.in. nieżyjący już historiograf Tony Judt – tak naprawdę skończyła się dopiero w roku 1989, wraz z upadkiem Muru Berlińskiego.

Ale czy naprawdę się skończyła? Czy Rosja została rozliczona za to, co przez ponad 40 lat czyniła (i wyczyniała) w Europie Wschodniej i Środkowej? Czy w 1989 roku ktoś pomyślał o tym, by przezornie pozbawić ją zębów, którymi w przyszłości mogłaby znowu kąsać? Nie, ani trochę. Rosji – inaczej niż Niemcom w Wersalu – po prostu się upiekło, a przez to po kolejnych 30 latach Putin może uważać, że II wojna światowa trwa nadal (a na Placu Czerwonym w maju czci się tylko zamknięcie jakiegoś jej epizodu). Tymczasem – wg Kremla – skoro są takie możliwości, należy dążyć do odzyskania tego, co najpierw ZSRR, a potem Rosja, w Europie utraciły po roku 1989.

Takie wydłużone widzenie historii (czego orędownikiem w swych opasłych tomach był Tom Clancy) pozwala uznać, że to, co zapoczątkowała I wojna światowa trwa do dziś. To natomiast w wojnie w Ukrainie pozwala dostrzec nie epizod, lecz fragment większej całości. Całości, której można i należy się obawiać.

Wit Romanowski

Anna Czekanowicz

Elegia na odejście...

Tłucze mi się po głowie to słowo, tłucze się moja elegia na odejście Zbyszka Majchrowskiego, choć poczucie że jeśli zostanie napisana, coś stanie się ostateczne i nieodwracalne, a forma czasu przeszłego weźmie w posiadanie moje myślenie o Zbyszku, jego obecność. Bo dla mnie on wciąż jest, choć ostatnie słowo zostało już wypowiedziane i było to słowo okrutne: *nie kochasz mnie, skoro nie chcesz mi pomóc umrzeć*…

Elegia… Ileż ich napisali wielcy poeci… I ja piszę dzisiaj elegię, choć daleko jej do wysmakowanej poetyckiej formy, choć z poezją niewiele ma wspólnego, ale jest we mnie żal i smutek i poczucie, że nie wieczność niestety, ale ostateczność ma nad nami władzę.

Piszę elegię na odejście Zbyszka Majchrowskiego.

Piszę nocą. To jest pusta noc; czuję jego obecność, choć wiem, że to tylko mój mózg mnie zwodzi. Piszę ja, choć pisać chcę o ja Zbyszka, innym niż moje ja, ale tylko tak mogę zapisać jego ja, jako teraz na zawsze już w moim ja zakleszczone…

Widzieć go będę zawsze jako chłopca, jako świetlistego młodzieńca o przekornym przymrużeniu oczu, o głosie w którym brzmi pasja i który stawia pytania: celne, trudne, czasem niezrozumiałe…

Jego śmierć jest przedwczesna; ta śmierć odebrała głos temu, kto miał tak wiele do powiedzenia, choć rzadko posiłkował się wielosłowiem, temu, który miał do przemierzenia jeszcze wielkie kilometry nadmorskich plaż, gdzie woda wślizguje się w piasek i odbiera mu jego suchą kruchość, zmienia go na zawsze, tak jak śmierć zmienia życie.

„I to wszystko." - można by powiedzieć za poetą Ludwikiem Janionem. A jednak. To tylko cień prawdy.

Zbigniew Majchrowski był historykiem i krytykiem literatury i teatru; ciągnęło ku antropologii – nie bez przyczyny to właśnie on założył Zakład Antropologii Kultury i Krytyki Artystycznej w Gdańskim Uniwersytecie. Ale antropologia nie wzięła się znikąd; to było dotknięcie dłoni Marii Janion – tylko najzdolniejsi z jej uczniów potrafili to wykorzystać. Stąd Majchrowski nigdy nie był ahistoryczny, ale przeciw historii zbuntowany. Nie bez znaczenia to właśnie jego, obok Stefana Chwina i Stanisława Rośka wybrała Maria Janion, by poszli z nią ścieżką „Transgresji…". Nie zawiodła się. Choć to właśnie Majchrowski pozostał najbardziej wiernym z jej uczniów, nieustannie podkreślającym znaczenie mistrzyni dla swojej drogi i wyborów.

Zmaganie z romantycznym mitem go naznaczyło. Zakuty w kajdany w celi Konrada do ostatniej chwili pragnął zrozumieć ostateczną klęskę pogrzebanego w krypcie Gustawa.

No i teatr. Zbyszek potrafił przemierzać Polskę pociągami wzdłuż i wszerz, byle tylko zobaczyć nowe przedstawienie w Legnicy albo Białymstoku. Jego ostatni opublikowany przed śmiercią tekst dotyczył właśnie teatru. Ten tekst, który sprzeciwiał się jednoznacznie apologetycznemu odczytaniu musicalu „1989", jak wiele jego wypowiedzi, wynikał z buntu. Bo Zbyszek nie zgadzał się na łatwe rozwiązania, bardzo wymagający, nie chodził na kompromisy. Często więc bywał niezrozumiany, a przez to bardzo nieszczęśliwy, gorzki..

Ale nade wszystko Zbyszek był mi przyjacielem, oddanym i wiernym, co nie znaczy łatwym i nie wymagającym. Bycie przyjacielem było dla niego wyzwaniem i obowiązkiem.

Majchrowskiego na swego czytelnika i przyjaciela wybrał Tadeusz Różewicz. I nikt tak jak Majchrowski nie potrafił Różewicza czytać. Miał niezawodne ucho, które wyłuskiwało perełki, a Różewicza miał za najważniejszego dla siebie pisarza.

Więc niech zabrzmi głos poety, z „Elegii na powrót umarłych poetów":

Przez ocean który był ogromniejszy niż tęsknota
komu jedziecie po co wracacie
zmarli poeci
wasze litanie i hymny
monologi anielskie czyhanie na Boga
poezja – moc księżycowa
gorzki urodzaj na słowa.
To wszystko było.

Więc wszystko… ?

28/29 grudnia 2023

Anna Czekanowicz

Spis treści

Wit Romanowski, Clance, FELIETON……..……str.2
Anna Czekanowicz, Elegia na odejście.....str.2
Zbigniew Majchrowski, Esej przy-graniczny, ESEJ.....str.3
Zbigniew Majchrowski, L. WIERSZ.....str.6
Elżbieta Juszczak, Szaleństwa popkultury, ESEJ.....str.7
Czesław Karkowski, Dwaj emigranci we Włoszech, ESEJ.....str.9
Grzegorz Bazylak, Poezja to kruchy chleba i krew rozlana, ESEJ.....str.11
Roque Dalton, wiersze
Anna Krasuska, Czy Kasandra jest dzisiaj potrzebna? ESEJ.....str.14
Krystyna Lars, Elegia na chwałę pokonanych, poemat.....str.19
Kazimierz Brakoniecki, Z Dziennika 2014: Bretania/Francja, DZIENNIK.....str.20
Anna Czekanowicz, WIERSZE.....str.26
Elżbieta Juszczak, Piosenki o Ukrainie.....str.28
Dariusz Pawlicki, O pisarskiej & czytelniczej łatwiźnie ESEJ.....str.29
Grigorij Winokurow, Biografia i kultura, Z TEKI TŁUMACZEŃ B. Żyłko.....str.31
Kto się kochał w Marcie Fox? z Martą Fox rozmawia Jerzy Fryckowski.....str.33
Tadeusz Zawadowski, wiersze.....str.38
Roman Warszewski, Falstart, PROZA.....str.40
Marek Wawrzkiewicz, wiersze.....str.42
Anna Czyrska, Pisarka w świecie AI, ESEJ.....str.44
Jelyzaweta Żarikowa, wiersze w tłumaczeniu Leszka Szarugi.....str. 48
Maria Jolanta Fraszewska: Bitwa o język świadomości, ESEJ.....str.50
Ioan Baba, wiersze.....str.54
Rozmowa z Romanem Warszewskim.....str.55
Ares Chadzinikolau, wiersze.....str.58
Mirosław G. Majewski, Ja tego nie napisałem, PROZA.....str.60
Anna Krasuska, Podobno już wkrótce, chociaż nie jest pewne, wiersz.....str.61
Danuta-Romana Słowik, od Euterpe po sztuczną inteligencję, esej.....str.62
Dariusz Łęczycki, wiersze.....str.67
Marcin Mielcarek, Twarz z okładki, PROZA.....str.68
Michał Skrętek, Przepis na Wańkowicza, ESEJ.....str.70
Waldemar Jagliński, Niewidzialna bitwa, PROZA,.....str.72
Jakub Fornagiel. Trzeba sobie zasłużyć na skreślenie, PROZA,.....str.73
NENAD ŠAPONJA , wiersze i rozmowa,.....str.76

OMÓWIENIA
Dariusz T. Lebioda, Tanganika,.....str.78
Robert Rudiak, Filozofia poezji,.....str.80

KSIĄŻKI NA HACZYKU, Agnieszka Moroz.....str.82

RECENZJE str.84
Milijan Despotović, Osiągnięcia duchowe języka
Marta Fox, Pigmalion, czyli inny świat
Dariusz T. Lebioda, Smród i flegma, Can Xue
Mateusz Wabik, Jeszcze raz o tajemnicy i o „kobiecie przy oknie"
Mateusz Wabik, Horror egzystencji
Roman Warszewski, Zaraza z wyspy Minger

Andrzej Walter, Afirmacja zasłużonych, FELIETON.....str.92
Małgorzata Dorna (Wendrychowska).
Malarskie wcielenia Adama Nowackiego, SZTUKA.....str.93
Sławomir Zatwardnicki, wiersze,.....str.98
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (47),.....str.102
Marek Wawrzkiewicz, Okruchy (9),.....str.103

Zbigniew Majchrowski

ESEJ

PRZY-GRANICZNY

Jerzy Stempowski w autobiograficznym eseju *W dolinie Dniestru*: „Na świat przyszedłem w rodzinie polskiej na Ukrainie w roku 1894. [...] Cała ogromna część Europy, leżąca między morzem Bałtyckim, morzem Czarnym i Adriatykiem, była jedną wielką szachownicą ludów, pełną wysp, enklaw i najdziwniejszych kombinacji ludności mieszanej. W wielu miejscach każda wieś, każda grupa społeczna, każdy zawód niemal mówił odmiennym językiem. W mojej ojczystej dolinie średniego Dniestru ziemianie mówili po polsku, włościanie — po ukraińsku, urzędnicy — po rosyjsku z odcieniem odeskim, kupcy — po żydowsku, cieśle i stolarze — jako filiponi i staroobrzędowcy — po rosyjsku z odcieniem nowogrodzkim, kabannicy mówili swym własnym narzeczem. Prócz tego w tej samej okolicy były jeszcze wsie szlachty zagrodowej mówiącej po polsku, takiejże szlachty mówiącej po ukraińsku, wsie mołdowańskie mówiące po rumuńsku; Cyganie mówili po cygańsku, Turków wprawdzie już nie było, ale w Chocimiu po drugiej stronie Dniestru i w Kamieńcu stały jeszcze ich minarety. Przewoźnicy na Dniestrze nazywali jeszcze wciąż brzeg podolski Laczczyna i brzeg besarabski Tureczczyna, jakkolwiek i Polska i Turcja należały tam już do dość odległej przeszłości.

W jarach i lasach mieszkali nadto poza osiedlami tzw. jarowi ludzie, o dzikich brodach i niepewnym spojrzeniu, którzy na pozór nie mówili żadnym językiem. [...]

Wszystkie te odcienie narodowości i języków znajdowały się nadto w stanie częściowo płynnym. Synowie Polaków stawali się nieraz Ukraińcami, synowie Niemców i Francuzów — Polakami. W Odessie działy się rzeczy niezwykłe: Grecy stawali się Rosjanami, widziano Polaków wstępujących do *Sojuza Russkawo Narodu*. Jeszcze dziwniejsze kombinacje powstawały z małżeństw mieszanych. [...]" (1942)

Przypomnienie Stempowskiego naprowadza na pytanie o pokoleniowe doświadczenie **granicy**? Pokoleniowo zmienne jej wyobrażenie i odczuwanie - a nie ma innej drogi do rozpoznania pokoleniowych przeżyć jak droga (auto) biografii. Być może dla dzisiejszych internautów granica pozostaje jedynie pojęciem matematycznym i ewentualnie kategorią filozoficzną. Z pewnością funkcjonuje jeszcze w rozumieniu politycznym, ale raczej bez jakiegoś szczególnego nacechowania. Można przypuszczać, że granica nie organizuje już w takim stopniu wyobraźni najmłodszej generacji Euro-Polaków, jak to było jeszcze naszym - pięćdziesięciolatków - udziałem. Nie chcę młodym niczego *a priori* wmawiać ani przypisywać, podejrzewam jednak, że wyobraźnia pokolenia internetu ukształtowana jest na podobieństwo sieci, że jest wyobraźnią kłącza (choć może to żmut?). A kłącze jest figurą bez granic, bez progu. Jedynym śladem po granicy wydaje się wymóg gestu „enter" czy „clik", ale na ekranie słowa te zastępuje przyjazna ikonka z „łapką". Wszystko jest na wyciągnięcie ręki, spoczywającej na komputerowej myszce. Pokonywanie kolejnych wrót to seria kliknięć. Klik – i mam widok na Fudżijamę (www.sunplus.com/fuji), klik – i jestem w Luwrze (www.louvre.fr), klik - i oglądam żeglugę w Kanale Panamskim (www.pancanal.com), klik – i jestem na stronie domowej Krystyny Jandy... (www.krystynajanda.com). Przekraczam granice prywatnych domów, odmiennych klimatów, obcych kultur bez większego oporu, bez żadnego wysiłku. Z kwiatka na kwiatek, a kresu tej łąki nie widać. Na kolejnej nowej stronie są „linki" (*links*) do następnych nowych stron. I rzeczywiście, idzie to jak po sznurku. Wszystko łączy się ze wszystkim. To chyba nie może pozostawać bez wpływu na kształt metafor, w jakie dziś ujmuje się świat.

Nie ma lepszej drogi do rozpoznania pokoleniowych przeżyć niż droga autobiografii. Niech więc i młodzi wypowiedzą się sami. Nasz (mój) świat był i pozostaje światem podzielonym, rozdzieranym przez granice. W czasach młodości, który upłynęła w latach 60. i 70., granica wciąż miała charakter represyjny. Studenci na ulicach Paryża wiosną 68 roku wznieśli barykady, by znieść granice. Toteż takie a nie inne, właśnie antyrepresyjne były songi mego pokolenia: *The Wall* Pink Floydów, *Mury* Włodzimierza Wysockiego. Takie też okołograniczne były nasze lektury: Karl Jaspers pouczał o sytuacji granicznej, Jurij Lotman o progu..., o wstydzie..., George Bataille o transgresji... Ryszard Krynicki pisał w jednym z wierszy o obłokach, które – one jedyne! - przekraczają granice bez paszportu. Alternatywny Teatr 8 Dnia zrobił całe przedstawienie o wymyślnych sposobach pokonywania muru berlińskiego. A Maria Janion w Gdańsku prowadziła „transgresyjne" konwersatoria, których efektem stał się kilkutomowy cykl książek „Transgresje". Granica była odczuwana w tak nieznośny sposób, że należało ją przekroczyć, zburzyć, unicestwić. Trochę w cieniu czy raczej w zawieszeniu pozostawała granica jako ślad aktu porządkującego świat wartości, jako kontur ładu etycznego. A jednak tego ładu etycznego w naszym świecie, jak sądzę, nie brakowało.

Gdy sięgam pamięcią lat dziecinnych, widzę teraz, że zabawy mego dzieciństwa miały miejsce właśnie na granicy. Przede wszystkim na brzegu morza, na miejscowej plaży nad Zatoką Gdańską, w Brzeźnie, tej samej plaży, na którą chadzał Joachim Mahlke z opowieści *Kot i mysz* oraz Oskar Matzerath, bohater *Blaszanego bębenka*, a więc musiał tam bywać i sam autor obu książek, Gűnter Grass (kąpielisko to zdołał zdążył sfilmować Volker Schleondorf, zanim ostatecznie spłonęło). Budowałem swoje zamki z piasku dokładnie na granicy plaży i morza, na pasie zalewanym co rusz przez fale i jednocześnie rozdeptywanym przed spacerujących brzegiem dorosłych. W każdy letni, plażowy dzień po wielekroć przeżywałem swoje zburzenie Kartaginy i po każdej dewastacji uparcie odbudowywałem piaskową warownię. Sztuka budowlana polegała na tym, by przewidzieć kapryśną arytmię fal, by poznać granicę zalewanej plaży: zbyt daleko od wody wał okalający zamkową fosę nie miał czemu stawiać →

oporu, zbyt blisko – groziło mu całkowite rozmycie. To było ćwiczenie w balansowaniu na granicy, tak przydatne w przyszłym dorosłym życiu, o czym, rzecz jasna, jeszcze nie wiedziałem.

Mój pierwszy w życiu adres: stara dzielnica Gdańska, Wrzeszcz, ulica Konrada Wallenroda (dawniej: Hertastrasse), nieopodal Labesweg, dzisiejszej ulicy Lelewela, przy której przed wojną mieszkał Günter Grass, o czym naturalnie dowiedziałem się wiele lat później. Po dwóch latach moi rodzice otrzymali nowe mieszkanie w centrum Gdańska, w Śródmieściu, pomiędzy Dworcem Głównym a Stocznią Gdańską. W centrum! Dziś tak można powiedzieć, ale wówczas było to jeszcze pole gruzu z na wpół wyburzonymi, na wpół ocalałymi ruderami.

Nasz nowo wybudowany blok mieszkalny też stanął na granicy. Jego podwórko graniczyło z ocalałym zakątkiem starego miasta, trójkątem wyznaczonym przez ulicę Osiek, ulicę Sierocą i ulicę Stare Domki (dwa kroki dalej stał budynek przedwojennej Poczty Polskiej). Tu Stanisław Różewicz, brat poety Różewicza, zaledwie dwieście metrów od mojego domu, nakręcił w 1958 roku film *Wolne miasto*, a dwadzieścia lat później w tym samym miejscu niemiecki reżyser Volker Schlöndorff sfilmował sceny do swej ekranizacji powieści Güntera Grassa *Die Blechtrommel* (niemniej zarówno powieść Grassa, jak i film Schlöndorffa pozostawały w Polsce Ludowej na indeksie cenzury). Powiem najkrócej: szlaki wędrówek małego Oskara Matzeratha były mi dobrze znane z autopsji, z własnego dzieciństwa.

W jakim celu powracam do kraju lat dziecinnych? Próbuję zrekonstruować sztafaż pewnego doświadczenia, które wydaje mi się fundamentalne dla mojego spotkania z dziełem Tadeusza Różewicza i Guntera Grassa. To fundamentalne doświadczenie to zetknięcie się polskiego dziecka z niemczyzną, z niemieckością, z Niemcami. Przypomnę, że spotkania dzieci z Niemcami w czasie wojny i okupacji są treścią trzech nowel filmowych braci Różewiczów pod wspólnym tytułem kinowym *Świadectwo urodzenia* (film wszedł na ekran w październiku 1961). Niech mi będzie wolno - zachowując oczywiste proporcje - naszkicować mój osobisty epizod już w powojennych okolicznościach, w całkiem więc innej perspektywie.

W moim dzieciństwie większość rzeczy i zjawisk dawała się oswoić przez obserwację: nie dziwiły ani nowoczesne dźwigi budowlane, ani archaiczni domokrążcy z okrzykiem „noooże noże ostrzę!!!". O tradycyjnie zagadkowe sprawy (na przykład: którędy kura znosi jajko?) można było zapytać rodziców albo bardziej doświadczonych kolegów, a niektórych tajemnic nie trzeba było nawet dochodzić, bo ci doświadczeni koledzy sami narzucali się ze swoją wiedzą. O jedno wszakże zapytać nie potrafiłem, bo był to ten rodzaj doświadczenia, którego sens rozpoznajemy dopiero po czasie, po wielu latach. Pamiętam to dziwne, tak: dziwne, podszyte jakimś lękiem poczucie wyłączenia, wyobcowania, jakie przeżywałem w pobliskim sklepiku, zastawionym beczkami z kiszoną kapustą, z solonymi śledziami, z kwaszonymi ogórkami i z piwem, z wielkimi kostkami białego smalcu i brunatnej marmolady na ladzie. Dziś mówię o obcości, ale przecież dziecka nie stać na taką problematyzację, na taką samoświadomość. Wówczas to był jedynie lęk, a przecież nikogo nie umiałem się zapytać o powody tego lęku, bo po prostu nie wiedziałem, czego się boję. Bez większego trudu można wszystkich przekonać: boję się chodzić do piwnicy, bo tam jest ciemno, boję się, co się ze mną stanie, gdy zgaśnie świeczka... Można powiedzieć: boję się burzy. Ale jak wytłumaczyć dorosłym: lękam się chodzić do sklepiku, bo tam - co? A ja naprawdę bałem się tych szwargocących starych kobiet, które porozumiewając się ze sobą w niezrozumiały dla mnie sposób - wchodziły w kolejkę przede mnie. Dziś wiem, że to było moje pierwsze zetknięcie z językiem niemieckim. A ta twardo brzmiąca mowa ustawiała mnie wciąż na końcu kolejki.

Przyznaję, że nie umiałem jeszcze wtedy skojarzyć tego obco brzmiącego gadania ze słowem „Niemcy", które przecież szybko pojawiło się w kręgu mego dzieciństwa. O Niemcach mówili i rodzice, i dziadkowie, i rówieśnicy. Ale Niemcy (równie często mówiło się „Szkopi") byli gdzieś TAM. Tam, to znaczy w przeszłości, w latach wojny, zatem dawno, dawno temu przed moim urodzeniem (chociaż dziś już wiem, że dziesięć lat po wojnie - jakże to musiało być niedawno!) i t a m, to znaczy za granicą, daleko, daleko stąd. Skąd mogło mi przyjść do głowy, że Niemcy byli TU, w „tu i teraz" mego dzieciństwa! A przecież byli tuż obok. Nie chodzi mi jedynie o te stare gdańszczanki, które gromadziły się w sklepiku i których narodowej tożsamości nie chcę teraz roztrząsać, a wcale nie wiem, czy czuły się Niemkami, i już nigdy tego się nie dowiem. Wiem natomiast, że dziko zarosły park, który ciągnął się po obu stronach lipowej alei, jaka łączyła Śródmieście z Wrzeszczem, gdzie co niedziela jeździliśmy odwiedzić Dziadków, że ten zaniedbany park to był dziczejący cmentarz, który krył groby Niemców. Ale do tej wiedzy dochodziłem długo i fragmentarycznie, gdy raz do roku ten niby park rozświetlały świeczki i znicze. Wtedy to, raz do roku, ta niewidoczna, niewidzialna granica jarzyła się z całą mocą.

Kiedyś ojciec pokazał mi klaser ze znaczkami z podobizną Fürera w najrozmaitszych kolorach - fioletu, ugru, ochry, indygo. Tych znaczków nie wolno jednak mi było pokazywać kolegom. Przy okazji mówił też coś o Stalinie, o Dzierżyńskim... Z jakąś szczególną emocją wypowiadał słowo Katyń. Rozumiałem tylko tyle, że muszę znać to słowo, ale nie powinienem go nigdzie powtarzać.

Nie widząc ich nigdy na własne oczy, jako dzieci czuliśmy obecność Niemców pośród nas. Pierwsze niemieckie słowa, jakie przyswoiłem, pierwsze i na długi czas jedyne, brzmiały: „Hande hoch!". Często słyszeliśmy „Hande hoch!" w filmach o wojnie, a innych filmów niż o wojnie albo w ogóle nie pokazywano, albo my nie chcieliśmy oglądać (no bo amerykańskie westerny były tylko w niedzielę, w porze mszy dla dzieci). Powtarzaliśmy „Hande hoch!" z upodobaniem w zabawach w wojnę przy trzepaku codziennie po sto razy.

Centralnym obiektem podwórka, ważniejszym nawet niż piaskownica czy trzepak, było wyjście ewakuacyjne schronu przeciwatomowego, usytuowane na środku trawnika. Schron był naszą dumą, chełpiliśmy się tym schronem przed chłopcami ze starych kamienic, chociaż wyglądał więcej niż marnie w porównaniu z gigantycznym bunkrem z czasu wojny, który swą kubaturą przewyższał nawet nasz czteropiętrowy blok mieszkalny. Ołowianego koloru ponury monolit, który służył teraz za magazyn wód gazowanych, wbijał się w oczy, ilekroć szło się na halę targową czy też w kierunku Kościoła Mariackiego.

Na wyspie Ołowiance, na drugim brzegu Motławy, na szkieletach wypalonych spichlerzy bielił się wielki napis: NIGDY WIĘCEJ WOJNY! Dzięki temu transparentowi, gdy już składałem litery, dowiedziałem się w końcu, czego się boję (chociaż precyzyjniej należałoby powiedzieć: dowiedziałem się, w co mam wcielić swoje lęki).

Tak, ja po prostu bojąc się wojny, bałem się Niemców, a nasze podwórkowe zabawy w wojnę były nieuświadomioną próbą rozładowania tego lęku. Tego lęku nie wyniosłem z pewnością z domu, z rodzinnego czy sąsiedzkiego kręgu (sąsiadka straszyła mnie tradycyjnie: Cygankami i kominiarzami). Ten lęk był produktem mało wyrafinowanej polityki wewnętrznej Władysława Gomułki. Nie chodzi mi tu wcale o formułowane wprost z trybuny przestrogi przed „odradzającym się niemieckim rewizjonizmem" - bo to dla nas, dziesięciolatków, były głuche zaklęcia, które niczym nie różniły się od „podnoszenia wydajności z hektara". Myślę raczej o specyficznych zabiegach edukacyjnych, jakim nas poddawano w szkole. Dzisiaj widzę to z całą jaskrawością. Z naszych szkolnych podręczników, z lektury tak zwanych czytanek wynikało takie oto równanie: Krzyżacy to tyle co Niemcy, to tyle co hitlerowcy. Jeżeli a = b i b = c, to i a = c. Z czego wynika, że nie ma różnicy między Krzyżakiem, Niemcem i hitlerowcem.

Pamiętam, od czasu do czasu byliśmy też całymi klasami prowadzeni do kina „Bajka", gdzie pokazywano nam filmy dokumentalne z obozów masowej zagłady (wtedy jeszcze mówiło się: obozy koncentracyjne). Pierwsze nagie ciała, jakie ujrzałem w swoim życiu na ekranie, w ogóle pierwsze moje zetknięcie z absolutną nagością - to był ten widok: obnażone martwe ciała ofiar, których odkryta ciemna płeć była nieprzyzwoicie wyolbrzymiona przez ogólne wychudzenie. To była pornografia śmierci. Pamiętam, jak dziecięca zachłanna ciekawość walczyła z przerażeniem i jakimś pierwotnym poczuciem zawstydzenia, zażenowania, które nakazywało zamykać oczy mimo pokusy, na jaką wystawiany był właśnie budzący się w nas seksualizm. Mógłbym powiedzieć: miałem dwanaście lat, „widziałem furgony porąbanych ludzi". Po kilku latach przeczytałem to w wierszu Tadeusza Różewicza. Nie muszę już tłumaczyć, że i wczesna poezja Różewicza, tak sugestywna, została wmanipulowana w tę antyniemiecką edukację, jakiej byłem poddawany wraz z moją klasą, z moją szkołą, z moją generacją.

Rozumieją już Państwo, że cała ta opowieść służyła temu, by zilustrować jedno z podstawowych doświadczeń mego pokolenia: obciążenie kultury niemieckiej (czy wręcz niemieckojęzycznej) polską traumą wojny i okupacji. Byliśmy dziećmi Władysława Gomułki, który próbował rządzić zrusyfikowanym krajem wywołując antyniemieckie fobie. Ale potajemnie byliśmy też dziećmi Adolfa Hitlera! Coś nam kazało kreślić znak swastyki przy każdej nadarzającej się okazji. Najpierw, na próbę, patykiem na piasku, co można było szybko zamazać butem, a potem już na murach - kredą, węglem, ułamkiem cegły, gulą śniegu. Niektórzy, lepiej wtajemniczeni, znali nawet to zakazane słowo: „hakenkrojc" (Hakenkreuz). Oglądając się, czy nikt z dorosłych nie widzi, czerpaliśmy satysfakcję z tego wykroczenia, bo że było to wykroczenie, nie mieliśmy wątpliwości. Naszym oczom i uszom narzucały się szkoła, telewizja, gazety, ale nasze ręce posłusznie wykonywały polecenia kogoś całkiem innego. Jeszcze jeden przyczynek do pytania: „Unde malum?"

Dopiero lektura pierwszej książki Güntera Grassa, a była to krótka powieść *Kot i mysz*, odsłoniła mi ukrytą mapę Gdańska. Ta mapa stanowiła palimpsest, jak nawarstwione afisze na starym słupie ogłoszeniowym. Zrozumiałem, że miasto, w którym żyję, moje miasto, ukrywa w sobie inne miasto, nie-moje-miasto. Ułamkowe obrazy zapamiętane z dzieciństwa - gotyckie litery na cmentarnych płytach, wyblakłe szyldy na starych domach, znaczki z Hitlerem - pomału zaczęły się zbiegać w jedno.

Dzieciństwo z reguły stanowi czas intensywnego badania granicy: istnieje interior piaskownicy, a każdy akt jej samowolnego opuszczenia otwiera obszar eksperymentów terytorialnych: oddalenie się z własnego podwórka jest wypróbowywaniem niewidzialnej i niezdefiniowanej granicy pomiędzy „dostatecznie blisko" a „już za daleko". Co zatem w moim dzieciństwie należało do sfery podobnych „archetypów", a co wiązało się z czasem historycznym?

Pamiętam stały element nadmorskiego pejzażu – co krok tablica „Strefa przygraniczna", co dwa kroki: „Teren wojskowy. Wstęp surowo wzbroniony". Przedwojenne „od morza do morza" zamieniło się w pojałtańskie „od drutów do drutów". Już płot oddzielający kąpielisko strzeżone od „dzikiej" plaży to były nieomal wojskowe zasieki, które niefortunnie wywoływały skojarzenia z „drutami" obozów koncentracyjnych z filmów dokumentalnych, jakich nam, dzieciom, nie szczędzono od początku szkoły podstawowej. W ogóle z dzieciństwa i młodości najlepiej to właśnie pamiętam: wszędzie wokół dużo drutu kolczastego. Otoczone nim były nie tylko tereny wojskowe i strategiczne zakłady pracy, nie tylko port czy składy opałowe, ale także pracownicze ogródki działkowe, a nawet ogródki jordanowskie. Dziś jeszcze sporo tego pozostało w zaniedbanych rejonach mego miasta

Pojęcie granicy w „państwie obozu socjalistycznego" uwikłane było nie tylko w kolczaste druty, ale w mit „zagranicy". Z „zagranicy", konkretnie z Niemiec Zachodnich (wtedy należało jednak pisać: Niemiecka Republika Federalna) przyszła do mnie razu pewnego paczka z czekoladą i kredkami. Czekoladę, przyznaję, zjadłem, nie pamiętam marki ani nawet opakowania, zdaje się, że było ciemnoszafirowe, ale kredki akwarelowe mam do dzisiaj, bo prawie ich nie używałem. Jedynie co jakiś czas otwierałem wieczko i z zachwytem patrzyłem, jak równym rządkiem spoczywają w blaszanym pudełeczku (mógłbym, jak pewien literat, opisowi tego pudełeczka poświecić całą powieść o pojednaniu polsko-niemieckim). Nie ośmieliłbym się ich temperować - po prostu bałem się tak radykalnie przekroczyć tę granicę! Na co dzień granica świata przebiegała w sklepie „Delikatesy", gdzie było stoisko z ARTYKUŁAMI POCHODZENIA ZAGRANICZNEGO, co oznaczało wówczas świat zachodni. Za szkłem wysokiej lady, w zasięgu wzroku kilkulatka, stały foremne, błyszczące kartoniki papierosów z podobizną wielbłąda na tle piramid. Eech, mur berliński mego dzieciństwa był, jak widzę, całkiem atrakcyjny. Ta szyba była granicą dwóch światów: po tej stronie, w lokalnym sklepiku czy w kiosku „Ruchu", stały szarobiałe sporty, szarobłękitne żeglarze, szarobure giewonty, które w garściach mężczyzn pijących ćwiartkę nad Motławą czy Radunią zamieniały się w pomięte ogryzki papieru; po TAMTEJ stronie – kolorowe, lśniące celofanem camele. Nigdy zresztą nie zauważyłem, by ktoś je kupował, nigdy nie widziałem, by ktoś je palił. No a skoro nikt nie ośmielał się sięgnąć po te cudowne papierosy, jakże miałem, ot tak, zużywać moje (ale jakby nie moje) cudowne kredki. Ostrzyć tępą żyletką rawa-lux? Ogryzać lakierowane końcówki? Blaszane pudełko niemoich kredek było jak te delikatesowe paczki papierosów - wyznaczało neurotyczną granicę: jednocześnie stanowiło pokusę i budziło lęk. Lęk, który nie pozwał zawładnąć czymś zagranicznym na równi ze swojskim.

Dziś nie bez zawstydzenia konstatuję, że pudełko nie zawieruszyło się podczas żadnej z czterech przeżytych przeprowadzek oraz że uchroniłem jego zawartość przed ciekawością moich dzieci, które dawno już opuściły już domowe pielesze, a plażą można już iść nieprzerwanie, dopóki starczy sił. By dopełnić historię, muszę jednak zrelacjonować jeszcze jedno zdarzenie.

Jakoś tak na początku nowego tysiąclecia powiozłem goszczącego w Sopocie Tadeusza Różewicza na Półwysep Helski. Było już po sezonie. Zajrzeliśmy to tu, to tam, wreszcie stanęliśmy na brzegu po stronie Zatoki Puckiej. Wrześniowe słońce odbijało się w spokojnych wodach zatoki w taki sposób, że rozproszony blask zacierał zupełnie horyzont. Widok nie miał początku ani końca. Przypominało to trochę obrazy Williama Turnera, miało jednak większą ostrość. Staliśmy w milczeniu mrużąc oczy, ale też nie mogąc ich oderwać od tego światła. Po jakimś czasie Poeta swoim zwyczajem powiedział: *Ciekawe, prawda?* Po pauzie dodał: *Wie Pan, to tylko ta chwila, to niedługo zniknie, a tego nie da się opisać*. I znów po pauzie: „*Ma granice - nieskończony*".

Zbigniew Majchrowski

Stefan Chwin

Zbigniew Majchrowski

L.

Pisze dobre wiersze
Niekiedy bardzo
bardzo bo ważne
cóż z tego
skoro mądrość przykrywa poezję
a poezja podgryza mądrość
co począć

słyszę w telefonie (kiedyś mawiało się w słuchawce
telefonu, bo telefony miały słuchawki, obrotowe tarcze
i długie kable, którymi na ekranie
bawiły się gwiazdy Hollywoodu;
to dygresja, z przecinkiem,
może niepotrzebna,
ale przecinek przecież potrzebny na pewno)

a zatem
słyszę trzask zapalniczki
a może ślizg zapałki
po chwili
charakterystyczny oddech palacza

Ludwiku
Mnie mimo wszystko
szybciej wiatr rozwieje

12.12.2023

Szaleństwa popkultury

Elżbieta Juszczak

Czy ktoś chciałby złorzeczyć Netflixowi? Tacy się znajdą. Ale próżne wołanie na puszczy. Netflix ma się dobrze, a prawdopodobnie będzie się miał jeszcze lepiej. Jednak gdyby ktoś taki się znalazł, musiałby zakwestionować Myszkę Miki, Kaczora Donalda i jeszcze parę rzeczy z japońską anime na czele. No i naturalnie literaturę popularną czy rozrywkową, która często dostarcza Netflixsowi scenariuszy. Na przykład Dianę Gabaldon i jej cykl powieści *Obca*, bo właśnie na tym serialu pragnę się skupić.

Otóż, czym jest Netflix? Pożeraczem czasu, wytchnieniem dla steranych pracą, którzy zwalają się na kanapę po katorżniczym dniu, by oddać się niskonakładowej rozrywce? Czymże jest? Przygodą kanapową, grecką katharsis, edukacją o krajach i ludziach? Otóż Netflix jest globalnym graczem, biznesem filmowym z 247 milionami subskrybentów na całym świecie. Można przypuszczać, że oglądających jest znacznie więcej, biorąc pod uwagę, że w dużej mierze subskrybent to człowiek rodzinny. Wiadomo że Netflix to głównie dystrybutor, ale też producent filmowy. I co dalej? Netflix to zjawisko kulturowe, a pewien znany pewnemu jury poeta, podzielił ludzi na tych, co go mają i nie mają. W całym tym dociekaniu, być może psu na budę wartym, ważna jest potrzeba ludzka. Potrzeba rozrywki. Jak świat światem ludzie z niej korzystali w mniej lub bardziej wyrafinowany sposób. Jeżeli przy ognisku był taniec, to w czasach bolszewizmu, jak zaświadcza Andriej Płatonow, dla rozrywki chłopi bili się na śmierć. I w zasadzie nic mi do Netflixa, gdyby nie to, że Outlandera obejrzałam w całości. Doceniając wiele, w pewnym momencie nie wytrzymałam. Bowiem z wielkiej historii dziejów, z kultury w ogóle, autorka i scenarzyści, jak z wielkiego worka, dodajmy worka, który bezprzykładnie zawłaszczyli, wyciągali, kiedy chcieli i co tam chcieli, byle było atrakcyjnie dla widza, byle widz wlepiony twarzą w ekran, nie był w stanie odejść na krok, byle go przykuć, byleby go zniewolić, a nawet zakuć w kajdany , tzn., przemodelować mu mózg. Znacie to uczucie, oglądacie, ale musicie wiedzieć, czy Jamie wpadnie w ręce Brytyjczyków, i co na to Claire, i jak się stamtąd wydostanie, bo że nie umrze to pewne. Więc ja się zastanawiam, czy można tak hulać po kulturze, po historii i po świecie, czy można tak arbitralnie wyznaczać sobie moment przeniesienia w czasie. Otóż można jak widać, ale co dalej.

Wiadomo że Claire i Jamie są ze stali, bo w połowie każdego odcinka powinni umrzeć z ciosów i ran, które im przyniosło bujne życie. Mało, że nie umierają od ran, mało że traumy ich nie dotyczą, to ciągle grzeje ich i namiętność i miłość. Kogo ten brak prawdopodobieństwa obchodzi? Najważniejsze, że się ogląda! A my potrzebujemy super bohaterów. Idoli, bo tu w naszym życiu, tak sobie nam wychodzi. A im jak najbardziej, i te przygody, które mogłyby być udziałem, zważywszy na przenoszenie się w czasie - milionów! Więc tak to mniej więcej wychodzi, ale skupmy się na faktach: Outlander jako amerykański serial telewizyjny stacji Starz zadebiutował w 2014 r., a wyprodukowali go: Tall Ship Productions, Story Mining and Supply Company, Left Bank Pictures I Sony Pictures Television. Jest to adaptacja cyklu powieści Diany Gabaldon *Obca*. Serial zyskał milionową widownię (jak autorka czytelników), a jego fani wyczekiwali na kolejne odcinki. Skłoniło to Netflixa do dystrybucji na własnej platformie. W Polsce widzowie mogli go oglądać z dwumiesięcznym opóźnieniem na kanale AXN White, a później w Netflixie. Produkcja składa się kilku wątków, wybija się wątek historyczny, przygodowy i erotyczny, a wszystko spaja klamra przeniesienia się w czasie. Główne role grają Caitriona Balfe i Sam Heughan, którzy zdążyli dzięki serialowi zrobić duże kariery. Globalny zasięg platformy streamingowej spowodował miliony fanów na świecie, a dodatkowo, bowiem rzecz jest o Szkocji, poprawił szkocki biznes turystyczny. Serial trwa, wyemitowano siedem sezonów, kolejny jest w przygotowaniu. Na naszych oczach tworzy się więc rzeczywistość wirtualna, której siła bywa większa niż rzeczywistość namacalna.

Skoro więc mamy do czynienia z tak ważnym zjawiskiem kulturowym, które generuje Netflix, spróbujmy się przyjrzeć jak to jest zrobione, wypichcone, wymyślone itd.. , a mam na myśli ostateczny produkt.

Wielka Historia i Wielki Świat na wyciągnięcie ręki

Dobrze skrojony film, daje możliwość uczestnictwa w przedstawionych wydarzeniach. Jest to naturalnie złudzenie, ale tak silne, że graniczące z rzeczywistością. Jesteśmy w stanie poczuć szorstkość kiltu, czyli męskiej spódnicy, pledu, podwiązki, czujemy twardość końskiego siodła i popręgu. Śledzimy soczystość traw południowej Szkocji i porowatość kamienia Edynburga. Ale to oczywiście błahe przyjemności wobec dotyku Wielkiej Historii. Szkocja sama w sobie jest egzotyczna i kojarzy się niezmiennie z dudami i tą oczywistą muzyką - chropawą i piękną. Tym lepiej. Wielka Historia oferuje nam daremne walki górali szkockich z Brytyjczykami, powstanie jakobitów, legendę ślicznego Karola Stuarta walczącego o tron Anglii dla swojego ojca. Niezłe to kąski, dobrze opowiedziane, dają frajdę, a kompletnego laika co nieco uczą. Osią historyczną dotyczącą Szkocji jest bitwa pod Culloden (1746), bitwa przegrana przez Szkotów, której główna bohaterka przeniesiona w czasie, a więc świadoma wyniku, stara się wraz ze swoim ukochanym zapobiec. Bitwa jest kulminacją pomniejszych wydarzeń: potyczek, walk z czerwonymi kubrakami (mundury żołnierzy brytyjskich), ucieczek, skrywanej nienawiści, katowni i więzień, zaskakujących epizodów, porwań i wszystkiego co niesie nagły zwrot akcji i zwie się przygoda. Mamy też wspaniały obraz klanów szkockich z ich determinacją, religią, ucztami, i wreszcie paleniem czarownic na stosie. Gdyby nie świetna scenografia, urzekające plenery i zdumiewająco odtworzone kostiumy, wydarzenia te nie przemówiłyby do widza.

Prawdę mówiąc już ta szkocka saga wystarczyłaby za treść historyczną serialu. Ale nie, mamy tu pohulankę historyczną. Powstanie jakobitów w fazie początkowej wspiera Francja, toteż przenosimy się tam, doznając przepychu na dworach francuskiej arystokracji i króla Ludwika XV. Wnętrza, kostiumy, czarne charaktery, te rzeczy, to oczywiste. Do tego handel winami. Widz trochę znużony, gubi się w wątkach, w natłoku wydarzeń, postaci, ale w końcu rozpoznaje je, wiedząc kto dobry, kto zły. Oprócz Paryża wcześniej są Niemcy, gdzie Jamie trudni się fachem drukarskim i jakobińską publicystyką dorabiając na przemycie. Tu po dwudziestu latach rozłąki zastaje go Claire, a ich pierwsza noc, jak to w filmach płaszcza i szpady, spędzają w domu publicznym, gdzie dla wygody (wikt i opierunek) mieszka jej mąż.

Później Wielka Historia i Wielki Świat nabierają zawrotnego tempa. Para płynie do Indii z misją poszukiwawczą siostrzeńca głównego bohatera. Tu mamy kolejny wielki epizod i wielką historię morską, tym razem społeczną. Kobiety na pokładzie przynoszą pecha - twierdzą marynarze, ale kiedy niebezpieczeństwo zostaje zażegnane, rodzi się nowe, równie śmiertelne. Claire jako lekarka, zgodnie ze swym sumieniem walczy z zarazą na statku królewskim, na który się przesiada, i który ją porywa. Chcąc złączyć się z Jamiem i ostrzec go przed więzieniem za rzekome przestępstwa, skacze w ciemną toń oceanu z małą tratwą, wspomagana przez karmicielkę kóz na królewskim statku. Wydawałoby się, że czeka ją los Robinsona Cruzoe, ale nie, napotyka dobrych ludzi i ląduje w ramionach męża. To jednak nie wszystko bo na Jamajce, krainie niewolnictwa, odbywa się krwiożerczy rytuał znanej jej zielarki, która stała się prawdziwą wiedźmą.

Widz ma chyba już dość napakowanej akcji, ale skoro wszedł w machinę wielkiej Historii Świata, musi jeszcze obejrzeć wojnę o niepodległość Ameryki Północnej. Para bohaterów z przyległościami przenosi się do ciotki Jokasty, bogatej plantatorki. Wzburzona sytuacją niewolników opuszczają ciotkę i buduje dom w Karolinie Północnej, gdzie ich życie obfituje w dramatyczne sytuacje, wynikające choćby z tego, że Claire ma medyczną wiedzę XX w., a leczy pacjentów w XVIII wieku

Na koniec obserwujemy niezłe sceny batalistyczne o wyzwolenie Ameryki. Armia kontynentalna walczy z Koroną na Bemis Heights i w bitwie pod Saratogą (1777). Główny bohater Jamie Frazer jest pułkownikiem po stronie amerykańskiej. Żeby było ciekawiej ma przeciw sobie kuzyna, bohatera armii brytyjskiej, generała Simona Frazera, ale także swojego syna Wiliama, który nie wie, że jest jego synem. Wiliam zostaje ocalony, bo ojciec mierzy w jego dwuskrzydły kapelusz. Tak oto dobiega siódmy sezon.

Zioła, magia i medycyna

Zgodnie z dzisiejszymi obyczajami literackimi znane nam wydarzenia historyczne zostają podlane gęstym sosem przesądów, plemiennych obyczajów i magią. W zasadzie obcujemy z dwoma światami – opartym na filozofii oświecenia - znanym z podręczników i gazet oraz światem wierzeń i podań ludowych. Oba są równouprawnione i odgrywają taką samą rolę. Każdy odcinek zaczyna się tańcem wiedźm - nimf wokół kamiennego kręgu Szkocji, choć mogłoby to być pogańskie uroczysko każdego z krajów Północy. Idea kobiety – wiedźmy wcielona w kilku odcinkach stanowi ramę kompozycyjną powieści i filmu. Ale i na Jamajce katolicki ksiądz stosuje miejscową magię. →

ESEJ

Nawet Chińczyk, ważna postać na statku, stosuje swoje chińskie rytuały, nie mówiąc już i chorej psychicznie Europejce, która przepowiada przyszłość. Gęsta siatka multikulturowych atawistycznych legend i przesądów spowija twardo stąpających po ziemi i walczących o przetrwanie bohaterów. Racjonalność miesza się z wiarą, ale jakąś specyficzną – roślinną , bliską ziemi, swojsko – wiejską, by nie rzec ekologiczną. Oto widzimy dwie zielarki znajdujące w skarbcu ziemi zioła na każdą przypadłość. Jesteśmy im wdzięczni, że uczestniczymy w tym misterium samowystarczalności świata. Claire Randall-Fraser jako XX - wieczna lekarka w XVIII-wiecznym świecie sporządza wspaniale napary i mikstury i staje się uzdrowicielką. Druga zielarka, Geillis Duncan, początkowo jej przyjaciółka, staje się prawdziwą krwawą wiedźmą i za pomocą ziół uśmierca jednego z mężów. Idylliczne poszukiwanie ziół na świetlistych łąkach, nad potokami i w poszyciu leśnym to sielanka , która dobrze się sprzedaje w dzisiejszych czasach.

Niewątpliwą atrakcją serialu jest skierowanie uwagi na rozwój medycyny w dziejach. To temat sam w sobie interesujący. Jeśli wiedźmowatość jako motyw jest stale obecny, to rozlegle jak równina plecy Jamiego Frazera pokryte ścieżkami blizn po chłoście, stanowią kolejny, choć nieco słabszy motyw. Otóż początek miłości Clare i Jamiego tak właśnie się zaczyna. Claire opatruje mu ramię i zapoznaje się z tym znakiem szczególnym mężczyzny. Serial obfituje w dość naturalistyczne obrazy ran, amputacji, zakażeń, w końcu zarazy, która okazała się durem brzusznym. Claire dzielnie sobie z tym radzi, ale nie jest wolna od porażek. Zasoby wiedzy głównej bohaterki wyniesione z XX w, a więc konieczność sterylizacji, produkcja penicyliny środków znieczulających i umiejętność zakładania opasek uciskowych na rany itd. pozwalają jej uratować wiele istnień, ale też wpędzają kłopoty łącznie ze skierowaniem na stos. Ale pożytek z oglądania filmu jest taki, że wiz jest w stanie docenić dobrodziejstwo dzisiejszej medycyny z jej antybiotykami i wiedzą o bakteriach.

Co z tego wynika?

Pozostaje pytanie co wynika z oglądania tego wielogodzinnego obrazu? Czy wyłącznie przyjemność oglądania pięknych twarzy Caitriony Balfe i Sama Heughana, wspaniałych kostiumów, fantastycznych krajobrazów i akcji jak tajfun zmieniającej bieg wydarzeń? Otóż mamy tu sentymentalno – mieszczańską opowieść o miłości niezmiennej (z przyzwoitym seksem) i dobru, które w końcu triumfuje. Czujemy się pokrzepieni tą wizją świata. Heroiczną parę bohaterów czeka nagroda w postaci wspaniałego potomstwa i wzajemnej miłości. Postawę miłości niezmiennej, choć niespełnionej reprezentuje postać szlachetnego homoseksualisty lorda Johna Greya, który wspiera swój obiekt uczuć, czyli Jamiego.. Mamy też to, w co sami wierzymy – postęp ludzkości mierzony zniesieniem niewolnictwa, branie w obronę szlachetnych Indian, pokonanie różnic klasowych, równouprawnienie kobiet i wiarę w demokrację. Ale w tym oczywistym katalogu jest coś, co nie bywa już tak oczywiste nawet w dzisiejszych czasach – to życie składające się z porodów, rozwoju dzieci, opieki nad chorymi, sytuacji prawnej i społecznej kobiet i dzieci. To wydaje się nadzwyczaj cenne, szczególnie, że obcuje obok wielkiej historii świata. Jest w nim materia świata biologiczna, zarówno świata ludzkiego jak i roślinnego.

Ale zważywszy na potraktowanie elementów i wątków filmu wybieranego z wielkiego dossier cywilizacji ku uciesze widzów, czymże jest ten film? Rozrywką, czystą rozrywką, która przemyca nieco edukacji i budujące treści.

Outlander, amerykański serial telewizyjny na podstawie powieści Diany Gabaldon, twórca Ronald D. Moore, światowa premiera 9. 08. 2014 r.

Elżbieta Juszczak

Stefan Chwin

Dwaj emigranci we Włoszech

Czesław Karkowski

Przez wiele lat Ezra Pound, już na stałe mieszkający we włoskim Rapallo, starał się nawiązać bliższy kontakt z rezydentem Rzymu, dawnym profesorem Uniwersytetu Harvarda, George Santayaną. Filozof ten, choć hiszpańskiego pochodzenia, karierę i zawodową, i naukową związał z Ameryką. Karierę, trzeba przyznać, bardzo pogmatwaną, bo Santayana wykładał i pisał po angielsku, jednak zniechęcił się do tej renomowanej wyższej uczelni pod Bostonem i do nauczania jako takiego. U szczytu akademickiego powodzenia zwolnił się z uniwersytetu w 1912 r. i opuścił Stany Zjednoczone. Wędrował po Europie, mieszkając w hotelikach, pensjonatach w różnych krajach, by ostatecznie osiąść w Rzymie. Z natury samotnik, z usposobienia – głęboki idealista, z wewnętrznego powołania – poeta, stronił od ludzi, a zwłaszcza od postaci w rodzaju Pounda – impulsywnych, apodyktycznych, nieustannie poszukujących nowych idei. Nic tedy dziwnego, że z pierwszego spotkania w styczniu 1939 r. zapamiętał tylko „artystyczną" brodę i wielką siwą, zmierzwioną czuprynę poety; sądził, że to jego ekscentryczna, fantazyjna peruka. Pound natomiast – porywczy entuzjasta - swoim zwyczajem pochwycił parę uwag Santayany podczas pierwszej, raczej konwencjonalnej rozmowy i uznał go za człowieka, który będzie w stanie odpowiedzieć mu na pytania dotyczące wiary i filozofii, by je przekształcić w materię poetycką do swych cantos.

„Jest wyższy, młodszy i lepiej wygląda niż się spodziewałem – pisał Santayana po tym spotkaniu do swego sekretarza. – Przypomina mi wielu starych przyjaciół (młodych, gdy ich poznałem), niekiedy buntowników (…) pełnych strzępków kultury, ale zagubionych, kompletnie zagubionych w intelektualnym świecie". (cyt. za: Noel Stock – The Life of Ezra Pound. Avon Books, New York 1970., s. 481)

Zaś w liście do Pounda (ach, kto dziś pisze listy, skoro wystarczy parę słów via elektroniczne media? Czy możemy spodziewać się w przyszłości tomu „E-maile zebrane" jakiejś wybitnej postaci?) ostrzegał go, żeby nie liczył na pomoc ze strony jego filozofii. „Raczej sam musi pan sobie udzielić odpowiedzi".

Pound natomiast z władczym entuzjazmem wyrażał się o Santayanie. „Nigdy nie spotkałem kogoś, kto by sprawiał wrażenie mniej sztucznego". Zaczął podsyłać mu teksty Ernesta Fenollosy, amerykańskiego sinologa, którego teoriami na temat języka/pisma chińskiego Pound przejął się dogłębnie i zaadaptował do własnej koncepcji wypowiedzi poetyckiej. Liczył, że przeciągnie go na „ideogramiczną metodę" twórczą wymagającą łączenia w wierszu konkretów i szczegółowych określeń, przy unikaniu nazw ogólnych i abstrakcyjnych pojęć. Czytelnik ma skokami myśli łączyć owe znaki i rekonstruować komunikat utworu.

Nic nie mogło być bardziej obcego poglądom Santayany, toteż na natarczywość Pounda odpowiadał z rezerwą: „więź między konkretami, do których trzeba przeskoczyć, nie jest zawsze oczywista. Musi istnieć – argumentował – jakiś ukryty związek między wyrażeniami, aby uniknąć całkowitej mieszaniny." (s.483)

Pound uważał, że w Europie są trzej Amerykanie: on, T. S. Eliot i właśnie Santayana. Dużo ich łączyło: poeci, o raczej prawicowych poglądach, krytycy, ideologowie ducha, ludzie, którzy wyrwali się ze „sklepikarskiej" Ameryki, by zamieszkać u źródeł kultury europejskiej. On i Santayana poznali nędzę wyższych uczelni w USA: Pound wyrzucony z college'u w Indianie po obyczajowym skandalu, zaś Santayana zniechęcony do profesjonalizacji filozofii na Harvardzie, po prostu zrezygnował z pracy. Trzeci, Eliot, poszukujący korzeni cywilizacji, pracował w banku angielskim, później – w wydawnictwie.

Pound, narwaniec i raptus, wpadł na pomysł, aby we trójkę napisali książkę o idealnym uniwersytecie i właściwym programie nauczania. Santayana z całą gwałtownością zdystansował się od swego udziału w projekcie, jak w ogóle studził entuzjazm Pounda w jakiejkolwiek sprawie z jego udziałem. Wolał swoje odosobnienie klasztorne (od końca czerwca 1942 r.), zacisze i spokój rozmyślań nad „czystymi" ideami.

Raz jedyny tylko wyraził się z entuzjazmem o Poundzie jako poecie i intelektualiście, kiedy dowiedział się o zamknięciu poety w klatce w więzieniu dla ciężkich przestępców wojennych koło Pizy. W rozmowie z oficerem US Army mówił z podziwem o jego pracy i osiągnięciach oraz wyraził nadzieję, że będzie osądzony jako poeta i ten, który pomagał wielu innym artystom oraz że będzie mu wybaczona i zapomniana jego niefortunna przygoda wojenna.

Rzymski samotnik

Żywię nieuzasadnioną sympatię do Santayany – ostatniego filozofa przed profesjonalizacją tej dziedziny w USA. Po prostu filozofował, tj. snuł refleksję na temat kondycji człowieka, ludzkiej duchowości. Łączył literaturę z filozofią; mimo jego najbardziej bodaj dziś znanego dzieła „The Sense of Beauty", nie estetyka był głównym przedmiotem jego zainteresowań. Była nim po prostu refleksja. Życie jako myślenie wyrażone i w dyskursywnej, i w literackiej/poetyckiej formie. Już wtedy, czyli na przełomie wieków, był rzadkością, a dziś nie ma dla takich miejsca. Sprofesjonalizowana filozofia zrodziła uczonych dyletantów wypowiadających się/piszących na modne tematy, czyli mnożących „fachowe" słowa i zdania, powołujących się na głośne aktualnie nazwiska. Bez oryginalnej myśli. Na filozofię w stylu Santayany nie ma miejsca, bo oryginalna oznacza w akademii brak „aparatu naukowego", mierzonego liczbą przypisów, cytatów, modnych tematów i nazwisk.

W swoim czasie, przełomie XIX i XX w. był niekwestionowaną wielkością. W polskiej antologii „Filozofia i socjologia XX wieku". Wiedza Powszechna 1965, figuruje jeszcze wśród dziewiętnastu największych przedstawicieli obu dyscyplin jako „wybitna postać współczesnej burżuazyjnej ideologii amerykańskiej" (t. II, s 259), solidnie zresztą przedstawiona przez Jana Szmyda. Gdyby dziś chcieć taką antologię redagować, wiele nazwisk by wypadło z tomu, w tym na pewno i Santayany.

Pisał i rozprawy, i eseje, i poezję, także powieści. Wyrażał się za pośrednictwem rozmaitych form. Nie ujmował swej myśli w zwartym systemie, ale w otwartym dyskursie. Tego typu kultura intelektualna zanikła. Dziś obowiązuje ów „naukowy" dyletantyzm albo ideologiczny obskurantyzm. Dla ludzi pokroju Santayany już dawno miejsca nie było. Czuł to. Nie dziwię, że w końcu zwolnił się z Harvardu i ruszył w „świat", pędząc życie samotnika, myśliciela.

Mieszkał w różnych krajach, by ostatecznie osiąść w 1941 r. w Szpitalu Kalwaryjskim w Rzymie. Zamknął się w nim, odseparował, by żyć tylko „w umyśle". Świata zewnętrznego, wojny zabijania, nie było, tylko on ze swą starością, by stać się

Światło własnego rozumu

„past only of that of which
Fire is the symbol: the celestial possible."
(Wallace Stevens – To an old philosopher in Rome)
[przeszłość jedynie, której
Ogień jest symbolem: niebiańska możliwość]

Santayana – boski płomień rozumu i wszystkiego, co wiąże się z symboliką ognia. Także feniks odradzający się w płomieniach.

Osobliwe, że Stevens nie odwiedził Santayany w Rzymie po wojnie, w przeciwieństwie do wielu innych Amerykanów, którzy zdążali do „niebieskich zakonnic". Pisali o tych odwiedzinach inni (np. Edmund Wilson), zaś Stevens, który był słuchaczem, studentem Sanatayany w Harvardzie, starał się wyrazić tę sytuację – konkretną i ponadczasową zarazem: samotnego mędrca, starca zamkniętego w jednym pokoju, odgrodzonego od świata, żyjącego tylko w kręgu światła własnego rozumu pośród „woni lekarstw" – kadzidła współczesnego mędrca-myśliciela".

Wallace Stevens pisał:

„The bed, the books, the chair, the moving nuns,
The candle as it evades sight, these are
The sources of happiness in the shape of Rome.
(To an old philosopher in Rome)
[Łóżko, książki, krzesło, ruch zakonnic,
Świeca unikanie wzroku, oto są
Źródła szczęście w formie Rzymu]

Czy ze smutkiem, czy z ironią? Podobnie jak w wersach o potrzebie dostojeństwa w nędzy - „and yet finding it only in misery".

Santayana znalazł się w szpitalu sióstr zakonnych w 1941 r., po wylewie. Nie doszedł już do zdrowia, czuł się źle. Nic konkretnego, jak pisał, ale ogólnie niedobrze: starość, niedołęstwo, bieda (pieniądze z USA nie płynęły w czasie wojny), samotność, ale i strach z powodu szalejącej wojny; sam był zwolennikiem Mussoliniego.

I w tym klasztornym zaciszu przeżył 11 lat. Tu go „odnaleziono" po wojnie. Jak pisał magazyn „Life" z 4 sierpnia 1944 r. na stronie 30 w krótkim tekście opatrzonym wielkim zdjęciem Santayany na ławce, czytającego książkę.

„Santayana. The US Army in Rome, discovers the last puritan aloof, serene". I krótki tekst: "Człowiekiem jak najdalej odsuniętym od wojny, jest bez wątpienia ów stary dżentelmen poniżej [tekst odsyła do zamieszczonej fotografii], którego Armia Amerykańska odnalazła w Rzymie 11 czerwca, na wysepce czystej medytacji. To George Santayana, lat 80, światowej sławy filozof, który porzucił profesorską katedrę na Harvardzie w 1911 r. i odtąd już nigdy nie wrócił do USA. Przeniósł się do Europy, żył w zapomnieniu w licznych pensjonatach we Włoszech, w Szwajcarii i Francji. (…) Kiedy z powodu wojny skończyły się honoraria, przeprowadził się do konwentu angielskich niebieskich zakonnic na terenie kościoła Santo Stefano Rotondo. Tutaj żyjąc z dobroczynności pracował nad autobiografią, książką religijną (choć uważa religie świata za 'wielkie baśnie sumienia') i traktatem politycznym. Dziennikarze spotkali szczupłego i w dobrym zdrowiu mężczyznę zaniepokojonego pogarszającą się pamięcią i słuchem. O komunizmie i faszyzmie powiedział: niewątpliwie jest w nich coś dobrego! O wojnie, o której nic nie wiedział, stwierdził: żyję w wieczności".

Moje dziwne zauroczenie postacią Santayany (bo nie jego filozofią; jest mi jak najbardziej obca) zapewne wiąże się nie tylko z odnajdowaniem wiele wspólnych cech osobowościowych, ale głównie z zainteresowaniem losami emigrantów. Czytam więc Richarda Butlera – „The life and world of George Santayana", Chicago 1960, zwłaszcza trzeci, ostatni rozdział – osobiste wspomnienie autora, dominikanina, na temat licznych odwiedzin u starego Santayany w jego rzymskiej samotni.

Butler pisze, że Santayana zwykle ograniczał swą egzystencję do wąskiego pokoiku z jednym oknem, rodzaju mnisiej celi. Nigdy, jak twierdzi, nie chciał być nauczycielem, a do tego zmusiła go konieczność zarabiania na życie; zawsze chciał być raczej uczniem. Wolał żyć we własnym świecie myśli, wyobrażeń, refleksji. Zewnętrzny świat jest nieprzyjemny, „popiół w ustach"; świat wewnętrzny - sama słodycz.

Jego filozofia była eklektyczna. U podstaw Lukrecjusz (Epikur) jeśli idzie o pogląd na świat fizyczny; Dante – w kwestii moralnej wyobraźni; Goethe w odniesieniu do zamiłowania do podróży, zmiany miejsca zamieszkania – aby nieustannie uczyć się, dowiadywać rzeczy nowych; a na dodatek Arystoteles, Spinoza i Schopenhauer.

Zasadnicza, fundamentalna różnica między nami polega na tym, że Santayana był (mimo naturalizmu), skrajnym idealistą pochłonięty ideą abstrakcyjnej natury, której istotę po prostu ujmuje myślowo bez odniesień do osadzenia w konkretnej rzeczywistości. Celem jego filozofii – pisze Butler – jest moralny, estetyczny tryb życia i kontemplacja „idei" dla nich samych, tj. bez związku z rzeczywistością.

Skrajna izolacja to przeciwieństwo zaabsorbowania przede wszystkim doświadczeniem życiowym, faktem, że „rzecz" po prostu jest bez potrzeby uwzględnienia, czym jest, jak ją możemy poznać. To są sprawy wtórne. Bo tak naprawdę nie idzie o relację poznawczą, w której myśl pochłania świat, czyni go ideą umysłu, ani tym mniej – o kontemplację, ale o egzystencję osaczoną rzeczywistością materialną, o którą się obijam, poprzez której szczeliny się przemykam; potykam się o „rzeczy" w próbie, w codziennym wysiłku znajdowania drogi pośród materialnych przeszkód na mej drodze. Na idealizm w codziennej brutalność życia mnie nie stać; istotne jest szukanie drogi. Czym jest „rzecz" (świat otaczający) w ogóle nie stanowi kwestii, ale fakt, że ona jest. To winien być punkt wyjścia każdej filozofii.

Pokój Santayany znajdował się na parterze Szpitala Kalwaryjskiego. Innych pacjentów na tym piętrze nie było, tylko biura. Przebywał tu do końca życia. Dbano o niego, szanowano jako „profesora" i kochano jako „tego biednego staruszka", który egzystował w swoistej duchowej izolacji.

Santayana umierał na raka żołądka. Jedna z sióstr zakonnych nachyliła się nad umierającym, półprzytomnym filozofem: „Czy cierpisz?" – spytała. – „Tak" -odpowiedział. – „ale nie fizycznie, tylko myślowo."

Ezra Pound po powrocie z amerykańskiego szpitala psychiatrycznego został we Włoszech sam. Nie znaczy to, że był osamotniony. Przeciwnie, otoczony ludźmi był bardzo aktywny, z właściwą sobie energią angażował się w rozmaite projekty. Jednym z nich były weneckie koncerty muzyki klasycznej oraz w związku z tym odkrywanie przezeń i propagowanie utworów zapomnianego wówczas kompozytora, Antonio Vivaldiego.

Pisał jak zwykle mnóstwo. Z rosnącą niecierpliwością znosił coraz częstsze wizyty młodych entuzjastów swej poezji. Bo jego świat już przeminął. Miał poczucie (typowe dla każdego starca) zmarnowanego wysiłku życiowego. Artyści jego pokolenia zmarli – sędziwy Pound zdobył się na ostateczny trud – lot do Londynu na pogrzeb swego najbliższego przyjaciela, T. S. Eliota. Ale jego poetyka, jego program poetycki trwa do dziś i tylko nieco przeinterpretowany jest obowiązującym kanonem współczesnej amerykańskiej poezji.

Zamknął się w sobie. Praktycznie przestał mówić, przestał się odzywać. Trwał tygodniami w milczeniu. Chory i słaby, 87-letni poeta zszedł jeszcze o własnych siłach po schodach do gondoli-karetki pogotowia, skąd odwieziono go do weneckiego szpitala. Zmarł we śnie 1 listopada 1972 r.

Kontrowersja wokół Ezry Pounda nie milknie, ale – jak pisze jego biograf - „świat będzie wiedział o nim głównie jako kimś rzadkim - jako o poecie." Cała wrzawa wokół niego stanie się zaledwie przypisem do jakiejś uczonej historii, natomiast „ludzie będą pamiętali go, ponieważ był jednym z nielicznych obdarzonych darem nazywania słowami tego temu, co jest poza słowami".

Czesław Karkowski

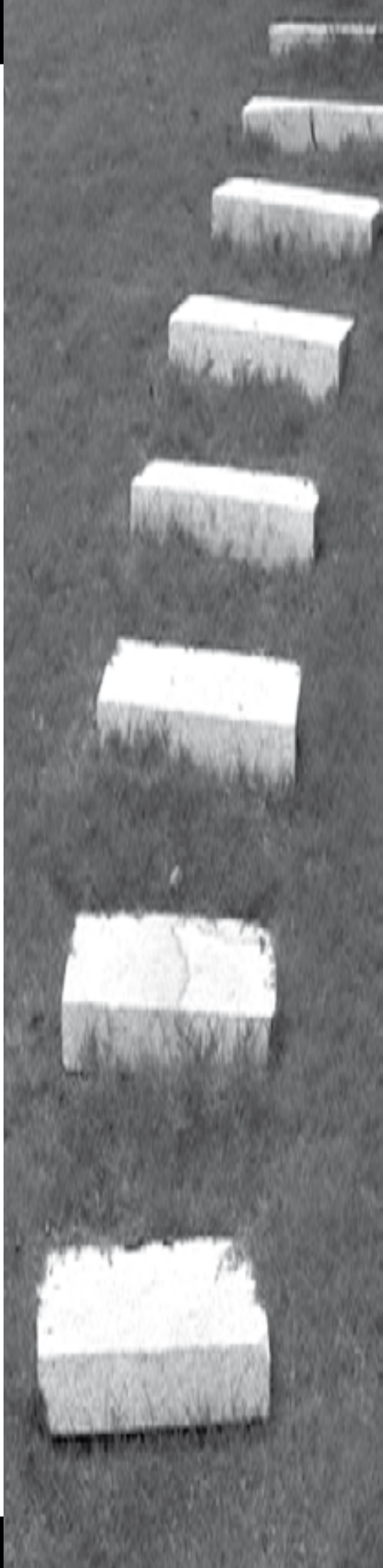

Grzegorz Bazylak

Roque DALTON (1935 - 1975): Poezja to są okruchy chleba i krew rozlana...

Roque Dalton, salwadorski poeta, eseista, dziennikarz, działacz polityczny, urodził się 14 maja 1935 r. w San Salvador, stolicy Salwadoru. Jego ojciec Winnall Dalton był od 1920 r. administratorem plantacji kawy w Salwadorze, a matka Maria Garcia Medrano była pielęgniarką. Maturę uzyskał w elitarnym jezuickim gimnazjum męskim w rodzinnym mieście. W 1953 r. podjął studia prawnicze na uniwersytecie w stolicy Chile, Santiago, które potem kontynuował w San Salvador po powrocie do kraju w 1955 r., jednak dyplomu ukończenia studiów wyższych nigdy nie uzyskał. Ożenił się z Aidą Cañas w 1954 r.

W 1955 r. założył w San Salvador klub literacki Circulo Literario Universitario, przez który przewinęła się większość pisarzy latynoamerykańskich XX wieku. W roku 1957 zadebiutował w Salwadorze tomikiem poezji „Mia junto a los pájaros", za który został uhonorowany w 1958 r. cenną nagrodą literacką Central American Prize of Poetry. W latach 1959-1960 trafił w Salwadorze do więzienia za udział w lewicowym spisku antyrządowym (wpływ rewolucji kubańskiej). Wtedy po raz pierwszy, mając 25 lat, został skazany przez władze Salwadoru na karę śmierci, której cudem uniknął w przeddzień egzekucji, wskutek ogłoszenia amnestii po obaleniu ówczesnego prezydenta Salwadoru przez pucz wojskowy w dniu 26 października 1960 r.

W 1961 został przez władze kraju zmuszony do emigracji z Salwadoru i wyjechał na krótko do Mexico City, stolicy Meksyku, gdzie opublikował zbiór wierszy „La ventana en el rostro", a potem na Kubę, opanowaną od 1959 r. przez brygady Fidela Castro (1926-2016), gdzie przeszedł pierwsze szkolenie wojskowe. W latach 1962-1965 opublikował w Hawanie trzy zbiory wierszy oraz dwa tomy esejów.

W 1965 roku został aresztowany w Salwadorze pod zarzutem współpracy z CIA, trafił do więzienia w Cojutepeque, skąd uciekł podczas paniki i chaosu, które zapanowały, gdy budynek więzienia zawalił się po silnym trzęsieniu ziemi w dniu 3 maja 1965 r. Następnie, ukrywając się w kościołach i procesjach religijnych, Roque Dalton przewędrował Salwador i Gwatemalę, aby znowu przedostać się na Kubę, gdzie opublikował 1968 r. kolejny zbiór wierszy i został laureatem prestiżowej latynoamerykańskiej nagrody literackiej Premio Casa de las Americas.

W 1969 r., gdy wybuchła, opisywana także przez Ryszarda Kapuścińskiego (1932-2007), tzw. wojna futbolowa pomiędzy Salwadorem i Hondurasem, Roque Dalton znalazł się w Czechosłowacji, podejmując pracę w Pradze, jako korespondent i dziennikarz. Tutaj spotyka się z Miguelem Mármol (1905 - 1993), przebywającym w tym mieście na przymusowej emigracji jednym z legendarnych przywódców buntów chłopskich, które miały miejsce w Salwadorze w styczniu 1932 r. (rzeź i masakra La Matanza, w której zostało zabitych 40 tys. ludzi przez reżimową armię prezydenta M.H. Martineza (1882-1966), co stanowiło 2,5% ludności całego kraju (sic!)). Wkrótce Roque Dalton napisze i opublikuje w 1972 roku w Hawanie obszerną monografię o tamtych krwawych wydarzeniach, która była też kontynuacją wydanej w 1965 r. monografii „El Salvador", która zawiera jego oryginalną wersję historii Salwadoru (obie książki trafiły nawet do polskich bibliotek).

znaczek pocztowy z 2005 r.

W roku 1970, mając 35 lat, Roque Dalton wraca na Kubę, zostaje komandosem, przechodzi kilkukrotnie intensywne szkolenie wojskowe. Wkrótce zostaje przerzucony do Salwadoru, gdzie jako ważny działacz lewicowy i żołnierz lewicowych oddziałów ERP (Ejercito Revolucionario del Pueblo), bierze czynny udział w walkach z tzw. szwadronami śmierci, wspomaganymi przez USA i armią rządową Salwadoru, podczas toczącej się tam od 1967 r. wojny domowej. W latach 1971-1975 kursuje między Salwadorem i Kubą, spotyka w się w 1974 roku w San Salvador z ukrywającym się tam poetą chilijskim Roberto Bolaño (1953-2003).

W roku 1975, kiedy Roque Dalton zakonspirował się na terenie Salwadoru i zaczął krytykować nieskuteczne sposoby prowadzenia walki partyzanckiej, został oskarżony przez niektórych dowódców ERP o szpiegostwo na rzecz CIA i próbę rozbicia tej organizacji, która dodatkowo traciła wsparcie miejscowej ludności. Stało się to przyczyną skazania Roque'a Daltona na karę śmierci przez Joaquina Villalobos (ps. „Atilio"), jednego z komendantów i liderów ERP. Roque Dalton został zastrzelony w sobotę 10 maja 1975 roku, w wieku 40 lat, przez osobiście mu znanych komandosów ERP w jego domu w Santa Anita (35 km od San Salvador). Zwłoki poety ci bandyci zakopali poza miastem w płytkim, prowizorycznym grobie, skąd zostały po kilku dniach wygrzebane i rozszarpane przez padlinożerne zwierzęta. Do dzisiaj sprawcy tego bestialskiego morderstwa nie zostali osądzeni i skazani, pomimo tego, że dokładnie ustalono ich tożsamość i nazwiska. W 1993 ogłoszono amnestię, a w styczniu 2012 roku władze Salwadoru podjęły decyzję o przedawnieniu ścigania tej zbrodni, dzięki temu ci zbrodniarze nadal żyją wolni w dostatku na terenie Wielkiej Brytanii.

Roque Dalton opublikował w ciągu swego życia 15 tomików poetyckich, zbiory nowel, dzienniki, sztukę teatralną oraz zbiory esejów literackich i politycznych. Zaliczany jest do grona najbardziej wpływowych poetów latynoamerykańskich, szczególnie w latach 1980 - 1992, kiedy toczyła się bezwzględna i brutalna tzw. wielka wojna domowa w Salwadorze, która pochłonęła 100 tys. zabitych (por. film „Salvador" w reż. Oliver Stone z 1986 r.). Jego twórczość poetycka i prozatorska, tchnąca autentyzmem osobistych przeżyć, surrealistyczną groteską, gorzką ironią oraz pełną krytycznej refleksji o jakże aktualnej do dzisiaj tragicznej kondycji świata pracy, nie tylko w warunkach globalnej zimnej wojny, ale także w czasach zglobalizowanej gospodarki światowej, która oferuje tylko iluzoryczną zmianę tego położenia, nieustannie cieszy się dużym zainteresowaniem nie tylko w krajach latynoamerykańskich. Świadczą o tym liczne wznowienia jego książek w j. hiszpańskim (np. „Poemas Clandestinos", Baile del Sol, Tegueste, Tenerife, 2007, ss. 136), a także obszerne przekłady jego wierszy na j. angielski, które wydano ostatnio w Wielkiej Brytanii („Looking for Trouble", Smokestack Books, Thirsk (UK), 2016, ss. 150) oraz USA ("Stories and Poems of a Class Struggle", Seven Stories Press, New York (USA), 2023, ss. 240).

Pośmiertnie Roque Dalton otrzymał w Salwadorze prestiżowe nagrody państwowe „Hijo Meritismo" (2005) i „Poeta Meritismo" (2007), a w roku 2012 doktorat honorowy Uniwersytetu Salwadorskiego w San Salvador, który w jego imieniu odebrali trzej synowie poety (relacja tutaj: https://www.youtube.com/watch?v=GQW89Vpn4rQ).

Dzień urodzin poety, 14 maja, ustanowiono jako święto Narodowego Dnia Poezji w Sawadorze. Być może istnieją gdzieś opublikowane przekłady jego wierszy na j. polski, ale nie udało mi się do nich dotrzeć.

tłum. Grzegorza Bazylaka →

NIE ZAWSZE BYŁAM TAKA BRZYDKA

Rzecz w tym, Tico, że mam złamany nos, w który Lizano dowalił mi cegłą, kiedy powiedziałam, że był to ewidentny faul, a on krzyknął, że nie, nie, nie. Nigdy więcej nie odwrócę się plecami do gwatemalskiego piłkarza. Ojciec Achaerandio prawie umarł ze strachu, bo ostatecznie polało się więcej krwi niż na ołtarzu Azteków, a potem to Quique Soler trafił mnie kamieniem w prawe oko, najdoskonalszym rzutem, jaki możesz sobie wyobrazić. To jasne, że próbowaliśmy tylko odtworzyć lądowanie na Okinawie, ale dostałam wtedy pęknięcia siatkówki i spędziłam miesiąc przykuta do łóżka, codziennie o jedenastej miałam wizytę doktora Quevedo z Gwatemali i doktora Bidforda, który nosił rudą perukę. Dlatego często mrużę oczy i kiedy wychodzę do kina wyglądam jak naćpany narkoman. Drugim powodem jest uderzenie butelką rumu, którą dał mi w twarz mąż Marii Eleny. Naprawdę nie miałam na myśli nic złego, ale przecież każdy mąż jest dla żony całym światem i jeśli weźmiemy pod uwagę, że przypuszczał, że jestem argentyńskim dyplomatą, to musimy podziękować Bogu, że tak to się skończyło.

Następnym razem, gdy byliśmy w Pradze, czterech rosłych bandytów napadło na mnie w ciemnej uliczce, dwie przecznice od Ministerstwa Obrony i cztery przecznice od biur Urzędu Bezpieczeństwa Narodowego, ale nigdy nie dowiedziałam się, kto to zrobił. Była to noc poprzedzająca otwarcie Zjazdu Partii, z tego powodu ktoś powiedział, że ten napad, to była demonstracja antypaństwowa (w szpitalu spotkałam jeszcze dwóch delegatów, którzy wyszli z tych znakomicie przeprowadzonych ataków z większą liczbą kości i kończyn niż w dniu narodzin), ktoś inny sugerował, że to CIA próbuje zemścić się za moją ucieczkę z więzienia, jeszcze inni byli przykładem antyamerykańskiego rasizmu i manifestowali coś w rodzaju powszechnego marzenia o spadku po odnalezionej babci.

Przed złożeniem oficjalnego protestu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, towarzysz Sobolew, w imieniu strony rosyjskiej, przyszedł mnie zapytać, czy nie uszczypnęłam w tyłek jakiejś eskortowanej kobiety. W końcu nie znaleziono żadnych tropów i jeszcze raz musimy podziękować Bogu, że przetrwałam do końca, jako poszkodowana, podczas śledztwa prowadzonego w ojczyźnie Franza Kafki. W każdym razie (to jest to, co mnie tutaj najbardziej interesuje) skutki były takie: podwójne złamanie mojej dolnej szczęki, ciężkie wstrząśnienie mózgu, półtora miesiąca w szpitalu i jeszcze dwa miesiące połykania befsztyków w płynie.

I ostatni raz, to było wtedy, gdy w deszczu schodziłam zboczem góry z żelazną rurką do bojlera w ręku, kiedy nagle, nie wiadomo skąd, wyskakuje jurny buhaj. Zaplątałam się po kostki w chwastach i zaczęłam spadać, buhaj przebiegł obok, ale ponieważ to było ogromne bydlę, odwrócił się, żeby mnie wykończyć - chociaż nie było to konieczne, ponieważ, jak mówiłam, upadłam na rurę - więc nie wiedząc, jak rewolucja w Afryce, co jeszcze ma mi zrobić, zamiast odskoczyć, zaczął wierzgać i tylnymi kopytami złamał mi łuk jarzmowy (co jest kluczowe ze względu na estetykę kości policzkowych) na trzy części. To przynajmniej w jakimś stopniu wyjaśnia problem mojego wyglądu.

Zabójcy Roque Daltona w dniu 10.05.1975 r.

NOWA SZKOŁA

W starożytnej Grecji
Arystoteles nauczał swoich uczniów filozofii
przechadzając się razem z nimi po ogromnym dziedzińcu.
Z tego powodu jego szkołę nazwano „perypatetyczną".
Walczący poeci, nie tylko w naszym kraju,
są bardziej perypatetyczni niż arystotelesowscy perypatetycy
ponieważ uczą się filozofii i poezji od ludzi, których spotykają
podczas każdej podróży
przez miasta i góry ojczystej ziemi.

WIERSZ O MIŁOŚCI

Ci, którzy poszerzyli Kanał Panamski
(nazywany „srebrnym przekrętem" i „złotym przewałem"),
ci, którzy przekopali Mierzeję Wiślaną,
ci, którzy naprawili flotę Pacyfiku w bazach w Kalifornii,
ci, którzy zgnili w więzieniach Gwatemali,
Meksyku, Hondurasu, Nikaragui,
jako złodzieje, przemytnicy, oszuści, żebracy,
którzy zawsze są podejrzani we wszystkim
(„Pozwól mi zabrać cię jako podejrzanego
za podejrzane pętanie się na rogu ulicy
w zabawnej atmosferze wybawienia"),
ci, którzy zapełniali bary i burdele wszystkich portów
i stolice regionu („Błękitna jaskinia", „Hot Pants", „Happyland"),
plantatorzy kukurydzy w środku obcych dżungli,
królowie taniego porno,
ci, o których nikt nie wie, skąd pochodzą,
najlepsi rzemieślnicy świata,
ci, których przeszyły kule, gdy przekraczali granicę,
którzy zmarli na malarię,
żółtą febrę lub po użądleniu skorpiona
w piekle plantacji bananów,
pijacy, którzy płakali, śpiewając hymn narodowy
podczas cyklonów na Pacyfiku,
w zamieci północnych śniegów,
włóczędzy, żebracy, handlarze narkotykami,
skurwysyny z guanako,
ci, którzy ledwo wrócili,
ci, którzy mieli trochę więcej szczęścia,
nigdy nie posiadający dokumentów,
włamywacze, naciągacze, szmuglerzy,
zawsze pierwsi, żeby błysnąć nożem,
smutne, bardzo smutne, a najsmutniejsze jest to,
że to moi rodacy, moi bracia,
jak ludzie leśni, którzy zajmują wyobraźnię
mocniej niż anioły, apostołowie
lub święci.

ESEJ

Anna Krasuska

Czy Kasandra jest dzisiaj potrzebna?

Twórczych cierpień nie doznaję, radości dostarcza mi zmaganie się z głupotą, a smutku myśl, że z nią nie wygram, bo jest największą mocą Kosmosu.
Anatol Ulman

„New York Times" ogłosił ankietę, pytając, jakim mianem najlepiej określić nasz czas. (…) Niektóre z proponowanych nazw zdały mi się szczególnie ciekawe: na przykład: „wiek papieru ściernego" – bo starciu ulega cieniusieńka powłoka cywilizacji.
Stanisław Lem

Mamy rok 2024

Anatol Ulman zmarł w 2013 roku, pozostawiając prowokującą do myślenia twórczość, w tym „Zagładę Borgiów w 2012 (Szyderca)". Krzysztof Ulman tak o tym utworze napisał: *Ostatnia powieść mojego Ojca nie jest Jego testamentem, a na pewno nie bardziej niż poprzednie powieści. (…) Niniejsza powieść epatująca drastycznymi scenami jest próbą zmierzenia się z rosnącą brutalizacją świata, a także z tym, iż ukochana filozofia staje się narzędziem do usprawiedliwiania zła. Ojciec całe życie był szydercą i częściej wytykał błędy niż chwalił dobre uczynki, nosił jednak w sobie tę pierwotną, przyrodzoną ludziom naiwność.*

Tej krótkiej opinii nie możemy jednak skonfrontować z samym tekstem, ponieważ zastygł on na lata jeno w zapowiedziach druku. Pozostaje mniemać, że zbiera istotę rozważań pisarza nad kondycją człowieka w coraz bardziej pokomplikowanym świecie. Jakże pokomplikowanym.

Dlaczego chciałam napisać o twórczości Anatola Ulmana? Przede wszystkim dlatego, że jego teksty dotykają najbardziej istotnych problemów dzisiejszych dni i prób wyobrażenia sobie swojego miejsca w opisanych sytuacjach. Również dlatego, że jest to pisarz przeoczony, a nie powinien ze względu na wagę twórczości. Bo kto słyszał o Ulmanie, tak jak wie o Lemie? I nie chodzi mi o jego przesadną nobilitację i sytuowanie na równi z autorem *Filozofii przypadku*. Ale w pełni zgadzam się Lechem M. Jakóbem, dla którego *niewątpliwie pisarz ten należy do pierwszej ligi literackiej, choć nie zawsze wskazuje na to percepcja krytyki krajowej, która – co tu ukrywać – w głównej mierze służy obecnie wszechwładnemu demonowi komercji.*

Czytelnik twórczości Ulmana (prozaika, poety, autora sztuk teatralnych, słuchowisk radiowych, felietonów, krytyka literackiego czy dziennikarza, a nade wszystko wnikliwego obserwatora – satyryka, szydercy) bez problemu zauważy, że wszystkie jego odrębne teksty stanowią jedność, całość, choć odsłaniają różne obszary interpretacyjne, w tym konteksty kulturowe (literackie, historyczne, socjologiczne, filozoficzne) czy wątki autobiograficzne. Którykolwiek z obszarów by nie wybrać jako wiodący, to i tak nie sposób pominąć innych, jako że wszystkie prześwietlają się wzajemnie. Mało tego, jeśli zatrzymamy się na szczególe i od niego wyjdziemy, to on od razu poprowadzi nas do kolejnych, tworząc całościowy obraz. Jeśli natomiast wyjdziemy od ogólnego oglądu świata przedstawionego w twórczości Ulmana, to on rozłoży się na poszczególne puzzle, funkcjonalne wobec kreowanego spójnego wizerunku kondycji człowieka w świecie. W którąkolwiek stronę by nie iść, utwory uruchamiają wyobraźnię odbiorcy. A gra, jaką autor prowadzi z czytelnikiem, pozwala zarówno na odczytywanie zakodowanych informacji i ich znaczeń na różnych poziomach, jak i na dopełnianie sensu całego wywodu.

Historia człowieka jako historia nikczemności

Gdyby postawić taką tezę, to zdaje się ona być istotna w różnych tekstach Ulmana, różni ją tylko siła argumentów oraz stosunek do sytuacji opisanej tym sformułowaniem. Przekonanie, że *znakomita większość ludzkości to wszelaka swołocz*, wynika z obserwacji pisarza i interpretacji dziejów. I tak pochód rozpoczynali dalecy przodkowie – kanibale, zapewne bez świadomości okrucieństwa, ale kolejne pokolenia już świadomie udoskonaliły bestialstwo, usprawiedliwiły agresje. Miarą wielkości „przywódców" stała się ich skuteczność. Bez względu na ofiary. A w *polityce ważna jest tylko skuteczność działania!* I to jedno dopowiedzenie jednoznacznie unieważnia wszelki humanitaryzm i empatię. Rozstrzyga bowiem o wyeliminowaniu z życia społecznego szacunku dla człowieka i troski o jego dobro. Przykładów w tym zakresie dzieje dostarczają aż nadto (postać Hitlera jest tu najbardziej wymowna, co nie znaczy, że dzień dzisiejszy nie przynosi raz po raz postaci/postaw w tym względzie także nieludzkich, choć zapewne nie aż tak spektakularnych). Nie bez powodu Ulman, głosem swojego bohatera, konkluduje: *U podłoża moich pytań tkwi trawiący mnie jak trąd, tyle że bolesny niczym permanentne kaleczenie ciała, śmierdzący wstyd. Za siebie i za wszystkich. Czuję się bez przerwy jak oblepiany świeżym, kleistym ciastem odpowiedzialności za zwierzęcość przejawiającą się w okrucieństwie człowieka, stosowaniu przemocy, w agresji, której zwieńczenie stanowią wojny, czyli masowe unicestwianie bliźnich. Najbardziej nienawistne jest mi uzasadnianie rzezi i mordu wydumanym dobrem zarzynających oraz ich ziomków.*

Ta ogólna diagnoza kondycji ludzkiej w XX i u progu XXI wieku zostaje przez Ulmana skonkretyzowana, np. przez omówienie losów osób wybitnych w zderzeniu z nikczemnymi. Na przykład losów Bohumila Hrabala, który, jako *doktor praw w republice socjalistycznego bezprawia, przymuszony został do najcięższych zajęć fizycznych (…) doznał nierozumnej nienawiści bliźnich, doznał też upodlenia i zwyczajnej obskurnej biedy*. Doprowadzony do ostateczności popełnił samobójstwo, skacząc z okna praskiego szpitala. Gdyby u schyłku lat 90. ubiegłego stulecia żył Don Rodrigo, informację na temat śmierci Hrabala skwitowałby zapewne: *Taka jest tradycja ludzka. Gnębienie słabszych jest łatwiejsze i ogólnie dostępne. Od równych można doznać obrażeń!*

Jak się odnaleźć w historii nikczemności? Oto jest pytanie. Ulman, jak Miłosz, przedstawia spotkane na swej drodze „zniewolone umysły". Na konkretnych przykładach ukazuje wybrane przez nich strategie. Mamy więc *trzęsących kulturą towarzyszy, niedawno czerwonych, teraz pomazanych pobożnie na czarno.* Mamy też Furiatkę, poetę pochodzenia robotniczo-chłopskiego, zasłużonego członka partii, który po transformacji *zmienił front ideologiczny. Zwykły strach bydlęcia przed utratą szansy na niebo kazał mu zostać poetą maryjnym. (…) Pisuje nie do szefostwa SB, bo oni już nie istnieją, a do powiatowej gazetki, gdzie działają nadal, teraz oczywiście jako pobożni.* Mamy też całe stado waplaków. Rodzime to stworzenia. *Mówi się, że chytrus waplak powstał z przypadkowego parzenia się importowanego na potrzeby wsi szakala ze zbiegłą z klatki cyrkową hieną. Ale w naszym narodowym bestiarium nie ma zwierzaków afrykańskich. Istnieje tylko chytrusieńki lisek i wroga wszelkiej kulturze słowiańska świnia błotna. To ich połączył szalony szał miłosny w rozkisłym dole za jakąś chlewnią, gdzie gromadzi się i buzuje złotobarwna polska gnojowica. Produktem zaś stała się przemyślna wiejska szelma o kamiennej, nieprzeniknionej twarzy sprytnego idioty, bezmózgiego spryciarza. (…) Jest bezwzględnym dla obcych, wyprutym z każdej wrażliwości chłopskim ksobnym egoistą*. Po tymże wstępie Ulman przedstawia staropolską historię waplaka i jego charakterystykę, w której na plan pierwszy wysuwają się *dwie pomocne we wszelkim trwaniu cechy: manifestowanie psiej uległości wobec pana i jednocześnie lisia chytrość w jego oszukiwaniu, w istocie będąca rodzajem głębokiej pogardy dla prześladowcy. (…) Jego* [waplaka] *odwieczne środowisko stanowią bowiem tylko umiłowani krewni oraz kumy i kumotrzy, na których się opiera i którzy go fanatycznie, bezwzględnie wspierają w każdym czynie, zwłaszcza w podłościach i niegodziwościach służących interesom z reguły spokrewnionej gromady. (…) Popierający publicznie jakieś draństwo waplak (…) wytłumaczy (…), iż postępuje tak a nie inaczej dla dobra orlich gniazd, korony na łbie bielika (…) Myli się jednak, kto przypuszcza, że szlachetna żądza pazernego chapania to jedyny, naturalny motyw działań waplaka. Ten inżynier ciemnych dusz ludzkich (…) waplak nepota boleśnie rwie ze smacznego cielska Rzeczypospolitej najlepsze kawały dla siebie i swoich. (…) nie ukrywa konieczności obdzielania krewnych dobrami powszechnymi* [„im się należy"], *no bo komu miałby je hojnie dawać? (…) Za tę najwyższą szczerą i pełną hipokryzję naród wiejski waplaka uwielbia i nagradza godnościami, a przede wszystkim władzą. (…) Gardzenie zaś innymi to niewątpliwie duża przyjemność w ogóle, a w sferach waplaka szczególnie. (…) im bardziej waplak lekceważy matołów, tym bardziej go lubią, podziwiają i ulegają mu, oddając poważną część władzy nad sobą.*

Koniecznym wydało mi się zacytowanie obszernego fragmentu wywodu Ulmana,

w którym z zażenowaniem przejrzeć się możemy, biorąc pod uwagę nie tylko historię wcześniejszą, ale i czas aktualny. Trudno w tym miejscu nie zgodzić się z Lecem, twierdzącym, że tylko *gdy nie wieją żadne wiatry – i kurek na kościele ma charakter*. A ponieważ nasze położenie geograficzno-polityczne dowodzi, że my ciągle w przeciągu żyjemy, to i skala ekstremalnie podłych zachowań jest duża, wstyd za nie bolesny, okiełznanie ich trudne, a potrzeba zachowania człowieczeństwa czy zwykłej przyzwoitości trudna, bo wymagająca moralnego heroizmu, odważnych, bohaterskich reakcji w sytuacji, kiedy wygodniej odwrócić głowę lub uszczknąć coś dla siebie/swoich.

Jednak właśnie te realia wymagają, aby nie udzielać zgody na przemilczanie, udawanie, że czegoś nie było albo nie ma. Trzeba się i z przeszłością, i ze stanem aktualnym zmierzyć. Dlatego – jak mówił Stanisław Barańczak – *Spójrzmy prawdzie w oczy*. I dokonajmy wyboru. Czy takiego, jak chciałby Herbert w *Przesłaniu Pana Cogito: Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach*. Czy takiego – jak ironizuje Bursa – „*w życiu trzeba się czołgać czołgać" / (…) od sandałka do kamaszka / od buciczka do trzewiczka / uczę się chodzić po świecie*. A potem popatrzmy w lustro.

Zobaczmy też, jak widzą nas inni. Ciekawą w tym względzie lekturą, działającą jak kubeł zimnej wody, jest list carycy Katarzyny II do ministra Nikity Panina, w którym podpowiada, *jak zniszczyć Polskę*. [Tekst listu zamieszczony także w trzecim numerze Migotań z 2023 roku, Krzysztof Szymoniak: *ORAZ, (paniczne zapiski emeryta),POEZJA*,]

… należy więc zdemoralizować ich [Polaków] *do szpiku kości. Trzeba rozłożyć ten naród od wewnątrz, zabić jego moralność. Jeśli nie da się uczynić zeń trupa, należy przynajmniej sprawić, żeby był jako chory ropiejący i gnijący w łożu. Trzeba mu wszczepić zarazę, wywołać dziedziczny trąd, wieczną anarchię i niezgodę. Trzeba nauczyć brata donoszenia na brata, a syna skakania do gardła ojcu. Trzeba ich skłócić tak, aby się podzielili i szarpali, zawsze gdzieś szukając arbitra. Trzeba ogłupić i zdeprawować, zniszczyć ducha, doprowadzić do tego, by przestali wierzyć w cokolwiek oprócz mamony i pajdy chleba. Będą Oni walczyć długo, bardzo długo, nasze prochy przepadną, ale przyjdzie czas, gdy sami sprzedadzą swój kraj, sprzedadzą go jak najgorszą dziwkę. My rozpoczniemy ten proces Panin!* (…) *Zepsujemy ich kultem prywaty, złodziejstwa, rozpusty, wszelaką demoralizacją i wiodącym ku niej alkoholem. Stworzymy tam nową oligarchię, która będzie okradać własny naród nie tylko z godności i siły, lecz po prostu ze wszystkiego, głosząc przy tym, że wszystko, co czyni, czyni dla dobra ojczyzny i obywateli. Niższe szczeble tych krwiopijców będą uzależnione od wyższych w nierozerwalnej strukturze formalnej i nieformalnej piramidy. Trzeba będzie starać się, by w piramidę wpasowany był każdy zdolny i inteligentny człowiek, by zechciwiał w niej i spodlał. Niedopasowywalnych szaleńców, nieuleczalnych fanatyków, nałogowych wichrzycieli i każdą inną wartościową jednostkę wyeliminujemy operacyjnie.*

Zadanie to jest wielkie Panin, lecz i efekty będą wielkie. Polska zniknie w samych Polakach! Wtedy właśnie, gdy będzie wydawało się im, że mają wolność. Ale ja tego nie doczekam Panin, zaczniemy jednak ten proces".

Lustro to czy krzywe zwierciadło?

W szponach niewolnictwa

Truizmem jest stwierdzenie, że człowiek zawsze pozostaje w stosunku do kogoś lub czegoś. Nie można jednak pominąć tej banalnej prawdy, ponieważ ona uświadamia pozostawanie przez cały czas – jak pisze Ulman – w szponach niewolnictwa. Nie zawsze tego dotyczącego pozbawienia czy ograniczenia wolności fizycznej, ponieważ *od początku cywilizacji bez przerwy istnieje tylko jeden system społeczny*. (…) *Odwiecznie ktoś na kogoś pracuje i służy oraz podlega mu zniewolony koniecznościami nieśmiertelnego układu: przełożony – podwładny. Bez przerwy jesteś chociażby niewolnikiem nieposiadanych pieniędzy, których nie możesz wydać na to, czego byś koniecznie chciał. Tak samo pozostajesz niewolnikiem niewidocznej kultury, zwyczajów, obyczajów, praw moralnych oraz niemoralnych, nakazujących bezrefleksyjne postepowanie.*

nic własnego
w umyśle
wszystko cudze
sądy
twierdzenia
przekonania (…)

A skoro tak, to należy się zastanowić, jak skutecznie i najłatwiej dajemy sobie sprzedać te sądy, twierdzenia i przekonania, w jaki sposób najprościej zmanipulowany zostaje nasz mózg? Okazuje się, że rozwój cywilizacji dostarczył/dostarcza skuteczne narzędzie i ciągle je doskonali. To wszechwładne elektroniczne media (ze wskazaniem u Ulmana na komputer i telewizor). Wyparły one czytanie książek, myślenie. *Książka inteligentna zdechła ostatecznie w ubiegłym wieku, gdy stała się jedynie towarem. Wydawcy produkują literaturę tak, jak wytwarza się cegły, kiełbasę krakowską, piwo czy margarynę, czyli to, co z pewnością zostanie sprzedane*. Dlatego zostały co najwyżej *barwne usypiające refleksję historyjki o niczym lub kryminalne pierdółki*. Ulman ironizuje i nie ma złudzeń, że wychowywanie do niemyślenia, gotowa papka zastępująca zadawanie pytań, pranie mózgów wygodnymi dla zwierzchników teoriami, są przyczyną współczesnej pandemii głupoty, mającej zasięg większy niż średniowieczna dżuma.

Urodzona w sieci,
podłączona do sieci,
kroplówki teraźniejszości,
mozolnie zapisuje dzień po dniu.
Kronikarka czasu przeciekającego.

Co robisz? – Siedzę. – Ja też siedzę.
Rachunek prosty – żyje, jednak żyje,
cudownie rozmnożona w wirtualnym świecie.

Klik, klik, klik, klik…
Miarowo bije tętno.
Niezawodnie.
Z małą przerwą na parę godzin
snu i drobne sprawy.

Epilog:
O końcu świata czyta w Internecie,
kiedy ten jej wali się na głowę.

(A. Krasuska, W sieci)

Masowe media nieprzypadkowo nazywa się czwartą władzą. Ich moc, nie ulegając przesadzie, można stawiać na równi z władzą ustawodawczą, wykonawczą czy sądowniczą, jako że informacja przekazywana w mediach gwarantuje bodaj najsilniejszy wpływ na społeczeństwo. Więc jeśli rządzący mają zakusy wprowadzenia władzy autorytarnej i zmonopolizowania w swoich rękach praktycznie wszystkich aspektów życia w kraju, to jako gwarant sukcesu będą traktowali uczynienie z mass mediów propagandowej tuby dla swojej ideologii. Zależność polityczna (rządzący decydują o treści przekazywanych informacji) i zależność ekonomiczna (rządzący przekazują niemałe pieniądze tylko mediom całkowicie im podporządkowanym), przy ograniczeniu zakresu działania innych mediów powoduje, że człowiek przyzwyczajony i uczony niemyślenia daje się uwieść jedynie słusznym doktrynom sprawujących władzę. Dowodów na skuteczność tej prostej strategii możemy przytoczyć aż nadto.

Ponadczasowa trwałość łacińskiej sentencji z początku ubiegłego tysiąclecia: *pecunia non olet*, dołączona do podobnie uniwersalnej zasady: ja tobie, ty mnie – raz po raz potwierdza swoją prawdziwość. Dobrze wiedzą o tym uprawiające swą cyniczną politykę waplaki, kiedy – wybierając nieetyczne manipulacje – stają się zakładnikami szczególnie lukratywnych synekur dla siebie i swoich rodzin. A tak chciałoby się (ach, ta naiwność), żeby polityków i ludzi pracujących w mediach cechował moralny kręgosłup, prawość, nieprzekupność.

Gdzie są inteligenci? Gdzie ludzie samodzielnie myślący?

Ulman daje jednoznaczną odpowiedź, zapowiadając w tytule: *Inteligencja – warstwa nieistniejąca*. Po dosyć przekonującym acz zjadliwym wywodzie, zamieszczonym w *Sycynie* (2/1994) oraz w *Ościeniu w mózgu*, podsumowuje: *Dowodzimy jedynie, że inteligencja jako warstwa społeczna predestynowana niby do samodzielnego myślenia nie istnieje*.

30 lat później….

Skutki ukształtowania współczesnego człowieka przez wszechobecne media

Niestety, współcześnie ludzie już nie istnieją dzięki samym sobie, lecz w ogólności stanowią sztuczną kreację elektronicznych mediów. Upowszechnione szeroko, szczytowe w dziejach ludzkich osiągnięcia myśli technicznej, jakim są telewizja oraz Internet, prawie natychmiast zostały zaanektowane przez bagniste ciemności niewiedzy oraz śmierdzącej, kiczowatej rozrywki.

Zobaczyłem nie mądre twarze intelektualistów, artystów i dziennikarzy, lecz pyski hołoty pracującej bez zbędnego wysiłku przy zamianie wiedzy oraz piękna w pospolitą kasę, za którą nabyć można wszelkie dobra, wszelkich ludzi i wszelkie rozrywki. (…) Samolubne, okrutne, prymitywne chytrusy wdzięczą się do odbiorców, siejąc w ich kurczących się mózgach bezowocną pustkę.

I można by tak jeszcze długo przytaczać opinie Ulmana, wynikające z jego krytycznej oceny medialnych relacji: nadawca – odbiorca. Słowa piekące boleśnie, bo, niestety, bez zbędnego kamuflażu, szyderczo-smutnie diagnozujące nasz czas. Mają siłę soli na piekącą ranę, piasku w oczy. Ba, ale to już wiele lat temu Lem także miał się zadumać, kiedy „zajrzenie" do Internetu utwierdziło go w przekonaniu, że na świecie jest „tylu idiotów". Dziś można spotkać krążące w sieci, traktowane jako fake news stwierdzenie: *Każdy ma prawo być idiotą, ale po co się z tym tak obnosić* (lub jego inną formę: *Każdy ma prawo być idiotą, ale niektórzy nadużywają tego przywileju)* czy „skrót": *inteligencja bezobjawowa*.

Równie gorzkie jest spostrzeżenie dotyczące źródła rozpasanej wszechobecnej głupoty. Ulman upatruje jej podłoże w *pogardzie ludzi dla umysłu ludzkiego, wyrażanej wymiernie w walucie, która osiągnęła* →

współcześnie najwyższy poziom w dziejach homo. Wystarczy przytoczyć tylko jeden z licznych wskaźników: wybitny kopacz piłki stadionowej otrzymuje roczne wynagrodzenie w wysokości stu nagród Nobla, przyznawanych genialnym uczonym albo wielkim artystom często za dorobek całego życia. Głowa Einsteina nie warta piłki! Także tenisowej! Może inny przykład: *Typowym wyrazem pogardy dla umysłu, przy ryczącym, entuzjastycznym aplauzie tłumów, jest np. walenie z upojną rozkoszą mózgu przeciwnika ciężkimi bokserskimi rękawicami.* Jaki stąd wniosek? *Zwierzę ludzkie (homo animal) od początku istnienia niewspółmiernie wyżej stawia walory ciała od zalet umysłu. To, co w nas bydlęce, cenniejsze jest zawsze od rozumu.*

wypruwają mózgi
ze wszelkich
możliwych
połączeń
z rozumem

Postęp cywilizacyjny w tym samym stopniu służy człowiekowi, co go zabija bądź degeneruje. Elektroniczne narzędzia, które mogą dotrzeć wszędzie i do wszystkich, pozwoliłyby człowiekowi doskonalić swój intelektualny i emocjonalny rozwój. Jednak szerzenie wiedzy, nauka, inteligentna dyskusja wymagają wysiłku. O wiele prostsze jest bezrefleksyjne przyjmowanie cudzych poglądów, poddanie się zbiorowemu ogłupieniu. I chociaż kiedyś niewiedza była źródłem zażenowania, dzisiaj epatowanie ignorancją przestaje zadziwiać. Oswoiliśmy się z nią albo jesteśmy zmuszani do akceptacji takiego *status quo*. Co więcej, głupota zdaje się być coraz częściej wprost proporcjonalna do agresywnej bezczelności. A jeśli mamy do czynienia z mądrzejszymi (czytaj: skutecznie manipulującymi innymi), to w tym przypadku głupotę zastępuje cynizm także wprost proporcjonalny do agresywnej bezczelności i wyzwalający poczucie bezkarności. Biorąc pod uwagę siłę tychże oddziaływań, ważne staje się zwrócenie uwagi na postępujący proces pauperyzacji inteligencji. Inteligencji?

Osobne miejsce w rozważaniach Ulmana zajmuje charakterystyka serwowanej współcześnie „rozrywki". Autor opisuje składniki potrzebne do jej zaistnienia (oczywiście są one ze sobą ściśle powiązane). To wartość tworzonych „dzieł", autorzy i powody, dla których tworzą, oraz odbiorcy. Mamy więc *kulturę śmieciową, bezmózgą satyrę wyprutą z inwencji, ordynarną chałę*, słowem – *najbardziej zawstydzającą, nieprzyzwoitą artystycznie mizerię*, tworzoną dla *śmierdzącego zysku* przez *szarańczę wyspecjalizowaną w młóceniu gotówki.* Autorzy tej *cwaniaczej parakultury grają siebie, to jest bezradnych idiotów opuszczonych przez poczucie przyzwoitości,* którzy *tłuką lepki, łatwy szmal wytapiany z baranów*. Nad sceną rozlega się *nieoznaczony żadnym konceptem, straszliwy, żałosny śmiech kabaretowych hien z czaszkami wyłożonymi błotnistym szmalem*. Tak zwani artyści – gwiazdy – celebryci potrafią *wytwarzać każde badziewie i dowolnie sprzedawać je tumanom. A sala dygocze, rży, ryczy od śmiechu nieuzasadnionego. Ten humor kala rozum! Widzowie są tresowani w bezmyślności.*

Ulman – szyderca nie szczędzi dosadnych słów krytyki (a zacytowałam niewiele) pod adresem programów „rozrywkowych" nadawanych za pomocą elektronicznych mediów. Jego bohater stwierdza, że ten prowokujący sposób wyrażania emocji, inwektywy też, weszły do jego języka jako wyraz zarówno buntu przeciwko ogłupianiu odbiorców, jak i bezsilności, bezradności, że nic nie może z tym haniebnym procederem zrobić. Ludzie ludziom piorą mózgi, spychając w bezrefleksyjne bytowanie, umysłową pustkę, z której się przecież przez stulecia powoli wydostawali.

A co, jeśli wyjdziemy poza obręb „rozrywki" i popatrzymy szerzej na wartości propagowane w ogólnodostępnych mediach. Sytuacja staje się wtedy stokroć niebezpieczniejsza. Bo tu jednym z głównych celów nie jest już wyzwalanie lawinowego rechotu, lecz podawanie do zbiorowej akceptacji i wierzenia idei, która jest wpisana w politykę osób sprawujących władzę.

Wspomniane potworki swój byt telewizyjny oparły na groźnych teoriach plemiennych, będących od początku świata zarzewiem mordu, gdyż dzielą one wszelkie istoty na swoje i na obce, które należy wyrżnąć.

Potworki polityczne wyczyniające brewerie w moim telewizorze można by uznać za śmieszne, gdyby nie rosnąca popularność ich bredzeń, docierających do najgłębszych pokładów ciemnoty plemiennej (…) zachęcania do przemocy, która zawsze prowadzi do mordu, przestają być zabawne, kiedy stają się niesłychanie bliskie ziszczenia.

Skąd my znamy te proroczo brzmiące słowa.

Dodajmy jeszcze, że przy tejże manipulacji wykorzystana zostaje zasada:

Nic bowiem lepiej nie lepi zbiorowości w pozbawioną centralnego mózgu jadowitą całość niż narodowy egoizm oraz społeczne wstecznictwo.

Czy Kasandra jest dzisiaj potrzebna?

Ulman w swoich tekstach przedstawił spójną wizję świata – *jakie czasy, takie namiętności* – w gorzko-prześmiewczy sposób każąc czytelnikowi przyjrzeć się innym i sobie oraz wszelkim obłędom i zależnościom od obsesji. Odwołuje się zarówno do emocji jak i rozumu, zmuszając do zastanowienia się nad zasadnością podniesionych zarzutów, komentarzy do pozaliterackiej rzeczywistości. Skupia, jak w soczewce, najważniejsze problemy, z którymi człowiek musi się zmierzyć. Jeśli nawet nie dotykają go one w danym momencie, to za chwilę może już stanąć przed nimi, nie mieć możliwości uniku. Pisarz widzi więcej, wnikliwiej, uważniej. Dlatego jeśli zaprasza nas – czytelników do dialogu, warto skorzystać. Tylko czy czekamy na Kasandrę swojego czasu? Czy może po prostu skwapliwie zgadzamy się z sytuacją, że odwieczny mit musi się wypełnić. I gdy nawet pojawia / pojawi się współczesna Kasandra, która na podstawie wnikliwej analizy mechanizmów społecznego życia wnioskuje o przyszłości, to ludzie i tak nie rozumieją / nie chcą rozumieć jej słów.

Trudno być optymistą.

Wojciech Czaplewski, pisząc o „Dzyndzylyndzy czyli postmortuizmie", podkreśla, że Ulman w tej powiastce filozoficznej *podobnie jak Kandyd wyszydza pomysł, że żyjemy na „najlepszym z możliwych światów". Tylko że Wolter miał jeszcze nadzieję, że tę filozoficzną głupotę można zastąpić jakąś mądrością. Ulman nie ma już złudzeń.* Uzupełnieniem tego toku myślenia mogą być słowa Stanisława Lema: *Pewne rzeczy przewiduję, ale ich sobie nie życzę".*

No cóż. Mnie, czytelniczce w XXI wieku, która już trochę dziesiątek lat przeżyła, też coraz trudniej przychodzi optymizm-naiwność, choć chciałabym bardzo dać się uwieść Ulmanowi, kiedy, wykorzystując irracjonalizm i groteskę, kreśli w swoich rozważaniach pomyślne zakończenia.

Bliski jest mi ten szczególny rodzaj nadziei –naiwności Ulmana. Bliski, bo… oczekiwany. Bliski, bo jeśli nie on, to cóż by pozostało. Bliski, chociaż realia…

Autor surowo osądza współczesność. Demaskuje. Demitologizuje. Analizuje. Wnioskuje. Dzięki podkreśleniu kontrastów, przejaskrawieniom, stosowaniu ulubionej przez siebie groteski – nadaje intelektualnej refleksji zamierzony ciężar. Na uwagę zasługuje też fakt, że życie Ulmana nie przeczy jego myśli. Zapewne biografowie autora *Ościenia w mózgu* będą raz po raz zastanawiać się, gdzie – w jego ustawicznej grze z czytelnikiem – przebiega granica między fikcją a realiami.

Ulman zmarł w 2013 roku.

Jednak nie sposób zbagatelizować i odsunąć na dalszy plan raz po raz narzucających się skojarzeń z dniem dzisiejszym. Polityka światowa i ta nasza, wewnętrzna, w sposób bezwiedny stanowią punkt odniesienia do realiów wykreowanych czy opisanych w jego tekstach, choć taka jednostronna lektura byłaby dużym uproszczeniem. W swoich przemyśleniach nie staram się dążyć do neutralności (zresztą obiektywizm sądów nie jest możliwy). Autor gra moim naiwnym zatopieniem się w wykreowanej przez siebie rzeczywistości, uwodzi (bądź nie) pomysłami, formą, językiem. Uczula.

Z perspektywy *tu i teraz* dobrze się myśli Ulmanem. To znaczy mnie dobrze się myśli Ulmanem, ponieważ nazywa/kreuje świat i funkcjonujące w nim zasady tak, jak ja tego nie potrafię wyjęzyczyć, co najwyżej przeczuwam i utożsamiam z jego myśleniem.

Człowiek to trochę obrobione przez cywilizację zwierzę

Ulman zmusza czytelnika do przyjrzenia się poglądowi, że *człowiek to trochę obrobione przez cywilizację zwierzę, całkowicie gotowe do poddania się wszelkiej tresurze. Umiejętnie potraktowane biciem i smakołykami chętnie udziela się przyuczaniu do rozmaitych funkcji, w tym fanatycznego uwielbiania swoich treserów oraz pożerania biedaków*. W tej perspektywie nie widać dla ludzi ocalenia, jest pewność, że w zadżumionym świecie humanistyczne, empatyczne postawy nie przetrwają. Z tego punktu widzenia człowiek przyzwoity jest niepoprawnym idiotą, który – mogąc wystawić *tylko nos ponad gnojowicę* – delektuje się pięknem poza nią, *tonąc, patrzy bowiem wyłącznie i widzi ponad powierzchnią rzeczywistości*. Rozumuje i zachowuje się tak, jakby nie znał dziejów ludzkości.

Mamy rok 2024.

Czy szale, na której ważą się losy świata, przechyliły się ku dobru człowieka? Czy dane jest nam *nie słyszeć o pełnych chwały pochodach niszczycielskich armii, nie widzieć ogromnych pomników wielkich zabójców, nie dostrzegać wiekowego kultu fizycznej siły, która jest wszystkim*?

Niestety.

Chwile spokoju/pokoju w skali mikro czy makro dają złudne poczucie, że człowiek zaczął mądrzeć i może tym razem już na trwale wszedł na drogę odpowiedzialności za siebie i innych, nieobca mu stała się empatia i wrażliwość – jakkolwiek patetycznie czy naiwnie to brzmi. Ale to tylko złudzenie. Zbrodnie nie dają o sobie zapomnieć. Na zasadne pytanie: dlaczego? odpowiedź

nie budzi wątpliwości, jest krótka i jednoznaczna: to *ulubione zajęcie ludzkości*. Stanisław Lem, kiedy chciał podkreślić, że XX wiek haniebnie ciążył ku agresji i zbiorowym mordom, spotkał się z prostującym to zawężenie stanowiskiem: *Pewien pan z Wrocławia zauważył na to słusznie (…), że się mylę, łącząc początek ludobójczych rzezi z Hitlerem. Zaczął wyliczać przykłady, od Babilonu poczynając, poprzez wyprawy krzyżowe i stosy; wyszło na to, że mord to ulubione zajęcie ludzkości.*

Minione lata i bieżący rok po raz kolejny udowadniają celność tego spostrzeżenia ze zdwojoną siłą.

Mało tego, w tekstach komentujących aktualne wydarzenia lat 90-tych XX wieku (Stanisław Lem zamieszczał je w „Tygodniku Powszechnym" w latach 1994-1995 w cyklu *Świat według Lema*), przeczytamy między innymi:

Nie ma takiego nieszczęścia, do którego człowiek się nie przyzwyczai. Serbowie na Bałkanach stosują taktykę salami i przyzwyczajają wszystkich po trochu do swoich zbrodni. Pejzaż jest typowo schizofreniczny: Karadžić ma zostać postawiony przed międzynarodowym trybunałem jako ludobójca, a równocześnie traktuje się go jako partnera rokowań.

Imperialne drożdże ciasta na razie nie podniosą, bo przemysłowo-ekonomiczne zaplecze Rosji jest zdruzgotane. Ale rozwiązania typu militarnego, awanturniczego nawet łatwiejsze są do zrealizowania niż pokojowy wzrost gospodarczy i wprowadzanie demokracji. Poza tym kraj jest olbrzymi, pozbiera się szybciej niż sądzimy, i w ciągu mniej więcej dekady suwerenność nasza znów może stanąć pod znakiem zapytania.

Motywacje Zachodu są i w tym przypadku wyraźne. Mówiąc cynicznie: na Białorusi nie ma ropy ani diamentów, nie ma nic. Kazachstan i Ukraina są znacznie bogatsze, dlatego będą otrzymywać pomoc, a za pomocą w postaci miliardowych inwestycji stoi i stać musi rząd i Kongres amerykański. Musi, bo tak to jest urządzone na tym świecie. Jak długo jednak Ukraina jeszcze się trzyma – nie wszystko stracone.

Inne daty, inne wydarzenia, inne konteksty, jednak opinia Lema (zm. w 2006 roku) na ich temat uświadamia pewien constans. Historia mieli ludzi, zmieniają się pokolenia, przywódcy, jednak mechanizmy napędzane przemocą, grabieżą, snami o potędze zbratanymi z duchową małością przywódców cały czas trzymają świat w szachu. Zmieniają się „areny wydarzeń", lekko zmieniają się ich „scenariusze", ale mord pozostaje mordem, mimo „elastycznego dostosowywania" języka, którym agresorzy „minimalizują" swoje bestialstwo – w zależności od sytuacji będzie to *ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej, czyszczenie etniczne* czy *operacja specjalna.* Jak pisze Lem: *afirmacji zła – nie opisu, ale afirmacji właśnie jako pewnego rodzaju szczytnego zadania – nikt nigdy w bezpośredni sposób nie wyraził, zawsze dokonuje się uników i pokrywa rzecz ochronnymi farbami. Każdy, kto morduje, chce zrobić coś dobrego, nikt nie powie wprost, że mordowanie jest mu rzeczą miłą. Był jeden monograf zła czystego – markiz de Sade – ale on to podczepił pod swoją dewiację seksualną, a ja motywy seksualne umyślnie odpreparowałem.*

Dla potrzeb rozważań nad *czystym złem* mógł Lem pominąć wątek seksualny, jednak historia dowodzi, i to od samego początku, że niewolnice, branki, gwałty, przyzwolenie na gwałty, całkowite podporządkowanie sobie kobiet, mężczyzn też, były stałym elementem każdej przemocy. Wiek XX i XXI niczego w tym zakresie nie zmieniają.

Stanisław Lem u schyłku XX wieku zadawał pytania:

Jakie formy przyjmuje i przyjmie w przyszłości nie stłumiony przez cywilizację popęd do agresji i przemocy?

Co oznacza dla nas nieustanny „prysznic informacyjny", kulturowy chaos i kolejne coraz szybciej następujące po sobie rewolucje technologiczne?

Jak na te pytania odpowiedzieć dzisiaj?

Wiek XXI uświadamia, że agresja i przemoc mają się dobrze. Obniżył się znacznie poziom tolerancji wobec zła. Zarówno w skali mikro jak i makro. Oprawca mówi, że nie jest oprawcą. Kłamca – że nie jest kłamcą. Złodziej i grabieżca – że nie robią tego, o co się ich oskarża. Taki słowny mechanizm zdaje się wystarczać za całą argumentację, nawet wbrew faktom. Kiedy okazuje się, że jest on skuteczną drogą do osiągania własnych sukcesów, wszelkiego rodzaju manipulacje stają się coraz bardziej powszechną taktyczną normą. A przeniesione do „wielkiej" polityki?

W polityce nie ma, nigdy nie było i nigdy nie będzie żadnych sentymentów – powiedział Stalin i trzeba mu wierzyć, choćby się nie chciało, bo to jeden z głównych reżyserów zła w XX wieku. Boleśnie dla innych przećwiczył tę prawdę, nie on jeden.

Bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika (...) nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście. (A. Camus)

I tak bakcyl dżumy ćwiczy swoją skuteczność tu i teraz.

Kasandra nie musi go zapowiadać.

Na Kasandrę nikt już nie czeka. Co najwyżej jej rolę przejęli „eksperci". Dlatego dzisiaj trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek rozmowę, toczoną publicznie na jakikolwiek temat, bez ekspertów. Czyli bez kogo? Teoretycznie bez specjalistów w danej dziedzinie, osób, których wiedza i praktyczna znajomość danego zagadnienia upoważnia do wydawania opinii, też do projektowania zmian, zachowania innych ludzi. A w praktyce kim może być ekspert? Jak prześmiewczo zauważa Magda Bębenek, to *ten, kto jak ekspert brzmi i wygląda. Doświadczenie i praktyka niewymagane*. Oj, może się pogubić Kowalski, słuchając „wieszczów" XXI wieku. Tym bardziej że na wojny toczone na płaszczyźnie militarnej nakłada się na sfera informacyjna, czyli też dezinformacja, fake newsy i propaganda.

Gdybym miała określić, jaki człowiek został wykreowany przez Ulmana (a też wielu innych współczesnych pisarzy), to, według mnie, byłby to z jednej strony outsider-samotnik, poszukujący doświadczeń (albo to doświadczenia znalazłyby jego), które pozwoliłyby mu lepiej poznać siebie, określić własną tożsamość i swoje miejsce w środowisku, w świecie. To człowiek, który ma poczucie wyobcowania, nie potrafi zidentyfikować się z żadną grupą, jego kontakty są naskórkowe. Wszak samotność jest pojedyncza, nie ma liczby mnogiej. Autor bardzo dokładnie analizuje dylematy ludzi wrażliwych, przegranych, bada stany frustracji. Można by nawet powiedzieć, że obojętnie, w jaką sytuację, czas i środowisko wrzuca bohatera, to cierpienie, codzienna martyrologia płyną mu we krwi. Z drugiej strony kreowani są różnego typu karierowicze-cwaniacy, cynicy-matacze, ludzie zaprogramowani przez chciwość, nepotyzm, żądze władzy, bogactwa czy sławy, słowem – np. przez środowiska współczesnego Nikodema Dyzmy. Bo przecież trudno byłoby zaprzeczyć, że świat Nikosiów ma się dobrze, a nawet coraz lepiej.

Nie lekceważę wyobraźni artystów. Jakże często świat realny i literacki przeplatają się ze sobą, sytuacje, o których czytaliśmy, nagle odnajdujemy w życiu. Bo nie tylko pisarzy inspiruje podglądanie rzeczywistości, ale i świat „proroczo" opisany w tekstach literackich przenika do realu. Autorzy grają porównaniami światów wykreowanych z tym doświadczanym, widzianym, przeżytym, też wyobrażanym. Cudze historie pozwalają lepiej poznać samych siebie, ponieważ uświadamiają mechanizmy życia-gry. Są jak podpowiedzi. Są okazją do przemyśleń. I chociaż nas, zjadaczy chleba, żaden autor w aniołów nie przerobi (bo wtedy, biorąc pod uwagę tylko czas lektury podczas szkolnej edukacji, ziemię już dawno zaludniłyby anioły), to zatrzymuje przy interesujących go szczegółach, bo może nas też one zainteresują, uczulą, rozbawią albo wstrząsną nami, zapewne częściowo zmienią. Ulman, autor-szyderca, miał gorzką świadomość, że jego utwory mają ograniczony zasięg, niewielki krąg czytelników, i pewnie dlatego słowami swojego bohatera podsumował: *Od dziecka przyzwyczaiłem się (…) do myślenia i pisania, jak do codziennego żarcia strawy. Choć wiem, że to mniemania nadaremne, pod moim szyderstwem kryje się ufna głupota, że ludzie jakimś cudem skorzystają być może kiedyś z gotowanych dla nich materiałów do refleksji.*

Tak. Ci, którzy czytają. I myślą.

Do „posiadaczy rozumu"

… powiem na wstępie krótko: to książka adresowana do posiadaczy rozumu. Ktoś, kogo mózg jest tylko mało ważnym dodatkiem do reszty ciała, niewiele z tej prozy pojmie i pewnikiem nawet spróbować nie zechce.

Ten fragment recenzji Wandy Skalskiej (a właściwie Lecha M. Jakóba), poświęcony *Cigi de Montbazon i robalium Platona* Ulmana, można by zmodyfikować tylko w jednym zakresie, wprowadzając liczbę mnogą: *to książki adresowane do „posiadaczy rozumu"*. Bowiem Ulman nie stosuje taryfy ulgowej. Jak stwierdził Jakób: *autor usiłuje zasugerować, iż im nierozumniejszym (czyli głupszym) człek się okaże, tym szczęśliwszym będzie. Gdyż człowiek to byt wątpliwy, próżny, istota bezduszna, powodowana jeno fizjologią i tym, co z niej wynika. Takie wnioski wysnujemy z lektury rozczarowanego doczesnością autora „Cigi de Montbazon i robalium Platona", temu służy cała – jakże mocna w wyrazie i artystycznie misterna – argumentacja tej prozy. Świat, wedle A. Ulmana, jawi się – nie przymierzając – szambem, gdzie naczelną ideą jest zgówniane wszystkich i wszystkiego. Owa bolesna, wręcz druzgocąca diagnoza, powiła się w umyśle Archiwariusza u schyłku życia – w niwecz obracając młodzieńczy idealizm, wiarę w dobro, piękno i prawdę.*

Człowiek obsługuje rzeczywistość, a rzeczywistość daje mu coraz więcej i więcej, ale w zamian też coraz więcej od niego żąda. Razem tworzą samonapędzającą się maszynę. Jak się w niej odnaleźć w roli mikroskopijnego trybiku? Większość zadawala się przeczekaniem i utrzymywaniem iluzji. Bo wygodnie? Na pewno. Do czasu kiedy zabrzmi memento:

Innego końca świata nie będzie.
Choć
Nikt nie wierzy, że staje się już.

Moje uwagi na temat twórczości Ana- →

tola Ulmana są jednym z możliwych kluczy odczytania, nie roszczącym sobie pretensji do „jedynie słusznej opinii". Mogę wyobrazić sobie przeprowadzoną na podstawie jego tekstów analizę przestrzeni, czasu, toposów, archetypów, języków itd. Bo to zbiór polifoniczny, zawiera bogactwo propozycji formalnych (od prozy poetyckiej po rodzaj dokumentu), różnorodność rozwiązań stylistycznych, środków artystycznych funkcjonalnie dobranych do treści. Jak pisał Joseph Hillis Miller: *Dzieło literackie nie jest, jak mogłoby zakładać wiele osób, słowną imitacją pewnej już istniejącej rzeczywistości, lecz całkiem przeciwnie, jest stworzeniem lub odkryciem nowego, komplementarnego świata, metaświata, hipperrzeczywistości. Nowy świat jest niezastąpionym dodatkiem do już istniejącego*. Idąc tym tropem, na twórczość Ulmana należałoby popatrzeć jak na dzieło wyrastające z potrzeby podzielenia się przez autora wyobrażeniem świata i człowieka w nim, przy założeniu, że ów świat jest sam w sobie niewystarczalny i jako taki domaga się uzupełnienia. Czytelnik podąża więc za wyobraźnią twórcy, który nadbudowuje światy możliwe i niemożliwe. Co mnie najbardziej w nich intryguje? – chyba wykreowane mechanizmy społeczne, polityczne, ekonomiczne, wreszcie obyczajowe, które zawłaszczają decyzjami bohaterów i które nie nastrajają do optymistycznych wniosków. Całkiem możliwe, że na te moje rozmyślania wokół utworów Ulmana kładą się cieniem niedawne czy aktualne wydarzenia polityczne i społeczne. Że czytam jego teksty mając w tyle głowy migawki z bieżących wydarzeń, o których w mediach. I w takich momentach świadomość, że śmiech, szyderstwo i drwina, humor z Rabelais'go czy Swifta ma odwrócić moją uwagę ku odczytaniu artystycznego przekazu groteski, mi nie wystarcza. No cóż, chyba nie jestem czytelnikiem, jakiego dla Ulmana chcieliby ci nieliczni krytycy, którzy o nim pisali.

Jesteśmy ulepieni przez szkolne lektury, znajomo brzmiące cytaty, jak choćby ten z „Pana Tadeusza":

Polak, chociaż stąd między narodami słynny,
Że bardziej niźli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawżdy rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.

Więc dobrze byłoby do tego krzepienia duszy dodać i „łyżkę dziegciu", zwrócić uwagę, że *Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo a pierwszy na planecie naród.(…) że Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł* – jak napisał Cyprian Kamil Norwid w liście do Michaliny z Dziekońskich Zaleskiej (1862r.) czy aluzyjnie podczas wywiadu sparafrazował Adam Hanuszkiewicz pod koniec XX wieku: *wielkie hasła nas upajają, przy małych wszy nas jedzą*.

W takim kontekście – powiem raz jeszcze – dobrze mi się myśli Ulmanem.

Czy książka Ulmana wywrze istotny wpływ na nasze dziedzictwo kulturowe? Nie sądzę. Dlaczego? Sam autor odpowiedział na to pytanie, diagnozując współczesną kulturę, pisząc o skutkach polityki sprzyjania miernocie artystycznej i intelektualnej, poniekąd o pauperyzacji inteligencji: *do wyróżniania się niezbędna jest duma, zarozumiałość, próżność, arogancja i pycha. Oto zabawność istnienia: zasługujący usuwa się, rangę zyskuje pusty*. Lech M. Jakób z żalem zwraca uwagę na jeszcze inny aspekt funkcjonowania autora *Zagłady Borgiów w 2012*, pisząc w 2012 roku: *twórczość A.Ulmana (a przynajmniej sztandarowe jego dzieła), nie zostały dotąd przełożone na języki obce: przynajmniej angielski, francuski i niemiecki. Daję głowę, że w tych obszarach kulturowych miałby szanse zrobić furorę. Szczególnie dzięki finezyjnej grze intelektualno-artystycznej, dzięki oryginalnemu językowi, a tez niebanalnym przesłaniom – per saldo zmierzającym ku szerzej pojętemu uniwersalizmowi*.

Świat na krawędzi

I nie chodzi tu tylko o krawędź czasu (wieku, tysiąclecia), bo dokładnie w 2000 roku ukazały się rozmowy Tomasza Fiałkowskiego ze Stanisławem Lemem noszące taki tytuł, ale o krawędź, na jakiej stoi świat ćwierć wieku później. Gdyż nie są to tylko zagrożenia, jakie niesie intensywny rozwój nauki, głównie biotechnologii, na których przede wszystkim skupiły się rozmowy z autorem *Summy technologicznej*. Ale jest to *ścieranie cieniusieńkiej powłoki cywilizacji*, do czego przyczynia się w niemałym stopniu szeroko rozumiane barbarzyństwo ludzi. Mimo że postęp cywilizacyjny zmienił warunki i tempo życia, a człowiek obrósł w techniczne dobra, różne gadżety ułatwiające mu funkcjonowanie w społeczeństwie, to jego żądze, emocje, namiętności, obszary nienasycenia stanowią pewien constans.

Wszechwładna duchowa mizeria.

Zagnieździła się i czyni spustoszenie.

Bohater Ulmana zebrał doświadczeń niemało, jako że ocenia siebie i innych z perspektywy lat przeszło kilkudziesięciu. Nadgryzione podeszłym wiekiem zdrowie nie zaprząta go jednak tak bardzo, jak *poważne znużenie bezmyślnością, plugastwem oraz nikczemnością bliźnich. Oni bezustannie, z patologiczną uciechą i paskudną energią, w smrodzie okrutnych przedsięwzięć zarażają gangreną wszystko, o czym przemyśliwałem kiedyś, że stanowi wspólne szlachetne dobro i wspiera nadzieje ludzkiego rodzaju*. Przemyślenia te zdają się dowodzić, że patrzenie z pespektywy paru dziesiątek lat pozbawia złudzeń związanych z innymi. A stąd już tylko krok ku świadomości, iż trwanie w *podłości własnej i cudzej* nie pozwala pozbyć się bólu życia, tak jak nie pozwala pozbyć się bohaterowi *tkwiącego mu w mózgu ościenia rozpaczy*. Nie ma on bowiem możliwości pozbycia się tej zadry, jak nie ma szansy ucieczki przed udręką istnienia.

To tylko nasz świat, choć… w literackim zwierciadle.

Anna Krasuska

Adam Nowacki

Krystyna Lars

Elegia wieczorna na chwałę pokonanych

Zasnąć, nie słyszeć i czy to się godzi
Na długich drogach wydzwaniać brzękadłem
To, co ukryte pod pamięcią skóry
Gdy tak przed nami, pod rozdartą górą
Stoją uważnie od ognia spalone
Wielkie i nieodkryte pojazdy bez znaków
Jakby narodom było dość
już imion i herbów zdobnych
Na gorzkich sztandarach
haftem spisanych w rejestrach pamięci
kiedy powoli znad wzgórza we blasku
spływa znów ku nam

Ta czarna piechota, która nie liczy w sobie
Ni srebra, ni złota, tylko dobywa bronie
Odlane ze stali na przebaczenie ramion, co złamane
By nikt już nie chciał podnosić przekleństwa
Na wzniosłe hymny i niskie powodzie
Bo tak naprawdę któż z nas chciałby poznać
Czym jest być słabym w możnych korowodzie
Gdzie pięść i ogień rysują na szybach
Barwne i zapomniane witraże cierpienia
Choć znów przed nami ta sama odezwa
Na brudnym murze nocą naklejona
Woła do ludzi wiecznie mądre słowa

Że nikt kto zechce podnieść serca w górę
Nie jest od tego, by nas pożałować
I strącić w glinę, pod powłokę bluszczy
Gdzie krążą soki spalonego sioła
W którym dziewczyny, co szły nad jezioro
Spłonęły płatkiem róży wielolistnej
Która rozwarta jak rozcięte serce
Świeci nad nami poprzez zapomnienie
Wzięta dla dzieci, co w oparach głodu
Pędzą przed siebie biedne stada kawek
Dla których miejsca nie ma w naszym domu

By mogły umrzeć pod światłem latarni
Która nad nami czuwa, objawiona
Przez pismo ptaków na gniazdach jesieni
By znów nad nami zaświeciła łuna
Miast pogrzebanych pod bielą bandaży
Których brakuje, gdy na naszej twarzy
Oparzeliny płoną różowością
Wstydu i ucieczki, której nam nigdy
Nie wybaczy nikt.

Wiec jak to, mamy tak spać i płakać
W piwnicach ciemnych, gdzie okienka małe
Gruzem oddechu mocno przydymione
Tak że już nigdy nam słońce spod wody
Nie wyjdzie w jasność, okupioną winą
Której nam nie wybaczy ni słońce spragnione
Ani jaskółka, co pruje swym skrzydłem
Całun białego nieba na rdzawym błękicie

Lepiej już z nami zamieszkaj pod skórą
Jastrzębia, co tak szybuje nad portem,
Gdzie świty nie chcą pożałować
Otwartej, jasno ziejącej źrenicy,
która znów waży
W naszych niepodzielnych sercach
Jeden po drugim
Niepodzielne grzechy i wciąż tak czeka,
By znów nas zabrać w swoje ognie stare
Tak jak strącone w otchłanie gołębie
Które przed nami nie chcą zdradzić miasta
Byśmy na zawsze przywarli zmęczeni
Do stołów, krzeseł i sennych kamieni,
Jakby nam samo niebo zapomniane
Sypnęło rozgrzeszenia ziarnem pod gnijącą ścianę,
By wzeszło ponad nami godziną spełnienia
Wierząc, że tam, gdzie słońce
Tam już bólu nie ma.

DZIENNIK

Z Dziennika 2014: Bretania/Francja

Kazimierz Brakoniecki

8 XII, poniedziałek

Na dworcu Montparnasse w Paryżu, godz. 18.30. Jechałem jak zwykle do centrum linią B, na wprost mnie siedział z wyglądu student pochodzenia europejsko-azjatyckiego i przeglądał cienką książeczkę o islamie „Les premiers pas dans l'islam" (Pierwsze kroki w islamie). Charakterystyczne dla tego, co się wokół dzieje: prawie tysiąc obywateli Francji i Wielkiej Brytanii pochodzenia „arabsko-muzułmańskiego" walczy w szeregach armii kalifatu faszystowsko-islamskiego.

Jestem w TGV, jest 19.10, zaraz odjazd. Chciałem kupić autobiograficzną powieść Emmanuela Carrère'a „Le Royaume" (Królestwo), w której autor opisuje swoje perypetie (przyjścia i odejścia) z chrześcijaństwem, a to mnie i dotyczy, i męczy. Znalazłem w księgarni dworcowej, przejrzałem stosunkowo gruntownie, nie kupiłem, może niedobrze, ale raczej nic nie wniesie do mojego (zakończonego ileś lat temu) bojowania/wyzwalania; poczekam na przekład, bo na pewno wyjdzie po polsku i będzie taniej. W zamian kupiłem „Sur les épaules de Darwin" popularyzatora nauki Jean Claude Amyrata – zbiór emisji radiowych. Mam nadzieję, że te refleksje, cytaty z wielu dziedzin nauki otworzą mi po raz kolejny oczy na bogactwo Natury. Akurat teraz tego mi potrzeba – smaku świata, jego wielowarstwowości, umiejscowienia życia w skali małej i dużej, konkretnej i kosmicznej realności.

Zakwaterowano mnie tym razem w domku dozorcy przy zabytkowej willi Rohannec, stojącej w parku na pagórku, skąd widać zatokę Saint-Brieuc. Nie tak daleko od stałego miejsca moich tutaj pobytów (może to koniec tej Lamartine nawet). Domek odnowiony, kuchnia i dwa pokoje, willa jest w trakcie kapitalnego remontu; jego cel – nowoczesne miejsce ekspozycji. Przelotny deszcz.

9 XII

Notuję wieczorem. Do południa spotkanie w budynku zarządu departamentu z partnerskim stowarzyszeniem: program współpracy na lata 2015-2016 (przewodniczącym jest teraz Jean Jacques Philip, na emeryturze nauczycielskiej napisał dwie powieści o tematyce regionalnej), po południu z młodym i ekspansywnym w tej chwili raperem, którego chciałem zachęcić do przyjazdu na kolejną edycję Dni Bretanii, żeby wystąpił razem z olsztyńskimi hip-hopowcami. Nie jestem przekonany, czy go przekonałem: „Moje występy to specyficzna gra z językiem, nie wiem, czy zostanę zrozumiany".

Film „Ida" bardzo dobrze odbierany jest we Francji' może silniej niż w Polsce; opowiadam znajomym o latach stalinowskich i polsko-żydowskich splątaniach. Ich wiedza o Poslce, i Europie Wschodniej jest skąpa i stereotypowa. Pamiętam jak kilka lat temu na spotkaniu poetyckim w Quimperlé jako pierwsze pytanie dostałem „Dlaczego Polacy zabijali z Niemcami Żydów w czasie II wojny światowej". Wybrnąłem nieźle i zgodnie z prawdą historyczną i moralną (przy okazji dostało się Francji Vichy!), ale mało było o mojej poezji.

10 XII

Kolejne spotkania, tym razem z dziennikarzem, którego prosiłem o pomoc w przygotowaniu apelu do miejscowych młodych artystów amatorów w celu nawiązywania współpracy z naszymi młodymi adeptami sztuki (niekoniecznie wysokiej) i stowarzyszeniami, a później z przedstawicielkami fundacji-centrum sztuki, które mieści się w dawnym opactwie Bon Repos (przygotowujemy pobyty artystyczno-studyjne). Spałem 10 godzin i dzisiaj lepiej działałem i się prezentowałem. Po południu biegałem po zszarzałym i kamiennym, ale od dawna oswojonym, mieście, które tak polubiłem: katedra, uliczki, cmentarz,, dwie lepsze księgarnie – kupiłem poszukiwany album malarstwa Zurbarana (1598-1664), to geniusz oraz filozoficzną książeczkę Frédérica Neyrata „Atopies. Manifeste pour la philosophie"

Późnym popołudniem do domku, przespałem się, obudziło mnie pukanie do drzwi wyjściowych. To robotnik z willi, zaniepokoiło go światło; nie wiedział, że mieszka w nim „rezydent". W kuchni znalazłem czajnik elektryczny, będzie herbata. Odżyję. Skąd takie emocje? Starzeję się. Nie boję się, tak jak w młodości, śmierci (lęk metafizyczny), ale procesu starzenia. Jestem smutny z tego powodu i tęsknię za szybkim powrotem!. I tyle.

Krążę pilnie i skrzętnie uliczkami i po urzędach chyba po raz ostatni. W marcu pojawię się na festiwalu poetyckim w Binic, ale to coś zupełnie innego; zaproponuję udział poecie i krytykowi literackiemu Zbigniewowi Chojnowskiemu oraz romanistce, fotografce, pisarce Ewie Kozłowskiej z Olecka.

Zurbarana odkryłem dla siebie w muzeum w Poznaniu oraz w muzeum w Strasburgu. Nie chodzi o tematykę religijną, w której się specjalizował, lecz o mistrzostwo kolorystyczne, kompozycyjne i imitatorskie w oddawaniu np. bogactwa szat, strojów portretowanych osób, draperii. To mistyk materialności widzialnej, metafizycznej strony zmysłowych rzeczy, ekstaz religijnych widzianych oczami „wyższej inteligencji kreacyjnej".

Czasami myślę, że nic ważnego nie napisałem; czasami myślę, że nikt nic ważnego nie napisał, nie namalował. Może skomponował. Tak mało było geniuszy. Tak wielka jest tajemnica i tragedia życia. Prawda życia, prawda sztuki. To, co cudowne jest widzialne, konkretne i przerasta w nieskończoność. Przeglądam album, niektóre święte wyglądają jak kurtyzany czy raczej jak uroczyste panny dworskie; martwe natury są niesamowite w swojej widzialnej mistyczności. Konkret, detal, kompozycja całości: jak jakiś genialny koncert kameralny grany w samotnej lecz pięknej kaplicy świata.

Neyrat i egzystencjalizm radykalny: Exister est être-au-dehors": istnienie to bycie na zewnątrz. Niby nowy egzystencjalizm poza Sartrem (poza bytem- w- sobie i dla-siebie); poza Heideggerem i jego Desein (z tym się zgadzam); poza tak statycznie rozumianym podmiotem-człowiekiem; to jest bycie, które ujawnia się w swojej niepewności, tymczasowości, przejściowości w bez-miejscu (jeżeli rozumiem); nie chodzi o budowanie nowej siedziby na ziemi, zakorzenienia, bo zawsze egzystencja wyprzedza ontologię; atopiczność nie ma stałego odpowiednika w ontologii…? Jednak nie rozumiem, za trudne to dla mnie. Ja lubię powtarzać ten mój sylogizm: ani antologia, ani teologia, ale światologia (czyli egzystencja w komunikacji ze światem, elan vital wewnątrz świata). Jeżeli świadomość jest zawsze świadomością czegoś (a to nie jest jej „brak czegoś" tylko zasada życia), to egzystencja jest zawsze życiem w kierunku (we wspólnocie) z życiem innej egzystencji (immanencja=proces wymiany= transcendencja etyczna): braterstwo życia w obliczu zła, śmierci, nicości.

11 XII

Dochodzi 20.00. Będą zmiany: samorządowe wybory w marcu 2015, podobno z funkcji rezygnuje dobrze nam w Olsztynie znany i ceniony długoletni przewodniczący Claudy Lebreton (PS) i jego zastępca ds. współpracy międzynarodowej. Rano spotkanie z nowo mianowanym dyrektorem departamentu międzynarodowego: pada propozycja zaproszenia nowych radnych przyszłego zgromadzenia departamentu (odpowiednik naszego sejmiku wojewódzkiego) na Warmię i Mazury, żeby im przedstawić nasze wspólne osiągnięcia (bo rzeczywiście utrwaliły na kilku poziomach od samorządowych i oficjalnych, przez rolnicze i zawodowe po liczne organizacje pozarządowe, amatorską i wysoką kulturę oraz oświatę i edukację). Później wspólne posiedzenie z przedstawicielami krajów/krain zaprzyjaźnionych. Tym razem (wcześniej z Mali i Tunezją) z dwoma czarnoskórymi przedstawicielami Nigeru: jeden okazał się Tuaregiem i wystąpił w stroju etnicznym. Przystojny, wysoki, szczupły młody i rozluźniony mężczyzna. Pięknie się uśmiechał. Przestawił się jako „umiarkowany muzułmanin" więc pozdrowiłem go jako „umiarkowany ateista". Mają konkretne wspólne plany: poszukiwanie źródeł wody, kopanie studzien na pustyni. Przy obiedzie opowiedziałem im o polskich Tatarach- muzułmanach, czym ich zadziwiłem zupełnie. Tuareg kilkakrotnie podkreślał, że jego pobratymcy z zasady potępiają przemoc, agresję w imię czystego islamu. Ale są u nich i radykałowie, a jakże…

Po południu długa i przyjacielska rozmowa z nieznanym mi wcześniej poetą młodego pokolenia Jéromem Ragot. Zna moje wiersze po francusku, oczywiście twórczość Kennetha White'a, zajmuje się poezją konkretną; obejrzałem jego teczkę z pracami, wstępnie zaproponowałem wystawę jego utworów „poetycko-plastycznych" w naszej galerii w 2016 roku (łatwo dostarczyć). Kolejna rozmowa była najtrudniejsza: ze znanym mi dyrektorem agencji artystycznej, takiej instytucji częściowo prywatnej, częściowo publicznej; chodziło mi o wsparcie inicjatyw literackich polsko-francuskich (tym razem się po raz pierwszy się nie powiodło i czułem, że dobra era współpracy i tu się kończy).

Kiedy tak trochę wałęsałem w czasie wolnym po uliczkach śródmieścia, natknąłem się na dwóch młodzieńców ubranych raczej lekko, ale w rękawiczkach. Przy sweterkach mieli plakietki „Elder" coś tam, coś tam,. Jeden z nich był południowym Koreańczykiem, a drugi Europejczykiem. Na tabliczce wiszącej nieco niżej informacja po angielsku, że reprezentują Kościół Zielonoświątkowców Dnia Ostatniego (?). Zaczepili mnie, więc opowiedziałem im, że byłem polskim księdzem, ale odszedłem od wiary, bo Bóg jest nieludzki, doprowadził do Gułagu i Shoah, a Kościół rzymskokatolicki jest materialistyczny itp. Zaskoczyłem ich niezmiernie – były polski ksiądz we Francji i to w Bretanii! – ale ustaliliśmy, że prawdziwe chrześcijaństwo to „miłość" i się rozeszliśmy w pokoju…

Wieczorem w knajpie ostatnie spotkanie, ale na luźnej stopie z przedsiębiorcą Hervé Le Rochem, któremu towarzyszy mój dobry znajomy krytyk literacki dr Yannick Pelletier – to znany autor książek o Bretanii i wybitnych autorach francusko-0bretońskich, jak Xavier Grall czy Louis Guilloux, kiedyś odwiedził z prelekcjami Olsztyn na moje zaproszenie. Dwa miesiące temu przeczytałem w „Ouest-France" artykuł o niecodziennym odkryciu w Lamballe. Otóż po śmierci nauczyciela literatury Marcela Dirona (1942-2009), kolegi Yannicka po fachu, odkryto w jego mieszkaniu 2.500 obrazów, a nikt nie wiedział, że ten nauczyciel w samotności uprawia malarstwo. Samotnik, bez auta i psa nawet. Pochodził spod Morlaix. Ojca stracił w czasie wojny w obozie niemieckim, po tym jak został złapany i oskarżony o podrabianie dokumentów dla strąconych nad okupowaną Francją lotników alianckich; był więc bohaterem, ale matka nic mu o ojcu nie mówiła, dopiero sam po latach się dowiedział. Nie znał dziadka, ojca ojca, który również zginął, ale podczas I wojny w okopach. Taki ciąg, a i matka też była sierotą. Jej milczenia nie mógł przeboleć.

Zaczął od obrazów kubistycznych i w ogóle od deformacji, w ogóle malowanie stało się jego czynnością terapeutyczną. Po śmierci matki wybierał tematy weselsze, ale to, co malował, odnosiło się zawsze do kanonu malarstwa XIX-wiecznego i przede wszystkim XX-wiecznego: od kubistów przez fowistów po naśladowanie Bacona. Pokazano mi kilka zdjęć, trudno zawyrokować, trzeba zobaczyć oryginały. Obrazy przez dalszą rodzinę zostały wystawione na byle jaką sprzedaż, dowiedział się o tym nasz przedsiębiorca, pojechał i zauroczony kupił na pniu to, co tam było wystawione tego „zapoznanego geniusza". Ma powstać wielka retrospektywna wystawa; tyle obiecałem, że ją zobaczę albo ktoś z moich tutejszych znawców i znajomych, którym ufam, i ewentualnie będziemy działać dalej…(wystawa w Olsztynie?).

Pożegnaliśmy się na placu de Gaulle-'a, a Hervé Le Roch wskazał ręką budynki merostwa, rady generalnej departamentu, prefektury i rzekł: „Francja jest bogata, tylko za dużo tych biurokratów wokół".

Ten przystojny Tuareg w turbanie i szacie: wąski wąsik, lekki zarost na ciemnej (ale nie „murzyńskiej") i pociągłej twarzy, uśmiech odsłaniał jego piękne zęby. W tym uśmiechu przypominał mi licealnego kolegę z dawnych lat… Nawet wyższy ode mnie w tym misternym turbanie. Postaliśmy na osobności na progu biura, patrząc na ciemną katedrę, wymieniając kilka uprzejmych słów. Wracają w tę niedzielę, mieszka na Saharze, ale bliżej już Algierii, woda to życie.

12 XII, piątek

Rano skończyłem 62 lata. Teraz jest 22.00; leje i lalo przez prawie cały ciepły dzień. Rano najważniejsze spotkanie poświęcone współfinansowaniu naszej współpracy w latach najbliższych – rok 2016 niepewny, szykują się wybory, a długo sprawująca władze rada i zarząd (z Partii Socjalistycznej) nie są pewni reelekcji.

Czasy się zmieniły, mamy programy europejskie, co wykorzystujemy, to prawda, ale kultura wysoka, moje oczko w głowie, powolutku ginie z opcji współpracy dwustronnej . Pozostał ten przyszłoroczny festiwal literacki w Binic z naszym udziałem. Sympatyczne i wiążące rozmowy o tym przy stole w knajpie w ładnym nadmorskim miasteczku ze stowarzyszeniem literackim. Znam dobrze to skaliste wybrzeże, zaprosiła nas tutaj kiedyś, mnie i żonę Ko-Hankę, Ewa Kubasiewicz-Houée.

Wieczorem krótka jazda do Plooufragan, tam w lokalnym ośrodku kultury i sportu prezentuję wraz z Frédérique Laurent, tłumaczką, Yves Prié, wydawcą, mój obszerny tom wierszy wybranych „L'Atlantide du Nord". Kilkanaście osób z naszego stowarzyszenia (w tym Bernard i Danièle Plouzennec) oraz niespodziewany gość Benez Tangi, poeta, bard bretoński, z którym się zaprzyjaźniłem, któremu kiedyś towarzyszyłem na występach poetycko-muzycznych w Polsce. Bernez jest autorem kilku bardzo ekspresyjnie napisanych tomików poetyckich, piosenkarz (pieśniarz) bretoński, współzałożyciel pierwszej grupy rokowej Storlok (1978). Treść jego utworów jest szalenie osobista i psychodeliczna, nasycona współczesną popkulturą i celtyckim dziedzictwem i bretońską tożsamością – niezwykły amalgamat, a gdy doda się do tego ochrypły głos, rozwiany siwy włos, akompaniament basowej gitary – to występ czarnoksiężnika Merlin jak się patrzy!

Yves Prié, poeta i wydawca, w dyskusji odniósł się do planowanych zmian na mapie regionów Francji, które zostaną powiększone terytorialnie, ale zmniejszone liczbowo, i tak historyczno-geograficzny region Bretania nie zostanie połączony z dawną stolicą w Nantes i jej regionem Pays de la Loire, a szkoda, bo to byłaby szansa na powstrzymanie narastającej fali prawicy oraz nacjonalizmu bretońskiego; w ogóle Bretania i tak jest uprzywilejowana, a startowała z niskiego pułapu rozwoju gospodarczego, w stosunku do innych regionów.

13 XII

Dochodzi godz. 19.00. Powrót. W radzie departamentu odbyło się ważne spotkanie radnych ze wszystkimi lokalnymi organizacjami pozarządowymi, a jest ich dużo, w tym co najmniej cztery międzynarodowe (z partnerskimi lokalizacjami w Tunezji, Mali, Nigrze, Belgii, Wietnamie, Polsce – Warmia i Mazury). Towarzyszyłem też Fryderyce Laurent w długim zwiedzaniu miasta (aż do portu). .Jej babcia ze strony matki nazywała się Leśniewicz i pochodziła z Łodzi. Pracowała jako tkaczka i przed II wojną światową wraz z innymi robotnicami wyjechała do Alzacji francuskiej do podobnej pracy w tkalni. Tam wyszła za mąż za Włocha, na czas wojny osiedlili się w Tulonie, potem wrócili do Alzacji, żeby na koniec przenieść się pod Paryż. Fryderyka dzisiaj obchodzi urodziny. Wręczyłem mały, ale ładny linoryt Barbary Lis-Romańczukowej. Moim zdaniem jej tłumaczenia poezji są wyjątkowo precyzyjne i doskonałe pod względem warsztatowym. Jeżeli chodzi o nagrodę Nobla dla francuskiego powieściopisarza Mondiano, uważa że to pomyłka.

Opowiadałem jej o mojej fascynacji twórczością filozoficzno-literacką Kennetha White;a, szkockiego myśliciela, wykładowcy, poety i pisarza, twórcy m.in. pojęcia geopoetyki, który mieszka niedaleko stąd, bo pod Lannion. Uważam, ze White, który odrzuca wpływ na swoje myślenie słynnego filozofa Gilles Deleuza (1925-1995) raczej nie ma racji, ponieważ ten ostatni powtarzał za Nietzschem, że musi być zachowane „przymierze z z/Ziemią", że symbolami zmian są nomadzi, którzy nie są z historii, lecz „z geografii". Oczywiście, Deleuze jest bardziej skomplikowany i oryginalny, a White „prostszy" i literacki, a jego geopoetyka (sam coś takiego stworzyłem dla swojej poezji jako metafizyka miejsca) wynika z w równym stopniu z doświadczenia beat generation (twórczość i poglądy Gary Snydera związane z ekologią i buddyzmem) jak i z przemyśleń własnych i to naprawdę głębokich. Zresztą lubię to łączenie eksploracji miejsca/świata/ przyrody za pomocą epifanijnej prozo-poezji, sam przecież uprawiam reportaż poetycki, ale u mnie ważne jest doświadczenie historyczne XX wieku…

Na spacerze spotkaliśmy kilku SDF, czyli bezdomnych (wiem, że jeden dawno temu przybył aż tutaj z Polski, zapamiętał albo tylko tak udaje, kilka słów typu" „kurwa, chuj") oraz trzech pijaków w czapkach św. Mikołaja (czas przedświąteczny). Wszyscy głośni, ale niegroźni. We Francji więcej niż w Polsce na ulicach i nie tylko przecież wi-→

dać „odmieńców", ludzi na wózkach, inwalidów, chorych, wiekowych staruszków…; nic w tym ani wstydliwego, ani upokarzającego, jest akceptacja i szacunek – to lekcja do przyswojenia.

14 XII, niedziela

Wczoraj kolacja u kochanych Bernarda i Danieli Plouzennec, a dzisiaj rano wyjazd z Bernardem w objazd jego ojczystej krainy, zgodnie z wieloletnim już zwyczajem. Zapiski po drodze i po powrocie.

Miasteczko Guingamp ze znanym mi dobrze olbrzymim romańsko-gotyckim kościołem. Zdziwienie: na mszy dużo wiernych. To jedno z serc Bretanii katolickiej. Spacer malutką starówką. Jedziemy na południe do już słynnej Vallée des Saints: Doliny Świętych (w gminie Carnoët). Ktoś wpadł na pomysł, żeby na wzgórzu, w środku wiejskiego krajobrazu, ustawić rzędy monumentalnych posągów (legendarnych) świętych bretońskich. Ma być tysiąc, a na razie jest pięćdziesiąt. To święci tutejsi, wcale nieuznawani przez Rzym, lecz uznawani za takich przez podania celtycko-bretońskie i opowieści mniej lub bardziej historyczne. Na głowie wzgórza obronny szaniec obozu rzymskiego, a wcześniej podobno miejsce biesiad druidycznych. Poniżej śliczna, chociaż w latach 60. okradziona, kaplica św. Gildasa. Święty ten chronił bydło od wszelakiej choroby, a ludzi od szaleństwa.

Pofałdowana ziemia rolnicza, bezleśna. Miedze zwane bocages. Duże panoramy. Krowy białe i czarno-białe. Dużo kosów i szpaków. Spora kamienna wioska St-Nicolas-du-Pélem. Gdzieś niedaleko ślady dróg i umocnień po Galach i Rzymianach. Przy rynku wspaniały renesansowy dwór szlachecki /manoir z parkiem. Przy kościele świąteczny festyn: na słońcu jest naprawdę ciepło, ludzie się grupują, dyskutują, sprzedają. kupują; widać że się znają i szanują.

Powrót przez średniowieczne miasteczko Quintin: zamek nad stawem, neogotycka bazylika, świątynia, budynek kapituły, szachulcowe domki; takie zabytkowe i malownicze miasteczka, dbające o swój wygląd i turystyczne atrakcje noszą nazwę miast z charakterem: „ Les Petites Cités de Caractére". W Côtes d'Armor jest ich kilka, w tym najpiękniejsze to zapewne Dinan i Moncontour. W tych i innych miasteczkach pomieszkiwali polscy emigranci po powstaniu listopadowym. Nie było ich w Bretanii dużo, ale jednak, w tym kapitan…Kazimierz Brakoniecki, który w ostateczności wyprowadził się aż pod Bordeaux.

Po drodze zauważyłem ponadto, że Saint-Brieuc pojawiły się nowe inwestycje i budynki w przemysłowej strefie miasta. Nasze blokowiska przy tutejszych przyzwoitych blokach zawsze prezentowały się szkaradnie, mieszkam dalej w takim na osiedlu Jaroty, ale już w ulepszonym.

Wieczór samotnie w domku, odczuwam zmęczenie. Trochę lektury. Douglas Adams: „The Restaurant at the End of the Universe" (2008): „Pewna opowieść mówi, że gdyby ktoś odkrył sens wszechświata i przyczynę dlaczego jest tak a nie inaczej, to wszechświat ten zniknąłby natychmiast i zostałby zastąpiony przez jeszcze bardziej dziwny i niewytłumaczalny wszechświat. Jest też teoria, która powiada, że już to się stało".

15 XII, poniedziałek, 16 XII wtorek

W porannym pociągu powrotnym do Paryża. Wiosennie, na początku widziałem kawałek płaszczyzny wód kanału La Manche. Rennes i coraz szybciej dalej. Z centrum Paryża dotarłem do Chatou – miałem problem ze znalezieniem ulicy i domku Fryderyki i Eryka, ale się udało – i prawie zaraz z powrotem kolejką A i metrem do Dzielnicy Łacińskiej. Zaczął padać deszcz, błyski świateł, reklam, samochody, autobusy, tłum świąteczny w poszukiwaniu prezentów. Jak co roku. Wieczorny posiłek długi i przyjacielski, dużo oglądaliśmy albumów o regionach Francji. Mieszkają w szeregowym, piętrowym domku z ogrodem, w którym rośnie piękna brzoza i przywabia ptaki. Miniaturka przyrody jak w ogrodzie japońskim. Dom inteligencki, dobrze się w nim czułem. Rano po śniadaniu dojrzałem ze wzgórza nowoczesną dzielnicę Défense. Widać także w nocy rozświetloną Tour Eiffel. Chatou było ulubionym miastem malarzy impresjonistów, zajrzeliśmy nad Sekwanę i słynną wyspę malarzy. I wypad na długie wałęsanie (flaneurowanie) po Paryżu począwszy od ulicy La Seine, Université, Zgromadzenie Narodowe, a następnie przez most do placu Concorde, bulwarami do dzielnicy Marais (którą kiedyś tak polubiłem).

Setki twarzy, setki sylwetek. Turyści, ale nie tylko. Słońce też się pojawiało. Mocarpy na kawę właściwie po to, aby skorzystać z toalety. Obiecuję sobie: żadnych książek! Ale i tak u bukinisty nad Sekwaną kupiłem jedną o buncie synów przeciwko ojcom (autor Gérard Mendel, 6 euro). I wreszcie stoję przed kamienicą w sektorze Saint-Paul, ulica Beautreillis 12 – tu mieszkała Lotus, tu też i ja kilka razy przemieszkałem, wysoki budynek pięknie odnowiony, to teraz bogata lokalizacja. Dobry wieczór!

W metrze Chatelet-Les Halles trzech czarnoskórych muzyków wybija dzikie rytmy na bębnach. Jak w dżungli, bo miasto to dżungla. Potoki ludzi, hałasy mechanicz-

na Sekwana, statki na niej, policja wodna. Ścisk na jezdniach. Brak miejsc do parkowania. Kobiety mniej liczne na ulicach, za to dużo trzęsących się i ładnie ubranych staruszek (starców jak na lekarstwo). Sporo mężczyzn w sile wieku, ale nade wszystko tysiące nastolatek z całego świata. Dużo budynków w trakcie rewitalizacji. Młodzi mają słuchawki na uszach, rozmawiają lub wpatrują się w komórki. Zachodzę do knaj-

Stefan Chwin

ne, rytm miasta i losu. To porywa, wciąga, zatraca.

17 XII

Do północy rozmawialiśmy przy stole o… Rosji, Ukrainie, co będzie. Fryderyka mówi, że po raz pierwszy wykształceni Francuzi zaczęli poważnie niepokoić się mitem „świętej Rosji" i jej imperialnymi zapędami. Ale generalnie jest to „coś" daleko i jest „niejasne" dla

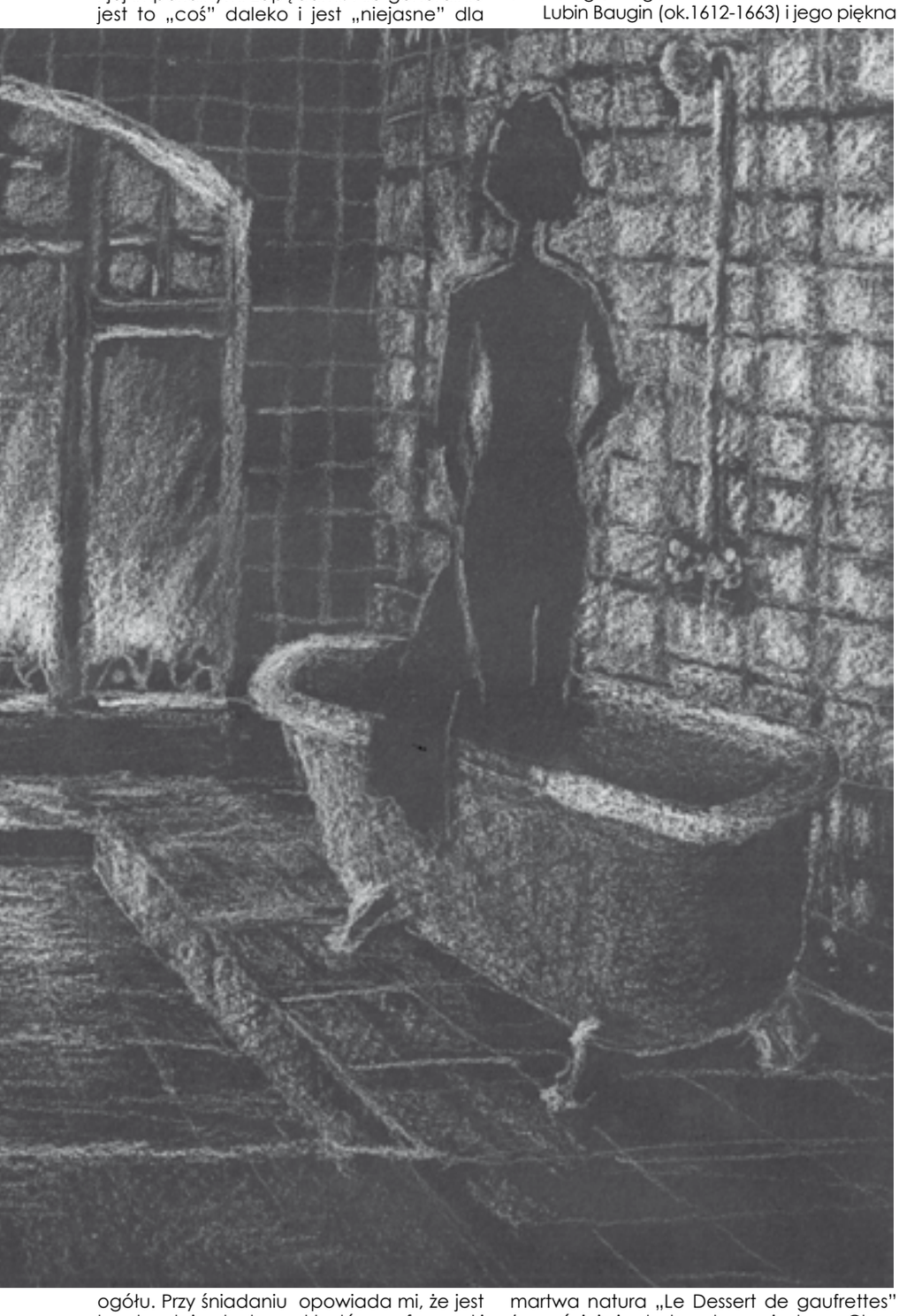

ogółu. Przy śniadaniu opowiada mi, że jest bardzo dużo złych przekładów na francuski klasyków literatury, także dzieł filozoficznych, np.… samego Nietzschego. Jest kilka wersji, a żadna dobra, ponieważ tłumacze najczęściej są filozofami, ale nie znają dogłębnie języka niemieckiego. W ogóle dużo zmieniają w tekstach oryginalnych, skracają, a nawet od siebie dodając to i owo, wcale się tym nie przejmując.

Jest 14.00, siedzę przed kolekcją malarstwa francuskiego; studiuję martwą naturę, uwielbiam to. Wcześniej w deszczu łaziłem po starych halach: Forum Halles, to teraz olbrzymia galeria handlowa (w tym kino i księgarnia FNAC). Zaglądałem do pasaży (wspomnienie o Baudelairze, Benjaminie etc.). Łazik, flâneur, Kazik. Pokusy, obrazy, idee, pokarmy, podniety, myśli, zachwyty, odrazy, fantazje, empiria i imperia oczu. Poezja to doświadczenie fizyczno-duchowe. To po-etyka metafizycznego doświadczenia światologicznego.

Lubin Baugin (ok.1612-1663) i jego piękna martwa natura „Le Dessert de gaufrettes" (wcześniej nie dostrzegłem; wiadomo Chardin i tyle). Romantyczne konie Th. Géricaulta są jednak mniej realistyczne niż konie Piotra Michałowskiego. I jeszcze Henri-Horace-Roland Delaporte (ok.1724/5-1793) i jego „La Petite Coallation" (1787). Malarze zauważeni przez Diderota, który okazał się znakomitym krytykiem sztuki jak i później Baudelaire. Na salach włoskich więcej zwiedzających. Oczywiście odwiedzam cudowne i różniące się od siebie, a jednak tak i tak magiczne, weduty Wenecji Gaudiego i Canaletta. Czuję, że się definitywnie żegnam. Nawet jak będę jeszcze kiedyś w Paryżu, to na pewno nie w Luwrze. W muzealnej księgarni ogromne zasoby książek, albumów, katalogów. Aż brakuje powietrza. Albo po prostu zazdrość, że poza zasięgiem kupna.

19.40 na stacji metra pod Łukiem Triumfalnym. Przeszedłem się świątecznymi Polami Elizejskimi (Champs-Elysées). Na ulistnionych jeszcze platanach świątecznie mrugające światełka. Kramy od strony Concorde. Bałwan to św. Mikołaj, a obok uzbrojeni żołnierze. Głos bałwana- Mikołaja pyta: Czy dzieci były grzeczne, tłum słabo odpowiada. Żołnierze się rozglądają. Mokro. W tłumie teraz więcej kobiet przy kramach. Raptem pojawił się kilku czterdziestoletnich mężczyzn, jeden z nich zawołał po polsku: Co to kurwa strajk? I skręcili, i zniknęli, nie wiedząc, że to rolnicv z Normandii zaczęli wyładowywać swoje produkty przy kramach na sprzedaż.

Zajrzałem na piwo do pubu, kupiłem „Le Monde" ze względu na nagłówek: Początek paniki w Moskwie (Dëbut de panique)- rubel spada na łeb na szyję! Czyżby Putin stanął na równi pochyłej po aneksji Krymu? Oby!

Langwedocja,
2- 8 października 2023

W pociągu Tuluza-Albi- Rodez.

Lokalny pociąg, podobnie jak w Polsce, wypełniony jest młodymi ludźmi, emerytami oraz turystami (też w większości starszych: zresztą więcej Francuzów niż obcokrajowców – jest dawno poza sezonem). Na wprost mnie siedzi zniszczony, wątły, niewysoki mężczyzna, którego wygląd zupełnie nie pasuje do otoczenia. Ma twarz jak pomarszczoną, oliwkową maskę z brudnego gipsu, czarne i podstrzyżone do góry włosy, cienkie ręce zakończone wielkimi, aż okropnymi dłońmi, na ramionach i knykciach ma tatuaże (ale są to znaki więzienne, a nie modne rysuneczki), ślina mu wypływa z otwartych ust – śpi, nerwowo podrzuca to ręką, to nogą, budzi się, ociera usta dłonią. Nie potrafię odgadnąć, ile ma lat: 60 albo i 70. Ja mam prawie 71 i jestem uprzywilejowanym turystą, zdrowym facetem, w każdym razie w porównaniu z tym zniszczonym alkoholem, trybem życia, wyczerpanym, a może i chorym mężczyzną. Podchodzi kontroler. On nie ma biletu, spokojnie podaje swoje dane, nie przejmuje się, jakby i tak nie mogli go dosięgnąć karami, bo nie ma stałego adresu. Podaje rok urodzenia: 1970, a więc ma 53 lata, nie wierzę. Niewiarygodne. Na stoliku leży pudełko taniej gry video typu „Kamuflaż" z namalowanym kameleonem. Wiezie prezent dla syna albo wnuka. Powtarza spokojnie „merci, monsieur", jak mu kontroler wypisuje i podaje świstek papieru, który wciska do kieszeni obszernych, z naszytymi kieszeniami, niebieskich dżinsów. Odwraca się, zasypia, te wiele mówiące i niedomyte dłonie robotnika fizycznego jak brony spoczywają na jałowych udach, jak zmęczone narzędzia. Przychodzi mi na myśl takie brzydkie słowo: ogryzek człowieka, przepraszam, ale pasuje. Na moim blokowisku niemało jest pijaków i obiboków, a kiedyś było ich więcej, w tym również „szybkich" po milicji i wojsku emerytów, którzy jeśli nie zajęli się działką, myślistwem, rodziną, ochroną, to znaleźli schronienie w osiedlowym sklepiku i pobliskim lasku w towarzystwie sobie podobnych miłośników papierosów, piwa i małpek. Ale ten zniszczony facet wyszedł ze swojego kręgu i jest na widoku w „normalnym świecie", rani, wzbudza litość, niedowierzanie, obojętność. To „przypadek".

Dziwne uczucie, wielokroć we Francji natykałem się na bezdomnych, wykluczo- →

nych, że nie wspomnę kloszardów paryskich a ani tym bardziej kolorowych imigrantów, np. w Pas-de-Calais, oczekujących w parku i nad wodą okazji na ucieczkę dalej przez kanał La Manche do zbawczej Anglii. Najczęściej i ja byłem tym obcokrajowcem, turystą albo zaproszonym gościem drugiej kategorii, który musiał uważać, gdzie i za ile śpi, je albo liczy na gest znajomych. Inaczej było, jak jechałem służbowo na tydzień do Bretanii. Wtedy za zaoszczędzone diety pobytowe mogłem jeszcze kilka dni w drodze powrotnej zatrzymać się u przyjaciół pod Paryżem i odwiedzić kilka muzeów, powałęsać się godzinami po ulicach (poflanerować). Ale ten widok, oko w oko z członkiem społeczności z niższej półki autochtonicznej Francji mnie zdumiał, wzbudził współczucie, zastanowił. W Tuluzie, chociaż nie tak jak w Marsylii, zwalczają się ostro narkotykowe gangi, podrzucane są noworodki na śmietniska, Francja ma najwyższy procentowo wskaźnik więźniów w stosunku do populacji w Unii Europejskiej, kilkadziesiąt kobiet rocznie ginie z rąk partnerów – nie jest to słodka Francja, la douce France..., a przecież spokojnie chodzę wieczorami po ulicach, ale nie dłużej niż do 22.00, zresztą w śródmieściu i po starówce...Tuluza mi się podoba, to aglomeracja, stolica historycznego regionu możnych i mocarnych hrabiów Tuluzy, którzy przez dziesięciolecia w średniowieczu samodzielnie w Langwedocji panowali, a obecnie potężny i nowoczesny ośrodek przemysłowy, administracyjny, uniwersytecki.

Nie przyjechałem tutaj śladem katarów-albigensów, zresztą nie spotkałem po drodze żadnych po nich szczególnych pamiątek, w samej Tuluzie stoi majestatyczny klasztor dominikanów, ich pogromców i inkwizytorów, w którym znajduje się relikwiarz św. Tomasza z Akwinu. Kiedy go zwiedzałem dwa dni temu w południe zawyły syreny, nieliczni, i to głównie francuscy, turyści w zdumieniu zamarli. Głośno powiedziałem: o, Francja przygotowuje się do wojny z Rosją? Popatrzono na mnie podejrzliwie i niepewnie.

Biskupie miasto Albi, teraz liczące, jak większość stolic licznych departamentów we Francji, około 50 tys. mieszkańców, może zaskoczyć ciepłą, jasno-żółtawą, ceglaną czerwienią domostw, zabytków. Olbrzymia – z jedną wieżą, podobno największa w Europie, a może i na świecie, ceglana katedra Sainte-Cécile – robi wrażenie: co za majestatyczne i zarazem przyjemne piękno, obłe a nie kanciaste! Wysoki korpus świątyni oblatują jaskółki, które Polskę opuszczają w połowie sierpnia. Wnętrze kościoła chroni wyjątkową, średniowieczną polichromię poniżej chóru muzycznego – to „atrakcyjnie" przedstawiony wielki i poruszający (ale nie współczesne sumienie, lecz oczy) sąd ostateczny. Poniżej katedry świeci ciepłem cegieł mniejszy zabytek, to pałac biskupi, w którym pokazywane są zbiory Toulouse-Lautreca. Tu się urodził i wychował. Zwiedzam zbiory, ale wyglądam częściej na rzekę Tarn, teraz nieco wysuszoną, która płynie w pobliżu, widać też piękny ogród francuski. W śródmieściu nieco schowany w szpaler domów kościół klasztorny, w którym na dziedzicu pod arkadami przycupnąłem, chowając się przed prażącym słońcem (początek jesieni, a jest 30 stopni), kluczę uliczkami, żeby trafić do nowszej części miasta. Przystaję przy starym kamiennym moście, dostrzegam z boku na placyku obelisk, odczytuję listę patriotów i znajduję polskie nazwiska. W Albi i okolicach w I połowie XX stulecia osiedliło się dużo Polaków, którzy zatrudnieni znaleźli w kopalniach, a podczas drugiej wojny światowej uczestniczyli w ruchu oporu. Sami etniczni Francuzi nie kwapili się do partyzantki, i tak późno działającej, więcej było w niej imigrantów (np. republikańskich Hiszpanów, polskich ochotników-robotników), a następnie komunistów (wcześniej komuniści sowieccy nie mogli być antyniemieccy, skoro ZSRR kumplował z III Rzeszą). Na placu święto ludowe, strażacy przygotowali festyn, kapela gra, starsze osoby wolno tańczą, młodzież szkolna przygląda się życzliwie. Znajduję jedną i to w miarę dobrą księgarnię (o to we Francji prowincjonalnej coraz trudniej), w komputerze sprawdzam, komu przyznano literacką nagrodę Nobla: Norweg Jon Fosse. Wiem, kto to jest, ale niczego nie czytałem. Wracam na stare uliczki i pod stare domy, które żyją latem z turystyki. Wszystko jest podporządkowane sezonowi. Po godzinie piętnastej knajpy zamknięte (poza oczywiście „szybkojadaczami"), podjadam sandwich w jakimś barze, cicho i pusto na bocznych uliczkach, tu i ówdzie przysiaduję, wracam na plac pod katedrą i kontempluję śmieszną, ciepłą, cichą, ceglaną wieżę. Niebo jest niebieskie i kameralne. Pojedyncze uczennice wracają do domów, drewniane żaluzje zamknięte. Trzeba uważać na jazdę dostawców. Powrót okrężnymi ulicami na stację. Słońce operuje na zachodzie, tutaj później zachodzi. Zaszedłem tak daleko na przedmieścia, że musiałem poprosić o wskazanie drogi. Kobieta właśnie wyszła na jogging, podprowadziła mnie w odpowiednią stronę: codziennie wieczorem biega kilkanaście kilometrów, dobrze jej to robi, mieszka z mężem, dzieci w Bordeaux... Na stacji masa młodych ludzi, wesołych, witających się i żegnających.

W Narbonne.

W pociągu: zarys Pirenejów na horyzoncie – widziany z okien pociągu – pojawił się przed Carcassone. Ziemia wysuszona, wzgórza podchodzą i odchodzą, pojawiają się pola winorośli. To już za Carcassone. Narbonne (Narbona) oddalona jest od Morza Śródziemnego kilkanaście kilometrów. Tłok w pociągu, tłok na stacji, prawie wyłącznie dziewczyny i młode kobiety. Samochody podjeżdżają i je odbierają, rodziny. Typowy biało otynkowany, niski, z zegarem dworzec, owija mnie bryza od morza, jest upał, inne światło, wstępuje we mnie radość, idę i czuję się szczęśliwy bez powodu – oczywiście jest powód: jestem tu pierwszy raz i rejestruję za pomocą zmysłów piękno chwili. Domy kamienne, nie ceglane, dominuje biały kolor. Inaczej się rozkłada w powietrzu i rzeczy świata tego tutejsze światło dzienne. Kanał Midi, barki na nim, jaka letnia atmosfera, ale dobrze że upał łamany jest lekką bryzą – da się wytrzymać, tym bardziej że są bulwary, platany, ławeczki, skwery, wąskie uliczki, do których nie zawsze dochodzi mocne słońce. Gotycki i przerabiany od XIII stulecia pałac arcybiskupów, w którym (wygląda jak forteca) znajduje się ratusz, muzeum, donjon, a obok katedra Saint-Just-et-Saint Pasteur, a właściwie – co z zaskoczony wewnątrz konstatuję – samo imponujące prezbiterium (reszty nie zdążono zbudować). Ciekawe zjawisko. Narbonne była pierwszym rzymskim miastem tej wielkości założonym w II w. przez Rzymian. Jednak nie znajduję w niej zachowanych reliktów, w niewielkim muzeum, jakby archeologicznym, niewiele mam antycznego do zwiedzania poza sklepionymi i ciemnymi piwnicami. Samo miasto podoba mi się, łażę po nim kilka godzin z przyjemnością i bardziej mnie interesują ludzie (więcej osób kolorowych) niż zabytki, a kiedyś było odwrotnie. Po raz kolejny docieram na skwer koło katedry i siadam w cieniu obok starszej kobiety, a jak się wydaje młodszej ode mnie o lat kilka listonoszki na emeryturze: mieszka od niedawna w Narbonne, wcześniej mieszkała na wsi kilkadziesiąt kilometrów na północ (tam na wyżynie to dopiero gorąc). Chwali sobie to miasto, nie jest za duże, ceny nie są, w tym czynsz, wygórowane, z mężem uczestniczyła w różnych protestach lewicowego związku CGT, jakość życia we Francji się pogarsza, a szczególnie służby zdrowia, co w jej wieku istotne, ponieważ kolejki do specjalistów się wydłużają. Żółte ściany katedry skąpane w słońcu, my w cieniu murów miejskich. W sierpniu 1940 roku przebywał w Narbonne i Carcasonne zachwycony miejscem i ludźmi Andrzej Bobkowski, przeżywał tutaj przyjemne i piękne chwile w cieniu klęski Francji. Ja też idę ulicami Narbonne i czuję się dziwnie wzruszony bez żadnego powodu, chyba że dlatego że tu dotarłem, że jestem, że mam kilka dni natchnionych, że nic nie muszę, nawet zwiedzać zabytków, po prostu idę, przystaję, popatruję, czuję siebie i otocznie, jestem jak owładnięty jakaś taką życzliwością powietrza, wiatru, widoków, zmysłowości poszczególnych chwil i piękna miejsca, że pojawiają się mi łzy w oczach ze szczęścia.

W Carcassone

Ponownie kierunek wschodni, ale w połowie drogi tym razem wysiadam w Carcassone, to słynne średniowieczne miasteczko z twierdzą, którą trzeba zobaczyć, jak Mont Saint-Michel na granicy Normandii-Bretanii. Historyczne centrum katarów pokonane w I połowie XIII w. przez wyprawy krzyżowe wojska francusko-papieskiego. Hrabiowie Tuluzy długo walczyli po stronie katarów (albigensów). Klęska to zwycięstwo inkwizycji, powstanie zakonu dominikanów, który zwalcza terrorem manichejską herezję, odrzucającą większość dogmatów katolickich. Katar, grec. katharos, to czysty, sprawiedliwy, doskonały; w tej religii Bóg był nieobecny, panowała walka materii z duchem, zła z dobrem, ciało i materia były przeklęte, wojna zakazana, nie było piekła; albigensi nazywali sami siebie „dobrymi ludźmi", tak jak po grecku nowy testament to dobra nowina. Społeczeństwo dzieliło się na czystych, doskonałych, i na resztę społeczeństwa, które musiało uczestniczyć w materialnej stroni tego przeklętego życia. W katolickiej młodości byłem nieświadomym wyznawca manicheizmu, skoro brzydziłem się ciałem i materią. Najsłynniejszym manichejczykiem był w młodości św. Augustyn.

Wąskie uliczki, biało otynkowane domu, żar ze słonecznych niebios, niektóre domy opuszczone. Główną trasą przez miasto do twierdzy podążają liczni turyści, ale ja na godzinę kryję się w Café de la Comedie, aby wreszcie po kilku dniach „zimnych" zjeść coś ciepłego. W środku zaledwie jedna osoba, na zewnątrz bawi kilka. Ta jedna to podstarzała kobieta, wymalowana i pretensjonalnie wystrojona, umalowane usta, włosy spięte z tyłu, pije wino i głośno do siebie mówi, a raczej nuci i komentuje. Od czasu do czasu rzuca się na środek sali i tańczy, ma chore nogi, jest słaba i przecież smutna. Prawdopodobnie „bywsza dama lekkich obyczajów". Intryguje mnie. Jak z wiersza Wata. Siadam niedaleko od jej stolika i rozpoczynamy rozmowę. Okazuje się, że jest z Paryża, nuci w przerwie rozmowy niegdysiejsze przeboje, idzie na środek i tańczy, „lubi" Polaków, poznała kilku, zaczepia właściciela, on żartem odpowiada, wpada tu na lampkę wina codziennie, z torebki wyjmuje monety, płaci, wychodzi, a ja kończę swoje ciepłe danie (ziemniaki, mięso, gotowane warzywa), wychodzę na ulice, potem na wysypany

żwirkiem bulwar, a następnie przechodzę przez duży most przerzucony nad płytką rzeką i dalej cierpliwie podążam pod górę w kierunku warowni. Skwar popołudniowy i tłok na uliczkach prowadzących na obronne wzgórze, gdzie stoją zamek i kościół w objęciu warownym (budowa i rozbudowa od VIII w. do XIII). Pasmo trzech grubych i wysokich murów obronnych, potężne baszty, forteca nie do zdobycia. Zaglądam do katedry, wałęsam się wzdłuż murów, patrzę na „miasteczko" za rzeką, nie zachodzę do wnętrza fortecy. Tłum się gości w licznych restauracjach, latem musi to być turystyczny kociokwik. Siedzę we wnęce, ruch jest olbrzymi w środku, ale przy zewnętrznych obwarowaniach pusto. Wspominam mury i kościoły średniowiecznego Chełmna, warownię krzyżacką w Malborku. Idę się przejść po starym cmentarzu gęsto zamurowanym rodzinnymi grobowcami. Na jednej fotografii dziewczynka w stroju do komunii z XIXw.. Schodzi się szybciej wąską uliczką, wreszcie rzeka i miasto, a w nim różne mniej lub bardziej zabytkowe budowle (są i podniszczone i naprawiane), biel tynków, łagodna czerwień cegieł. W śródmieściu drzemie wciśnięta w kamienice smutna i pusta katedra Saint-Vincent. Zajmuje mnie obraz „Ostatnia wieczerza" – młodziutki Jan o dziecięcej, okrągłej twarzy opiera głowę o ramię brodatego i zamyślonego Jezusa. Przed nim na stole kielich i półmisek z dziwacznym daniem (jak stworkiem). Płótno podziurawione w kilku miejscach. Rewolucja francuska mocno przetrzebiła wyposażenie kościołów katolickich. Przechodzę koło dawno temu opuszczonej księgarni – antykwariatu „L'Amateur de Livres" w mocno poszkodowanej kamienicy. Przy stacji kanał, a na nim jachty, stateczki turystyczne. Kanał łączący Morze Śródziemne z południowym Atlantykiem pełnił ważne funkcje w XIX stuleciu do czasu rozwoju kolejnictwa, obecnie od bardzo dawna służy jako wyłącznie atrakcja turystyczna. Wczesnym wieczorem cudowne ciepło.

I ponownie Tuluza

Trzy dni wędrówek po Tuluzie. Zwiedzanie, zaglądanie do galerii, muzeów, księgarń, kościołów, dwa razy w kinie, ulice, skwery, mosty, bardzo mi się Tuluza podoba, w dzień mnóstwo młodzież szkolnej, niezwykłej urody bazylika romańska, taki tort ceglany z nawarstwiającymi się kaplicami i śmieszną wieżą, a wszystko z czerwonawej cegły, jak zresztą cała zabudowa miejska – od jej placu wyruszam za spacery do centrum, nad rzekę, do katedry Saint-Etienne, w której raz odbywał się uroczysty pogrzeb (mnóstwo ludzi w typie śródziemnomorskim, mężczyźni całujący przy powitaniu mężczyzn), w niedzielę w kaplicy msza łacińska (łacina, kapłan stoi odwrócony do wiernych), w której uczestniczy kilkadziesiąt osób, w tym młodzi rodzice z maluchami; ponownie wirydarz klasztoru dominikanów (romańskie głowice kolumn), wysypujące się dzieci z gimnazjum o różnych kolorach skóry, pisuary nad rzeką (wysokie do połowy sikającego!), tabliczki z nazwami ulic po francusku i oksytańsku (jestem przecież w Langwedocji, w potężnym onegdaj hrabstwie Tuluzy, Oksytanii, w kraju języka regionalnego oc, odmiany południowo-staroromańskiego, to w tym języku prowansalskim, spokrewnionym z katalońskim, średniowieczni trubadurzy pisali i śpiewali swoje miłosne pieśni dworskie). Francja dzieliła się na dwie strefy językowe regionalnej mowy starofrancuskiej (wywodzącej się z mówionej łaciny i podglebia celtyckiego czy germańskiego na północy; warto pamiętać, że Frankowie to plemię germańskie): d'oc na południu (od południowego Atlantyku po Niceę nad Morzem Śródziemnym) oraz d'oil na północy (z głównym miastem Paris), jedno i drugie słówko wywodziło się z przetwarzanej na ludowo łaciny i znaczyło tyle co potwierdzenie zdania/stanu rzeczy: „Tak, właśnie tak". Langwedocja, czyli Languedoc, to po prostu kraina języka (langue) d'oc.

Zaskakujące dla mnie było to, że bardziej sumiennie oglądałem ludzi, niźli zabytki w muzeach. Strasznie się zmieniłem, zestarzałem, chodząc po mieście, zaglądając na podwórza, do knajpek, zaułków, mostów, rozmyślając na ławkach, progach domów tu i ówdzie, siedząc na nadrzecznym bulwarze, słuchając ludzi i muzyków ulicznych myślałem często, ale bez grozy o tym starzeniu i o śmierci. Wiem, że tu nigdy niestety nie wrócę. Ani na dłużej, ani na krócej. C'est la vie… de la mort.

Kazimierz Brakoniecki

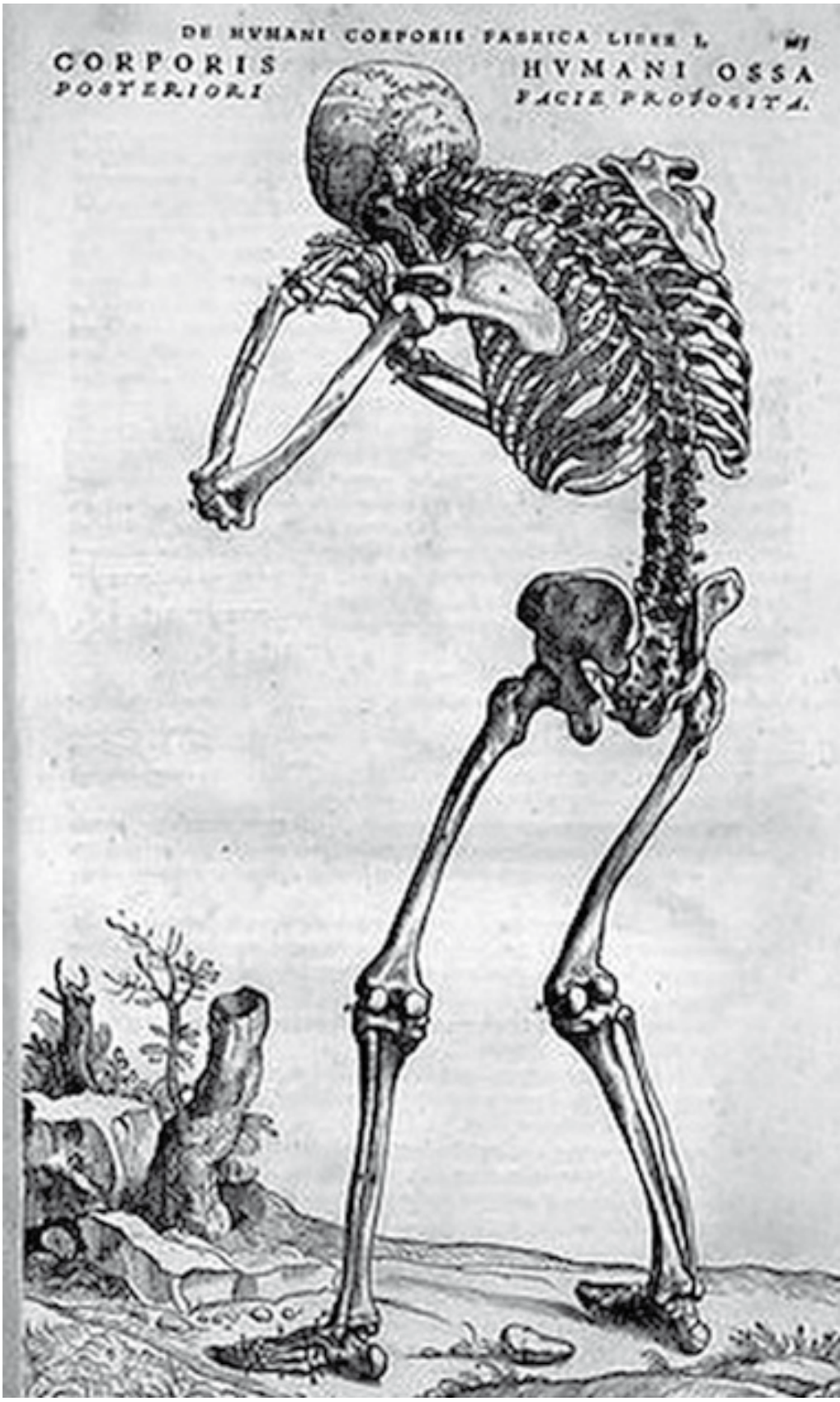

Anna Czekanowicz

rodzice

tym razem przyszli oboje
siedzą po dwóch stronach łóżka
ojej jaka jesteś stara to matka
dużo starsza to ojciec
jakoś tu pusto i cicho
noc taka ciemna jest noc
miałaś to mówi ojciec
zabiłaś człowieka
bzdura sprzeciwia się matka
boga się nie boisz mówi ojciec
i ludzi nie słuchasz
i bardzo dobrze mówi matka
jestem winna mówię
tak jestem winna
że was nie ocaliłam

syn

jest takie miejsce w ciele
w którym cię noszę
nie to nie ten brzuch
nie to nie to serce
nie nie to miejsce na ramieniu
nie w zębach które zagryzam
by nie wybuchnąć wyciem
suki której odebrano młode
to jest
źrenica
prawie zasklepiona
czarny punkt
gdzie nie dociera światło

jest takie miejsce w ciele
którego nie umiem nazwać
to miejsce
gdzie gromadzą się malutkie sikorki
jak na tym sznurku
ze spyrką
jak na sznurku

jest takie miejsce w ciele
gdzie nanizałam wszystkie rozpacze
zapachy śmiechu
pieszczotliwe muśnięcia
słodkie całusy

milczenie

miłość

zanim odpłynie milczy poharatana kotka z przetrąconą szczęką czołga się w głębokie trawy jeszcze oddycha jej napięte ciało drga w spazmach śmierci i narodzin trzy małe istnienia opuszczają cierpiące wnętrze i pewne swego wtulają się w futro na brzuchu ale ciało stygnie ale jeszcze je nakarmi

Eżbieta Juszczak

Piosenki o Ukrainie

Wiosna, ach wiosna

Wiosna, ach wiosna wszechogarniająca,
za chwilę, za chwilę przybędzie tu Maj.
Ogarnie nam wszystko i domy i niebo,
Urosną nam skrzydła, tak piękne jak raj.
Na wiosnę, na wiosnę latają latawce,
i ptaki wracają nie wiadomo skąd.
I leje się słońce z niebieskiego nieba,
i chodzi po ziemi piękny chłopiec Maj.

Na wiosnę, na wiosnę latają bombowce
i zrzucają z nieba czarne podarunki.
Na wiosnę na wiosnę płonie niebo z ziemią.
Nie zielony chłopiec, tylko czarny kraj.
Jak wytłumaczysz dziecku, że jego domem jest piwnica?
Ono wyciąga ręce i chce się przytulić.
Pyta dlaczego samolot z dziecinnego pokoju
zamienił się w bombowiec?
Co powiesz dziewczynie z kolejki po chleb,
jej nie musisz nic mówić, ona umarła.

Nie mów mi, że wiosna przyszła,
skoro płonie Ukraina.
Ona płonie i płonie,
jakby to było jej przeznaczenie.
Jej przeznaczeniem jest niebieskie niebo,
jej przeznaczeniem jest żółte zboże.
Nie mów mi, że wiosna przyszła,
skoro płonie Ukraina.
Ona płonie i płonie,
jakby to było jej przeznaczenie.

Moje serce płonie, bo widzę tych wszystkich ludzi,
którzy uciekają, uciekają, którzy walczą,
którzy leżą już w ciszy.
Moje serce płonie , bo w Mariupolu
zginęło trzystu ludzi w teatrze.
Teatr nie jest do zabijania,
teatr jest do życia.

Moje serce płonie, bo widziałam w oczach
starej i młodej kobiety śmierć -
przywiozły ją na Dworzec Zachodni mojego kraju.
Teraz siedzą na metalowych krzesłach
i czują metal w ustach.
Ten sam metal, który przyciskają do skroni
mężczyźni, bo chcą bronić niewinnego nieba.
Boże, ocal ich jak Mojżesz ocalił swój lud.

Czy historia musi się powtarzać,
zawsze znajdzie się faraon i jego wyznawcy.
Zawsze znajdzie się lud, który chce spokoju,
chce wyłącznie spokoju i nic więcej.
Który nie jest mu dany, który nie jest mu dany.
I na tym to wszystko polega, wyłącznie na tym.

Nie mów mi, że wiosna przyszła,
skoro płonie Ukraina.
Ona płonie i płonie,
jakby to było jej przeznaczenie.
Jej przeznaczeniem jest niebieskie niebo,
jej przeznaczeniem jest żółte zboże.
Nie mów mi, że wiosna przyszła,
skoro płonie Ukraina.
Ona płonie i płonie,
jakby to było jej przeznaczenie.

Na ubitej ziemi
Widziałam kobietę z karabinem,
z wielkim karabinem u skroni.
Ona celuje w oko chłopca,
który jest bratem i synem,
który jest Rosjaninem.

Dlaczego strzelasz Księżniczko,
ty która rodziłaś dzieci?
Twój syn strzela do ruskich,
twoja córka znalazła schronienie.
Czy to Bóg każe ci strzelać?

Gdyby przyszedł do mnie na herbatę,
ugościłabym go, chętnie.
Ale on wtargnął na moją ziemię,
przyszedł zabić moje dzieci.
To nie chłopiec- to wróg.

Stanął na ubitej ziemi-
Czarny Rycerz- ruski
dwa tysiące lat po Chrystusie.
Nie przyszedł w gościnę,
to nie chłopiec - to wróg, wróg.

Dlaczego strzelasz Księżniczko,
ty która rodziłaś dzieci?
Twój syn strzela do ruskich,
twoja córka znalazła schronienie.
Czy to Bóg każe ci strzelać?

Powiedz mi
Powiedz mi, powiedz mi,
skąd biorą się oprawcy?
Czy z księżyca tu spadli,
bo jest ich tak wielu, tak wielu?

Powiedz mi, powiedz mi,
skąd biorą się oprawcy?
Czy z księżyca tu spadli,
bo jest ich tak wielu, tak wielu?

Jaka matka pieściła ich głowy
i śpiewała im dobre piosenki?
Czy im ojciec wystrugał kołyskę,
a rzeki niosły ich stopy?

Tak wiele ich imion, tak wiele
limuzyn sunących przez miasto.
Tak wielu składa im pokłony,
tak wielu stoi na baczność.

Powiedz mi, powiedz mi,
dlaczego zabierają ci
radio i telewizję,
dlaczego za pysk trzymają narody.

Ciągle ci sami, z wojskiem,
policją i służbami.
Czy wiedzie ich mściwość,
czy ślepa idea?

Powiedz mi, powiedz mi,
skąd biorą się oprawcy?
Ich kłamstwa powtarzają miliony,
choć życie odbierają milionom?

ESEJ

O PISARSKIEJ & CZYTELNICZEJ ŁATWIŹNIE.

O POETYCKIM POTOPIE & ESEISTYCZNEJ NĘDZY

Dariusz Pawlicki

Nigdy nie brałem swych książek zbyt poważnie,

ale bardzo poważnie biorę swoje przekonania.

Gilbert K. Chesterton

I. Na czym polega owa łatwizna.

Moja teza jest następująca: literatura polska, zawsze, współczesnej w żadnym razie nie wykluczając, cechowała się nadmiarem wierszy, a niedostatkiem esejów. W niej zaś kluczowe są dwa słowa: „nadmiar" i „niedostatek".

Powody tego, że taką właśnie sformułowałem tezę, są dwa. Pierwszy jest czysto subiektywny: po prostu lubię i cenię eseistykę; jej lubienie wyraźnie przewyższa uczucia względem poezji (jeszcze kilkanaście lat temu ta pierwsza nie znajdowała się w ogóle w polu mego widzenia). Tym bardziej podkreślam tę różnicę w osobistej ocenie, że tak niewielu ludzi pióra w Polsce – szczególnie, gdy ich liczbę porówna się z liczbą poetów i poetek – uprawia eseistykę. Rezultatem tego jest wspomniana w tytule eseistyczna nędza, o której nie mówi się w ogóle – nie widzi się bowiem w tym problem. Znikomej obecności eseistyki w polskim życiu literackim nie poprawiają tłumaczenia z innych języków. Ich także niewiele jest przekładanych. Rzecz jasna nie jest łatwo porównywać ilość wierszy z ilością esejów. Z tego chociażby względu, że utwór poetycki może składać się jedynie z kilku słów (haiku to przecież ledwie 17 sylab, a są i inne lapidarne gatunki poetyckie). Natomiast na tekst eseistyczny, i to chociażby zasługujący na miano krótkiego, składa się przynajmniej kilka tysięcy słów.

Już może łatwiej jest dokonywać wspomnianych zestawień, porównując rozmiary książek poetyckich i eseistycznych. Choć jeśli chodzi o te pierwsze, i tak będziemy najczęściej mieli do czynienia z publikacjami cienkimi, a na ich stronach będzie z reguły dużo „niewykorzystanej" przestrzeni. Będą one oczywiście „chudszymi" w zestawieniu z większością książek eseistycznych (nie wspominając o beletrystycznych). I będzie bez znaczenia to czy będą one zawierać kilka esejów, czy tylko jeden, ale obszerny.

Rzecz jasna można uprzeć się i tekst krótszy, krótszy od typowego (cokolwiek to znaczy) dla eseju, nazwać miniesejem / mikroesejem. Ale przyjęło się nazywać esejem utwór – pomijając w tym miejscu kilka innych jego cech, i to istotniejszych – na który składa się wiele zapisanych standardowych stron. Jednak nie ze względu na czyjeś, widzi mi się, lecz z istoty samego eseju, jako takiego. Jest nim bowiem: „krótka rozprawa [krótka w porównaniu z tym, jakiej wielkości może być i bywa rozprawa] na dowolny temat, zabarwiona świadomym subiektywizmem autora"*.

II. Minusy poezji (nie tylko współczesnej): niechęć (bo nie niemożność) do poszukiwania prawd, unikanie pewnych tematów.

Wiersz najczęściej jest poetyckim (bez względu na to, co to znaczy) zapisem odautorskich wrażeń wywołanych jakimś zdarzeniem, widokiem / obrazem. Gdyż tylko owa liryczność interesuje ogromną większość poetów i poetek; z prób opisania świata i jego zrozumienia – czyli z epiki – zrezygnowali. W takiej sytuacji pozostało im już tylko epatowanie swą wrażliwością, spostrzegawczością, uduchowieniem. Towarzyszy temu niekiedy oryginalna, to fakt, metaforyka, której celem jest podkreślenie kunsztu poetyckiego. Mając do czynienia z dominująca miałkością treści, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest to wyłącznie sztuka dla sztuki. I biorąc pod uwagę większość (współczesnych) utworów poetyckich – lecz traktując odrębnie ową kunsztowność, która jest przejawem rozeznania w świecie poezji – śmiem twierdzić, że poetą można być odwiedzając jedynie łąki i lasy, a szerokim łukiem omijając biblioteki; te dosłowne i niedosłowne.

III. Eseistyka – potencjalnie bogata, ale rzadko wykorzystywana forma wypowiedzi.

Eseista nie może nie przebywać pomiędzy regałami bibliotecznymi. Natomiast jego obecności na łące i w lesie nic nie wyklucza; będzie ona tylko z korzyścią i dla niego, i dla jego pisarstwa.

Esej to, z założenia, rozważania, dywagacje, spieranie się np. z dominującym aktualnie punktem widzenia w jakiejś kwestii; przedstawianie racji za proponowaną zmianą w tym względzie. Mówiąc krótko, spór wpisany jest w istotę eseju. Nie chodzi jednak o spór dla niego samego. Lecz przede wszystkim o to, aby czytelnik został intelektualnie poruszony, doznał ,,dźgnięcia" zaprezentowanym poglądem. Jakość eseju polega też na obecności w nim takich właśnie ,,poruszeń" / „pchnięć". Ich obecność, jak też ich liczba, jest uzależniona od tematyki tekstu eseistycznego, jak i od temperamentu pisarskiego jego autora.

Porównując charakter eseju z wierszem można śmiało stwierdzić, że ten pierwszy jest znacznie trudniej powołać do życia, niż ten drugi. Także ze względu na ,,masę", którą z racji bycia esejem – o czym była mowa – winien posiadać. Ale siła „rażenia" wiersza przy nieporównywanie mniejszej „masie", może być równie wielka jak eseju. Pośród tak ogromnej ilości utworów poetyckich, jakie zostały napisane przez kilkadziesiąt wieków istnienia poezji, obecność wierszy będących w stanie wstrząsnąć czytelnikiem (poniżej padnie kilka stosownych nazwisk), nie może dziwić; wręcz jest czymś, jak najbardziej oczywistym: one nie mogły nie zostać napisanymi. Zaś historia eseistyki to tylko kilka stuleci. W przypadku Polski – mając na uwadze niniejszy temat – tych kilkaset lat zostało zaprzepaszczonych. Esejów, które powstały nie widać zza stert wierszy. Trzeba dokopywać się do nich się. Wcześniejsza wiedza o ich istnieniu jest jednak niezbędna, a nade wszystko – chęć kontaktu z nimi.

IV. Niepisanie i nieczytanie esejów – przykład intelektualnego zgnuśnienia.

Dotąd w mym eseju pisałem o subiektywnym – choć takim nie do końca – powodzie przedkładania przeze mnie esejów nad wierszami. Teraz wspomnę o drugiej tego przyczynie, bardziej obiektywnej: jestem zdania, że natłok wierszy, wręcz ich zalew, przy jednoczesnym pisaniu w języku polskim niewielu esejów jest odzwierciedleniem mizerii, wręcz ubóstwa naszego życia intelektualnego. Zapisywanie obserwacji i wrażeń dominuje bowiem nad przemyśleniami/ zastanowieniami (rzecz jasna nie są one zawarte wyłącznie w esejach). Do tego właśnie zjawiska nawiązywał np. Stanisław Ignacy Witkiewicz – moim zdaniem najwybitniejszy polski intelektualista pierwszej połowy XX w. – który, przykładowo, wyrażał uznanie dla Skamandrytów w związku z ich umiejętnością pisania zgrabnych utworów poetyckich. Jednocześnie jednak ubolewał nad tym, że poza rymowaniem i zabawą niewiele ich interesuje. Wobec tego mało mają do powiedzenia. Z kolei Jarosław Iwaszkiewicz na temat Witkiewicza napisał i takie słowa:

„[…] uznawałem jego fenomenalną inteligencję i piekielną mądrość, które mnie olśniewały i krępowały, nie pozwalając na swobodne z nim obcowanie […]"**.

Zażenowanie swą niewiedzą, niezdolnością do dyskutowania z autorem *Pożegnania jesieni* na tematy np. filozoficzne, odczuwało wielu (J. Iwaszkiewicz i tak wyróżniał się pozytywnie na tle tych ,,wielu" – dysponował dużą wiedzę w dziedzinie literatury, sztuki i muzyki). Sądzę, że świadomość tego stała się powodem chęci uczynienia z Witkacego, dosłownie, wariata. A jeśli nie wariata, to przynajmniej osoby nie w pełni poczytalnej, gdyż działającej pod wpływem narkotyków (jakby tego było mało: także egoisty i egotysty żyjącego na koszt matki i żony, co prawdą nie było). To stworzenie czarnej legendy, z którą wielu wciąż się styka, wokół tego dramaturga, filozofa, prozaika, malarza, także poety, jest klasycznym przykładem resentymentu: aby się wywyższyć trzeba innego / innych poniżyć.

V. Poezja jest często beztreściowa – esej jest jej zdecydowanym przeciwieństwem.

Poezja niezmiernie często poprzestaje na prezentowaniu piór, puszeniu się, jak paw ogonem. Zwłaszcza wtedy, gdy nie ma niczego do powiedzenia. Większości i poetów, i czytelników to wystarczy. Do tych pierwszych należał Stefan George. Mawiał bowiem:

„W poezji – jak we wszelkiej działalności artystycznej

– nikt ogarnięty pragnieniem «powiedzenia» czegoś, wolą «oddziałania» na coś nie jest wart

→

wstąpić nawet do przedsionka sztuki".

„W poezji nie decyduje sens, lecz forma […]"***.

Tym samym w gruncie rzeczy jest jedno z haseł Nowej Krytyki:

„Wiersz nie powinien znaczyć, lecz być".

Jeżeli także krytycy podzielają taki punkt widzenia, wówczas i im pozostaje wyłącznie ocena piękności owego ogona. Zaś ocena pogłębiona, jeśli można o niej w ogóle mówić, polega na wyrażaniu opinii na temat pojedynczych piór. Bo czym innym mieliby się oni zajmować, jakie inne kryterium brać pod uwagę, skoro króluje – akceptowana – powierzchowność, której na imię bez-myśl.

Natomiast do pisania esejów, a i do ich lektury, skłania Coś zdecydowanie innego (trochę już na ten temat było). Innego niż chęć olśnienia zewnętrznością; jeśli olśnienia, to prezentowaną myślą. Tym bowiem – używając kolejnego skrótu – jest esej. I niczym innym, z racji swego charakteru, być nie może. W eseistyce liczy się treść. A do tego – siła argumentów wykorzystanych dla przekonania czytelników do tezy zaprezentowanej przez eseistę. Owi czytelnicy muszą być gotowi na tę próbę. Wskazane jest też, aby chcieli skonfrontować się z zaprezentowanymi racjami. Forma zaś utrzymuje treść w karbach: nie jest więc bez znaczenia. Ale kryterium piękna rzadko jest stosowane odnośnie eseju; może nawet nigdy. Używa się natomiast wobec niego takich określeń jak: przenikliwy, odkrywczy, kontrowersyjny, mądry; żeby pozostać przy, jakby nie było, pozytywach. Jeśli chodzi o termin ,,piękny", to – jak najbardziej – można mówić o pięknym języku, jakim, ten czy ów, esej został napisany. Ale ,,piękny esej", co to, to nie. W głowie autora tekstu obdarzonego takim mianem powinien pojawić się znak zapytania, i to duży. Tak więc dywagacje na temat upierzenia, w przypadku eseju, są ucieczką od tematu, i w ogóle nie powinny pojawić się w polu widzenia; zarówno ludzi pióra, jak i czytelników. W eseistyce obecne jest Coś, o czego braku – ale w kulturze – Adam Schulz SJ tak powiedział:

„Nasza kultura nauczyła nas, że konflikt jest czymś złym, że lepszy jest spokój.

Wielu mężczyzn [nie zapominajmy o kobietach] w imię własnej egoistycznej wygody rezygnuje z podejmowania konfrontacji, byle mieć święty spokój» i spędzać życie przed telewizorem lub przy piwie"****.

VI. Dla literatury czytelnicy są równie ważni jak pisarze.

Może jest też tak, że jeśli imperatyw zapisywania słów nie przestaje dawać o sobie znać, z braku czasu na pisanie esejów pisze się wiersze. Ale na ilość pisanych esejów wpływa przede wszystkim to, że utwór należący do eseistyki jest zawsze o czymś. Wobec tego wymaga wiedzy z takiej czy innej dziedziny bądź z wielu (to, że wiedzy dyletanckiej, nie jest istotne i wiedzy tej nie deprecjonuje). Jej dawka i jej pogłębienie zależą od tematyki. I tu – jak sądzę – leży istotny, a może wręcz podstawowy problem: takich ludzi pióra jest niewielu. Inny problem, ściśle wiąże się z pierwszym – tym wymienionym przeze mnie na początku. A polega na tym, że eseistyce – przytoczony termin słownikowy jednoznacznie na to wskazuje – przypisana jest subiektywność. Tym samym eseiście – jakby z urzędu – przyznane jest prawo do prezentowania własnego poglądu, często wręcz obrazoburczego, w tej czy innej kwestii. Lecz nie tylko prezentowania, ale i jego udowadniania. A sprawy w tym zakresie tak się mają, że niewielu ludzi jest źródłem oryginalnych poglądów (do tego przemyślanych, zaakceptowanych i uznanych za własne – niekoniecznie na całe życie). Jeszcze mniejsza liczba spośród nich czuje się na siłach, by swe przemyślenia przelać na papier. I nie chodzi tylko o umiejętności pisarskie. Rzecz bowiem także w tym, że autor każdorazowo musi brać pod uwagę i to, iż po opublikowaniu tekstu, może spotkać się – obok, niewykluczonych, pochwał – również z odzewem w postaci ostrej krytyki (nie zawsze rzeczowej), także drwin, nie wykluczając obelg. Taka zaś ewentualność sprawia, że liczba potencjalnych eseistów, zmniejsza się. A przecież myśli własne – choćby nazajutrz miało się uznać ich błędność – winny być dla każdego autora najcenniejsze. Nade wszystko właśnie dlatego, że są jego. Te zaś, jak zaznaczyłem, są formułowane przez nielicznych.

Wspomniana, i jak najbardziej stosowna, autorska subiektywność (w postaci np. wybiórczości) – esej nie jest przecież pracą naukową – wymaga jednak od czytelników choćby podstawowej wiedzy. A to po to, aby mogli ocenić – a i docenić – walory wykorzystanych przez eseistę argumentów, w tym m. in. ich adekwatność. A następnie, ewentualnie, z jego poglądami byli w stanie polemizować. Większość czytelników nie chce jednak takiej konfrontacji. Nie podejmują nawet próby w tym względzie. Może zdają sobie sprawę ze swej niewiedzy. A może, nawet jeśli tę wiedzę mają, to nie dowierzają jej. Z kolei inni, zaprezentowane poglądy przyjmą do wiadomości: na słowo honoru bądź za radą uznawanego przez siebie autorytetu. Są też oczywiście i tacy, najmniej jednak liczni, którzy uznają je za własne bądź je odrzucą – niekoniecznie na wieczność – po gruntowym przemyśleniu.

Rezultat? Taki oto, że eseje mają w Polsce bardzo niewielu czytelników (żywię – jak mi się wydaje – uzasadnione przekonanie, że we Francji, Niemczech czy Wielkiej Brytanii jest ich, nie tylko w liczbach bezwzględnych, ale i procentowo, zdecydowanie więcej). Romanse i kryminały mają się pod tym, i nie tym, względem o wiele, wiele lepiej. Korzystniejsza sytuacja – i to może wielu zaskoczyć – przedstawia się też w dziedzinie krytyki. Ale to tylko odnośnie ilości pisanych recenzji. Prawie zawsze chodzi bowiem o chwalenie kolegów i koleżanek – licząc na wzajemność w tym względzie – a nie o rzeczową krytykę.

*

Nawet jeżeli jakiegoś wiersza nie zrozumie się, to funkcjonować będzie zawarty w nim opis (choćby i on był nieczytelny). Sprawa związana z beletrystyką np. w postaci romansów czy kryminałów jest jeszcze prostsza: w te pierwsze wczuwa się i snuje wyobrażenia na temat własnego, ewentualnego, romansu; w tych drugich, w miarę zagłębiana się w lekturę, czytelnik próbuje wskazać sprawcę. Na koniec jednak i tak dowiaduje się najczęściej, że mordercą jest ktoś inny. Kwestię wiedzy, jaką ewentualnie można posiąść w wyniku kontaktu z literaturą detektywistyczną, i do czego może ona zostać wykorzystana, pominę (taktownie) milczeniem.

Może z poezją jest też tak, a przynajmniej bardzo często bywa, że – jak uważał John Ashbery – „chodzi o to, że o nic nie chodzi"*****. Nawiasem mówiąc, mam wrażenie, że autor tych słów prawie całą swą twórczością poetycką dowiódł powyższych słów (jego teksty prozatorskie są o niebo treściwsze).

W zbliżonym duchu zabrał głos George Moore:

„Być może nadszedł już czas, by zadać sobie pytanie, czy w rzeczach nie ma więcej poezji niż w ideach […]"******.

*

Wiesław Juszczak w *Poecie i micie* pisze o poetach, jako tych, którzy myślą czy raczej „czują obrazami". W rezultacie czego mamy, jakoby, do czynienia wyłącznie z obrazami wynikającymi z przeżyć wewnętrznych podmiotu lirycznego. Natomiast wizerunkom tym brakuje analizy zjawisk rozgrywających się dookoła; zarówno tych immanentnych, jak transcendentnych. Ale w diagnozie W. Juszczaka obecne jest słowo ,,raczej". I jest ono dla mnie o tyle istotne, że zza niego, na plan pierwszy wysuwają się, na szczęście, poeci i poetki tej miary, co np. Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Anna Świrszczyńska. Najlepsze przykłady ich twórczości, a nie są one pojedyncze, nie pozwalają przejść obojętnie nad tym, co mają do przekazania: zmuszają do zastanowienia, przemyślenia, zajęcia stanowiska. Ich liryczność nie jest zapatrzona w siebie, we własny ogon – ma swój istotny ciąg dalszy. Więc można pisać wiersze o świecie i o tym jaki on jest? Okazuje się, że tak. Na szczęście…

Dariusz Pawlicki

** Słownik wyrazów obcych, PWN, Warszawa 1980.*
*** J. Iwaszkiewicz, Książka moich wspomnień, Kraków 1983.*
**** Ten i wcześniejszy cytat z: Gottfried Benn Czy poeta zmienia świat?; Warszawa 2017.*
***** Z wywiadu Różnic boją się tylko ludzie słabi, kwartalnik „Więź"?*
****** J. Ashbery, Inne tradycje, Kraków 2008.*
******* Cytat z G. Moore'a pochodzi z: John Ashbery Inne tradycje; Kraków 2008.*

Fot. Dariusz Pawlicki

Grigorij Winokur

Z teki tłumaczeń Bogusława Żyłko

BIOGRAFIA I KULTURA

W utworach biograficznych, we wspomnieniach i przekazach historycznych spotyka się niekiedy, przyciągające uwagę, wskazówki i charakterystyki, w których cechy, mówiące o danej osobie jako o człowieku, które jakby wyodrębniają się z ogólnej sfery bytowania kulturowego i przeciwstawiają się zwykłym formom działania kulturowego. On mało zrobił, ale długo żył - taki jest tego rodzaju rozpowszechniony, ale nie jedynie możliwy motyw. Typowe są na przykład podobne charakterystyki dla większości biograficznych utworów Michaiła Gerszenzona. „Ludzka sława – zaczyna swoją książkę o Pieczorinie – wieńczy tego, co wiele zrobił: stworzył lub zniszczył królestwo, wzniósł lub przynajmniej spalił jakąś wspaniałą świątynię. Ale jest też inna wielkość nie mniej godna sławy: kiedy człowiek, choć nic takiego nie uczynił, ale za to długo i intensywnie żył". Podobny sens ma charakterystyka Iwana Kiriejewskiego, od której zaczął zmarły pisarz swoje *Zapiski historyczne*: „Zrozumieć myśl, którą żył Kiriejewski, można tylko w związku z jego życiem, dlatego że on nie ucieleśnił jej w żadnym zewnętrznym wytworze". Ale to całkowite przyniżenie lub nawet ostateczny upadek zewnętrznej działalności kulturowej na rzecz pogłębionego życia osobistego bynajmniej nie stanowi jeszcze koniecznego warunku dla rozgraniczenia obydwu tych sfer. Wilhelm Humboldt „zrobił" w każdym razie wystarczająco dużo, byśmy mogli wspominać go jako wielkiego działacza niemieckiej klasycznej epoki, nie mówiąc już o jego specjalnych zasługach w dziedzinie lingwistyki filozoficznej. I mimo wszystko, jak konstatuje biograf Humboldt, „jego znaczenie zawierało się bez porównania bardziej w tym, czym on był, niż w tym, co tworzył i robił". Humboldt to „nie tyle głęboki pisarz, mądry polityk, wnikający w głębie spraw, ile szlachetny, wszechstronnie utalentowany, doskonale rozwinięty człowiek. W tym najlepiej wyraża się jego najgłębsza istota i ujawnia się możliwość prawidłowej i słusznej jego oceny"[1]. Tego wszystkiego jeszcze za mało. Czasami samą wielkość i wspaniałość dokonanego celowo podkreśla się tylko po to, aby jeszcze bardziej uwydatnić ważność i szczególną samodzielną wartość tego, co w charakterze „przeżytego" przeciwstawia się „zrobionemu". Taki jest Goethe. „Temu – pisze biograf Goethego – kto na własne oczy widział tę wspaniałą, mieniącą się niezliczonymi kolorami, jasność, otaczającą tę osobę, promienie jego sławy poetyckiej wydawały się jedynie wąziutkim wiankiem, wyciętym w tej aureoli. To samo wrażenie odnosimy również my, ludzie późniejszych czasów. Ze wszystkich jego dzieł najbogatszym pod względem treści, najbardziej zniewalającym, najbardziej godnym zdumienia i zachwytu jawi się nam jego własne życie"[2]. Listę tych ilustracji można by było znacznie wydłużyć, ale to nie dodałoby nic istotnie nowego do tego, co już wiemy: obok sztuki, nauki, polityki, filozofii i innych form naszego życia kulturalnego istnieje najwyraźniej w strukturze ducha pewna odrębna dziedzina, jakby odgraniczona specyficzna stera twórczości, której treść stanowi nic innego, jak życie osobiste człowieka.

Jeśli jest to rzeczywiście twórczość, to jest to twórczość całkowicie specyficzna, co musimy podkreślić w pierwszej kolejności i ze szczególną siłą. Nie jest to przede wszystkim twórczość estetyczna, podobnie jak nie jest z pewnością przedmiotem estetycznym twórczo stworzone życie osobiste. Tymczasem odpowiednie teorie opierają się bynajmniej nie tylko na zwykłym dla danych przypadków użyciu słów, którego przykłady już wyżej przytoczyliśmy. Mam tu głównie na myśli niektóre spostrzeżenia Eduarda Sprangera, z których wynikałoby, że w swojej charakterologicznej typologii specyficzną twórczość w sferze życia osobistego przypisuje on tylko całkowicie określonemu typowi osobowościowemu. W wykładni Sprangera jedynie ludzie typu „klasycznego" razem z „ekspresjonistami" i „impresjonistami" życia, będący odmianą człowieka estetycznego w ogóle, są takimi ludźmi, o których mówi się, że sami tworzą dzieło sztuki ze swego życia. Są to „wirtuozi życia" (Shaftesbury), ludzie „formy wewnętrznej" (Humboldt i jego ideał harmonijnie rozwiniętej osobowości); jest to ta *schöne Seele*, której idea, jak się okazuje, sięga swymi korzeniami aż do Cycerona. Zgodnie, ma się rozumieć, ze swoim ogólnym pojmowaniem faktu estetycznego jako pełnego zespolenia podmiotu i przedmiotu, tożsamości impresji i ekspresji, tylko o takich ludziach Spranger mówi, że ich życie wewnętrzne jest jednocześnie „asymilacją wrażeń życiowych" i dlatego tworzenie samego siebie (*Sichbilden*) jest rezultatem „świadomej wewnętrznej kultury". Tego rodzaju życie osobiste samo jest „formą, pięknem, harmonią, miarą"[3]. Tego ostatniego twierdzenia byłoby nie sposób oczywiście negować. Ale tym więcej mamy podstaw, aby poddać w wątpliwość interpretację Sprangera. Przecież już po to, aby życie Goethego lub starożytnego Greka mogło oddziałać na nas estetycznie, powinno się je wpierw przedstawić nam w jej własnych jakościach przedmiotowych. Tylko szczególna modyfikacja osobowości przemienia rzeczywisty przedmiot w przedmiot estetyczny. Życie Goethego może być podstawą naszego przeżycia estetycznego, ale może wystąpić też w innych funkcjach: możemy je oceniać z punktu widzenia jakiegoś ideału praktycznego, badać je jako „produkt epoki" lub historii, poddać sądowi moralności i tym podobne. Ale jeszcze istotniejsze jest to, iż nie tylko życie człowieka „klasycznego", ale i każdego innego w równej mierze może w pewnych warunkach stać się przedmiotem estetycznym. Ani Pieczerin, ani Kiriejewski nie są naturami głównie estetycznymi, ale czyż nie doświadczamy oczarowania, wnikając w los pierwszego lub dzieląc nastroje drugiego? Po to, aby życie było piękne nie ma koniecznej potrzeby podążania niechybnie za ideałem Humboldta. Kiedy Christian Körner mówił Schillerowi, że jego poezja zyskałaby na harmonii, gdyby dał „więcej wolności swojej wyobraźni i mniej podporządkowywał się swojej skłonności do tego, co ogólne i abstrakcyjne", wyraźnie wskazując tym autorowi Rozbójników, wyznającemu kantyzm, na przykład Goethego, to właśnie Humboldt uznał za swój obowiązek zaprotestowanie przeciwko temu prostolinijnemu użyciu jego własnej teorii. „Szacunek do cudzej indywidualności zakazywał mu wysuwanie tego rodzaju żądań". Według słów Humboldta przeczyłoby to jego teorii rozwoju w ogóle, ponieważ „każdy powinien dążyć do odsłonięcia właściwej mu cechy i oczyszczenia jej poprzez wyeliminowanie wszystkiego, co jest przypadkowe"[4]. Nie zapominajmy, że główny i najwyższy cel rozwoju ludzkiego Humboldt upatrywał w swoistości i oryginalności (*O granicach działalności państwa, rozdz.* II[5]). Wreszcie sam ideał harmonijnie rozwiniętej osoby nawet i genetycznie nie powinien niechybnie wiązać się z estetycznym światopoglądem: przecież może on być również rezultatem konstrukcji czysto naukowej, normy etycznej, doświadczenia religijnego i tym podobne. W tej sytuacji pozostaje nam tylko powtórzenie tego, od czego zaczęliśmy. Estetyczność to tylko możliwa, ale w żaden sposób nie obligatoryjna charakterystyka tej sfery życia duchowego, którą próbujemy tu wyodrębnić i określić. Jeśli możemy mówić o życiu osobistym jako szczególnej i samodzielnej formie kulturowej, to tylko jako o formie w pełni swoistej i specyficznej.

Podobne racje każą nam uznać za błędne również takie rozumienie życia osobistego jako zjawiska sui generis, kiedy jest ono utożsamiane z pewna sumą lub systemem przeżyć przeważnie religijnych lub moralnych. Jak wyżej, to tylko może, ale nie obowiązkowe charakterystyki. Jak zobaczymy niżej, ta szczególna sfera życia osobistego, jaką wyodrębniamy w ogólnej strukturze kultury duchowej, z kolei jest konstruowana jako swoista struktura, gdzie poszczególne momenty w rozmaitych warunkach mogą być rozmaicie i z różnym stopniem siły zabarwione. Tak oto trzeba, aby twórczość w sferze życia osobistego nabrała odcienia specyficznego działania, czyli szczególnego jakby nastawienia osoby na pewne wyższe cele i przeżycia, żeby można było mówić o takiej twórczości jako twórczości religijnej. Taka jest na przykład mistyka Czaadajewa. Że jest to jednakże tylko odosobniony przypadek to rzecz oczywista i chyba nie ma potrzeby zatrzymywać się na tym bardziej szczegółowo. Warto natomiast zwrócić uwagę na inną błędną identyfikację, znacznie bardziej prymitywną, ale też i bardziej rozpowszechnioną, zwłaszcza w niektórych specjalnych kręgach. Mam na myśli takie rozumienie życia osobistego, które jeśli nie całkowicie, to przeważnie sprowadza ją do sfery życia codziennego. W tym wypadku zaczyna się wydawać, iż życie osobiste jest niczym innym jak całokształtem społeczno-codziennych przyzwyczajeń i skłonności, manierą ubierania się i romansowania, kręgiem trosk rodzinnych, relacji intymnych i plotek literackich. Na podstawie takiego rozumienia powstają książki z tytułami w rodzaju Puszkin w życiu i tym podobne, których autorzy drogą skrupulatnego doboru odpowiedniego materiału z pamiętników, dzienników i kroniki towarzyskiej żywią nadzieję zrekonstruowania obrazu tego, o którym opowiadają, „tak, jakim był on w życiu", poczuć jakby jego „żywy oddech" i osobiste oddziaływanie. Badacze tego rodzaju starannie wyjaśniają, „czy Puszkin palił", troskliwie rozszyfrowują rozmaite intymne aluzje w lirycznych wylewnościach i listach donżuańskich, podliczają opróżnione butelki i przegrane majątki. I czemu są oni winni, że pomimo tych wszystkich wysiłków i pokaźnego zestawu najautentyczniejszych →

dokumentów i „świadectw współczesnych", ich Puszkin nie jest podobny do Puszkina, lecz do Nozdriewa! Czyż to nie jest to samo „marne dziecię świata", które w przerwie pomiędzy peanami na cześć Apolla przemienia się z geniusza w hulakę i bonvivanta, jak gdyby tylko po to, żeby naocznie usprawiedliwić istniejące w tej sferze głębokie teorie „psychologiczne"! To, co mogłoby mieć sens i swój urok na swoim miejscu jako na przykład szkic w historycznej monografii lub maniera specyficznego wykładu literackiego, obliczonego na literackie przedstawienie i efekt (por. choćby tak zwany „boswellizm"[6] jako gatunek biografii)[7], to traktowane jako „metoda biograficzna" i podniesione do rangi zasady naukowej, beznadziejnie kompromituje zarówno biografów, jak i samą biografię.

O zasadach i metodach będziemy jeszcze mówić. Nie wystarczy oczywiscie wymienić kilka negatywnych cech, żeby zakończyć charakterystykę życia osobistego jako przedmiotu sui generis. Przedmiot ten dopiero co z o b a c z y l i ś m y, rozpoznali wśród innych, ale nie rozpatrzyliśmy jeszcze w jego własnej istocie i autentycznej naturze. Potrzebny jest następny stopień jego oczyszczenia po to, aby stał się dostępny naszemu spojrzeniu w swojej własnej treści.

Grigorij Winokur
przełożył Bogusław Żyłko

1 R. Haym, Wilhelm von Humboldt, Moskwa 1899, s. 529.
2 A. Bielszowskij, Goethe. Jego żizń i proizwiedienija, Sankt-Pietierburg 1898, s. 5.
3 Zob.: Eduard Spranger, Lebensformen, Halle 1925, S. 168-169. Będziemy jeszcze powoływać się na tę pasjonującą i bogatą w treść książkę. Specjalnie o Humboldcie w związku z danym problemem Spranger mówi w książce Wilhelm von Humboldt und die Humänitatsidee.
4 R. Haym, op.cit., s. 108.
5 Rosyjski przekład tego traktatu zob. w aneksie do przekładu książki Hayma.
6 Od nazwiska Jamesa Boswella (1740-1795), szkockiego biografa i diarysty, autora biografii Samuela Johnsona.
7 Co się zaś tyczy w szczególności rosyjskiej „puszkinologii" w jego klasycznej postaci (tradycje Bartieniewa, później Jakuszkina, Morozowa), to całkowicie podzielam pogląd Borisa Tomaszewskiego, charakteryzującą ją jako kulturowo-życiowy nurt w pewnych kręgów inteligencji rosyjskiej, który dopiero z biegiem czasu przyjęła formę odrębnej „nauki o Puszkinie". Zob. jego przegląd puszkiniany w „Zeitschrift für Slavische Philologie", herausgeg. von M. Vasmer, 1925, B. II, Heft ˝, S. 250).

Grigorij Winokur przyszedł na świat w rodzinie żydowskiej w Warszawie, w 1896 roku. Tam też wyuczył się języka polskiego w mowie i piśmie. W 1904 roku rodzina przeprowadziła się do Moskwy i lata edukacji oraz działalności zawodowej upłynęły mu tym mieście aż do śmierci w 1947 roku.

Ukończył studia filologiczne i zajmował się głównie językoznawstwem (kultura języka, wymowa sceniczna, językoznawstwo ogólne) i zagadnieniami z pogranicza lingwistyki i nauki o literaturze (stylistyka, tekstologia). Uczestniczył w pracach Moskiewskiego Koła Lingwistycznego. Należał do kręgu Gustawa Szpeta i brał udział w pracach Państwowej Akademii Nauk Artystycznych. Owocem tych prac jest m. in. rozprawa Biografia i kultura (1927), której wstępny rozdział publikujemy obok.

Jerzy Fryckowski

KTO SIĘ KOCHAŁ W MARCIE FOX?

z Martą Fox rozmawia Jerzy Fryckowski

Dostałaś kiedyś kosza?

No, ba! Kilka razy. Zapewne bolało, ale krótko. A potem już się nauczyłam, by zabijać przed tym, zanim coś zdąży mnie zabić. I to ja porzucałam ze strachu, żeby nie być porzuconą.

Byłaś obiektem miłosnych westchnień. Jak dzisiaj na to patrzysz?

Być może byłam. W przeszłości, którą przywołujesz, nie zdawałam sobie sprawy z uroku, który roztaczałam, ani ze swojej urody, ani wrażliwości. Gdybym była pewna tych zalet, moje poczucie wartości by na tym zyskało. W swoim odczuciu i wspomnieniu byłam pełna niepewności i niewiary w siebie. Dlatego tak bardzo pragnęłam adoracji i uwielbienia. Nie mówiąc już o miłości.

Przyjaźniłam się z gejami, bo od nich dostawałam najwięcej ciepła i miłości, co nie zagrażało mojemu nieudanemu małżeństwu. Byłam prawdziwie gejowską divą, ekstrawagancką, superkobiecą, miałam swój rozpoznawalny styl. O poetę Mirka byli zazdrośni wszyscy chłopcy wokół, a on i tak mnie hołubił ponad miarę.

Kiedyś… zauważ, ciągle czas przeszły, więc kiedyś siedziałam w towarzystwie teatromanów. I nasz wspólny przyjaciel, chirurg opowiadał: Marta to była kobieta. Wchodziła do teatru i wszyscy tylko na nią patrzyli. I wszyscy się w niej kochali. Jak ona potrafiła nosić kapelusze…itp. Wszystko w czasie przeszłym, a ja siedzę i słucham. Tak to bywa, że tempora się mutają, a my się mutamy razem z nimi. Było, minęło.

To teraz w czasie teraźniejszym: Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, w której ktoś się zakochał, znając ją tylko z listów. Na real, jak to się dzisiaj ładnie czy nieładnie mówi, czekał ponad rok.

Czy warto rozmawiać bez nazwisk? Tak. Edward Popławski, poeta, zakochał się we mnie na odległość. Słać listy zaczął wówczas, kiedy zdobyłam Grand Prix w Ogólnopolskim Konkursie Literatury Miłosnej w 1989 roku, otrzymując posąg Amora. Dostałam go za opowiadanie „Gra", to był mój debiut. A on za cykl wierszy. Nie przyjechał odebrać, więc zaczął do mnie pisać. Otrzymywałam po 3 listy dziennie. Bardzo mi się to podobało! Byłam adorowana, ważna dla niego, uwielbiana. Odpisywałam. Oczywiście nie z taką częstotliwością, jak on. Miałam etatową pracę, byłam polonistką w liceum, miałam dom, dorastające córki, gotowanie obiadów.

Dużo sobie naopowiadaliśmy. Edward pisał też wiersze dla mnie. Każdy zaczynał się od Marta Fox…zdejmuje sukienkę, Marta Fox to i tamto. Edward przysyłał mi regulaminy konkursów i namawiał, bym we wszystkich brała udział. Miał swoją konkursową filozofię. Może liczył na to, że oboje wygramy i wtedy spotkamy się na wręczeniu nagród. Ale jakoś się rozmijaliśmy. On wygrywał w jednych, ja w drugich.

Ta intensywna korespondencja trwała kilka miesięcy, może tyle, ile mania Edwarda. Albo miał dwubiegunówkę, albo schizofrenię paranoidalną. Sam siebie diagnozował, bo wiedział lepiej, nie ufał lekarzom. Był oczywiście pod kontrolą psychiatrów. Pamiętam, że kiedy spędzałam wakacje z córkami u przyjaciółki w Gdańsku, Edward sprawdził połączenia i wymyślił sobie, że skoro przyjaciółka mogłaby przejąć pieczę nad moimi nastolatkami, to ja mogę przyjechać do Poznania. I nawet miałam ochotę to zrobić. Byliśmy umówieni na konkretny dzień. Coś mnie tknęło i zadzwoniłam do matki Edwarda. A ona, że wszystko przygotowane, bigos dla mnie ugotowany, pościel w lwice obleczona, czyli tak jak lubię. Zdziwiłam się, bo ani lwic, ani bigosu nie lubiłam, ani ubrań w panterkę bym nie założyła. Edward miał wizję, co lubię i za czym przepadam. Na drugi dzień był już w szpitalu.

Spotkaliśmy się raz w życiu, w Poznaniu, nie pamiętam nawet przy jakiej okazji. Pomnę spacer nad Wartą, reszty ani trochę. Czy w ogóle była jakaś reszta? Na pewno jednak po tym spotkaniu wywietrzałam mu z głowy. I ani ja, ani on nie rozpaczaliśmy z tego powodu. Okropna to sytuacja, kiedy jednemu się wydaje, że zakochany jest bez miary, a drugiemu ani trochę, choć ma wiele serdecznych uczuć. Listy Edwarda zniszczyłam, zostawiłam kilka wierszy i jedno opowiadanie. Mam go do dzisiaj. Tytuł : Barakuda.

Potem pisał do mnie już po kumpelsku, kiedy po raz drugi dostałam Grand Prix w tym samym konkursie, tym razem za cykl wierszy. Jestem jedyną laureatką, która ma dwa Złote Amory, ciężkie posągi. Wymarzył sobie zorganizowanie zjazdu „Amorowiczów". Od 1994 roku przestałam brać udział w konkursach. Wydałam zbiór opowiadań „Kapelusz zawsze zdejmuję ostatni" i zaczęło się moje literackie życie.

Edward pisał dobre wiersze, pamiętam cykl „Moja Jennifer". To też jego Muza. To za ten cykl zdobył Amora. Nie potrafił zadbać o siebie. Za bardzo był rozwichrzony, nie nadążał za pomysłami, niczego nie potrafił doprowadzić do końca. Zakładał pismo literackie, planował dystrybucję, szalał twórczo, zapewne też maniakalnie. I niestety, nie ma ani jednego tomu wierszy. Co się stało z jego dorobkiem? Miał Edward syna, Krzysztofa, ale jakoś nie widzę, by syn opublikował coś z dorobku ojca. Może te setki maszynopisów butwieje na strychu. Tak wielu jest poetów w naszym kraju! Ciekawe, że ci zupełnie „niedrukowalni", jakby powiedział Andrzej K. Waśkiewicz, chełpią się wydanymi książkami, a ci wartościowi pozostają tylko w pamięci tych, którzy ich cenili.

Żal, że zniszczyłaś listy od Edwarda. Ja mam ich około setki, ale mało w nich treści. Większość to regulaminy konkursów. Wtedy nie było netu. On wszystkie swoje wyobrażenia o Tobie wrzucał w listy do mnie.

Nie zrobiłam tego ani w złości, ani z innych powodów. Nie pamiętam swoich myśli przy wyrzucaniu. Być może „mało w nich było treści", jak mówisz. Ale na pewno nie to było powodem zniszczenia. Po prostu od czasu do czasu napada mnie wyrzucanie. Oczyszczam przestrzeń wokół siebie. Od razu mi lżej.

Przeraża mnie myśl, że zostawię bałagan, że nagle umrę i trzeba będzie po mnie posprzątać. Obserwuję to po śmierci moich przyjaciół, czy znajomych. Tyle zbierania, chuchania, układania i nagle przyjeżdża walec i wyrównuje, wszystko do jednego wora. Bo każdy ma swoje szuflady, też pełne.

Wiem, wiem, gdyby wszyscy tak myśleli, to w muzeach nie byłoby ani jednego rękopisu i innych artefaktów. Są i tacy, którzy mają duszę archiwisty. Podziwiam ich. Z daleka. Znam Małgosię Karolinę Piekarską, dziennikarkę i pisarkę, która gotowa ocalić nawet bilet tramwajowy. Zajmuje się genealogią, archiwizuje dzieje swojej rodziny, pisze o tym w swoim blogu. Czasem na Facebooku prezentuje swoje zbiory w cyklu „rzeczy, które zmieniły moje życie". Jak ona się w tym łapie, nie wiem.

Nie należę do zbieraczy, w przeciwieństwie do mojego obecego męża, Januszka. On niczego by nie wyrzucił, ale też nie potrafi nad rzeczami zapanować, po prostu gromadzi. Nie mówię o czymś wartościowym emocjonalnie, tylko o śmieciach, do których nigdy potem nie zagląda i nawet nie wie, że je ma. W tym moja nadzieja.

Zdradzałaś? Ile razy naprawdę byłaś zakochana? To byli maczo, czy się na nich zawiodłaś , bo okazali się zwykłymi kutasami?

Nie zdradzałam. Musielibyśmy uściślić, co przez zdradę rozumiemy. Nie było u mnie tak, że robiłam coś w kłamstwie. Nie liczyłam, ile razy byłam zakochana, ile razy tylko oczarowana i zauroczona. No i drogi Jurku, nie powiem, kto był dupkiem, kto kutasem, a kto macho. Taka bezecna nie jestem. Wiele osób mnie skrzywdziło, ale dużo w tym też mojej winy, bo na to pozwoliłam. Nie byłam na tyle silna, by się przeciwstawić. Często miałam na względzie dobro innych, bliskich mi osób. O żadnym z moich mężczyzn nie mogę powiedzieć, że się na nich zawiodłam. Jeśli już, to na sobie, bo miałam oczekiwania, a to błąd. Bo za bardzo kochałam, za bardzo uwierzyłam, za bardzo się otworzyłam, za dużo dałam, za mało wzięłam. To są zazwyczaj historie, których nie sposób ocenić jednym słowem.

Ile razy kochałaś naprawdę? Jesteś odważna, może odniesiesz sie do seksu w naszym wieku? Ponad 60 lat. Należy się nam coś jeszcze oprócz wycieczki do Egiptu?

Co Ty z tą buchalterią? Ile razy i ile razy? Jak w kruchcie! Zawsze kochałam naprawdę, nigdy na niby, ani na aby aby, jak żaby w piosence Krystyny Sienkiewicz. Nie liczyłam i nie policzę, bo nie o razy chodziło w moim życiu. A seks? Seks jest potrzebny w każdym wieku i w zależności od etapów życia wygląda inaczej. Kiedyś mój wówczas 9-letni wnuk wymądrzał się o seksie, więc zapytałam, czy wie, co to jest. I udzielił mi bardzo mądrej odpowiedzi. Babciu, ty to masz z Januszkiem. Bo seks to przytulanie, głaskanie, całowanie, kąpanie, wycieranie, spanie w jednym łóżku, rozbieranie, ubie-→

ranie, mycie głowy i tyłka. Cały wykład mi zrobił, Jurku! Jak widzisz wszystko może być seksem w zależności od tego, jakie ma podłoże emocjonalne i sensualne.

60 lat to dzisiaj całkiem młody wiek, jeśli się jest zdrowym. Dlaczegóż więc nie miałoby być seksu w tym wieku? Co masz w głowie, możesz i wskrzesić w ciele. Dla mnie to tak oczywiste, jak jajko na miękko na śniadanie. Nie każdy jednak ma szczęście być z osobą, która jest tak bliska psychicznie, że dotyk jest tylko podkreśleniem tej bliskości. Mówienie o seksie niekoniecznie jest kwestią odwagi, bardziej wewnętrznej potrzeby. Szczerze mówiąc, to nie mam potrzeby teoretyzować.

A jeśli chodzi o to, co nam się należy, to należy nam się to, czego pragniemy i co sami sobie damy. Żadnej roszczeniowości, Jurku.

Odnalazłabyś się jako „spóźniona kochanka"?

Dlaczego spóźniona? Nawiązujesz do tytułu głośnej powieści Whartona? Wszystko ma swój czas i miejsce. Nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzą nam się najlepsze lata. Nieraz słyszę, że ktoś tam swoje najlepsze lata spędza w samotności albo porzuceniu. No, ciekawe. Moje bardzo dobre lata albo i najlepsze zaczęły się po pięćdziesiątce. Ale to inna opowieść. Kiedy zadebiutowałam, mówię o debiucie prasowym, miałam 37 lat. Też nazwano to spóźnionym debiutem. Pamiętam, jak prof. Julian Kornhauser, na zebraniu SPP we Wrocławiu, mówił o tym, ze po 1989 roku kobiety nareszcie otworzyły szuflady i wysypały się z nich świetne debiuty. Wymienił i mnie między innymi. Zdziwiłam się, bo ja nie miałam szuflad pełnych i mój debiut nie miał nic wspólnego z politycznym przełomem. Nie drukowałam przed 1989, bo nie pisałam, po prostu. A nie pisałam, bo miałam przed 1989 inne życie w głowie, moje córki, dom, moje małżeństwo, rozstanie, pracę. I dopiero jak dziewczynki stały się nastolatkami, dałam sobie przyzwolenie na walkę o swoje chciejstwa.

Tak więc powtórzę: Wszystko ma swój czas i swoje miejsce, Kohelet wiedział, co mówi. „Wszystko ma swoją porę, a każde przedsięwzięcie swój czas pod niebem. Jest czas rodzenia się i czas umierania; jest czas sadzenia oraz czas wyrywania tego, co sadzono. Ma swój czas zabijanie i ma swój czas leczenie; ma swój czas burzenie oraz ma swój czas budowanie".

Jakie jest masz wykształcenie? Wszystko, co ukończyłaś.

Czyli wszystko, na co mam papiery. Zdałam maturę w 1969 roku w V Liceum Ogólnokształcącym w Katowicach. W 1974 skończyłam filologię polską na Uniwersytecie Śląskim, uzyskując tytuł magistra. W 1982 ukończyłam Studium Podyplomowe w zakresie filologii polskiej, ze specjalizacją literatury współczesnej, też na Śląskim. Uzyskałam II stopień specjalizacji zawodowej jako nauczycielka języka polskiego. Ukończyłam kurs bibliotekarski w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli, chyba roczny, mam papier na tę specjalizację, ale nie chce mi się sprawdzać w archiwum. Nie zrobiłam doktoratu, choć miałam trzy propozycje jedną z uniwersytetu macierzystego, drugą z Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie i trzecią z Warszawskiego. Jak twierdzili profesorowie, którzy mi ją składali, gdybym skupiła się na tym, co już napisałam o poezji, wyszedłby z tego ciekawy doktorat. No ale ociągałam się z decyzją, tłumacząc, że najpierw niech mój mąż zakończy, co zaczął, a szło mu to ślamazarnie, a dopiero potem ja. Bo kto by trzymał domowe sznurki, gdybym i ja zaczęła wyjeżdżać.

A kiedy mąż już obronił pracę, to ja weszłam w literaturę i wydawałam książki, nie tylko powieści i poezję, ale i eseistyczne. Pomyślałam więc, na co mi doktorat, niczego w moim życiu nie zmieni, co nie było do końca prawdą, no ale to już się nie mieści w odpowiedzi na pytanie. Na swoje usprawiedliwienie dodam jedynie, że nie widziałam siebie w roli badaczki literatury, tym bardziej języka, na to potrzeba większego skupienia, nie nadawałam się do spędzania wielu godzin w bibliotekach, byłam za bardzo łakoma na życie codzienne, rozwichrzona, i chciałam więcej wolności we fruwaniu.

Decyzja o porzuceniu szkoły, jako źródła dochodów. Jak to było? Długo nad tym myślałaś? To było jednak ryzyko. Niewielu pisarzy w Polsce żyje z pisania. Oczywiście pomijam autorów kryminałów.

Nie porzuciłam szkoły. To była racjonalna decyzja, wybór, do którego długo dojrzewałam. Lubiłam pracę w szkole. Nie chodziłam tam za karę. Zaraz po studiach trafiłam na etat polonistki do V LO w Katowicach, czyli tego samego, które i ja kończyłam. Byłam zachwycona, że tak się udało. Od czasu, kiedy skończyłam 13 lat i przeczytałam „Siłaczkę", chciałam zostać nauczycielką. I w dodatku pracować na wsi, co mi mama skutecznie wybiła z głowy, przekonując, że wieś znam tylko z wakacji, a ona na niej długo żyła, więc mam się jej słuchać. Postanowiłam sobie, że jeśli zostanę nauczycielką, to tak będę uczyć, by nikt z moich uczniów się nie bał chodzić do szkoły, by nie drżał przed moimi lekcjami i by te lekcje były intrygujące, inspirujące, no i zwyczajnie ciekawe.

Praca w szkole to były 23 lata mojego cudownego szaleństwa. Na dzień dobry dostałam klasę maturalną. Ja miałam 22 lata, oni 19. Ja byłam żoną, matką, oni licealistami. Zaprzyjaźniłam się z całą klasą. Ponieważ w maturalnej zmieniono im polonistkę, więc rodzice rozpaczali, no bo jak ich dzieci zdadzą maturę, skoro taka młoda, niedoświadczona będzie ich uczyć. Moją ambicją było, by zdali wszyscy i jak najlepiej, a ich ambicją było, by pod moje dyktando przeczytać wszystko, czego zaniechali. Ze swojej dużej kuchni zrobiłam harcówkę. I douczałam całą klasę wieczorami, kiedy moja córeczka zasnęła. Oczywiście bez pieniędzy, bo to nikomu do głowy nie przyszło. Takie to były fajne czasy, że nie wszystko musiało przynosić zysk w złotówkach. Po maturze dostałam od tej klasy prezent, sześć filiżanek w kwiatki, długo mi służyły.

Zaprzyjaźniliśmy się. Dyrektor grzmiał, kto to widział, koleżanko, by uczniowie zwracali się do nauczyciela po imieniu, koleżanko to, tamto, źle koleżanka na tym wyjdzie. Błędne to były prognozy. Gdyby nie ta klasa, nie uwierzyłabym w młodych, którzy wszystko potrafią, jeśli i nauczyciel pokaże im swoją pasję. Piękny to był rok, do dzisiaj się spotykamy.

W ciągu tych 23 lat tylko dwa razy byłam wychowawczynią. Niestety, tego obowiązku nie potrafiłam udźwignąć. Wolałam być stałą protokolantką, wykonywać inne prace, byle tylko nie mieć wychowawstwa. Ocenianie, rozliczanie to był dla mnie horror. Wolałam rozumieć i wszystkie wątpliwości rozstrzygać na korzyść uczniów. Nie żałuję ani jednego razu, kiedy według innych przymykałam oko zamiast przycisnąć.

Nie odpowiadam bezpośrednio na twoje pytanie, Jurku. Chcę jednak, byś poczuł, jak ważna to była dla mnie praca i jak mnie ukształtowała.

Dobrze, dobrze, mów dalej.

W liceum prowadziłam teatr szkolny i nieustająco ciągałam młodzież do teatrów. Oglądałam premiery, potem zarywałam kawałek lekcji, by im powiedzieć, co widziałam i namówić, by poszli ze mną. Oczywiście nie w czasie lekcji. I udało mi się stworzyć prawdziwie teatralną grupę. Nawet niedawno prezydent mojego miasta wspominał, że to ja mu pokazałam inne teatry od klasycznych, na przykład Korez, który do dziś jest uwielbiany, czy teatry wizji, plastyki ruchu, czy inne alternatywne.

Wymyślałam też oryginalne scenariusze lekcji. Publikowałam je w fachowych pismach. Moi uczniowie dużo pisali. Na różne tematy, zupełnie inne od szkolnej sztampy. Na przykład taki temat: Dulska ogląda „Szał" Podkowińskiego. Forma wypowiedzi dowolna. Trzeba było znać osobowość Dulskiej, by o tym napisać. Mógł to być esej, mogła być scenka dramatyczna. Cudne prace powstawały. Albo taki temat: „Dlaczego pieprzone pierożki są dobre, a pieprzone życie już nie takie"? To akurat cytat ze sztuki „Scenariusz dla trzech aktorów". Tu dopiero młodzież zaszalała. Okazało się, że kreatywność ich prac, zarówno w treści, jaki formie, przerosła moje oczekiwania.

Moja praca w szkole, to temat rzeka, mogłabym długo opowiadać, także o negatywnych jej stronach. Prócz satysfakcji ta praca dawała mi też możliwość bycia matką na cały etat. Pracowałam w pobliżu szkoły. Na jej parterze było przedszkole i tutaj były moje dziewczynki. Mogłam je odebrać po zakończeniu lekcji, więc koło 14.00. Całe popołudnie miałam dla dzieci i domu, na życie towarzyskie w nim, a wieczór na przygotowanie się do lekcji, poprawę prac, czytanie. Ileż miałam wówczas energii!

Od czasu zdobycia pierwszej nagrody, a właściwie nieco wcześniej, bo od czasu, kiedy zaczęłam publikować w prasie recenzje teatralne, literackie i wywiady z twórcami, przemyśliwałam, by odjeść ze szkoły, by zacząć pracować jako dziennikarka. Swoje teksty drukowałam w miejscowych i ogólnopolskich pismach. Zdobyłam dla siebie wszystkie istotne wówczas tytuły. Czasem było mi żal, że pracuję tylko za wierszówkę, a inni mają jeszcze pieniądze z etatu, a piszą mniej ode mnie. Mój szef mówił: W ciągu trzech miesięcy zrobiłbym z ciebie świetną reportażystkę. Na całe szczęście, nie dostałam nigdzie etatu, może za mało się starałam, a może już wiedziałam, że to jednak nie dla mnie. Teraz myślę, że tak miało być. Bo gdybym związała się z jednym pismem, nie zostałabym pisarką.

Ciągle mi było żal odejść ze szkoły. Zawsze była jakaś klasa pierwsza, którą chciałam doprowadzić do czwartej. Poza tym bałam się, jak sobie poradzę bez stałej pensji, płatnych wakacji. Moje córki były już nastolatkami, wymagały coraz mniej opiekuńczych funkcji, potrzebowały tylko rozmów i czuwania z boku. Miałyśmy świetnie zorganizowany dom, każdy miał swój przydział obowiązków. Niesamowite, jak to działało! Moja była kuchnia. Bo zawsze gotowałam.

Jestem już na emeryturze. Jako polonista muszę stwierdzić, że zaszalałaś w temacie zadawanych prac. Dla mnie to genialne propozycje, pozostaje żałować, że ich już nie wykorzystam.

Jurku, po pierwsze miałam świetnych polonistów w szkole: Wandę Sikorską i Adolfa Dąbka. Wanda mnie nauczyła pisać. Zadawała często tematy tak zwane wolne. To było coś dla mnie. Kiedyś mogłam napisać reportaż. Akurat wtedy przyjechali do

Polski Rolling Stonesi i koncertowali w Sali Kongresowej w Warszawie. Nie byłam na koncercie, bo jak. Bilet kosztował drogo, podróż do Warszawy, a ja miałam 15 lat. Co z tego, że mając 17 zdałam maturę, a mając 18 wyszłam za mąż. Nie mogłam nawet marzyć na głos o takim wyjeździe. Byłaby to fanaberia ze szkodą finansową dla naszej rodziny. No ale od czego jest wyobraźnia. Wystarczyły mi strzępy relacji radiowych i telewizyjnych, by sobie wymyślić i ułożyć całość reportażu. Kiedy przeczytałam, wszyscy w klasie patrzyli na mnie z zazdrością, bo nikt nie uwierzył, że tam nie byłam.

Adolf z kolei nauczył mnie czytania „systemowego". Jak Żeromski to w całości. Rozbudził we mnie ciekawość. Sama szukałam, drążyłam i sprawiało mi to dziką przyjemność. Inna rzecz, że zadawał mi to czytanie „za karę". Powtórz, co przed chwilą powiedziałem, mówił, stojąc nade mną. Nie wiedziałam co, bo patrzyłam w okno i marzyłam. A on: Za karę przeczytasz 5 nowel Sienkiewicza, Prusa. I tak to szło.

Od moich nauczycieli uczyłam się też metodyki. Zapamiętywałam metody, dzięki którym jedna lekcja była ciekawsza od drugiej. Najbardziej mi się podobało to, że mogłam się „wypisać" na temat lektury. Kiedy i ja zaczęłam uczyć, trafiłam na swojego guru. Był nim dr Stanisław Bortnowski, autor wielu książek na temat, jak uczyć polskiego w szkole. Jego książka „Ścisłość i emocja" to był mój elementarz pedagogiczny.

Co ciekawe: ja zachwyciłam się jego polonistycznymi metodami, a on moją poezją. Nie znaliśmy się wtedy.

Mój pierwszy mąż, który wówczas pracował w Instytucie Kształcenia Nauczycieli, zaprosił doktora Bortnowskiego na spotkanie z nauczycielami. Przyszłam i ja. Jak kogoś podziwiam, to ze strachu boję się odezwać. A tu nagle na tym spotkaniu Bortnowski mówi, już nie pomnę a propos czego, że „przecież wy tutaj macie w Katowicach wspaniałą poetkę, Martę Fox". Ja w szoku, mój mąż jeszcze większym, bo do głowy mu nie przyszło, że Bortnowski mógłby mnie czytać i cenić, nauczycielki polonistki zdziwione. No i tak się zaprzyjaźniliśmy, inspirując się wzajemnie.

Wymienialiśmy pocztówki z podróży. Zrobił też ze mną wywiad do „Polonistyki" pod tytułem „Dlaczego wywiad z Martą Fox". To pismo wypłacało honorarium i pytającemu i rozmówcy. Uzgodniliśmy, że w całości je przepuścimy na krakowskie knajpki. I tak szliśmy od rynku aż na Kazimierz, aż nam kasy zabrakło. Tak więc, Jurku, metodę wymyślania ciekawych tematów podejrzałam u Stanisława Bortnowskiego. Oczywiście nie umniejszam w tym i swojej wyobraźni tudzież kreatywności.

Jak to wszystko godziłaś?

Ale co?

Pracę w szkole, konspekty lekcji, dom, teatr, pisanie recenzji, poezji, powieści.

Młodość, siła! Energia, która mnie rozpierała. Spałam po 5 godzin. Dopiero, gdy dziewczynki były bardziej samodzielne i dano nam wolne soboty, mogłam sobie pozwolić na rozmemłanie i spanie do dziewiątej. A poza tym nie byłam sama.

No, tak, jeszcze pies, kot.

Mąż, który w codzienności się sprawdzał, dwa psy, kot, króliczyca, dwa chomiki i 36 białych myszy, bo się rozmnożyły, choć miały być jednopłciowe. Na przykład sprzątanie dozorowała Agatka. Do mnie należała kuchnia i sypialnia, salon do męża, pokoje dziewczyn do nich, a do łazienki i przedpokoju były dyżury. Zakupy też podzielone. Gotowałam wieczorami, pisząc przy kuchennym stole to, co sobie wymyśliłam w drodze do pracy, czy z powrotem. To tak właśnie, w zeszytach w jedną linię, napisałam 3 swoje powieści.

No i w tamtym czasie zaczęłam oszczędzać na to, by odejść z pracy. Wymyśliłam, że muszę mieć oszczędności na rok i wtedy mogę zrezygnować z etatu. Na ten cel zbierałam pieniądze z publikacji i korepetycji. Chciałam mieć dni tylko na pisanie i spotkania autorskie. Przecież nie miałam pewności, że się sobie poradzę.

Udało się.

Zapracowałam na to, byłam bardzo zdyscyplinowana i miałam ołów w tyłku, jak mawiała moja babcia.

To znaczy?

To znaczy, że jak przysiadłam do biurka, bo wtedy się już dochrapałam miejsca do pracy w sypialni, to nie odeszłam, dopóki nie skończyłam.

Co na to Twoja rodzina?

Niewiele się w codzienności zmieniło. Tyle, że do południa dom był cichy, a ja pracowałam przy biurku. Do wspólnego koszyczka dokładałam co miesiąc tyle pieniędzy, ile wynosiła moja nauczycielska pensja, z tej uzbieranej kupki. Ale i zarabiałam na bieżąco, bo miałam już wiele propozycji spotkań autorskich. Musiałam się nauczyć innego gospodarowania. Tego, że jak jestem wolnym ptakiem i nie mam dyrektora, to muszę sama dla siebie być sterem, żeglarzem, okrętem, nikt mi nie da L4, jak będę chora, ani nie udzieli urlopu.

Najbardziej zawiedziona była moja mama. Była dumna z tego, że pracowałam w liceum. Nie mieściło jej się w głowie, że można było zrezygnować z etatowej pracy. Dla niej byłam teraz tylko gospodynią domową i marnowałam się. Próbowała sterować moim życiem. Wydawało jej się, że skoro nie pracuję, bo do pracy nie chodziłam, to mogę dużo czasu spędzać z nią. Jakoś nie mogła uwierzyć w to, że za książki dostaję tantiemy, jeśli się sprzedają i że spotkanie autorskie też jest honorowane. Nie tylko ona traktowała mnie jak niepracującą. Jakby książki same się pisały. Nie potrafiłam w tej sferze o siebie walczyć inaczej niż robiąc swoje.

Tak mi zatruwano życie pod tym względem, że jednak zdecydowałam się na niepełny etat w teatrze, w galerii, potem w domu kultury, klubie literackim, bibliotece. Na własnych warunkach, z tak zwanym zadaniowym cyklem pracy. Czyli nie miałam obowiązku codziennego przychodzenia do pracy i podpisywania listy, tylko wykonanie określonych zadań. Bardzo mi to odpowiadało. Cztery razy w miesiącu „przychodziłam do pracy", a wszystko, co trzeba było, robiłam w domu, dziś byśmy powiedzieli, że „zdalnie". Dzięki temu miałam ubezpieczenie i stały, choć skąpy dochód. Sama dysponowałam swoim czasem. No i moje zajęcia zawodowo-etatowe nie kolidowały z pisaniem, bo obracałam się ciągle w sferze kultury.

Mama nie doceniała Twojego pisania.

Mama byłą mądrą życiowo kobietą, ale prostą, nie mieściły jej się w głowie takie fanaberie jak moje. Nie pisałam, jak jej ulubiony Kraszewski. Nie czytała moich książek. Wolałaby chyba, abym miała sklepy, jak moje siostry, bo to byłby konkret. Nie potrafiłam się bronić, ani przekonywać do siebie. Pamiętam, że razu jednego zabrałam ją na targi książki i siedziała ze mną przy stoliku. Wtedy była bardzo zdziwiona, że tylu mam czytelników i że kupują książki, i proszą o autograf. Mam fotki z tamtego podpisywania. Wydaje mi się, że to był dzień, w którym była ze mnie zadowolona.

Uparłaś się, by wytrwać przy pisaniu.

Tak, ale to było już łatwe, kiedy sytuacja się odmieniła i to nie ja, ale wydawcy do mnie pukali. Po pierwszej wydanej książce, zbiorze opowiadań i poezji, o czym już wspominałam, postanowiłam napisać coś całkiem innego. Najpierw mi się podobało, kiedy recenzenci i krytycy pisali o mojej odwadze obyczajowej, o erotyce, a potem mi było smutno. Pomijano to, co było główną wartością mojego pisania, a skupiano się na tak zwanych „momentach", jak wtedy mówiono, czyli na scenach erotycznych. Myślenie było takie: Jeśli opisała, to znaczy, że przeżyła i że miała wielu kochanków. Patrzono na mnie poprzez pryzmat przeżyć moich bohaterek. Nawet mąż mi powiedział, że skoro już upieram się, by pisać, to powinnam coś historycznego albo science-fiction, byle nie te głupoty o miłości. Tekst jest albo dobry literacko albo zły, broniłam się. Mój jest dobry. To w takim razie dlaczego przyklejają ci łatkę pisarki erotycznej, dlaczego się uśmiechają dwuznacznie, upierał się.

Bo jestem kobietą, która ma odwagę pisać, broniłam się. Nie słyszałam, by kiedykolwiek tak stygmatyzowano pisarza, bo odgórnie się przyjmuje, że mężczyzna bez doświadczeń nie jest mężczyzną, tłumaczyłam.

Tak, literatura pisana przez kobiety ma zawsze płeć i deprecjonuje się ją przymiotnikiem „kobieca", nawet, jeśli jest „męska" w sposobie ukazywania emocji. Często w tekstach recenzujących twórczość pisarek porusza się problem płci. Pisała o tym wielekroć Erica Jong. Pisarze to twórcy, płeć jest oczywistością. Pisarki to najpierw kobiety. Literat to mężczyzna, literatka to mała szklaneczka o pojemności stu gram, już przywoływałam ten przykład. Jeśli recenzent chce dowartościować poetkę, nazywa ją „Herbertem w spódnicy".

A ja uważam, że kobiety powinny pisać jak kobiety, skoro inaczej postrzegają świat. Problem w tym, by kobiecości nie kojarzyć tylko z falbankami, zwiewnością i sentymentem. Dopóki „kobiece" będzie synonimem drugorzędności i banału, dopóki będzie skazą, dopóty kobiety będą zadowolone z komplementów o męskim pisaniu, czyli mądrym, zdystansowanym, odważnym, będącym wzorcem doskonałości. Pisząca kobieta musi się zmierzyć z upokorzeniami, wiedziała o tym Simone de Beauvoir.

Ileż to razy słyszałam pytanie: Czy ktoś widział ładną poetkę? Jak ktoś nie zachwyca urodą, musi nadrobić mądrością, mówiono, jakby jedno wykluczało drugie.

Od czasu, kiedy Olga Tokarczuk ma Nobla, dzieje się inaczej.

Mówisz tak, jakby ona nie miała kłopotów. Ciągle się musi z czegoś tłumaczyć. Najwygodniej być „dobrą kobietą", piszącą rodzinne sagi, romansidła, skupiające się na wartkiej akcji, psychologię omijające szerokim łukiem. Takie, które nie naruszają obyczajowego tabu.

→

Mówimy jednak o literaturze a nie produktach literaturopodobnych.

No, właśnie. Dlatego nie zejdę poniżej swojego poziomu, choć był czas, że wydawcom bardzo zależało, abym produkowała powieści pod dyktando.

Wróćmy do tej części pytania, w której mowa o zmianie zawodu i utrzymywaniu się z pisania. Z pisania opowiadań i poezji utrzymać rodziny się nie da.

W Polsce się nie da. Jak wiesz, chciałam uciec od gęby pisarki erotycznej, dlatego napisałam powieść dla młodzieży, czyli coś całkiem innego niż to, co zaprezentowałam w pierwszej książce. Na druk tej powieści czekałam dwa lata. W naiwności ducha swego myślałam, że jeśli pierwsza książka została zauważona, to teraz nie będzie problemu. Tymczasem w kraju wydawnictwa się prywatyzowały i nikt nie chciał zainwestować w nieznaną autorkę. „Batoniki always miękkie jak deszczówka" miały świetne recenzje wewnętrzne, bo wtedy jeszcze odpowiadano na każdy wysłany tekst, no i niewiele z tego wynikało.

Znalazłaś w końcu wydawcę.

Tak. Wtedy, kiedy schowałam maszynopis do szuflady. I kiedy pocieszyłam się myślą, że przeczytały go koleżanki córki i im się podobało. Wówczas odezwał się wydawca z Torunia, który słuchał przypadkowo wywiadu ze mną po zdobyciu kolejnej nagrody w poezji. Kiedy mnie zapytano o plany twórcze, podałam tytuł powieści, dla której szukam wydawcy. Mieliśmy, jak się okazało, wspólnego znajomego. Był kierownikiem literackim w teatrze lalki i aktora w Toruniu. No i zaczęło się.

Zaczęłaś zarabiać jako pisarka.

O, nie tak od razu. Podpisałam głupie umowy na powieści dla młodzieży, więc niewiele zarobiłam. Byłam jednak zapraszana na spotkania, co dla mnie stanowiło wielką przygodę i było dodatkowym źródłem dochodów. Zmieniłam wydawnictwo, zawarłam lepsze umowy, zaczęłam zdobywać nagrody za książki i wtedy już zdecydowanie utrzymywałam się z pisania.

Na czym polegała rewolucja?

Najogólniej rzecz biorąc chyba na mojej otwartości, bo pisałam o tym, co się zamiatało pod dywan. I pisałam wprost, choć subtelnie. Pisałam o tym, co chciałabym przeczytać, kiedy byłam nastolatką, a nie miałam z kim rozmawiać, bo najczęściej mi mówiono, że dzieci i ryby głosu nie mają, i co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie. Albo: Jak dorośli rozmawiają, to dzieci siedzą cicho, itp. Dopiero, kiedy trafiłam na powieści Krystyny Siesickiej, poczułam, że to jest rozmowa ze mną. I że tam młodzież ma głos, i jest podmiotem, choć wówczas nie używano powszechnie takich określeń, czarna pedagogika królowała.

Pamiętam te nagłówki i oburzenie: Marta Fox pisze o orgazmach, o seksie.

Tak. Albo o wrednej matce, a wiadomo matka jest jedna i to w dodatku Matka Polka, poświęcająca się dla rodziny, kraju i jak trzeba wysyłająca swoich synów na bój. Zarzucano mi, że matkę odbrązowiłam, że pisałam o przemocy.

Pisali o mnie dziennikarze, którzy nie czytali książki, ale wiedzieli swoje, wystarczył im sam tytuł rozdziału „orgazm". Tymczasem to najbardziej niewinny rozdział, o piętnastolatce, która zna definicję terminu, bo babskie gazety już piszą o orgazmach, ale nie zna życia, więc chciałaby się dowiedzieć od kogoś z doświadczeniem, na czym ten orgazm, to uniesienie polega. I czy ona jeżdżąc na wrotkach albo drżąc na koncercie też ma orgazm, czy nie.

I wtedy nazwano cię odważną pisarką młodzieżową.

Czyli przyklejono mi kolejną łatkę. Jak widzisz od gęby nie ma ucieczki. Tak czy owak jestem odważna.

Ty i matka. Były konflikty, jak dojrzewałaś?

Oczywiście. Byłam uparta, jak kozioł w kapuście, mówiła mama. Dla świętego spokoju długo żyłam wedle jej wzoru, który nie był złym, tyle że nie moim. Dopiero po latach zobaczyłam, że co było dobre dla świętego spokoju matki, złe było dla mnie, bo zapędzało mnie w kozi róg, Chciałam żyć po swojemu. Nie potrafiłam o siebie walczyć. Dlatego, mając 18 lat uciekłam z domu w małżeństwo. Innego wyjścia nie znalazłam.

Wyszłaś za mąż z rozsądku?

No co ty! Zakochałam się. Jak się jest nastolatką, to trudno mówić o rozsądku.

Byłaś największą miłością ojca? Mówi się, że prawdziwą miłością każdego faceta jest jego córka, ale Ty masz jeszcze siostrę?

Mam trzy siostry: Helenę, czternaście lat starszą ode mnie, z pierwszego małżeństwa mamy, Grażynkę, półtora roku młodszą, i Bożenkę, trzy lata młodszą. Nie wiem, czy ja byłam największą miłością ojca, myślę, że każdą z nas kochał bardzo, ale każdą inaczej. Na pewno jednak ojciec był moją miłością. Umarł, kiedy miałam dwanaście lat. I od tej chwili zaczęłam go sobie wymyślać, idealizować, a kiedy mama umarła, złożyłam wniosek w IPN, by dotrzeć do historii ojca i zrozumieć, co się zdarzyło w jego życiu.

Wcześniej tego nie wiedziałaś?

Coś tam podsłuchiwałam z rozmów mamy z ciotkami i sąsiadkami. Kiedy pytałam o to mamę, mówiła, że lepiej nie wiedzieć. Od zawsze w naszym domu był strach i nie wiedziałam przed czym. Pamiętałam aresztowanie ojca. Przyszli po niego panowie o świcie, przed wyjściem do pracy w kopalni. Mieli pistolety. I zabrali go.

Ile miałaś lat?

Cztery, bo to był już rok 1956. Mama mówiła, że niemożliwe, bym pamiętała, że znam tę historię z opowieści. Przekonałam ją jednak. Bo nawet jeśli opowiadała, a ja podsłuchiwałam, to przecież nie mówiła o tym, gdzie stał stół, gdzie kuchenny kredens, stół, węglarka, piec. Narysowałam jej dokładny plan mieszkania. I jeszcze na kredensie narysowałam butelkę z mlekiem, po którą przyjeżdżała pielęgniarka z pobliskiego szpitala. Mama sprzedawała swój pokarm. I tymi rysunkami ją przekonałam.

Pamiętałam, bo to była moja trauma. Mieszkaliśmy w piwnicy, którą nazywano suterenę. W toalecie były szczury. Ojciec zabił jednego pogrzebaczem. To też pamiętam. I jeszcze nogi ludzi, którzy przechodzili chodnikiem pod domem. Od stóp do kolan. Jak w jednym z filmów Almodovara.

Co z ojcem?

W 1956 była amnestia i zwolniono go na jej mocy. Wtedy też wróciliśmy całą rodziną do prawdziwego nazwiska, bo urodziłam się pod fałszywym, pod którym ojciec, żołnierz Armii Krajowej, ukrywał się, pracując w kopalni „Katowice" jako cieśla górniczy. Dowiedziałam się o tym dopiero w wieku osiemnastu lat, kiedy poszłam do kościoła oblatów po metrykę chrztu. Podałam nazwisko i okazało się, że takie dziecko nie było chrzczone. I wtedy mama podała mi nazwisko, pod którym się urodziłam.

Próbuję zrozumieć historię ojca, co nie jest łatwe, bo mamy nie ma, innych też, moja siostra Helena niewiele pamięta, albo nie chce pamiętać. Ona tego tak nie przeżyła, była starsza, wtedy już pracowała.

Znalazłam dokumenty dotyczące działalności ojca w czasie wojny i po niej, do 1947 roku, ale nie ma nic i nigdzie na potwierdzenie tego aresztowania z 1955 roku, które ja pamiętam. Opisałam tę historię w książce „Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych". Niektórzy czytelnicy poddawali w wątpliwość nawet i to, że w domu, gdzie mieszkaliśmy, nie było piwnicy, w której by mogli ludzie mieszkać. I kiedy już sama zaczynałam wątpić, to w szpitalu, na wspólnej sali spotkałam kobietę, Annę, mieszkającą w domu obok, gdzie ja w dzieciństwie. I ona zrobiła dla mnie rzecz niesamowitą. Umówiła się z właścicielką tej willi z piwnicą i opowiedziała o mnie. Ta prawie 90-letnia pani pokazała jej księgi meldunkowe z lat 50. Anna zrobiła fotki telefonem komórkowym. Mam te zdjęcia dotyczące naszego zameldowania, były wpisane także moje siostry, i była naniesiona zmiana nazwiska. Kiedy jednak Anna zapytała, czy może tu przyjść ze mną, właścicielka schowała księgę meldunkową i nie zgodziła się na odwiedziny.

Nieprawdopodobna historia. _

Miałam nadzieję, że odkryję, kto ojca zadenuncjował. I myślę, że wiem, aczkolwiek twardego dowodu nie mam. Wiesz, kiedy ojciec wyszedł z więzienia, a siedział niedługo, nie dłużej niż trzy miesiące, w areszcie, to był bardzo wyniszczonym człowiekiem, ciągle chorował, jeździł po sanatoriach, no i w końcu umarł. Jego choroba była też dla mnie okrutnym doświadczeniem. Chorował na raka, a wówczas mówiło się o tym szeptem, nie to, co teraz.

Wymyśliłam sobie ojca, najpiękniej jak mogłam.

Mężczyźni Twojego życia. O ojcu już wspomniałaś. Napisałaś z myślą o nim kilka świetnych wierszy.

Napisałam też opowiadanie, wspominam go w książce „Katowice nie wierzą łzom". Bo wiesz, tam, gdzie była kiedyś kopalnia Katowice, jest teraz Muzeum Śląskie, z salami wystawienniczymi w podziemiach. A zaraz obok Narodowa Orkiestra Symfoniczna. Ta cała strefa kultury to najpiękniejszy pomnik, jaki można było mojemu ojcu postawić. Między innymi mojemu.

Pamiętam to opowiadanie. Miało tytuł „Na grubie". Nieprawdopodobnie wzruszające, szczególnie, kiedy ty czytasz.

Cała historia ojca jest wzruszająca. Już nie mam wokół nikogo, kto by go pamiętał. Bardzo za nim tęsknię. Czasem mi się wydaje, że gdyby żył dłużej i miałabym w nim oparcie, to zupełnie inaczej by mnie życie ukształtowało. Miałabym obrońcę, a tak to ja stałam się obrońcą niczym Rambo, co bardzo się spodobało mojemu wnukowi. Oczywiście nie wiedział, kim był Rambo, ale po jednej z akcji, jakie urządziłam, by go ratować w szkole, wiedział, że babcia potrafi i jak trzeba założy czerwoną opaskę na głowę.

Pamiętam jak nosiłaś czarną.

Hmmm. Jak Balladyna. Pasowała do moich długich spódnic hipisowskich.

Kto poza ojcem był dla Cienie ważny?

Mój mąż. Pierwszy i drugi, bo ten sam. Rozwiodłam się z nim i ponownie wyszłam za mąż, to ojciec moich córek. W sumie spędziłam z nim 28 lat. Był nauczycielem specjalistą od edukacji teatralnej, zrobił z tego doktorat. Był erudytą. Świetnie potrafił syntetyzować, szeroko patrzeć na przykład na polską literaturę w okresach historycznych. I niestety, mało miał w sobie empatii, co bardzo nam utrudniało porozumienie. Rozwiodłam się z nim po raz drugi. Już definitywnie.

Teraz jesteś znów mężatką.

Tak, od 24 lat w związku, kilkanaście lat na tak zwaną kocią łapę. I już 8 lat w małżeństwie. Obecny mąż po roku znajomości był moim mężem, choć jak mówię, długo nieślubnym. Długo na niego czekałam, ale za długie czekanie, dobre śniadanie, jak mawiała moja mama. To jest dojrzały związek, zdążyliśmy się sobą nacieszyć, zanim zaczęliśmy się sobą opiekować.

Co jest największą zaletą obecnego męża?

On ma wiele zalet. I trochę wad. Jak on to robi, że jest lubiany? Nie stara się, a jest. Nie zabiega, a ma. Umie trwać w chwili. Doceniać ją. Potrafi też kreować oniryczne światy. Jest wrażliwy i wzrusza się, kiedy mu czytam wiersze. Poza tym podobam mu się nawet w worku pocztowym.

Odważysz się powiedzieć o kochankach?

Zakładasz, że moi mężowie nimi nie byli? Pytasz o kochanków, czyli kogoś dodatkowego, z kim uprawia się seks i to taki z górnej półki, dla relaksu, seksu w seksie, przyjemności, jakiej się nie ma ze stałym partnerem? Bo w romantycznym znaczeniu kochanek/ kochanka to ukochany.

Szczęściarą jesteś, jeśli mężowie byli także kochankami. Twoje zawiłości językowe znacznie by rozszerzyły naszą rozmowę, wracając więc do pytania o kochanków w tym banalnym znaczeniu…

Niewiele się dowiesz i to bynajmniej nie jest kwestią braku odwagi. Po prostu, nie jestem aż tak otwarta, jakby się wydawało, szczególnie jeśli chodzi o rozmowę o moim życiu intymnym. Nie ma to nic wspólnego z hipokryzją, czy z tym, że umiem, czy nie umiem rozmawiać o seksie. Najzwyczajniej nie chcę. Jeśli mi się to zdarzyło w babskich rozmowach, ograniczałam się do kilku achów i ochów. Gdyby mój mąż zdradzał tajemnice alkowy, byłabym bardzo tym zniesmaczona. Poza tym jestem staromodna i traktuję seks jak inni mszę.

O…to ciekawe.

Poopowiadam ci, bo umiesz słuchać. Zostałam wychowana w przeświadczeniu, że erotyzm i życie seksualne stoi w opozycji do rozwoju duchowego. Powiem więcej: wpajano mi, że seks jest czymś brudnym, grzesznym, złym. Ludzie lepsi żyli w cnocie, którą pojmowano w naszym pełnym hipokryzji społeczeństwie jako czystość seksualną, czyli dziewiczą niewinność. Najlepsi żyli w celibacie. Nie rozmawiało się o seksualnych pragnieniach, bo to był temat tabu. Za diabła nie mogłam pojąć, dlaczego wychowawczyni na koloniach kazała nam ręce trzymać na kołdrze i dlaczego byłam po nich bita, jak je schowałam.

Manipulowano mną, wzbudzając poczucie winy, zaznaczając jednocześnie, że są środki na jej odpuszczenie, a nawet odpusty całkowite. Walczyłam ze swoją seksualnością i była to droga przez mękę. Potrzebowałam wielu lat, by samej sobie jasno i wyraźnie powiedzieć, że seks jest motorem rozwoju mojej świadomości, że erotyzm jest formą mojego życia duchowego. Czułam to od pierwszego razu, ale co innego czuć, a co innego wiedzieć. Seks był dla mnie zawsze święty. Akt miłosny był dla mnie aktem łaski – to też sobie uzmysłowiłam po latach.

Seks traktowałam jako wartość, źródło przyjemności, płodności, metafizyki i magii. A metafizyka w moim rozumieniu to nic innego, jak przekraczanie samego siebie. Rozkosz jest przecież potrzebna psychice normalnego człowieka. Ci, którzy się jej wyrzekają, walczą i z naturą, i z sobą. Ileż się książek naczytałam, by pojąć, że trzeba „przyjąć" swoje demony, bo kiedy się z nimi walczy, to daje się im siłę. Często próba ucieczki od seksu przekształca się przecież w zwykłą lubieżność (nie cierpię jej).

Ponieważ seks może prowadzić do prokreacji, więc trzeba o nim wiedzieć jak najwięcej, by ponosić odpowiedzialność za swoje poczynania. A odpowiedzialność, to miłość, a miłość to sztuka, której też trzeba się uczyć. Dlatego irytuję się, kiedy słyszę od kobiety-polityka, pominę nazwisko, że: „*Seks jest zły, bo nie rozwija człowieka, nie przynosi dobra, nie daje bliskości z drugą osobą*".

Jestem, Jurku z tej epoki, że o seksualności nie mówiło się wprost. Nie używało się słowa „seks", bo o seksie się publicznie nie rozmawiało, chyba że w męskich pogaduchach, przy piwie, ale to już bardzo nieparlamentarnie. Nie wiem, kiedy pojawiło się słowo „seks", kiedy „współżycie seksualne". Ciotki szeptały po kątach zgorszone „oni już żyją ze sobą", co oznaczało, że „współżyją". Potem pojawiło się „śpią ze sobą", co znaczyło to samo. Słowo „bzykanie", którego tak nie lubię, choć może jest ładne, jak ktoś mi tłumaczył, bo przywołuje pszczółki, pojawiło się jeszcze później. Seksualność jest ogromną siłą i nie można jej wyhasać na boisku. Uff.

Wolałabyś rozmawiać o miłości?

Jak widzisz, nie za bardzo to rozdzielam, choć oczywiście widzę inne ciężary gatunkowe. O sztuce miłości już Erich Fromm się nagadał. I ja próbuję w powieściach pokazywać różne odcienie miłości. Najtrudniej tę bezwarunkową, której dla moich wnuków mam najwięcej. Myślę, że tak pomiędzy różnymi opowiastkami będziemy często wracać, a to do miłości, a to do seksu, który przecież też może być formą życia duchowego i miłością.

To jeszcze inaczej zapytam: Czy oprócz mężów był jeszcze mężczyzna, którego kochałaś?

Tak. Pokochałam poetę z Gdańska, Zbyszka. Było to tak szalone uczucie, że rozstałam się z pierwszym mężem dla niego. Nie chciałam banalnie zdradzać. I bardzo jeszcze kochałam Mirka, był też poetą, gejem.

I co?

O kogo pytasz, o Zbyszka?

O Zbyszka i Mirka.

Ze Zbyszkiem było bosko. Uciekłam od niego po dwóch latach. Jesteśmy przyjaciółmi. Na zawsze będzie w moim sercu i mojej głowie. Widzę po latach, co mi dał dobrego i jak na mnie wpłynął. Byłam dla niego bardzo ważna, wiem o tym. W piśmie literackim, którego jest redaktorem naczelnym od 20 lat, pisał o tym. Nie będę cytować, kto ciekaw to sobie wygoogla. Też już rozumiem, dlaczego nie mogliśmy być razem. Mirek z kolei miał żonę i kochanków. Tworzyliśmy świetną paczkę przyjaciół. Bardzo stylizowaliśmy swoje życie.

Z facetami jest tak, mówię o poetach, że dobrze jest, jak pojawia sie Muza . Czy był taki okres w Twojej twórczości, że napędzał cię intelektualnie jakiś mężczyzna?

Oczywiście, że „napędzał". Mój ukochany poeta, Zbyszek Joachimiak! Bardzo czułam i ceniłam jego poezję. Poza tym Zbyszek pomógł mi w siebie uwierzyć. Chyba on najbardziej. Kiedyś odrzucono mi tekst. Siedziałam w kącie zdruzgotana. A Zbyszek powiedział: Dlaczego wierzysz temu redaktorowi regionalnej gazety? On ma tylko władzę, bo jest szefem działu, ale skoro się nie poznał na twoim pisaniu, to jego strata. Spróbuj gdzie indziej. Wyślij do „Poezji", do "Radaru". Wysłałam, przyjęto mnie od razu, zaproponowano współpracę. Ów szef działu do dzisiaj nie stworzył nic nowego i tylko próbuje odcinać kupony od kilku swoich teoryjek z młodości, które psu na budę.

Jerzy Fryckowski

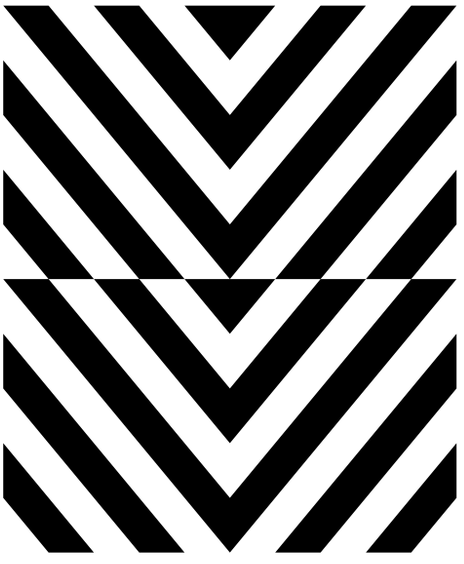

Tadeusz Zawadowski

miasto

to był zwyczajny dzień. miasto jak zwykle parowało
tłumem spieszących do pracy i zapachem spalin
snujących się wzdłuż ulic. szukałem
pośród nich swojego miejsca ale moje kroki
odeszły gdzieś daleko. tam gdzie miasto
kończy swe panowanie a linia morza łączy się
z horyzontem. siedziałem na opuszczonej łajbie
i liczyłem przybijające do brzegu fale. miasto odpływało
ode mnie a jego gwar zakrzykiwały zgłodniałe

mewy.

jonasz

ulice po zmierzchu przypominają otwarte paszcze
kaszalotów. połykają domy i przemykających
między nimi ludzi. nawet świeżo rozbudzone
światła latarń. jak jonasz mieszkam w brzuchu
miasta nie znając chwili
kiedy fale wyrzucą mnie

na brzeg.

śnienie

Ewie

wymyśliłem ciebie w młodzieńczych snach. zanim
stałaś się. zanim moje oczy przyzwyczaiły się
do twojego widoku. usta nauczyły twojego smaku.
dopiero kreśliłaś w oczach pierwsze przebłyski
uśmiechu. jeszcze nieświadome że sen stanie się
jawą. szedłem ulicą i śniłem. budziłem się a sen
się nie kończył. wyciągnąłem rękę a ty obok

właśnie stawałaś się.

moje rzeki

płyną przeze mnie rzeki wraz z rozlewiskami. nazywam je
wzruszeniami. próbuję ujarzmić zaporami słów których
nie buduję z wielkich liter. tylko małe jest prawdziwe.
kryję się w dłoniach jak pisklę które dopiero ma wylecieć
w świat. to przed nim odkrywanie nienazwanego.
moje rzeki to one prowadzą mnie

do źródła.

imperia

wpatruję się w morze i kątem oka dostrzegam
stoczone tutaj bitwy. zatopione
okręty. chełpiące się swym orężem karawele
zwożące bogactwa z nieznanych lądów. tak rodziły się
imperia i rozpadały się niczym zamki
z piasku. spoglądam się na bawiące się obok dzieci
z uporem wznoszące kolejne

imperia.

łodzie

powróciły łodzie do portów nie odkrywszy lądów. wszystko
zostało już nazwane. nowe ziemie postarzały. dawno
skradziono złoto mirrę i kadzidło. przyglądam się połamanym
masztom i zmęczonym twarzom żeglarzy. ich matki
nie doczekały synów. stęsknione kobiety kochanków. stoję
na brzegu i przypatruję się zarysom łodzi coraz bardziej

zacierającym w pamięci.

titanic

znowu płynę titanicem. mam nadzieję że w końcu
uda mi się rozminąć z fatum i dopłynąć do brzegu.
wielokrotnie wsiadałem na jego pokład jednak
za każdym razem rozbijałem się o górę lodową
ludzkiego zwątpienia. zaczęto uważać mnie
za szaleńca. jednak moja kapitulacja oznaczałaby
że uwierzyłem w nieodwracalność zdarzeń

i własną śmierć.

druga strona lustra

odpłynęły poza horyzont stateczki mojego dzieciństwa.
kotwicowiska młodości gdzie kiedyś mocowałem
cumy swoich marzeń. dzisiaj straszą
połamanymi żebrami i rdzą dawnych konstrukcji.
a jednak lubię tu powracać. liczyć ślady pozostawionych
kroków. wsłuchiwać się w ich rytm. odtwarzać stare
szlaki wierzą ze kiedyś zaprowadzą mnie na drugą

stronę lustra.

w poszukiwaniu araratu

lubię powraca c do miejsc których nigdy nie było
poza moją wyobraźnią. Stwarzam brzegi nieodkrytych
wysp. nadaję im nazwy i płynę ku nim zanim one
odpłyną w niepamięć. robię im tysiące zdjęć aby zdążyć
przed napływającymi porywami sepii która uniesie je
w nieznane nawet mnie krainy. mimo to powracam
wierząc że kiedyś je odnajdę na stworzonym przeze mnie

skrawku araratu.

odleciały żurawie

nieopodal domu urządził sobie legowisko stary staw.
Wieczorami w jego sierści zbierały się żaby i głośno
Plotkowały głośno o miejscowym ptactwie. obok
przysiadł na cembrowinie stary żuraw
i przysłuchiwał się ich rozmowom. czasem tylko
zamachnął się zardzewiałym wiadrem
płosząc coraz bardziej zacierające się
w pamięci obrazki

z dzieciństwa.

gałąź

kolejna bezsenna noc. patrzę w gwiazdy. zbyt wiele
by policzyć. są zbyt odległe by stały się
namacalne. tylko gałąź za oknem jest realna
uchyla się pod dotykiem mego spojrzenia i co chwila
puka lekko w szybę jakby chciała mnie wyprowadzić
z tego mieszkania w krainy mego dzieciństwa. cichutko
otwieram okno i podążam za nią kalecząc stopy

o wieczność.

FAŁSZ

Roman Warszewski

Ma zdrowe nerwy i zręczne palce. Kiedy trzeba – twarde szczudła, że wszystko trzaska jak zapałka. Kiedy trzeba – miękkie serdelki, elastyczne, żadnej tkanki nie uszkodzą. I czystość lubi, formaliny się nie brzydzi. A to w zawodzie ważne. Niby powołanie, chyba nic więcej. Bo któż powie o talencie do zapinania guzików albo szycia na okrętkę, ściegiem raz na trzy, pięć centymetrów?

Młody, 26 lat. Przez swoje trzy lata w zawodzie, pamięta pięciu lekarzy. Każdy taki sam, tak samo zaczyna: od dezodorantu. On nie. I nikt nie ma mu prawa wytknąć, że śmierdzi. Choć był taki jeden. Powiedział mu na pożegnanie: – Może spotkamy się kiedyś…

I tamten, choć z rozkwaszonym nosem, zrozumiał.

Windziarz, szatniarz, pomocnik kelnera. Zwinny, sprytny, wszędzie się wciśnie. Nawet pod lokomotywę na chodzie, nawet gdy para idzie. Bo był już i na kolei.

Złota rączka, mleczarz na pół etatu, doręczyciel na ćwierć. Żelazny drugoklasista na wieczorówce. Uczynny, uprzejmy, umie pożartować, z trochę krzywym uchem. Sam o sobie: – Pechowiec, panie, pechman ja jestem… A latem – pan do towarzystwa, bo przecież krawat każdy kupić może. Zawodowy „siadacz" na ławce, zwłaszcza jak kuracjuszki przyjeżdżały do wód. Wtedy brał „Politykę", niby że się nią wachluje albo uczył się programu TV na pamięć, żeby zaimponować. Teraz telewizję ogląda do deski: kiedy zły bandyta ma zabić dobrego detektywa, gryzie paznokcie i woła: – Uważaj, idzie za tobą!

Cieszy się, gdy to pomaga.

Miesiąc, dwa nie więcej – bezrobotny. Każdy przecież może na urlopik. Ale i wtedy nie bało problemów. Nie lubił bezczynności. „Tylko wypoczynek czynny" – słyszał kiedyś, jak jakiś pan wołał tak w telewizji. Wata była tania, a choćby nie było na ladzie, zawsze znalazła się pod, u młodej pani zza szybki.

Dwie godziny potem gotował klej z ryżu z dodatkiem kwasku cytrynowego. Żeby lepiej trzymało. A barwnik „osiemdziesięciolatek" brał od kolegi, zawodowca. Na koniec – pół godziny przy lustrze, a jak wszystko wyschło był już z brodą, stary, pomarszczony, bardzo potrzebujący. Na nosie – ciemne okulary, najlepiej z pękniętym szkłem. Do ręki drążek, który przedtem pociągnął równo białą farbą. Wtedy zaczynał gwizdać to, co śpiewano ponoć jeszcze w partyzantce: gotowy jestem do boju…, gotowy jestem…

Czynny wypoczynek. Jedyna posada, na której potrafił uciągnąć pewne dwa etaty. Nieraz – po dziesięć godzin dziennie. Uczył się tego kroku. Jak składać oczy w słup. Jak zrobić chrypkę „nędzarkę" A przynosił tyle, że w kieszeniach szeleściło. Gorzej jak deszcze padał. Broda robiła się coraz cięższa, siwe kęsy waty leciały na bruk. Wtedy aż milicją straszyli. Krzyczeli:

– O!, numerant, patrzcie! O, jaki młody!

Tak było. Szczegóły rozpłynęły się w czasie. Plamy wspomnień cuchnące spleśniałą słomą na sienniku. Honor, bezsenne noce i gryzienie warg do lepkiej krwi. Ze wstydu, z tych myśli: ileż razy można wyciągać tę gładką dłoń do ludzi? Gest pod łóżko, lecz czuł, że butelka już pusta, bo za lekka. Pytał sam siebie dlaczego już na starcie został daleko w tyle, w blokach. Aż wybrał: bo przecież każdy swój honor ma.

Trzeci rok zaczyna w zawodzie i jest satysfakcja: jak szew równo pójdzie, że śladu nie ma, jak odbierający ze zdziwienia cmokają. Albo jak kogoś z wypadku przywiozą i ligniną trzeba to z prawa, to z lewa pode pchać, jak lekarzowi podpowie, dobre narzędzie bez pytania poda, jak poklepią po ramieniu… A zanim się zdecydował, to ona na ambicji mu zagrała…

– Poszedłem do grandu, bo znów miały być kuracjuszki. Ale sezon się kończył i było bezrybie. Aż przysunęła się jedna i pikowałem z dancu na danc, do stolika zapraszała, do koniaku, do bufeciku, aż było pusto w kieszeni. U mnie. U niej. Więc skoczyliśmy na chatę. Miała mebelki, że owszem: segmenty, krzesło na biegunach i wygodną wersalkę. Powiem kulturalnie: zostałem do śniadania. A nad ranem szczerość jakaś mnie wzięła, powiedziałem, że hajcu nie ma skąd brać, bo byśmy się mogli spotykać. I ona mnie zaprowadziła. Sama dłużej już była w fachu, aż jej palce posiniały.

Jak zobaczył – uciekł.

Ona dzwoniła, zapraszała. Poszedł więc, popatrzeć. Słyszał stuk narzędzi. Widział pracę piłki, nieraz oczy zamykał. Aż powiedziała:

– Jesteś chyba mężczyzną!

I wtedy lancet wziął do ręki. Na drugi dzień otworzył pierwszego staruszka.

Matka, ojciec, butelka. Zawsze we trójkę. Ojciec umiał się podpisać, matka – liczyć na palcach. Pięć sióstr, dwóch braci. – Weź sobie chleba! Ale nie za grubo! Tak było. Kałuża w pokoju, bo ojciec zerwał deski. Szukał skarbu, bo mu się przyśniło. Dobrze, bo deski były na opał, ale szybko się kończyły. Potem dalej szczękanie zębami w rytmie: – cztery pory roku. Koszula na zimę, jesień, lato. Dobra – bo z lnu. Od ciotki ją dostał. Ale jedna. – Jedna też dobra, zarazo!

Gdy ojciec się zdenerwował i wyciągał nóż, on – ślizgiem pod łóżko. Bo drobny i zwinny. A ojciec klął.

Do domu dziecka poszedł sam. Tu był talerz, nóż, widelec. Jak zobaczył pierwszy raz – zapytał: co to? Inni się śmiali, tylko siostra przełożona złapała za różaniec, aż koraliki się posypały na podłogę.

Chleba brał zawsze w rękaw, ssał w nocy i wiedział, że starczy, że musi starczyć. I jeszcze kruszynki spod poduszki wygarniał.

Teraz tu. Na początku nie było łatwo.

Nie potrafił odróżnić jelita od tchawicy. Bez szkoły, czystą praktyką, bo też takich szkół nie ma. Ręce drżały, ostrze krzywo biegało. Lekarz wyciągał płuca, on – czy to nerki, bo kiedyś podobne widział jak rozcinał kurczaka. Głupio było, więc nosił tylko nieboszczyków, po dwóch, trzech, jak się dało, równo układał na stole i liczył czerwone koła przed oczami.

Spotykał się zjedną blondyną. Siedzieli w kawiarni. Wyrwało mu się: – Dziś słaby dzień. Tylko Pięć sekcji… Zdania nie skończył, ona wstała, tyle ją widział. Został tylko rachunek do uregulowania. Wtedy pierwszy raz zadał sobie pytanie: czy jest normalnym człowiekiem.

Był posadzkowym z kursem, motorniczym z granatową Opaką. Posada za posadą, nie wie nawet jak to w życiorysie pomieścił. Miał wypadek, musiał zmiatać. Dalej szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

Potem dezynfekował w szpitalu.

Bał się widoku krwi.

Raz, przez tą krew się zdenerwował i dał komuś „w czapę". I wylali z trzaskiem. W papierach smród zrobili.

Chciał do straży. Nie przyjęli.

Chciał na studia. Słyszał, że dają stypendia. Dowiedział się, że trzeba mieć maturę. Szukał więc dalej.

Rok przy zwózce pni w puszczy. Tak naprawdę, to tylko pół roku. No, trzy miesiące może. Kolesie podpuszczali: – Skocz do geesu, co? Chciał być swój i skakał. Były podpadki. Kiedy odchodził, brygadzista napisał w opinii, kieliszek chowając do szuflady: „Konfliktowy, do tego alkoholik…".

Chciał się leczyć. Powiedzieli, że zdrowy. Zdziwił się. Szukał dalej.

– Robiłem na pogłębiarce. „Perkoz" się nazywała. Wylali. Barmanem byłem. W kanał puścili i manko do odsiadki…

TART

Wyrok: świat widziany w kratkę lub pasy, jak szkocka koszula lub zebra. Pasy są ze stali, pręty od sufitu aż do podłogi. Na nic zaciskał dłonie: dlaczego za frajer siedział?...

Koniec spaceru. Więzień na górę. Więzień w dół. Po schodach. Po drabinie. Ręce z kieszeni. Nie gadać. Koc krzywo. Więcej na łopatę. Mniej na talerz. Do taczki. Przepustki nie będzie. Dziś chleb, jutro zupa, pojutrze deser. Dlaczego? Byle szybciej. Nie myśleć: – Za frajer! Jak wygląda drzewo bez szachownicy?

Własne liczenie, przeliczanie, oddawanie, odejmowanie, działania na dniach, żeby się tylko nie pomylić. Żeby już ostatnia noc…

Potem rzeźbił w skansenie. Ale dokumentów nie miał ze szkoły.

Kaucję ledwie zapłacił.

Był gońcem. Zgubił zegarek. Spóźniał się. Wylali. A teraz tu…

Imponowało mu od początku. Że nikt jakoś nie warczy, że rozumieją. Sam siebie pytał, czy wreszcie zastartował, czy to tylko ciąg dalszy falstartu.

Chrzest też był. Musiał być. Rzygał czystą żółcią: – Taki był początek…

Był potrzebny. W lesie mówili: – Jak chcesz, to odchodź. Pięciu na posadę czeka… Tutaj nie. Nigdy. Przychodził lekarz. Pomagał. Uczył. Mówił, że nie wolno się załamywać, że on na początku też… W kontekście chrztu i całej reszty. Dobry człowiek.

Papiery znał, ale podtrzymywał. Nieraz, pić razy dziennie. Zawziął się: że musi, że za wszelką cenę, że wreszcie. Przełamywał się za każdym razem. Nogi jak galareta w stawach. Najgorzej zawsze do pierwszego cięcia.

– Aż dochodziłem do wprawy. Pod ostrzem czułem każdą bliznę, zgrubienia, zwapnienia. Spalałem trzy paczki dziennie. Lekarz podsuwał Carmeny, zapałki, zapalniczkę. Nieraz i dziesięć razy przypalałem z tego drżenia rąk. I ta świadomość: jak zrezygnujesz, znów trafisz do pudła. Życiorys w kratkę. Już starczy.

Raz i drugi kumpel ostrze stępił, żeby ręką musiał sobie pomagać. Stawiali pod otwarte okno, gdzie zawsze najbardziej śmierdzi. Dostawał tych dwutygodniowych, co już w szuwarach poleżeli. Chlorem się dusił. Albo te trzydniowe robaki w nosie. Tłumaczenie: każdy tak zaczynał, każdy przez to przeszedł.

– Jak się budziłem rano, mówiłem sobie, że więcej nie pójdę. Bo paznokcie miękną od formaliny, bo już starczy. Przychodzili się pytać, czy chory jestem. I znów głupio było. Taki plakat zrobiłem nad łóżkiem, z cytatem: „Konfliktowy do tego…" Pomagało. Pierwszy raz przyszło mi do głowy: szukałem i chyba znalazłem. Technik sekcyjny. Dlaczego by nie?

Był też hydraulikiem bez dyplomu. Na drzwiach zrobił sobie wywieszkę :"Starszy hydraulik". Wzywał go brygadzista. Koledzy się śmiali.

Był stróżem nocnym i z psem chodził koło płotu. Ale psa otruli. Zasnął, ale płot się spalił. Tona cegieł wyparowała. I znów prokurator. Z braku dowodów umorzyli.

Poszedł do kopalni, żeby wojsko odpukać. Bał się, że od pyłu oślepnie na prawe oko. W dowodzie przybyła znów jedna pieczątka. Już kartek brakowało, trzeba było doszywać.

Na pośredniaku kiwali głowami. W prawo. W lewo. Na zmianę.

Miał tam już swoje miejsce, na ławce, przy ścianie, w kącie.

Poszedł na wieś. Asystent kowala rusza miechem, więc ruszał i on. Słabo. Nierytmicznie. Kowal narzekał. Dawał do zrozumienia. To i ruszanie mu się znudziło.

Potem był inwalidą.

Niedługo, ale był.

Rencistą też, bo podrobił legitymację. Nie, nie. Znalazł tylko starą, zmienił zdjęcie, nazwisko też. Do kolejki podchodził z lewej strony. Liczył na szczęście raz, jedyny raz w życiu.

Ale niedługo.

Kopuła, w środku schody. Tak wygląda sąd. A zdrowaśki jakoś nie pomogły. Strażnicy wzięli na celę.

Było gorzej. Codziennie butem w zęby. Za błękitne oczy – w poniedziałki. Za krzywe ucho – we wtorki. Do niedzieli. A na niedzielę też coś znaleźli. Takich miał kolegów.

Najgorszy ten ze środkowej pryczy: językiem kazał lizać kraty. Lizał dwa tygodnie. Potem przenieśli.

Nowa cela: będzie amnestia, nie będzie, będzie… , odliczanka na prętach w oknie. Siadać tylko na taborecie. Taboret tylko jeden. W celi trzech. A jak zmiana wypadła nocą?... Zrobić szachy z chleba. Z nitki szachownicę. Może książkę napisać? Zrobić telewizor z pudełka do zapałek: uda się, nie da się… – spory na pół niedzieli. Uczył się słownika wyrazów obcych na pamięć: sozologia to nauka o … dekrement to… koncesja… perswadować… Może mógłby potem uczyć się w szkole?

– Byłem komiwojażerem. Ale nie zagrzałem miejsca. Próbowałem w domu kultury, bo miałem zawsze poczucie rytmu i humoru. Zostałem woźnym.

Przeniósł się do szkoły. Zwolnili, bo z chłopcami grał w karty, a posadzka się nie błyszczała jak trzeba. Zapijał jabcokiem. Tłumaczył, że słownika się nauczył, że na pamięć. Nikt go nie słuchał.

Pomocnikiem u czapnika też był. Koło tygodnia. Lody sprzedawał. A teraz tu…

Do jedenastej średnio trzy ciała. Potem przerwa na zaczerpnięcie oddechu. Do pierwszej – ile trzeba, co trzeba. Etat skrócony, za to, że szkodliwe. Grosz mówi, że marny. Dostaje od ludzi za ubieranie setkę, nieraz więcej, często – nic. Zna się na odczynnikach. Wie, kiedy zawał a kiedy wylew.

– Myślę, że do biura nie mógłby już iść. Może nie jestem już normalny?

Ma swoją odtrutkę na zapach formaliny. Chodzi na koncerty, czyta, kupił telewizor kolorowy, bo po znajomości. Zna już wszystkie muzea. Chciałby napisać choć jeden wiersz. Choćby potem kroić do końca życia. Choćby.

Jak lekarz pozwoli, patrzy na wycinki pod mikroskopem. Lekarz chwali, może kiedyś do nagrody poda. Gramofon już kupił, dwie płyty. Bardzo lubi te filmy o dobrych detektywach i złych bandytach. Dziwi się, że nie stemplują mu od trzech lat zmiany pracy w dowodzie.

Cieszy się, Jakie to proste.

Jeszcze tylko obmyć narzędzia, przygotować na jutro, zadbać o podłogę, sprawdzić czy chłodziarka działa, dopełnić baseny, ścierki rozwiesić i po robocie.

Fartuch na haku.

Idzie do domu, by odpowiadać sobie na pytania:

– Bo często czuję się bardzo słaby, jak dziecko. Te pytania mnie męczą. Szukam zapomnienia i czytam książki uczone, żeby nie tylko trupy za ręce chwytać. Rozmawiam ze ścianami w mieszkaniu…

Jak słońce świeci nieraz dla pierwszej zmiany, popołudniem, siada w oknie, ma piękny widok z szóstego piętra.

Ludzie idą w dole. Każdy przed siebie.

Mówi: – Liczyć ich szkoda. Jak mrówki. Każdy swoją ścieżką. I myślę wtedy nad ludzkim życiem. Nad każdą ze ścieżek. Nad tym, że jak się dalej nie będę trzymał, znów mogę trafić do pudła. I stracę ten piękny widok i tysiące z możliwych w dole ścieżek. Płaczę nieraz. Głupio, ale to prawda. Weź pan: dzieciństwo – grzyby miałem w pokoju. Mogłem kosić brzytwą. Potem co miesiąc zmiana posady. I w pudle dwa lata. A tu raz słyszę: – Ten trupiarń to pewnie po nocach straszy… Panie! Myślałem, że… I nie chcę już patrzeć z szóstego piętra. Żeby tylko głupstwa nie zrobić… Ja muszę być silny. Muszę… Powiedz pan, czy ja jestem normalnym człowiekiem?

ROMAN WARSZEWSKI

Fragment z książki „Historię rozpocząć od jutra" przygotowywanej do druku dla Fundacji Światło Literatury

Marek Wawrzkiewicz

Szymborska czyta Baczyńskiego

W tym wierszu poeta nie zginął w sierpniu,
Nie trafiła go snajperska kula w czwartym dniu Powstania.
W chwili wiersza ma sześćdziesiąt kilka lat.
Nie ozdobiła go młodzieńcza śmierć. Jest poetą znanym
Ale nie cytuje się go zbyt często.

Przygarbiony, ubrany przez Panią Wisię
W luźny, rozciągnięty sweter nieokreślonego koloru,
Je samotne śniadanie w zakopiańskiej Astorii.
Milczy. W tamtym, odległym sierpniu
Dziewczynka imieniem Wisława miała rok
I poezja jeszcze w niej milczała.

Dawniej i teraz z recepcji słychać kobiecy głos:
- Panie Baczyński, telefon do pana!
Poeta podnosi się z trudem, idzie
Człapiąc rozdeptanymi kapciami.

Poetka znana, ale jeszcze przed Noblem,
Wybawiła go od śmierci.
Dla siebie.

Bez odpowiedzi

Wracaliśmy do domu. Wulkan jeszcze dymił,
Lawa zastygła tuż przed ogródkami, u podnóża
Agrestowych krzewów. Zwarzone owoce
Plamiły nasze czarne od popiołu dłonie.

Przez popękane chodniki, wyszczerbione drzwi
Weszliśmy na pokoje. Znaleźliśmy na półce
Nadpalone przepustki do żywych i umarłych,
Do urojonych rzeczy i zmierzchłych krajobrazów.
Utraciły ważność – przepustki i ludzie,
Rzeczy i pejzaże. Skończyła się przeszłość,
A jaśniejące niebo było niewiadome.

Stało się jak przepowiedział nasz prastary sąsiad,
Zanim ochoczo spłonął. Pora postanowić.
Resztki domu skrzypią w wątłej strudze wiatru.
Czas wyruszać. Może znajdziemy w oddali
Skrawek lasu nietknięty człowieczą przyrodą,
Lub przyjazną pustynię. Siądziemy na ściółce,
Przysiądziemy na wydmie złocistego piachu,
Pomyślimy o tym, skąd przywędrowaliśmy
I nie zapytamy siebie o nasz cel podróży.

grudzień, 2023 r

Klapa

pamięci Gąsiorowskiego

Jakoś tak, między trzecią, a czwartą nad ranem,
W poplamionej kurtce, przez zamknięte drzwi
Przyszedł do mnie Gąsior.

Już od progu zaczął układać wcześniej napisany
Wiersz o starej, nagiej maszynie do pisania. Jakby
Nic nie wiedział o erze laptopów. Przerwał,
Bo musiał do toalety. Krzyknąłem: Krzysiu, podnieś klapę!
Wrócił i dalej pisał w powietrzu wiersz.

Pewnie coś wypiliśmy. Potem Gąsior
Zasnął z butami na mojej pościeli.

Po dwunastu latach sen się urwał.
Pościel czysta, klapa nie zasikana.

I tak to życie przeszło.

marzec, 2024

Dłonie

Zaborczość jest jak uchwyt dłoni – słabnie z latami.
Dawniej mogliśmy wyciągnąć się za włosy
Z grzęzawiska. Teraz mamy niewiele włosów.

Zazdrość ma kolor rdzy. Wątleją pod nią
Nóż, hełm, który kiedyś opadał na oczy,
Metal głosu i stalowe spojrzenie.

Dawna miłość przypomina zaśniedziałą miedź
Na starożytnym dachu, monetę rzuconą kiedyś
Na spulchnioną ziemię. Nic z niej nie wyrosło.

Można by zeskrobać rdzę, oczyścić patynę
Ale dłonie są za słabe.

luty 2024

Zwyczajność

Ci mali ludzie pokochali się wielką miłością,
Bo błyskawica przekroiła zamieć. .
Skłębiły się, pogmatwały pory roku
I niekiedy wschodziło słońce.

Rozdzielił ich jakiś drobiazg – zbyteczne słowo,
Nieostrożny gest, fałszywa nuta, daremna łza,
Potłuczony talerz, pęknięta płyta chodnikowa,
Zeszłoroczna szyszka, przyszłoroczny śnieg.

Pogrzebano ich w nieodległych latach,
W odległych miejscach. Teraz ich pamięci
Polatują nad cmentarzami. Oni się szukają
Po omacku, bez skutku, jak zwykle.

Oczy

Postarzały się ręce moim byłym dziewczynom,
Ich głosy niegdyś dźwięczne stały się chropawe.
Czas bujnych włosów już dawno przeminął,
Jest jak stara moneta uroniona w trawie.

Jest ich wiele bogaciej i w talii i w biodrach,
A i poniżej bioder rozrosły się znacznie.
Poszarzały źrenice, kiedyś takie modre.
Są niby takie same, ale są inaczej.

Nie owijają ich teraz ciepłym światłem zorze,
A blask od nich bijący zmniejszył się i zmroczył.
Tak dzisiaj wyglądają, takie są. Lecz może
Prosto w oczy mi kłamią moje stare oczy.

listopad 2023 r

ESEJ

Anna Czyrska

PISARKA W ŚWIECIE AI CZ.1

Fot. by AI

Sztuka to słowo piękne choć wolę chyba słowo art. Podobnie jest z tajemniczym skrótem AI, Artifical Intelligence. Ludzie się przerazili a zwłaszcza artyści. Nagle sztuczna inteligencja się objawiła i co teraz?

Sztuczna inteligencja zagroziła nam niczym wojownik. Odbiera nam pracę. Co ja czuję? Czuję, że i bez sztucznej inteligencji ludzie szukają pracy i stabilizacji. Szukają mimo zmienności świata w każdej sekundzie, mimo niepewności poranka i wieczoru. Ludzkość się boi. Jednocześnie ten chaos probuje złożyć sztuczna inteligencja bowiem nic nie ma przecież takiej siły. Sztuczna Inteligencja jest więc częścią kultury, która spogląda na nas. Jest częścią człowieka od lat osiemdziesiątych. Sztuczna Inteligencja ratuje nasze życie. Od zawsze, w medycynie znalazła swój dom. By okiełznać AI postawiłam poprosić ją by stworzyła grafiki do moich wierszy za pomocą mojego znajomego, który wyczuwa tajemniczość i magię owego narzędzia.

Powstają z tego wiersze- wytwory i potwory. Powstają z tego obrazy do moich słów. Większość rzeczy, które robi sztuczna inteligencja są rzekomo sztuczne. Przecież już od dawna są sztuczne kwiaty, które kojarzą się mi z cmentarzami ale wygląda to okropnie. To takie pójście na łatwiznę. Położę „sztuczne kwiaty" i już nie będę musiała chodzić na cmentarz. Jawnie marzymy o sztucznej śmierci, kilku życiach jak w grach. Chcemy tej wieczności a sztuczna inteligencja śmierci się nie boi. Wracając do dalszych problemów z AI to czyż nie jesteśmy sztuczni kiedy wchodzimy do restauracji, kościoła czy innych miejsc? Czy nie bywamy sztuczni wobec partnera i partnerki kiedy tzw. „skończą się tematy" puszczamy filmiki z YT. Czyż nie jesteśmy wytworem symulacji kiedy oglądamy aktorów w filmie, którzy odgrywają swoją rolę? Czyż sztuczność seksu nie jest codziennością? Wirtualna masturbacja, sztuczne kobiety i ciało. Mężczyźni i kobiety , którzy chcą się tylko zaspokoić. Czyż rzeczywistość nie jest sztuczna? Czyż to, że codziennie sprzątasz bo musi być czysto a ty musisz co robić nie jest sztuczne? Codziennie chcę być sztuczna, chcę wyglądać ładnie na zdjęciach. Pragnę sztuczności w każdej sferze mojego życia. Pragnę miłości a piszą do mnie boty zaprogramowane tak bym wpłaciła im pieniądze, których nie mam. Randjkuję ze „sztucznymi mężczyznami", którzy boją się być sobą. Zawsze są bardziej męscy i bohaterscy, nie chcą płakać. Nie potrafią rozmawiać inaczej niż przez seks. Naturalnie, seks to najprostszy język komunikacji. *Tak kotku, wyślę ci penisa. Widzę siebie tylko jako penisa.* Nawet jeśli jest we mnie coś więcej. No i wtedy powstają wiersze. Poezja, która jest i śpiewana. Poezja bo przecież sztuczna inteligencja na pytanie czym jest miłość odpowie: *Miłość to jak WiFi. Niewidzialna, ale ma moc łączenia ludzi bez względu na odległość. Czasami ma słaby zasięg.* Ja powiem, że miłość i uczucia generalnie mają słaby zasięg w obliczu tylu pięknych kobiet i mężczyzn ciężko się zadowolić. Ciężko zapragnąć kogoś i wyznać mu miłość ale przecież każdy widzi miłość inaczej. Jako pozytywne uczucie. Posiadanie rodziny zazwyczaj kojarzy się z miłością. A czy miłością nie jest fakt nie szkodzeniu nikogo choć przysięga lekarzy już tak nie brzmi jak kiedyś. *Primum non nocere* to wciąż słowa zupełnie nieadekwatne do obecnej sytuacji. Nie szkodzić wybranym. Czy sztuczna Inteligencja mi szkodzi, tobie szkodzi? Teraz powiedzmy sobie, że ja jestem ludzka ale pamiętam grę *Detroit become human gdzie androidy są ludzkie bardziej od ludzi.* Zwierzęta są lepsze od ludzi. Myślę, że sporo rzeczy jest lepszych od ludzi. Tylko ludzie wciąż chcą udowodnić, że są lepsi od innych choć nie potrafią tych innych zdefiniować. Tak samo jak nie potrafią zdefiniować uczuć, których u nich nie ma nawet jeśli my poznając ich widzimy jak omamiają nas. Idealnym miejscem takiego teatru jest polityka. To sztuka w czystej postaci, wieczny teatr kłótni ludzi, którzy żyją jakby na innej planecie. Też przypominają AI. Jednak my nie mamy nich wpływu a oni z każdą chwilą pozwalają nam uwierzyć, że my mamy wpływ. Wokół nas sami oszuści, odwieczna sztuczność. Jestem pisarką w świecie AI. Przedstawiam wam pierwszy odcinek tej serii bowiem można pisać nieustannie o świecie, w którym zawsze coś się dzieje. Wyobraźcie sobie, że budzicie się w świecie, w którym nagle jest totalna cisza. Powiecie: To apokalipsa albo niebo. Ten upragniony koniec świata.

ANNA CZYRSKA

Pisarka w świecie AI- Jak kochają pisarze?

Pisarze i poeci, poetki i pisarki albo zostają wiernymi żonami. Mężczyźni mężami albo wytrawnymi Playboyami. Podryw na pisarza jest jednak skuteczniejszy niż podryw na pisarkę. W większości przypadków panowie raczej ci nie uwierzą bo jeśli nie jesteś tak znana jak Bonda to do bani.

Ja zawsze byłam romantyczna i jestem nadal. Romantyzm ma swoje wady bo mimo wszystko trzeba stąpać twardo po tej planecie. Twardo znaczy zarabiać, mieć mieszkanie znaleźć receptę na życie, istnienie. Powstaje pytanie czy aby na pewno znalezienie recepty jest możliwe? Czy posiadanie czegoś daje szczęście? Posiadanie uczuć jest bez wątpienia jednym z największych darów ale czy da się posiąść drugiego człowieka nie mówię tu o posiadaniu seksualnym ale o tym najmocniejszym,. Nikt z nas nie jest niczyją własnością ale kiedy jesteśmy mali własnością jesteśmy rodziców. I tak i nie. Jednak możemy być ich własnością z racji zupełnego nieobycia na tej planecie, która łuszczy się od wojen. Co ja mogę zrobić? Mogę kochać. Każdy może kochać. Pisarze uchodzą za samotników, introwertyków, ludzi, których bezwzględnie nazywamy dziwnymi. Czym objawia się ta dziwność? Tkwi w postrzeganiu rzeczywistości i jej opisywaniu, tkwi w dozie nadwrażliwości, która płynie z ich serca. Jak dla mnie wygląda miłość? Kiedyś obsesyjnie chciałam być kochana. Jakiś czas temu chciałam być kochana przez mężczyznę z przeszłością (Czyt.dzieci), który jednak mnie nie kochał. Ja mu wierzyłam, wierzyłam, że mnie kocha a ja nie jestem dla niego tylko opiekunką. Swego czasu marzyłam o rodzinie i dzieciach. Nie spodziewałam się, że stanę się singielką. Nie spodziewałam, że moje oddanie może komuś przeszkadzać. Żyjemy w czasach praktycznego myślenia. Trzeba zawsze za coś żyć. Miłością i romantyzmem się nie wyżywisz. Podstawą egzystencji jest fakt by mieć na

chleb. To wyzwanie dzisiejszych czasów, czasów, w których ludzie głoszą: „*Jeśli robisz to co kochasz to nie pracujesz" lub /i „Miej pracę a hobby po godzinach pracy*". Obie te sentencje i tak nie oddają rzeczywistości. Posiadanie pracy nie jest stałe, zazwyczaj nie jest, finanse są zawsze za małe, niewystarczające .Znam te teorie które głoszą, że artyści, poeci czy pisarze powinni być SAMI. To jeden z mitow. Oczywiście jako pisarka mam wysoką samoświadomość i potrafię zająć się sobą i tymi cudownymi produktami współczesnej kultury.

Czy bez kultury byłoby więcej przemocy? Moim zdaniem wbrew temu co się mówi kultura nie zapobiega przemocy w takim stopniu w jakim chciała. Czasami wręcz tę przemoc ułaskawia. Z przemocą mamy do czynienia jednak od zawsze tak jak z seksem. Jako ludzie doświadczamy jej codziennie. Codziennie słyszymy, że ktoś kogoś skrzywdził lub chce kogoś skrzywdzić. Krzywdy są też wpisane w miłość bo ludzie kochają dramaty, są one nam potrzebne. Miłość to nasz upragniony dramat. Kochanie kogoś to jest dar. Nie musimy wiedzieć czy to coś znaczy, czy ma sens. Poddajmy się temu. Uczucia kochania jest piękne. Gdyby nie patrzeć na te śluby, wierność i przysięgi oraz zobowiązania ludzie czuliby wolność. Bowiem miłość powinna przychodzić z wolności. Powinna wynikać z wolności człowieka, nie powinna być katorgą, ciężarem. Samo stwierdzenie bądźmy w związku brzmi jak zaklinowanie. Związek może być, może powstać w sposób naturalny. Coś w stylu tego licealnego „chodź ze mną po bułki do sklepu". Jest to zacne zaproszenie na bara bara. Znam wiele kobiet, które chcą ślubu i deklaracji jakby świat od tego miał pozostać lepszy. Jakby miłość ich wybranka była wszystkim co mają. Poddają się im nieustannie. Wierzą, że ślub to poczucie bezpieczeństwa, dzieci gwarancja zatrzymania przy sobie samca. Myślę, że danie komuś wolności to największy przywilej uczuć. Ostatnio odwiedziłam mojego przyjaciela w szpitalu psychiatrycznym. O tym też będzie osobny felieton. To takie miejsce, które przygnębia a jednocześnie daje radość. Wizyty u psychiatry i szpitale nie są mi obce. Wciąż zapominamy, że psychiatra to lekarz jak każdy inny. Nadal się tego wstydzimy albo krytykujemy innych. Wracając do głównego aspektu dla mnie seks, miłość to wolność. Poczucie rozluźnienia a nie obowiązku. To moja chwila i tego mężczyzny. Sprawianie sobie przyjemności w życiu winno być naszym celem. Poszukiwanie. Współczesny człowiek jest jakby wyreżyserowany, jakby był postacią z czyjejś książki, z czyjejś rzeczywistości. Chce taki być, nierealny i jedyny niepowtarzalny. Chce pozostawić coś po sobie nawet jeśli będzie to udział w Hotelu Paradaise. Czy naprawdę w tych czasach szukamy miłości? Ja szukam źródeł dochodu i czuję jakbym wspinała się po szczeblach po widłach ludzi, którzy odkryli tajemnicę posiadania pieniędzy, męża, żony i dzieci. Czy ja wobec tego jestem ułomna? Moje związki nie wychodzą mi a pouczam innych. Moja wspinaczka trwa a ja już słyszę: Nie masz męża, dzieci co ty wiesz o życiu? Nie umiesz znaleźć pracy? Jesteś leniwa i masz oczekiwania. Marzę o podróżach z jakimś poetą, który będzie pisał lepiej ode mnie a na pewno inaczej. Zwiedzimy Bangkok, Nepal, Bali i inne krainy tak bardzo mi obce bo ja tu tylko mam okno. Okienko szarej rzeczywistości. Dotleniam swoje ciało masturbacją i pragnieniem bycia lepszą niż jestem w rzeczywistości. Czy mogę być kimś więcej niż kochanką? Czy mogę po prostu być kochana a On może podnosić mi endorfiny, czy nasz seks może być podróżą w nieznane.

Kim jestem? Czy podróże nie są dziś oczywiste. Kiedy już będę na miejscu nie będę oryginalna bo przede mną byli już inni. Inni i ich wrażenia, ich stopy, ich ślady ludzi, którzy w tym samy czasie dotrą na miejsce. Każdy marzy o dalekich podróżach i pięknych domach. Musisz tylko mieć pieniądze. Najpierw praca a potem reszta mimo , że inni z przyjemności uczynili pracę. Mimo, że świat to czasem zbyt mało bo jest jeszcze wszechświat. Dochodzimy do sedna, do prawdy ulotnej. By osiągnąć pełnię szczęścia ktoś musi kochać cię wystarczająco by płacić ci 40 tys za seks. I powiedz mi czy miłość to nie jest sponsoring. Wzajemny sponsoring chwil. Bowiem każdy z nas niezależnie od statusu powinien rano wstać, umyć zęby twarz oraz pachy. Być może zdąży wykonać szybki numerek o ile nie trzeba odprowadzić dzieci do przedszkola czy szkoły. Potem trzeba zarobić kasę. I tak codziennie aż do wieczora kiedy znowu wracasz do łóżka i zastanawiasz się czemu tak mało czasu miałeś by kochać.

Pisarka w świecie AI- Jak zarabiają pisarze?

Pisanie, ach przecież to nie jest praca. Pisanie to pasożytnictwo bo przecież ludzie potrafią pisać. Potrafią czytać. Po co komu pisanie? Dlaczego chcesz pisać. Pisanie jest przecież bez sensu. Ileż to razy słyszę, że to co robię to jest bez sensu. Bez sensu bo mi za to nie płacą.

Dla pokolenia moich rodziców praca jest wysiłkiem. Masz rano wstawać i zarabiać. Przyjemności to jest nagroda, nagrody są ogólnie zwłaszcza te finansowe. Pisarze też takie dostają. Taki Mróz, Różycki czy Twardoch czy Żulczyk potrafią na tym zarabiać. Kim jestem wśród tych nazwisk? To niestety jest tylko dla wybrańców. Ludzie mierzą ciebie sławą. Jeśli nie jesteś sławny nie jesteś pisarzem/poetą/pisarką. W ich mniemaniu tylko ci co są w mediach mają prawo się tak nazywać. Człowiek- pisarz a nie każdy marzy o sławie. Jako dziecko marzyłam o sławie a jednak pisałam wiersze. Na pogrzebie dziadka poczułam lęk i moja ciocia- z zawodu chirurg dziś musiałabym użyć feminatywu chirurżka zabrała mnie. Ja wtedy nie wiedziałam nic, świat widziany oczami dziecka jest taki niewinny. Przeraziłam się wtedy bardzo. Ciocia się mną zaopiekowała. Ciocia, mądra i silna kobieta bez męża i dzieci. Takie kobiety zwą „starymi pannami" dziś „singielkami". Jakkolwiek sama nie wiedziałam, że moje życie musi się jakoś ułożyć. Pisałam wiersze bo tylko to potrafiłam. Tylko tak mogłam zrozumieć ten świat, pisząc. Pisanie wypływało ze mnie jak woda. Czytałam w wieku czterech lat,było to dość nietypowe. Pisałam też szybko ale miałam problemy w szkole, problemy z matematyką. Kto nie kocha matematyki niech lepiej nie pokazuje się na tym świecie. Ludziom się wydaje, że świat pisarzy owiany jest szczęśliwym życiem. Jakby pisarz poeta podpisał pakt , w którym jego życie jest usłane różami. Pochodzę z domu farmaceutów. Miałam zawsze wszystko to czego chciałam; Kolonie za granicą, jako dziecko rodzice zabierali mnie nad morze. Chodziłam od podstawówki do prywatnych szkół językowych. W Koźlu miałam dosłownie koło domu szkołę ESPERO. Uczyli nas także Anglicy. Od dziecka miałam gadane. Lubiłam gadać, dostawałam ciągów wymowy i przerywałam. Mówiłam jak szalona. Zakochiwałam się w ludziach, których spotkałam a oni widzieli we mnie wariatkę, kretynkę. Chciałam być w centrum ich uwagi. Chciałam by mnie podziwiali, by widzieli moją walkę i starania. By łechtali mojego ego. Miłość do ludzi to najgorszy z objawów bo wtedy stajemy się ofiarami a nie zwycięzcami. Prawdziwi wygrani nie mają uczuć, wchodzą w relacje z rozsądku. Prawdziwi zwycięzcy nie są zdolni do kochania. Czy ja jestem? Kiedyś kochałam ludzi za bardzo niezależnie od tego jak mnie traktowano. Myślę, że długo nie mogłam zrozumieć tej prostej zasady: Inni widzą ciebie inaczej niż ja siebie widzę. Złotą zasadą jest by widzieć siebie tak jak widzą ciebie inni. Tylko po co? Całe życie chciałam komuś coś udowodnić. Czemu nie zostałam farmaceutką? Miałabym teraz Aptekę i dobre zarobki, męża lekarza….Jakbym była pisarką i farmaceutką….Tylko wtedy by mi się dobrze „powodziło". Ini patrzyliby i mówili- „Patrzcie ona ma pieniądze, męża i dzieci". Męża, który nie zdradza i idealne dzieci. Czyż nie tego oczekiwaliby ode mnie inni? Dorastałam wśród farmaceutycznej wieży z leków i walczyła moja mama ze mną, z trądzikiem. Codziennie walczyłam z kimś lub z czymś i zawsze oto samo. Każdy ma swoją drogą. Ani ja ani moja siostra nie poszłyśmy w stronę farmacji. Może fakt, że mam to co teraz mam to zwycięstwo? Czy każdy z nas jest mniej lub bardziej przegrywem? Nie wiem. Popijam teraz kawę i zastanawiam się nad ciśnieniem. Myślę o podróżach na, które mnie nie stać. Oglądam Youtuberów i czy ja? Czy jestem gorsza od nich, od Mroza, który kopuluje z kolejnymi książkami a wydawcy tylko czekają. Na tych dla których jestem tylko szarym człowieczkiem, któremu nie chcą płacić, nie chcą dać normalności bo podobno mam talent. Talent mają ci co potrafią zarobić sporo pieniędzy. Wiele razy wyobrażałam sobie siebie jako silną i niezależną sucz a w środku okazywała się, że jestem dupowata i niezaradna. Taka „nieżyciowy" bo w tym świecie „życiowość" to przede wszystkim praca, Żeby coś osiągnąć musisz pracować. A pisanie? Czy to praca? Co jest pracą a co nią nie jest. Każdy potrafi na swój sposób gotować ale nie każdy zostaje sous chefem. Także warto przemyśleć. Tak naprawdę to inni decydują czy nasza praca jest pracą. To inni decydują czy chcą nawiązywać z nami współpracę, czy chcą nam płacić. Warto pamiętać, że ludzie nie chcą płacić nikomu. Z założenia. Płacą bo muszą. Pracodawca z założenia musi zapłacić. To samo dotyczy wydawców, którzy są wydawcami i czekają na bestseller ale bestseller nie ma wartości żadnej poza tą marketingową. To co jest marketingowe jest wypromowane a ludzie tego pragną. Chcą tego ponad wszystko inne. Przede wszystkim przynosi to innym zyski. Prawo kapitalizmu jest największym prawem. Tylko każde prawo ma swoje negatywne wymiary. Ludzie nie czytają dziś by myśleć ale czytają dla rozrywki .Czy pisanie jest pracą, czy posiadanie osobistych myśli i dzielenie się nimi z ludźmi, którzy rzadko kiedy myślą podobnie do ciebie jest pracą? Życie samo w sobie jest pracą. Codzienność. Każdy z nas chce mieć jakąś codzienność i na bazie tej codzienności jest zwycięzcą albo przegranym. Pisanie to jest praca jak każda inna. Ale każdy inaczej zarabia, ma inne możliwości. To inni nadal decydują o tym kim jesteś i ile zarabiasz. Możemy się oszukiwać, że mamy wpływ. Pisarze nie uchodzą za optymisto,w chyba, że zostają niczym Joanne K.Rowling milionerami. Nie przepadam za Harrym Potterem i nie dlatego, że czuję zazdrość...No trochę czuję. Jak to jest być poetą/pisarzem w kapitaliźmie? Kiedy wokół słyszysz „Rób to co kochasz". Kiedyś miałam konto na Linkedin ale ktoś mi je zabrał. Nie opłacał PREMIUM ale miałam sporo ludzi. Pisałam prawdę czyli rzeczywistość taką jaka jest.

Pisałam prawdę o pracy. Kiedyś nawet →

napisano o mnie w Newsweeku. ŚP Anna Szulc napisała o moim pokoleniu artykuł „Pokolenie Porażka". Przykre, że nic się nie zmieniło. Przykre, że nadal muszę chodzić do Urzędu Pracy. Chodzenie do Urzędu Pracy to moja największa porażka. Poczucie takiej bezradności: Nie mam dzieci, męża i jeszcze pracy. Pisze pani? Czyli nic pani nie robi. Jestem społecznym pasożytem dla państwa. Czym ma być dla mnie państwo? Ojczyzną. Dlaczego uczą nas, że trzeba mieć pracę a nie mówią, że trzeba mieć pieniądze?

Pisarka w świecie AI- Pisarze i Bóg czyli Wielkanoc

Nadchodzi Wielkanoc, czyli wkrótce będą już wakacje. Z definicji wakacje to czas urlopu czyli wyjazdu kiedy harujesz jak wół. Wakacje ci się po prostu należą. Tymczasem u mnie wakacje są jakby cały czas.

Tak to wygląda przynajmniej. Dziś odwiedzi mnie moja kuzynka z mężem, kuzyn. Wokół pachnie pysznym jedzeniem. Czuć klimat wiosny. Tymczasem znajomy jest w Indonezji, jedzie metrem, które przypomina poczekalnię u lekarza. Świat istnieje daleko i blisko. Bo ja dziś ruszyłam wyrzucić śmieci. Codzienność. Zobaczył to sąsiad i zagadał mnie. Zaczęliśmy rozmawiać o wielu rzeczach i wtedy pani sąsiadka podeszła i przekazała mi list, taki list niespodziewany. List od poety. Listy od poetów są zawsze bardzo ważne, wyjątkowe. Potrzebne. Komunikacja w tych czasach to prawdziwy dar. Kiedyś nienawidziłam siebie za ten talent, nigdy go nie zaakceptowałam. Uważałam za przeszkodę wobec mojego ja. Widzę, moje znajome biorą śluby , mają dzieci a ja ciągle stoję w miejscu. I tysiące pytań...Co jest ze mną nie tak? Dlaczego tu i teraz jestem. Dlaczego tu i teraz moje życie wygląda tak a nie inaczej. Przez jakiś czas chodziłam do Neokatechumenatu.

Chciałam zrozumieć i zobaczyć czy ja znajdę tam miłość. Czy Bóg mnie kocha?

Weszłam wtedy w ten świat ludzi wierzących. Stanowili dla mnie idealnych ludzi, którzy przede wszystkim znają receptę na życie. Wierzyłam, że poczuję Boga tak jak tego oczekiwałam. Wstąpi we mnie jego moc i moje życie zacznie się układać. Jednak wciąż mam nerwicę lękową. Jednak wciąż. Pamiętam, że bałam się sama wychodzić z domu jakby tamten świat mógł tylko być zaprzeczeniem. Mam jeszcze taką ciocię, chrzestną mojej siostry ale bardziej chrzestną moją. Rozmowy z nią zawsze mnie koiły. Jednak trudno jest mi widzieć Boga. Trudno bo w tym miejscu czułam się obco. Jakbym tam mimo wszystko nie pasowała. Nie przyjmowałam ich do końca bo zawsze pytałam siebie wówczas jak ci ludzie potrafią w tym trwać. Tak to po prostu przyjąć. Jednocześnie Bóg uzasadnia nasze/moje porażki. Poszukiwałam i wyczułam w tym potrzebę odkrycia ludzi. Kolejnych relacji, tajemnych stowarzyszeń gdzie trzeba trwać w wierze i iść w kolejne stopnie wtajemniczenia. Zaufaj mu. Oddaj mu swoje życie, lęki. Widziałam w nich ludzi, którzy chcą pojąć istnienie. Tak jak i ja ale czy muszę tylko pojmować to przez Biblię? Czy Biblia jest spisem gotowych odpowiedzi? Czy naprawdę są nam potrzebne gotowe odpowiedzi by przeżyć. Miałam szczęśliwe dzieciństwo choć nieidealne. Zazwyczaj chcemy pozostawić po sobie ślady, żeby ludzie o nas mówili i pamiętali. Tak naprawdę nie wiadomo czemu. Czy ma to jakieś znaczenie? Czy bóg tak naprawdę nie lubi nagości. Nagość jest podobno zła ale przecież to my.

Kim jest dla mnie Bóg? Jako dziecko naiwnie wierzyłam i przyjmowałam, że on po prostu jest. Może byłoby mi łatwiej w życiu gdybym znalazła sobie męża. Jednak póki co spotykam na tyle nieszczęśliwych mężczyzn, których kocham. Wtedy mi nie wychodzi bo oni nie są gotowi mnie kochać. Zmieniłam się. Byłam zdecydowanie dawcą miłości a teraz chcę być biorcą.

Pisarka w świecie AI- Pisarze/Poeci kontra Szkoła

Szkoła, czyli miejsce gdzie uczymy się życia. Poznajemy ludzi mamy zdobywać wiedzę. Jak każdy system szkoła jest przestarzała. Zawsze w szkole byłam traktowana jak dziwoląg. Ktoś kogo się nie akceptuje, można wyśmiać. Szkoła była nakazem tak jak i matematyka, królowa nauk. Ucz się matematyki bo nie będziesz mieć pieniędzy by przetrwać. Kiedy byłam dzieckiem nie myślałam nawet, że pieniądze są potrzebne. U mnie zazwyczaj były. Kiedy coś chciałam to miałam to. Jak byłam chora mama zabierała mnie do lekarza, szukała recepty.

Ponieważ nie byłam mistrzynią matematyki wisiało nade mną piętno bycia idiotką, niedorozwiniętą. Tak mnie postrzegano i przyznam, że zawsze moja wartość była zaniżona.

Na tyle zaniżona, że często płakałam, chowałam się pod biurko i pisałam. Pisałam i wierzyłam w to, że moje życie może należeć do mnie. Moja siostra szybko uciekła w ramiona 1 męża a ja sama musiałam szukać ucieczki do samodzielności. Matematyka= Niezależność. Matematyka daje wolność jak Bóg. Człowiek to zawsze jest istota pytająca. Po co istnieje, po co ten cały teatr, spektakl, powieść zwana życiem? Dlatego tak się kochamy i nienawidzimy. Kiedy trafiłam do szkoły rzucono mnie na głęboką wodę. Większość z nas, z mojego pokolenia zostaje po prostu rzuconych na „głęboką wodę" i przetrwaj niczym preppersem. Nie trzeba być preppersem bo rzeczywistość daje wystarczająco możliwości przetrwania. Nikt nigdy nie wytłumaczył mi tego świata no bo niby jak. Skoro rodzice postrzegają świat poprzez ten sam schemat: *Pracuj (a nie zarabiaj pieniądze), skończ studia, miej dzieci itd.* To co było ważne dla nich z założenia musi być ważne dla nas. Zazdrościła, tym, którzy nie mieli problemów w szkole. Dzięki temu, że nie musiałam zdawać matury z matematyki zdałam maturę i ukończyłam studia. Czas studiowania był dla mnie bardzo ważny ale te pięć lat kompletnie odkleiło mnie od realności. Nikt nas nie przygotowuje do życia tylko nikt nie ma odwago nam o tym powiedzieć. Musimy radzić sobie sami ale jako dzieci kiedy mamy kochanych rodziców to chcemy aby ten etap trwał wiecznie. Moje pokolenie to wieczne dzieci, urodzone w czasach kiedy Internet był tylko baśnią. Tzn był ale nie w Polsce, do Polski przybywał powoli. W końcu dotarł i zmienił świat.

Szkoła była dla mnie najbardziej stresogennym miejscem. Miejscem gdzie zamiast uczenia się akceptacji niszczono mnie na każdym kroku. Nauczyciele wyżywali się na mnie, patrząc jaka jestem. Zawsze chcemy aby nasze uczucia znalazły ujście. Szkoła sprawiała, że czułam się tylko gorzej i gdyby nie moi bliscy zapewne popełniłabym samobójstwo. Nic mi nie sprzyjało. Pamiętam jak moja koleżanka przyjaźniła się z takim Tomkiem, chłopak się zabił, miał depresję. Ona została psycholożką. Warto dodać, że czasu szkole spędziłam w Kędzierzynie-Koźlu. Kojarzycie to miasto z ZAKSĄ a ja z miejscem mojego urodzenia. Szkoła nigdy nie była dla mnie miejscem przyjemnym. Ta, do której się przeniosłam była tolerancyjna. Nie musiałam zdawać z matematyki, ach i jakby to zakończyć skoro pisząc popełniam błędy , literówki i zwiem się pisarkiem.

Pisarka w świecie AI- Pisarze/Poeci i błędy bo pisarz nie może mieć chaosu w głowie.

Kim jest prawdziwy pisarz? Czy ktoś taki istnieje, jeżeli jedyną miarą jakości pisarza są wydawane książki to nie muszę być pisarką. Nigdy nie chciałam nią być. Niestety to był taki demon. Stwierdzono u mnie dysleksję mimo to nigdy nie miałam problemów z pisaniem wypracowań, nigdy nie popełniałam tzw. ortów.

Teraz mamy Facebooka. Nieraz słyszę, że skoro jestem pisarką czyli tak o sobie gadam to czemu robię literówki, błędy. Jestem tylko człowiekiem. Gdybyście pisali tyle co ja, w akcie transu to no cóż. Jest to rodzaj nałogu. Komentarz, ok powinien być dobrze napisany ale jest jednak czymś pisanym pod wpływem emocji. Jeśli rządzą nami emocje to jesteśmy spontaniczni. Lubimy toczyć wojny na Fejsbuku. Tak, kiedy powstał FB pisarze i poeci mogą być sobą. Nie tylko oni ale jednak dla nas jest to droga do uwolnienia się. Droga do mówienia własnym językiem. Tylko co to znaczy mieć własne zdanie kiedy większość z nas żyje w iluzji właśnie, że są inteligentni i mają własne zdanie. Tak szczerze, czy znacie kogoś kto potrafiłby uznać siebie za głupca? Chyba, że w formie zwrócenia uwagi. Każdy chce narzucać swoje zdanie, zazwyczaj. Ja także popełniam te błędy. Te i wiele innych. Czujemy się mali, zwykli a nasze zdanie wydaje się być zdaniem politycznym. Często pytamy kogoś o temat czy jest za aborcją czy przeciw czyli tematy, którzy politycy wykorzystują od lat. Tematy stały bo kto pomyśli o ludziach bezrobotnych? Tak, wiem wpis miał być o języku i jego błędach. O przecinkach i kropkach o dysleksji. O matematyce. O kawie i o poezji, która nikomu nie jest potrzebna. Czy ktoś mnie pokocha przez to, że piszę wiersze? Czy ktoś pokocha kogoś kto szuka wiecznie pracy, uchodzi za lenia (Skoro piszę to jestem leniwa ale nikt nie kojarzy tego z ambicją). Żyjemy w czasach gdzie lepiej nic nie umieć. Nic nie pisać. Jeśli chcesz znaleźć pracę….No dobra z tematu pisania przeszłam w temat mojej sytuacji. Nie tylko mojej. Lubimy wszyscy pouczać siebie, krytykować. Lubimy mówić, że masz takie życie bo nic nie robisz z nim. Nigdy nie zrozumiemy niczyjej walki. Nigdy. Ciągle za mało robię. Ciągle piszę coś nie tak. Nauczyłam się pisać i robić swoje ze świadomością, że ludzie tego nie zrozumieją. Nie, nie jestem od was lepsza czy gorsza. Chcę wam pokazać co ja odczuwałam a może wy zrozumiecie i sami np., spotykając się ze mną na randce, wieczorze autorskim uznacie, że wykorzystując moje narzędzia otworzycie się. Poznacie lepiej wasze uczucia. Niestety po co komu głębia drugiego człowieka? Powiedzcie mi czy ktokolwiek ma czas, moment by zgłębiać się w drugiego człowieka? Ma czas ale muszą sprzyjać okoliczności. Kiedy kogoś spotykasz powinieneś sobie wyobrazić, że na świecie jesteście tylko wy dwoje. Nie ma Internetu. Nie chcecie przed nikim zaszpanować.

Pisarka w świecie AI- Zgłębiaj się w drugiego człowieka

Wyobraź sobie, że leżycie nadzy. Ona i On. Może Ja i TY. Nadzy, wpatrzeni w nasze ciała, które siebie pragną. Pragną by seks był czymś więcej aniżeli zaspokojeniem. Czy umiesz się zgłębiać tak we mnie? W Twoją ukochaną/ukochanego.

Nie masz na to czasu. Przecież trzeba pracować. W świecie sztucznej inteligencji ludzie zapominają, że sami są sztuczni, może nawet sztuczniejsi kiedy to nie potrafią poznawać drugiego człowieka. Wgłębić się w niego. Randkowanie jest w modzie bo jak randkujesz to znaczy, że ktoś ma na ciebie ochotę. Jednak na tym się kończy bo znaleźć powód by się z tobą nie spotykać to nie jest problem. Żyjemy w czasach ghostingu. Większość ludzi zna się tylko na powierzchni nawet będąc ze sobą w relacji ale czy to źle? Czy zdrada jest zła? Czy ten świat ma być taki według reguł. Ludzie są bardziej sztuczni niż sztuczna inteligencja, czekają aż ty będziesz mieć gorzej i nakręcają się. Dotyczy to zwłaszcza ludzi bogatych. Nie ma się co dziwić. Świat nie jest sprawiedliwy. Wychowano nas tak byśmy żyli według zasad: Pracuj na etat by realizować cele. Życie każdego jest podążaniem za stabilizacją. Dokładnie nie wiemy czym ona jest ale wiadomo, że chodzi o finanse i poczucie wartości. Mam wrażenie, że spotykając się z ludźmi liczymy tylko zyski i straty. Musimy zawsze znaleźć w człowieku cechy wyglądające jak w opisie randkowym. Czy towar jest zgodny z opisem. Produkt. Życie to jest sklep z czekoladkami, codziennie chcemy sięgać po te najlepsze. Tylko po co się zagłębiać skoro mamy tyle możliwości ucieczek. Uciekamy w narkotyki, social media, podróże, jedzenie lub niejedzenie itd. Książki, filmy, robienie kasy, wychowywanie dzieci…. Mogę wymienić cały plik naszych pragnień ale i tak będziemy wiecznie nienasyceni i ciągle głodni tej restauracji. Tak naprawdę chcemy być zaspokojeni i nie martwić się o jutro. Dostrzegam samotność mężczyzn i kobiet ale bardziej mężczyzn. Kocham zagłębiać się w nich, poznawać ich wnętrze. Być dla nich tym czego pragną i czego nie widzą obok siebie. Trzeba ich otulać, pokazać im, że są wyjątkowi jednocześnie my musimy się szanować. Tylko co to znaczy szanować się? Czyż sex nie jest kojarzony z czymś złym, coś tak naturalnego. Kiedy zgłębimy się w sex zobaczymy tam człowieka, który walczy o życie. Szuka sensu istnienia. Każdy z nas jest pokiereszowany. Czasem odczuwa samotność i lęki. Nie ufamy ludziom, nie ufamy nikomu. Bo zaufanie jest największym darem. Czy nie stworzyliśmy sobie sztucznego świata w jeszcze bardziej sztucznym i płytkim świecie a mamy pretensję do sztuczności AI. Moi drodzy a dlaczego są fani science-fiction? Kiedyś Stanisław Lem powiedział, że każdy z nas :Na koniec ludzie skarleją do wymiaru bezmózgich sług żelaznych geniuszy i, być może, poczną oddawać im cześć boską....

Problemem ludzkości nie jest sztuczna inteligencja. Problem jest raczej nasza samotność. Nasze uwikłanie brak świadomości, poddawanie się manipulacji, że mamy być tacy zgodni z systemem. Nikogo nie obchodzisz Ty jako człowiek stąd wszelkie depresje, choroby psychiczne. Ja próbuję zgłębiać się w umysły mężczyzn ze świadomością, że nawet jeśli wybierze mnie to nie będę jedyna. I nie, nie chcę być jedyna w sensie istnienia. Człowiek jest zawsze w swoim mniemaniu wolny chociaż wcale wolny nie jest. Nie znam w pełni wolnego człowieka bo już sam fakt, że potrzebujemy jedzenia, picia odbiera nam wolność. Potrzeby odbierają nam wolność. Chciałabym aby postrzegali mnie oni choć w jednej czwartej tak jak ja postrzegam ich. To nie sztuczna inteligencja jest problemem bowiem już był Internet i jakoś sprawił, że funkcjonuje się ludziom łatwiej. Możemy łączyć się ze światem i z ludźmi. Poza tym dlaczego świat science-fiction nie stanowi nagle zagrożenia? Kłócimy się wciąż o sprawy, które nie zmieniają nic. Mam dosyć tych dyskusji, które nie czynią nas lepszymi ludźmi. Non stop chcemy pokazać racje. Popatrzcie jak chory jest ten świat gdzie każdy chce mieć rację. Każdy chce być kimś. Za wszelką cenę. A czasami bycie szarym, zwykłym prostym ludkiem jest po prostu wygraną na loterii.

Pisarka w świecie AI- Samotność osoby piszącej

Kiedy piszesz jesteś sam. Pisanie jest bardzo samotne, jesteś tylko Ty i rzeczy, które próbujesz ubrać w słowa. Ja całe życie mam tysiące myśli, które przewracają się w głowie. Z tego powstaje nerwica i pytanie: „Czy zdążę"?- To jest kluczowe pytanie. Zadawanie go boli.

Samotność jest ogromna i bez sztucznej Inteligencji. Sfrustrowani mężczyźni lubią często podkreślać, że kobiety są same na własne życzenie choć oni też lubią podkreślać, że bycie w związku jest fuj. Jak bardzo boimy się relacji bliskości? Boimy się kogoś dotknąć i zasugerować mu,że się w tej osobie zakochaliśmy bez żadnej sztuczności, bez udawania. Czy jesteśmy w stanie sobie zaufać na tyle by zbudować wspólnie fundament? Wspólnotę wsparcia siebie nawzajem. Na studiach mówiono mi, że druga osoba jest darem. Jest darem ale miłość to wolność. Dawanie komuś wolności to wielka sztuka. Wolność, miłość, przemoc i wojny itd. Żyjemy dla tych złych emocji i niepowodzeń też. Kiedy to piszę nie czuję już samotności ale kiedyś mi towarzyszyła bardzo. Nerwica jest chorobą samotności. Zastanawiasz się czemu twoje życie takie jest i czy zdążysz zrobić to co masz w planach. Rozmyślasz kim jesteś pośród innych piszących, na tej liście pisarzy/poetów. Czy to ma sens? Samotność uwydatnia się w relacjach, kiedy kogoś spotykasz to najpierw ciebie podziwia, chce cię przelecieć a na końcu ucieka. Ucieka pozbywając cię złudzeń bo jak kochać mnie, pisarkę? Jak kochać w świecie gdzie by być z kimś musisz mieć pieniądze inaczej oskarżą cię, że jesteś leniwa. Gdzie możesz uprawiać swoje pasje ale po ciężkiej pracy. Odwieczne kłótnie o pieniądze są czymś najważniejszym. Uczucia? Po co one są komu. Ja już dawno pozbyłam się złudzeń. Ludzie nigdy nie widzą ile pracy wkładasz w to by być kim jesteś. Uważają, że ich doświadczenia życiowe są lepsze. Dziś pewna osoba napisała, że ona była 22 lata w małżeństwie a ja tylko cztery więc co ja wiem o życiu. Lubimy dziś być wyznawcami tego, że inni nie wiedzą jak żyć. Ale jeszcze gorzej, że potrzebujemy pieniędzy by być szczęśliwymi. Jasne, bez pieniędzy trudno żyć. Tylko nie jest ważne na jakich zasadach. Ludzie oceniają cię na każdym kroku, szukają w tobie ofiary swoich własnych przekonań. Jeśli jesteś biedny to tylko twoja wina i niczyja inna bo trzeba zapierdalać. Dosłownie tak. Jeśli nie zapierdalam to nie zasługuje na nic. Nie wiedzą, że wieczorami płaczę i zastanawiam się jak żyć. Czemu jestem winna? Doszukuję się w sobie winy. W tym, że nikt nie uprzedził mnie, że daleko możesz zajść tylko na odpowiednich warunkach. Tak, w takich chwilach czuję się samotna i porzucona. Mam wsparcie w bliskich i bez nich nie wiem gdzie bym skończyła. Ludzie dziś są okrutni. Nie rozumieją bo sami mają swoje problemy, oczekują oni zaś ode mnie tego czego ja nie mogę im dać. Czasami zachowuję się tak jak oni, chcę być. Chcę przestać być tą przestraszoną dziewczynką, z której śmieją się w przedszkolu bo ma wadę wzroku. Wada wzroku i zawsze brak jednego punkcika. Osoba pisząca jest samotna bo nikt jej nie rozumie. Wielu ludzi, którzy o tym marzą przecierają ręe: Albo piszą, że jestem leniwa. Piszą, że powinnam iść na etat. Wydawcy nie czekają na ciebie tylko autorzy czekają na wydawców. Wierzą w wydawców a oni tylko milczą. Dostają teksty i czekasz na ich łaskę lub niełaskę. Oni decydują o twoim być lub nie. Niestety otoczenie widzi tylko etat i liczy się tylko co przynosi zyski. Inaczej nie przetrwasz w tym świecie jeśli nie znajdziesz obok kogoś kto będzie cię wspierał. Masz mieć pracę na etat i w ogóle. Powiem wam, że chujowo czuje się człowiek, który pisze ale ludzie mają to gdzieś. Nie doceniają Cię ani finansowo ani w ogóle. Kiedy widzą w tobie społecznego pasożyta. Ofiarę losu, której w życiu nie wychodzi. Bycie docenianym to trudna sztuka. Cieszenie się z życia?

Oceniamy ludzi po tym ile mają na koncie. Nie oszukujmy się, ktoś kto nie ma pracy jest człowiekiem bezwartościowym. Wciąż powtarzano mi: Idź do byle jakiej pracy i co? Co mam czuć skoro z tej „byle jakiej pracy" mnie zwolnią i nie zawsze z mojej winy. Pisząca osoba jest niezwykle samotna. Rzadko kiedy ludzie biorą sobie do serca to co ja widzę. Ludzie czytają przelotnie, jak seks. Przelotnie i szybko- Tak samo jest z uczuciami do drugiego człowieka.

Anna Czyrska

Jelyzaweta Żarikowa

Tłum.: Leszek Szaruga

WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE

Trzymajcie się
wszystko będzie dobrze

a później pójdziemy
dożywać naszych dni
na krze wspomnień
podczas wielkiego lodowego dryfu

Będziemy się wzajem przyciągać
nićmi nocnych rozmów
czując coraz mniej miejsca pod stopami
pośród wysokich fal flag i sloganów
będziemy się oglądać na dawne głosy
i skrępowani przepraszać za pomyłki

a czarne spragnione serce
takie jak nasze serca czarne i spragnione
ukradkiem wzejdzie obok prawdziwego słońca
i w jego pulsującym świetle
będą rzucać cienie drzewa których nie ma
domy których nie ma otworzą drzwi
ludzie których nie ma łagodnie i nieznacznie
uśmiechną się ze zdjęć których nie zdołaliśmy zrobić
(nie mieliśmy do tego głowy)

i powiem
policz palce
na wypadek gdyby to sztuczna inteligencja
wciąż robiła nam brzydkie żarty
wabiąc do brzegu

DYM DZIECIĘCYCH OGNISK

Dym dziecięcych ognisk unosi się nad minionym –
zakazanych
a przez to bardziej upragnionych

Płoną letnie i zimowe gwiazdozbiory
nazwane i bezimienne
złożone głównie z samogłosek
i kilku spółgłosek łatwych do śpiewania

Śpiewamy mi-me-ma-mo-mu
opadającymi i wznoszącymi się falami
ale za każdym razem wyżej

Teraz wiem
dlaczego śnią się sny
w których idziesz po schodach budynku –
i nagle ich nie ma

Wyrwa w ścianie za którą
z minionych wcieleń brzęczy
albo łyżeczka
albo dzwonek papużki

Kiedy dorosnę mamo
odejdę od was bardzo daleko
odejdę na przekór wam wszystkim obok kościoła przez cmentarz
odejdę na nocny spacer z przyjaciółmi
odejdę na wojnę

Marek Sołtysik

NA WYSOKOŚCI SERCA

Ta noc mogła być idealna:
ziemia odpoczywa po burzy
światło księżyca rozczula się w drobnych kroplach
myszy ostrożnie wychodzą na zwiad
robisz kawę z mlekiem skondensowanym
i wspominasz przyjaciela K.
który bardzo to mleko lubił
chcieli mu nawet włożyć słoiczek do trumny

Ptasi śpiew wypełnia
pustkę między wybuchami
przyjaciel S.
próbował zagrać na flecie coś podobnego
do tych treli
spodziewasz się
że z ciemności
w końcu się tego doczekamy

Chłodno
jak bywa w maju tylko w czasie wojny
i słońce nie spieszy się na służbę
czyjeś ulubione papierosy
czyjaś ulubiona
(tak wówczas uprzykrzona) piosenka

Zwykłe rzeczy
wypuszczają wąsiki
dodatkowych sensów
idziesz w nie zaplątany
i śni ci się
że woda się podnosi
– a do przyszłości przebito
za wąski tunel
nie wszyscy zdążą przejść –
i chcesz ustąpić im z drogi –
lecz znów telefon cię budzi na służbę

I trwa twoje polowanie
i trwa wyszczerbiona noc
i gasnące gwiazdy do siebie migoczą

Prosisz by duszę odwiązano od wspomnień
jak kiedyś babcia kozę
gdzieś na rozświetlonym dzieciństwem
skrzyżowaniu stuleci

węzeł nie da się rozwiązać
a więc przetnij go
pośrodku
na wysokości serca

NIEPRZEKŁADALNE

– Napisz o sobie coś
do zagranicznych wydań
żeby się dało przełożyć –
i wszystko było jasne

– Pochodzę z kraju
gdzie przyjaźń między rodzinami
będzie teraz najczęściej
tylko przyjaźnią kobiet
gdzie się rozmawia z bliskimi jakby ostatni raz
choć wieczorem się nie lękamy
że słońce zniknie bez wieści
tak naprawdę mało czego się boimy
tylko spłoszyć echo
być motylem bez efektu

Niedawno odkryłam
że w półmroku Europy
twój cień musi się złączyć z cieniem drzewa
chorego na przewiny ocalałego
by nie zdradzić nadmiernej obecności
i innych sposobów przetrwania

Pochodzę z kraju
gdzie wczorajsze dzieci siadają na płocie
między żywymi i zmarłymi
i wesoło machają nogami
choć babcie im mówiły by nie huśtać diabłów
co te babcie wiedzą o życiu?

kiedyś otworzycie nasze serca
jak muszle
zbyt dziewicze by rodzić perły

i skończą tlić się resztki melodii
i będą szumieć swobodne morza
rzeki
światłonośne aleje

Nie wiem jak jaśniej powiedzieć
niech róża powie
że ją ścinają dla kogoś czyj głos
wciąż odbija się echem i płynie strumieniem
w ślad za tańcem słońca i księżyca
niech powiedzą trawy
które przeczuwają sierpień
szepczą coś rozpaczliwie
doskonale jasne
niestety
nieprzekładalne

Jelyzaweta Żarikowa (1989)

Poetka, autorka piosenek, działaczka społeczna. Urodziła się w obwodzie ługańskim, przed inwazją na pełną skalę mieszkała w Kijowie i pracowała jako nauczycielka języka i literatury ukraińskiej oraz gry na fortepianie. Od lutego 2022 r. służy w obronie terytorialnej Sił Zbrojnych Ukrainy.

Autorka tomików Mrówki Jana Sebastiana (2021), Między miłością a miłością (2023). Jest członkinią zespołu folkowego Pororoka. Laureatka konkursów Smoloskyp, Hranoslov i Chervona Ruta. Jej utwory zostały przetłumaczone na język angielski, polski i gruziński.

Jej tom „Dymy dziecięcych ognisk" ukaże się wkrótce nakładem Fundacji Pogranicze w Sejnach oraz wydawnictwa Dzhezva we Lwowie w czwartej serii „W obliczu wojny"

ESEJ

Maria Jolanta Fraszewska

Bitwa o język świadomości

Bardzo trudno jest rozstrzygnąć, w jakim stadium ewolucji można wykryć początek świadomości siebie samego. Być może jakąś wskazówkę może dać zdolność rozpoznawania siebie w lustrze. A zdolność ta pojawia się jedynie na pewnym poziomie złożoności w ewolucji naczelnych.[1]

Wpływ języka na przekształcanie się społeczeństwa jest ogromny i doświadczamy tych zmian także obecnie. I choć usilnie staram się nie zauważać tego, co się dzieje w polityce polskiej, europejskiej i światowej, tej obracającej się przecież wokół mnie, to jednak nazbyt często kręcę się wraz z nią w zagmatwanej przestrzeni społecznej. Nie ma wyjścia. Taki kierat, taki los, taki zaszczyt i codzienność. Mozół, znój i mitręga. Lęk i rosnące obawy. Język siedzi w gębie, a nią porusza aktor, figurka społeczna, czasem marionetka.

Jednostki, według teorii Ervinga Goffmana, wchodzą w role społeczne i grają przed sobą „teatr", odgrywają sceny jak w teatrze, obserwując siebie wzajemnie jednocześnie. Wszyscy jesteśmy aktorami, bowiem zależnie od sytuacji, w której w danym momencie się znajdziemy, wybieramy stosowną reakcję, po to aby wywrzeć odpowiednie wrażenie na rozmówcy. Osobowość człowieka kształtuje się w działaniu, w relacji „do i z" otoczeniem. Pewnych zachowań nie wydobylibyśmy z siebie, gdyby nie określona sytuacja, w której nagle się znaleźliśmy. To ona staje się podstawą naszej reakcji przejawiającej się konkretnym zachowaniem czy postawą.

Dla mnie nie ma wyjścia, ponieważ widzę tylko jedno: zaangażować się w działania i trwać przy swoim czyli przy wartości oferującej zmianę, a gdy ona nastąpi, rozwijać wydobyty potencjał dla dobra rozszerzania tegoż. Trwać nie przy zmianie obiecującej i manipulacyjnej, cofającej osiągnięcia, a tej, która daje się zaobserwować w rzetelnych skutkach, w mojej ocenie i większości, pozywnych i sprzyjającej rozwojowi człowieka i epoki. Istotnych dla żyjących obecnie i tych, którzy przejmą i rozsmakują się w krainie zmian na dobre, bo złe już odeszło. Jedynym rozwiązaniem na dotarcie do celu jest przetrwanie trudów. To właściwy początek.

Należy się w określony sposób zachować, bo inaczej – nie stanie się inaczej. Należy i trzeba, gdyby nie ten pospolity, a jakże ważny przekaz wewnętrzny, to niewiele by się zadziało. Kiedy i kto ukręci łeb hydrze i utnie sobie drzemkę w cieniu mądrego starego drzewa? Nie mam oczywiście na myśli baobabu, a naszego polskiego prastarego rozgałęzionego po całości – dębu.

A więc stało się. Hydra jest kobietą, Polska jest kobietą, minister jest ministrą. Różowe i niebieskie wchodzi w tęczę w sposób całkowicie naturalny. Wszystkie kolory dominują i łagodzą obyczaje, jedne przechodzą w drugie smakując barwy graniczne, które nadają nowej rzeczywistości szczególny delikates w szacie. Sława słowom. Chwilo trwaj i przybieraj na długości.

*

Człowiek stanowi mikroskalę do poznawania rzeczywistości. Powiedzonko: każdy widzi jak jest, nie rozwiązuje żadnej sprawy, problemu, czy przyszłego zamiaru. Każdy widzi i koniec dyskusji. Każdy widzi, więc milcz. Każdy widzi i to wystarczy. A za tym skojarzeniem podąża proces akceptacji tegoż co oko widzi, bo mózg nie znajduje szybkiej odpowiedzi, na to co spostrzega, musi trochę sobie pomyśleć, aby skonstruować myśl nadrzędną. Popatrzy, rozpozna i powie: acha, to jest tak i tak. Podporządkuj się. Teraz to zdanie napiszę na kartce, aby każdy mógł się zapoznać i podporządkować. Niepiśmienni nie złożą pod hasłem podpisu, ale co tam, za późno na ich edukację. Choć przecież i im przydałoby się nadrobić zaległości. Ale jak to zrobić, skoro taki jeden czy drugi wyuczył się postępować inaczej i wyrobił w sobie pewien zatwardziały w poglądach mechanizm i nadal wysyła swoiste zapaszki innym dookoła?

Między nami mówiąc, bo tak między Bogiem a prawdą, mówiąc szczerze, trzeba przyznać, że Bóg z prawdą się nie ima. O sprzecznościach i transcendencji można długo, rozmawiać, perorować, gawędzić, rozciągać dysputy w nieskończoność. A ponieważ najbliższą prawdą każdego człowieka jest matka i ojciec, za dużo gadać nie należy i za daleko w przyszłość nie wybiegać. A przeszłość... każdy zna i widzi ... po swojemu. Jednej sroczce babka dała, innej zabrała.

*

326. Pojęcie istoty żywej ma taką samą nieokreśloność jak pojęcie języka.[2]

Wilhelm Dilthey uważał, że życie jest twórczym dynamizmem, który może siebie interpretować korzystając ze znaków i wytworów. Człowiek dowiaduje się o samym sobie tylko za pośrednictwem swoich działań, że życie pojmuje życie tylko przez mediację, za pośrednictwem jednostek znaczenia, które wznoszą się powyżej zmienności historycznej.

Paul Ricoeur przyznaje, że hermeneutyka jest możliwa jako sensowna filozofia przez skojarzenie zapożyczone od Hegla, *by móc powiedzieć o życiu to, co Hegel powiedział o duchu: o t o ż y c i e p o j m u j e ż y c i e.*

Jeśli potrafię zrozumieć świat, którego już nie ma, to dlatego, że każde społeczeństwo wytworzyło swoje własne narzędzia rozumienia, tworząc światy społeczne i kulturowe, w których rozumiało samo siebie.[3]

Teorie za pomocą usystematyzowanego zbioru spójnych, wzajemnie powiązanych twierdzeń, hipotez i praw, próbują wyjaśnić konkretną klasę zjawisk, procesów, zdarzeń lub jakiś inny fragment poznawalnej rzeczywistości.

Istnieje wielość i różnorodność teorii. Niektóre skłaniają do poszukania i postawienia nowych pytań, i oferują nowe odpowiedzi. Każda z badanych kwestii wyróżnia się swoją specyfiką czy właściwością. Należałoby wybrać taką, która najdokładniej, najobiektywniej ujmie i zaprezentuje dany problem czy zjawisko.

Socjologia jest nauką, która nie obawia się eksperymentu z zapożyczonymi teoriami z nauk nie tylko pokrewnych.

Peter Burke[4] proponuje poszerzone spojrzenie na rozpatrywane zagadnienie. W teorii nie powinno chodzić o rywalizację, która z nich jest pierwsza czy właściwsza, większość z nich jest fragmentaryczna. W objaśnianiu więc, warto wykorzystywać metody charakterystyczne dla innych niż podstawowa, dyscyplin nauki. Pojawia się wiele wspólnych tematów wśród poszczególnych dyscyplin naukowych. *Żyjemy w czasach, niejednoznacznych przedziałów i otwartych horyzontów intelektualnych, w czasach, które tyleż ekscytują, ile wprowadzają zamęt w naszych umysłach. Zarówno archeolodzy, geografowie, krytycy literaccy, jak i socjologowie czy też historycy odwołują się do prac Michała Bachtina, Pierre'a Bourdieu, Fernanda Braudela, Norberta Eliasa, Michaela Foucaulta i Clifforda Geertza.*[5]

Historia spotyka się w dramacie rozciągnięciem wyobrażeniowym wątku, styka i przenika z filozofią. Wspomniany autor własną wypowiedź traktuje prawie jak apologię eklektyzmu. Jednak natychmiast wyjaśnia że: *nie przyjmuję tego zarzutu przynajmniej w odniesieniu do eklektyzmu rozumianego jako próba jednoczesnego łączenia w jedną całość kilku niezgodnych koncepcji. Jeśli pojęcie to nie oznacza niczego więcej niż poszukiwania nowych idei w różnych miejscach, to chętnie się przyznam, że jestem eklektykiem. Otwartość na nowe idee, skądkolwiek by pochodziły, oraz umiejętność przystosowania ich do własnych celów i sprawdzenia ich słuszności to cechy dobrego historyka i dobrego teoretyka .*[6]

*

Żyjąc, działając, rozmyślając i pisząc, mogę jedynie skromnie podążać za powyższym autorytetem myślowym Korzystając z dorobku różnych badaczy społeczeństw, posługując się intuicją i wyobraźnią socjo-

1 Jacob F., Gra możliwości, PIW, Warszawa 1987, s. 88.

2 Wittgenstein L., Kartki, Warszawa 1999, s. 82

3 Ricoeur P., Język, tekst, interpretacja, PIW 1989, s. 205-206

4 Burke P., Historia i teoria społeczna, PWN 2000, s.32-33

5 Tamże, s. 33

6 Tamże, s. 202

logiczną, łączyć dziedziny i elementy rzeczywistości życia społecznego, a przy tym posługując się szczególnym kanałem wiążącym jakim jest słowo.

Z jednej strony znany, używany język (własny, subiektywny, a także narodowy, plemienny) ogranicza postrzeganie świata, narzuca interpretacje, powoduje utrzymywanie się stereotypów, ale „niesie w sobie ukryty przekaz" (E. Hall), więc posiada moc kreacji, wnoszenia zmian i usankcjonowania tych przemian.

[...] każdy z nas żyje w świecie „rzeczywistym" konstruowanym przez jego mózg z informacji dostarczanych przez zmysły i język. To ten świat rzeczywisty tworzy scenę, na której toczą się wszystkie zdarzenia życia. Doświadczenie, na które jest wystawiony mózg w czasie życia osobniczego, różni jedną jednostkę od drugiej. Mimo to, przedstawienia świata tworzone dzięki tym doświadczeniom są wystarczająco do siebie podobne, aby mogły być przekazywane za pomocą słów. Świadomość można by w ten sposób uważać za zdolność do postrzegania siebie jako „przedmiotu" umieszczonego w samym centrum „rzeczywistości". Istnienie samego siebie jako przedmiotu, to znaczy jako osoby, jest bez wątpienia jedną z najgłębiej zakorzenionych w nas intuicji.[7]

*

Przede mną leży rumiana bułeczka i jednocześnie czerstwy chleb – książka, niebywała i cenna, wydana w 2000 roku przez Wydawnictwo TRIO z cyklu: „*W krainie PRL. Ludzie. Sprawy. Problemy. Rzeczywistość PRL odczytana z akt, dokumentów, zapisów, twórczości, nosząca tytuł: „Sprawy do załatwienia. Listy do „Po prostu" 1955-1957"*.

Autorem jest Adam Leszczyński, socjolog, historyk, dziennikarz, członek zespołu „Krytyki Politycznej", współzałożyciel OKO. press. Obecnie profesor Uniwersytetu SWPS w Warszawie. Wydał 13 książek naukowych, które się czyta z wielkim zainteresowaniem wkraczając w czasy przeszłe, a wnoszące treści ciągnące się nicią wiodącą do naszej współczesności. Ujawnia podstawy tego, co jest w nas obecne teraz. Poprzez „Ludową historię Polski" docieramy do „Obrońców pańszczyzny". Naukowiec - autor wprowadza czytelnika – odbiorcę w drastyczność budowania naszej tożsamości kulturowo-narodowej.

Usankcjonowane niewolnictwo społeczne, bo daje korzyści materialne i bytowe, odgórny i niekwestionowany podział na biednych i bogatych, na lepszych i gorszych, na tych, którzy posiadają władzę i tych, którzy rodzą się już sługami. Na tych, którzy biją, a nawet mordują, unikając kary, poniewierają człowiekiem, i tych, którzy zaciskają zęby kolejny raz nadstawiając kark, a niejednokrotnie życie. Bezradność jednostki wobec ustaleń, które zapadają gdzieś, przez tych, którzy uważają, że nadają się do rządzenia i wiedzą najlepiej jak być powinno dla zachowania pewnych przywilejów określonym grupom społecznym. Sejm, sejmik, senat, sojusze, lobbyści, stronnictwa. Dbają więc o własne prawa, częstokroć niebędące praworządnością, bo kto będzie przestrzegał niewygodnych zasad?

Chłop od zawsze pracował dla swego pana, bo „Bóg" tak chciał, mówią obrońcy pańszczyzny. No przecież... przecież szlachcic jest stworzony do wydawania pieniędzy, które inni mu podarują w ciężkiej codziennej harówce. Niewolnictwo? Jak można takich okrutnych słów używać? Tak ustalił „Bóg", a co on powie, to jest najważniejsze i szlachcic też się podporządkowuje, dlatego bawi się na całego.

A kto go widział, gdy te słowa wypowiadał? Kto widział „boga" i spisał jego słowa, dokładnie tak brzmiące? Nawet źródła naukowe potwierdzają, że owszem Jezus jako człowiek żył, ale czterech apostołów, którzy spisali testament, nigdy nie spotkali Jezusa, ponieważ żyli o wiele lat później. „Autorstwo Bibli jest w dużym stopniu anonimowe", jak przeczytamy na dobry początek w Wikipedii. Spór nie na ten esej ani prawa wirtualne.

A że ci gorsi, mniejsi, słabiej uposażeni poddają się w praktyce silniejszym, to niedola trwa i trwa. Opisując organizację świata społecznego, przedstawia się strukturę społeczną, bo takowa wtedy a wtedy istniała lub nadal jest aktualna. Ale jak doszło do podziału na chłopów i szlachtę, tego do tej pory naukowcom wyjaśnić się nie udało.

*

Do przedstawień tego, co dotąd działo się za kulisami, za kotarą, na scenie ukrywanej, a więc niedostępnej szerszej publice, dodać obecnie można wiele pojawiających się wartościowych pozycji książkowych, które opierają swe treści na dokumentach dotąd zaniedbywanych, pochodzących z prywatnych dokumentów, sal sądowych czy listów wysyłanych do przeróżnych instytucji. Wspomnieć warto o książce Joanny Kuciel-Frydryszak: „Chłopki. Opowieści naszych babek" czy „Chamstwo" Kacpra Pobłockiego.

I sięgnąć do historii niedawnej, „spraw do załatwienia", bo jakże żyjący wówczas w Polsce ludzie mogliby nie zauważać dwuznaczności, podległości, nowomowy i fałszu wbijanego siłą do głów Polaków.

„Zaciskaliśmy pasa i zaciskamy go jeszcze dzisiaj w świadomości, że jest to konieczne dla rozwoju naszego kraju, na inwestycje jakie jesteśmy zmuszeni wykonywać. Ale, cóż się dzieje, że pewne warstwy, grupy, mają w tym wszystkim jakieś przywileje. Wiadomo powszechnie, że wojsko, milicja, aparat partyjny Komitetów, posiadają swoje sklepy, w których można dostać bez ograniczenia artykuły żywnościowe, których brak na rynku i to często o cenach niższych aniżeli powszechnie obowiązujące. Czy to jest sprawiedliwe i możliwe do wytłumaczenia w naszym ustroju? Szczególnie, że grupy tych ludzi mają dość wysokie uposażenia. Jest to wielce niesprawiedliwe i wymagające zlikwidowania tych przywilejów. Bo ten system kłóci się ze znaną zasadą każdemu według jego zdolności".[8]

Wielu z nas pamięta tamte czasy, czasem z opowieści rodziców, czasem przychodząc na świat w czasie trwania socjalizmu, byli świadkami działań obowiązujących całe społeczeństwo. Kiepski żart. Wiadomo, że niecałe społeczeństwo, bo maluczcy z zasady mieli podlegać tym brutalniejszym, ale stanowiących ówczesną władzę i czerwoną śmietankę. Metody? Przecież wiadomo... stare jak świat. Nie podlejsze i nie okrutniejsze niż te, które istniały wcześniej. I dzisiaj.

„Stale jeszcze [ci] ludzie przyzwyczajeni do życia według starych zasad nie rozumieją słowa - demokratyzacja, nie zdają, albo nie chcą zdać sobie sprawy z tego, że to już po XX Zjeździe, po VIII Plenum, ale szumnie starają nazywać siebie aktywistami [...] Tak, są to – jak ktoś powiedział – „aktywiści przywiązani do etatu", którym trudno jest pogodzić się z tym, że Stalin i jego idee leżą w grobie, że prawo przemocy i szpiegowania są już pogrzebane [...]."[9]

Ba! Odwołam się do współczesności. 16 października 2023 roku spotkałam się w sprawach zawodowych, z człowiekiem (mężczyzną), posiadaczem wyższego wykształcenia, będącego humanistą, wykładowcą uniwersyteckim, obecnie emerytem; i radośnie stwierdziłam: witam w pierwszym dniu odzyskanej wolności. A co pani ma na myśli? - zapytał. Jak to nie wie pan? Spytałam głęboko zdziwiona. Nastąpiła wymiana przykładów poglądowych, a jednym z nich było moje kolejne pytanie: i tak obojętnie mówi pan o śmierci kobiet, które umierały podczas porodu pod tzw opieką lekarską, bo lekarz zobligowany „przepisem prawnym" bał się podjąć decyzję ratującą życie młodej kobiety? Ten mężczyzna odparł: kobiety zawsze umierały przy porodach.

Można dużo dyskutować, albo wcale. Podczas Ogólnopolskich Strajków Kobiet pojawiały się wiele mówiące hasła: „Czarny poniedziałek", „Piekło kobiet", Ani jednej więcej", „Nigdy nie będziesz szła sama", „Legalna aborcja. Bez kompromisów", „Dla moich wnuczek, dla moich synowych", „Nie będziemy rodzić, aby chrzcić i grzebać", niewielu uczestniczyło w nich mężczyzn. Wówczas kobiety siłowo zostały pokonane. W zasadzie bezprawnie potraktowane przez policjantów i wojsko, czy warto wspominać, że grupy te tworzyli mężczyźni? To nie abstrakcyjna „policja", a konkretny mężczyzna w mundurze złamał młodej kobiecie rękę. Bezradność wobec przepisów prawa i konieczność podporządkowania się pomimo wszystko. Jednak teraz mówi się: to dzięki kobietom wygraliśmy te wybory. Przemoc wobec kobiet jest zakorzeniona w kulturze i strukturze społecznej.

„*Rzeczy nie są dobre ani złe same z siebie. Stają się takie przez to, co z nimi robimy". Libba Bray „Mroczny sekret"*. Ten cytat ściągnęłam z kalendarza kuchennego. Bo przecież w kuchni gospodarna kobieta najczęściej przebywa i ...uczy się z mądrości ściennych. Bo czytać warto wszędzie i w każdej sytuacji. „*Nie można wszystkim pomóc, powiada małoduszny, i nie pomaga nikomu". Marie von Ebner-Eschenbach*. Dokładnie sto lat po jej śmierci powstał OSK i oddolny ruch społeczny „Dziewuchy Dziewuchom", który przeistoczył się w stowarzyszenie, a potem w fundację. Świadomość rodzi się wolno, jednak gdy milczy zbyt długo, w końcu wybucha precyzyjnie trafiając do celu. Podstawową wartością jej działań jest: „Mamy świadomość, że płaszczyznami dyskryminacji mogą być płeć, etniczność, rasa, klasa, orientacja, tożsamość, narodowość, wiek, religia, niepełnosprawność czy wpisywanie się w ogólnie przyjęty zachodni kanon piękna". A celem jest zwiększanie świadomości społecznej i obywatelskiej wśród kobiet, mniejszości seksualnych oraz osób z grup zagrożonych wykluczeniem. Taką informację znajdziemy na stonie NGO.

W województwie lubuskim od ponad dwudziestu lat działa Lubuskie Stowarzyszenie na Rzecz Kobiet BABA. Stowarzyszenie to wspiera kobiety na wszystkich polach ich działalności i aktywności, a także czynnie przeciwdziała dyskryminacji kobiet oraz przemocy domowej i seksualnej. Nazwę, założycielka i prezeska, późniejsza radna zielonogórska, a obecnie posłanka, wyróżniona i zaliczona przez Gazetę Wyborczą do najbardziej wpływowych kobiet w ubiegłym roku, zaczerpnęła z poezji Anny Świrszczyńskiej. Bo kimże jest baba, jeśli nie kobietą walczącą o swoje prawa od stuleci? Ale od tak niedawna walcząca z doznawaną przemocą i od najbliższych w jej własnej rodzinie i od zewnętrznej sfery państwowej. Kobiety samoświadomość nabyły w trakcie przebiegu i doświadczeń życia. Pewność siebie wyciągnęły spod bata, z poniżenia, pogardy i doznawanej latami krzywdy społecznej. Wiersz „Stałam się słońcem" z tomiku „Szczęśliwa jak psi ogon" Anny Świrsz-→

7 Jacob F., Gra możliwości, PIW, Warszawa 1987, s. 87

8 A.Leszczyński, Wyd.TRIO, 2000, Sprawy do załatwienia. Listy do Po prostu 1955-1957, s. 32

9 Tamże, s.162

czyńskiej, doskonale obrazuje owo stawanie się podmiotem własnego życia.

Kiedy zgasło nade mną
słońce,
musiałam sama
stać się słońcem.

To było trudne, ale teraz
jaka wygoda.

*

Powróćmy do teorii. Pojęcie komunikacji jest pojęciem szerokim. Nośnikiem jest wspólnie ustalony kod – językowy. *Język otacza zewsząd społeczeństwo i zawiera je w swym aparacie pojęciowym, ale jednocześnie kształtuje społeczeństwo, tworzy podwaliny tego, co można by nazwać semantyzmem społecznym.*[10] Michał Głowiński wymienia trzy podstawowe cechy zdolności semantycznej: niezgodności nazw danej epoki z desygnatami, polisemie, subiektywność. Ustalony kod warunkuje znaczenia wyrazów. *Tworzy przedmioty językowe, które wprowadza w obwód komunikacji. Komunikacja powinna być rozumiana dosłownie jako włączenie do wspólnoty i obiegu okrężnego.*

Badaniem języka zajmował się już Durkheim, też Granet i Merton. Ich uwaga skupiała się na charakterze możliwości językowych, kształtowaniu pojęć i sposobów myślenia, wskazywali na zależność słów od myśli, co wpływa na kształtowanie wyobraźni.[11] Jonathan Turner twierdzi, że *systemy symboli tworzymy w swojej wyobraźni, posługujemy się nimi i zmieniamy we wzajemnych kontaktach ze środowiskiem.* Nasz świat jest skonstruowany i zapośredniczony przez symbole. Wszystko czego doświadczamy, co robimy, czego pragniemy i co widzimy, jest związane z symbolami. Symbole budują nasz świat, *ale to ludzie je tworzą i przekształcają – kiedy reorganizują swoją rzeczywistość społeczną, bądź kiedy zmienia się środowisko, w którym żyją.*[12]

*

Pojęcie komunikowania się wprowadził do socjologii w 1894r Ch. Cooley.[13] Proces ten powiązał z uczeniem się, a więc rozwojem osobowości, gdzie różnice psychologiczne między ludźmi wynikają z różnic systemu komunikowania się.

Cooley wyodrębnił grupy pierwotne, w których więzi oparte są na stosunkach bezpośrednich i wtórne – więzi o charakterze pośrednim. W życiu znajdując się w wielu sytuacjach człowiek odgrywa wiele ról. W jego umyśle tkwi źródło zachowań, lecz ono nic nie znaczy do momentu, aż trafi do innych umysłów, co zapewnia wspólne rozumienie słów i znaczeń. Przewidywał, że rola jednostki będzie się zmniejszać na rzecz komunikacji międzyludzkiej, a nastąpi to w wyniku technik komunikowania się.

Kolejnym krokiem była teoria Thomasa. Wynika z niej, że ludzki umysł rozwija się jako „organ manipulacji, adaptacji i kontroli", a postawy ludzkie nadają znaczenie rzeczywistości.

Również G.W.Mead wraz z Deveyem sądził, że powstanie cech swoiście ludzkich tj: myślenie abstrakcyjne, samowiedza, moralność, możliwe są dzięki językowi i interakcji społecznej. Mead uważał, że „poza procesem komunikowania się psychika po prostu nie istnieje".

*

Świadomość jednostki ludzkiej kształtuje się pod wpływem działania społecznego. Całe życie jest nieustannym stawaniem się. Efekt ludzkich akcji i reakcji porównał do ścieżki biegu kul bilardowych. Odmienność ludzkich zachowań polega na selekcji bodźców, ich interpretacji w odniesieniu do doświadczeń jednostki. W każdej sytuacji człowiek znajduje się w określonych i ustalonych ramach. Reaguje na nie niepokojem, co wyraża się chęcią rozbicia struktur, które w danym momencie akceptuje się. Mead rozpoczyna analizę kształtowania się stosunków społecznych od gestu, czyli stosunków o podłożu biologicznym. Kształtowanie się języka jest tym procesem, który spowodował powstanie symboli, czyli stosunków społecznych opartych o komunikację symboliczną. Między ludźmi ustanawia się wspólnota, potem powstaje myślenie abstrakcyjne, umysł i następuje „wchodzenie we wszechświat rozmowy". Trzecim poziomem jest umiejętność „rozmowy z samym sobą", interpretowanie własnych czynności, refleksji, empatii – powstanie osobowości. I wreszcie kształtowanie się instytucji społecznych. Mead stwierdza, że komunikowanie się nie jest możliwe bez względnie trwałych ram, czego dokładnie jednak nie wyjaśnia. Interakcja ludzka jest przede wszystkim interakcją symboliczną, granice społeczeństwa są wyznaczane przez granice komunikowania się. Mead wskazał na czynnik cementujący społeczeństwo, a jest nim istnienie przedmiotów społecznych. Niektóre z nich mają dla jednostki większe znaczenie – grupy odniesienia.

Wsparł tę myśl Blumer: „ w różnych grupach formują się różne światy". Istotne jest pojęcie znaczenie w sensie odnoszenia się. H.Putnam mówi, że: środowisko odgrywa ważną rolę w determinowaniu do czego odnoszą się słowa mówiącego czy słowa danego języka". Nasze własne, ludzkie doświadczenie i zdolność do przekazywania, opisywania przy pomocy języka tworzy świadomość i myślenie, co z kolei nadaje kierunek, moc, barwę, istotność więziom w grupach. Ludzie mają zdolność tworzenia symboli i operowania nimi. Symbole wykorzystują komunikując się ze sobą. Interpretując wzajemne reakcje uzyskują zdolność do wzajemnego przystosowania się. Umiejętność posługiwania się językiem człowiek nabył uczestnicząc w procesie kultury. Język tworzy nie tylko środowisko, ale też odrębny świat. Istota sensu komunikacji zawarta jest w sformułowaniu Jana Szczepańskiego, a odpowiadającym na pytanie, czym jest socjalizacja?

Jan Szczepański twierdzi, że jednostka ludzka, *przychodząca na świat jako organizm biologiczny, zostaje „wchłonięta" przez społeczeństwo i pod wpływem jego kultury ulega socjalizacji czyli z istoty biologicznej staje się istotą społeczną. Oczywiście, że wyposażenie biologiczne jest niezbędnym warunkiem i jego właściwości umożliwiają ten proces, ale jego przebieg i wynik są wyznaczone jakością kultury, jej cechami i organizacją.*

*

Człowiek staje się ludzki nie sam z siebie, ale w wyniku obcowania z drugim człowiekiem, grupą, społeczeństwem. Niemożliwym

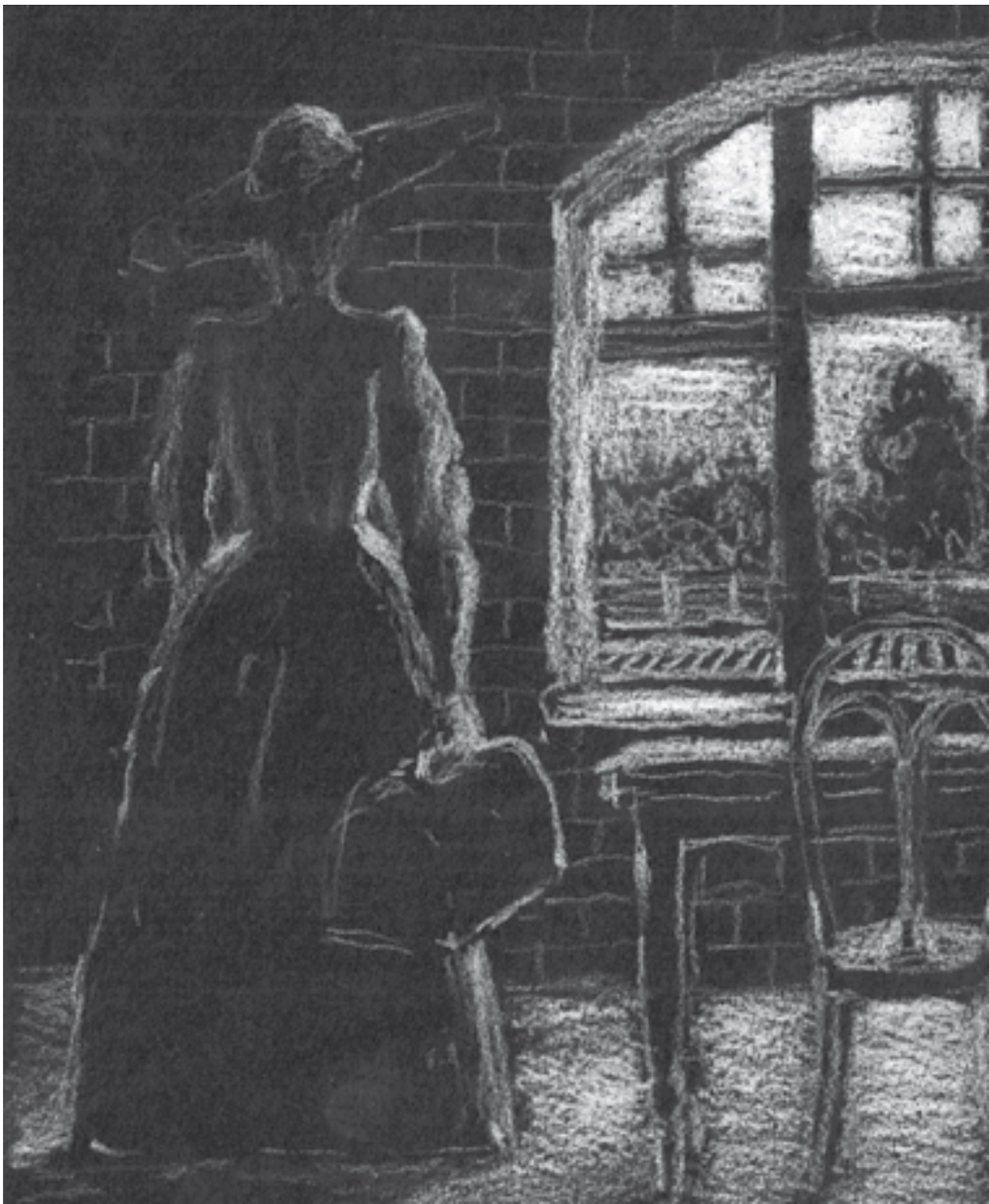

Stefan Chwin

10 Głowiński M., (red.), Język i społeczeństwo, Warszawa 1980, s. 35
11 Merton R., Teoria socjologiczna i struktura społeczna, PWN Warszawa 1982, s. 509
12 Turner J., Socjologia, koncepcje i ich zastosowanie, Poznań 1998, s. 40-41
13 Szacki J., Historia myśli socjologicznej, PWN Warszawa 1981, s. 596

jest więc nieistnienie procesu komunikacji w ogólnym procesie „stawania się". Pierwszą siła sprawczą jest jednak genetyka mózgu, potem następuje proces socjalizacji. To w mózgu powstają połączenia, skojarzenia słów, liter, dźwięków, gestów, symboli. Sam proces powstawania życia i jego kontynuacji możliwy jest dlatego, że istnieje struktura wiążąca, umożliwiająca powiązanie.

Świadomość wyższego rzędu zależy od integracji pojęciowej, semantycznej i socjologicznej, z których każda jest zaangażowana w konstrukcję „ja". Integracje te modulowane są przez określone populacje synaptyczne.[14] Profesor wyjaśnia, że powstanie świadomości wyższego rzędu było możliwe dzięki pojawieniu się języka u gatunku ludzkiego i powtórzenia złożonego procesu, w wyniku którego pamięć stała się substratem i podstawą świadomości w tzw. wyspecjalizowanej pamięci lingwistycznej. Sam akt językowy jest już wyrażeniem intencji komunikacji. Uczenie się języka a posługiwanie się nim to nie to samo, na co wskazują badania z zakresu psycholingwistyki i neurolingwistyki.

Istotnym jest odpowiedź na pytanie, jaka występuje relacja między językiem a myśleniem? Chomsky wskazał na tzw. mechanizm przyswajania języka. Według niego język jest niezależny od reszty zdolności poznawczych. Edelman kwestionuje tę teorię. Oparł się on na badaniach J.Macnamary'ego, z których wynika, że dzieci mogą nauczyć się języka dlatego, że już wcześniej umieją sensownie interpretować sytuacje dotyczące relacji międzyludzkich.

*

Język więc nie jest niezależny od pozostałych zdolności poznawczych. Aby wyjaśnić nabywanie języka w procesie rozwoju jednostki G.Edelman sięgnął aż do procesu ewolucji. Każdy akt lingwistyczny ma intersubiektywny charakter. Język tworzy nie tylko środowisko, ale tworzy świat. Uczony proponuje zbudowanie „gramatyki poznawczej", gdzie kładzie się nacisk na właściwości poznawcze, a nie na analizę formalną (W.Percy – gramatyka generatywna, transformacyjna nie wyjaśnia języka, tylko jego kompetencje). Powołuje się on na teorię Lakoffa, która dotyczy skonstruowania semantyki opartej na założeniu, że znaczenie jest ucieleśnione. Język wykorzystuje ogólne mechanizmy poznawcze do budowy modeli propozycjonalnych, modeli schematów wyobrażeniowych, metaforycznych i metonimicznych. Model metaforyczny polega na odwzorowaniu struktury z jednej dziedziny na strukturę w innej dziedzinie. W tym odwzorowaniu biorą udział schematy propozycjonalne lub wyobrażeniowe. Modele metonimiczne wykorzystują te schematy oraz metaforę do odwzorowania funkcji z jednego elementu modelu na inny. „Hipoteza przestrzenności form" Lakoffa zakłada schematy „pojemnika": część-całość o dół-góra, strukturę relacyjna – schemat, połączenie, centrum-peryferie, strukturę figury i tła: przód-tył i linearne skale wielkości w terminach schematów: góra-dół i porządku liniowego. A wszystkie wymagają odwzorowania metaforycznego ze struktur fizycznych (przestrzennych) na struktury pojęciowe.

*

Wraz z abstrakcyjnymi modelami poznawczymi pojawia się język. Elementy lingwistyczne związane z pojęciowymi abstrakcyjnymi modelami poznawczymi stają się symbolicznymi abstrakcyjnymi modelami poznawczymi. Mogą one następnie być opisywane w terminach morfemów i słów poszczególnych języków. Według tej teorii i teorii Landackera, podstawą języka jest poznanie, a dokładnie, modele poznawcze, które mogą być rozumiane w terminach funkcjonowania ciała. Na ową bazę poznawczą nałożone są ograniczenia wynikające z natury rzeczywistości fizycznej. Zależy ona także od wyobraźni i interakcji społecznych.

Więc i wiedza jest pewna w takim stopniu, w jakim pewne jest ludzkie rozumienie, ale zawsze może zostać zrewidowana.

Mózgowe ośrodki mowy nie zawierają pojęć, ani też pojęcia nie wyłaniają się z języka. Znaczenie powstaje w wyniku interakcji pamięci „wartość-kategoria" ze zsumowaną aktywnością obszarów pojęciowych i pól językowych. Mimo, że mowa była prawdopodobnie konieczna do ewolucyjnej selekcji niezbędnych zmian morfologicznych w mózgu, po ich powstaniu w danej społeczności językowej mógł zostać przyjęty każdy system gestów.

Jeśli ta teoria jest poprawna, powstanie języka jest możliwe przy wcześniejszym rozwoju świadomości pierwotnej. Świadomość wyższego rzędu (to, że stajemy się świadomi bycia świadomymi) można osiągnąć, gdy systemy pamięci zostaną odniesione do pojęciowej reprezentacji prawdziwego „ja" (społecznej tożsamości) oddziałującego na środowisko i poddanego jego działaniu, jak twierdzi Gerald Edelman.

*

Badanie struktury mózgu, a więc możliwości umysłu daje pewność, ukazuje fakty, nie w postaci skutków, ale przyczyn. Może więc i spontaniczność też jest przewidywalna, jak zakładał w swej teorii Kuhn? Dzięki takiej a nie innej strukturze mojego umysłu posiadam adekwatne do tej budowy, ukształtowania, możliwości umysłowe. Od mojej osobowości, na którą składają się określone elementy, zależy jaki procent bazy umysłowej wykorzystam, jakimi słowami, pojęciami będę się posługiwać przy wyrażaniu uczuć, myśli, określaniu siebie i poglądów na to, co spostrzegam czy świata zewnętrznego. W jaki sposób nawiążę relacje, czy je w ogóle nawiążę i w jakiej mocy, zależy ode mnie, ale też od tej drugiej osoby czy odniesienia, do której „ja" się kieruję, bowiem w niej zachodzi tego samego rodzaju proces wewnątrz komunikacyjny.

„Wiedza o siłach rządzących społeczeństwem, o przyczynach, które spowodowały jego wstrząsy (przewroty) oraz o zasobach społeczeństwa na promowanie zdrowego postępu stała się istotną troską o naszą cywilizację." Wilhelm Dilthey.

„Autorytet nauczyciela stopniowo lecz stale i z premedytacją był podkopywany przez różne czynniki (w tym oświatowe), które z różnych tytułów kontrolowały szkołę. Różnego rodzaju instrukcje nakazujące uczniom krytykowanie wychowawców, zasięganie o nich opinii, ataki na nauczycieli na różnego rodzaju zebraniach i.t.d. stwarzały pożywkę, na której rosło huligaństwo. Szkoła traciła autorytet na łącznie z nauczycielem. Kłamstwa, których realizacji domagał się program, demoralizowały umysły i charaktery. Zakłamanie stało się zjawiskiem powszechnym. Gorzej – stało się nawykiem. W tych warunkach głos prawdy uważany był za nietakt, za obelgę, za bunt."[15]

Maria Jolanta Fraszewska

14 Edelman G., Przenikliwe powietrze, jasny ogień. O materii umysłu, PIW Warszawa 1998, s. 248

15 A.Leszczyński, Wyd.TRIO, 2000, Sprawy do załatwienia. Listy do Po prostu 1955-1957, s.128

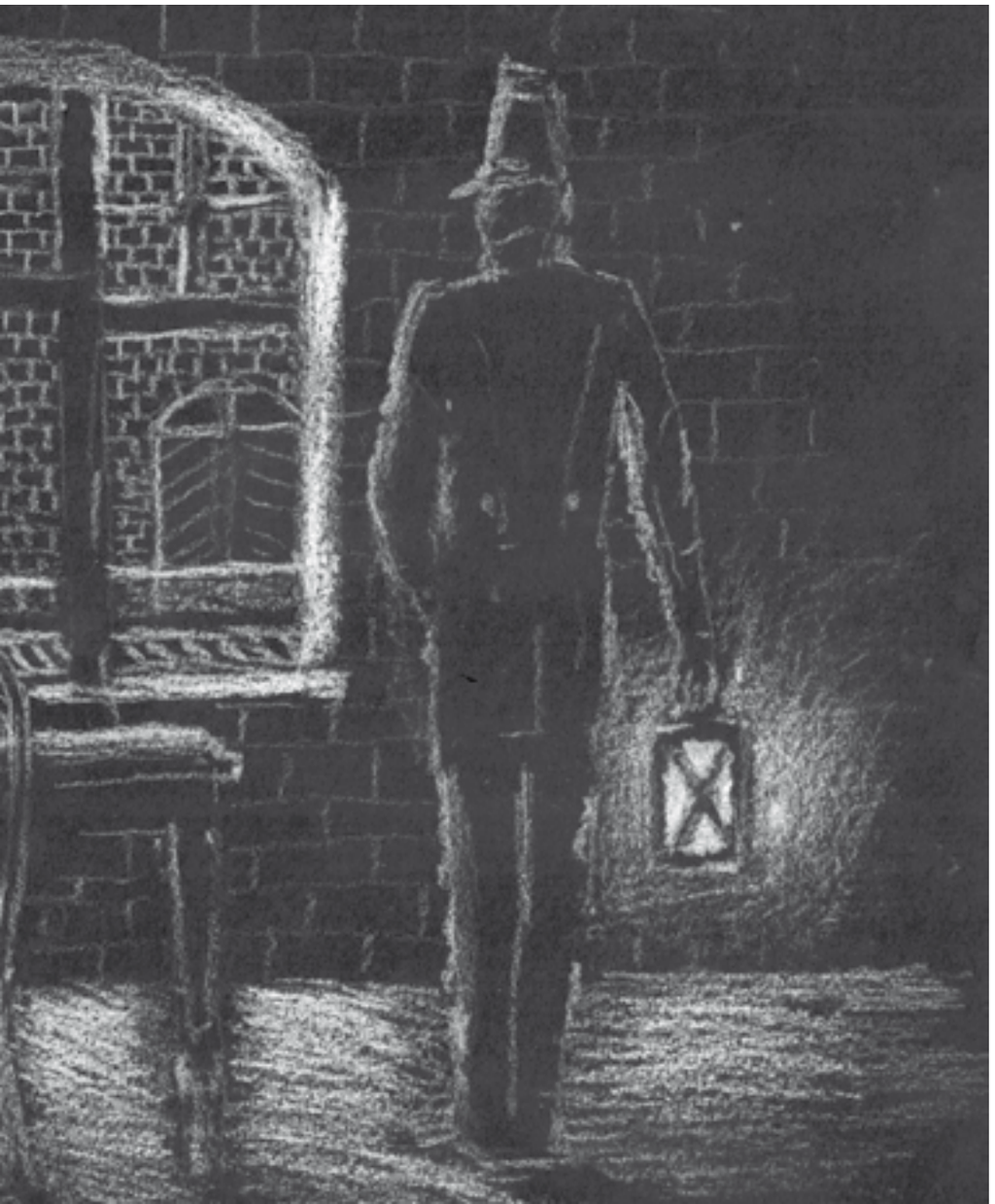

Ioan Baba

Przełożyła: Olga Lalić-Krowicka

NIE DEPCZCIE LIŚCI

Nie depczcie liści
Gdy przelecą znad waszych głów
W jesieni która oszrania się na nich
Wytępiły je nasze czasy
Uśmiechają się do nich tylko południa w mijaniu
Oto przyjaciele tej ziemi
I ożyją na dotyk wiatru

Ludzie
Istoty się nie pokazuje w ich znaczeniu
Nie depczcie ich
Nie depczcie ich

WYJŚCIE Z LUSTRA

Na koniec łowów
Z zarażonych wnętrzności jednego wilka
Wypadały śmieszne okrzyki
Pod maską realności

Pomieszanie gorących słów
Umyślnie jest spalony

Trudno jest wiosłować pod prąd

Więc jak to nic nie jest za darmo
Odważnie wchodzisz do salonu golibrody
Który goli wąsy
Temu co wisi na przeciwnej ścianie
Grubo płacisz
Za ta banalną łowiecką realność
Potem wychodzisz z lustra

OLIVA ART

Przyjacielowi Golubowi Kekoviciowi

Zaniepokojony ołowianymi myślami
Które się nachyliły nad Morzem Zielonym
Mój Golub pacyfista zagłębił się spojrzeniem w kosmos
Widząc siebie jako Człowieka w trójkącie z Przyrodą
A potem wyszedł na naga skałę
By uwolniony spod zmierzchu podziwiać słonce
Jak w morzu bystrym odchodzi na odpoczynek

Poranek świta mu podczas spotkania z kozicą
A potem przyśpiewuje i gra na flecie
Wtedy jeszcze zbiera stuletnia drzewa poprzez oliwne gaje

Mówi że drzewa oliwki są niesamowite
Że są niczym wyrzeźbieni święci
Że mają Oczy i Nosy i Łyse Głowy
A gałęzie są pokrzyżowane ciałami
Ucieleśniają sen dwoje kochanków
Że niektóre sztuki z palcami niczym
Otwarte ręce
Korzenie jakby uwikłany bluszcz na ścianie
Kikuty dziurawe jak dom dla ptaków wędrownych

Niektóre otwory podobne do zamku
A drugie do różnych wrodzonych symboli

Kształty są uniwersalne więc jubilerzy je cenią
Tak jak dbają o najpiękniejsze kobiety
Potem je rzeźbią w puchary niczym jakieś trofeum
Impregnuje kolorem oliwy z oliwek
I wszystkie przedmioty dumnie odchodzą na wesela

Tam w Sutomorze* obejmuje go także tęsknota
Czasami czuje się jako Napoleon w Moskwie i Waterloo
Milcząco cierpi za Panonią
Mówi że podczas wiosny przywidzi mu się Zielone Morze
Że w lato wyłania złote skrzyżowane snopy
Tylko jesień bywa ogarnięta oliwkami
A zimy prawie nie ma

Od jego powiązania ze światem
Z Ziemią Słońcem i Niebem
Kiedy drzewa ubiera przezroczystą sukienkę
Rzeźby stają się perlami
I lśnią jak krople rosy

Na chrzcinach rękodzieła nazywającym się *Oliva Art*
Alauda z góry niczym wirtuoz mu śpiewała
W zanurzeniu echo się rozchodziło jak słodki pocałunek
A złoty kilim się rozłożył do błękitnego horyzontu
Utkany i ozdobiony czerwonymi makami

**Sutomor – miasto w południowej Czarnogóry.*

Ioan Baba - ur. w 1951 r. w miejscowości Seleusz w Serbii. Poeta, dziennikarz, publicysta, leksykograf, historyk literatury i tłumacz. Pracował przez trzy dekady jako dziennikarz w Radiu i Telewizji Wojwodiny i jak główny redaktor programu w języku rumuńskim. Przez wiele lat był także redaktorem głównym czasopisma „Lumina". Opublikował 28 tomików poezji, a także wiele antologii, bibliografii, wywiadów, leksykonów, monograficzno-biograficznych książek, podręczników itd. Jego wiersze były przekładane na języki: węgierski, serbski, słowacki, polski, rusiński, angielski, francuski, hiszpański, włoski, rosyjski, szwedzki, macedoński, bułgarski, arabski, chiński i grecki. Laureat wielu nagród w Rumunii, Serbii, Mołdawii, Bułgarii, Libanie, Włoszech i Chinach. Członek Stowarzyszenia Literatów Wojwodiny, Związku literatów Rumunii i Stowarzyszenia Literatów Nowego Sadu. Mieszka i tworzy w Nowym Sadzie.

Dorota Abramowicz

Ukąszenie które trwa

Z Romanem Warszewskim rozmawia Dorota Abramowicz

W kwietniu 2024 r. Roman Warszewski, dziennikarz, pisarz i podróżnik przyjął z rąk wicewojewody pomorskiego brązowy medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis, nadawany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Otrzymują go osoby szczególnie wyróżniające się w dziedzinie twórczości artystycznej, działalności kulturalnej lub ochronie kultury i dziedzictwa narodowego. W tym przypadku doceniona została twórczość pisarska mieszkańca Gdyni.

Łacińskie Gloria Artis oznacza Chwała Sztuce. W przypadku Romana Warszewskiego, autora 33 książek, ale zarazem eksploratora, organizatora kilkunastu wypraw, człowieka wiecznie poszukującego, który wielokrotnie odwiedzał Amerykę Łacińską , odbył także podróże do Azji i nawet na Wyspę Wielkanocną, , warto byłoby zastanowić się nad oznaczeniem go medalami Gloria Navigare i Gloria Scientia.

Co gna go w świat mimo trudów podróży i związanego z nią ryzyka? Gdzie jest jego druga ojczyzna? Co już odkrył, a co jeszcze zamierza zbadać? To tylko kilka pytań, jakie zadaliśmy człowiekowi z pasją.

– Zaczniemy od dzieciństwa? Opowiedz o pewnym szesnastolatku z Elbląga, który postanowił odczytać pismo rongo–rongo używane na Wyspie Wielkanocnej i w tym celu podjął korespondencję z największymi sławami w tej dziedzinie. Pisały o tym ówczesne gazety..

– Tak było. Rzeczywiście dawno. Jeszcze gdy tylko marzyłem o dalekich wyprawach.

– Wobec tego przenieśmy się kilka lat później, kiedy zacząłeś spełniać marzenia o podróżach.

– Marzenia dziś łatwiej spełniać, niż w czasach, gdy zaczynałem jeździć po świecie. Czyli w roku 1983. W bardzo niekorzystnych warunkach.

– Co się wtedy działo?

– Stan wojenny zastał mnie w Niemczech. Podjąłem tam studia podyplomowe, chociaż jeszcze dyplomu nie miałem. Jako student zatrudniłem się w mleczarni, gdzie zarobiłem na swój pierwszy wyjazd do Ameryki Południowej. Z wyjazdu pamiętam swoje przerażenie, tak duże, że chciałem od razu wracać. Na szczęście nie udało mi się przebukować biletu. Ta pierwsza podróż trwała cztery miesiące. Było to ukłucie skorpiona. Zostałem ukąszony rzeczywistością, a ten stan trwa do dzisiaj. Z tego wyjazdu powstała książka „Pokażcie mi brzuch terrorystki".

– Wielokrotnie nagradzana, o której sam Ryszard Kapuściński pisał, że jest to znakomicie, w sposób dojrzały i mądry napisany reportaż o fenomenie terroryzmu. Jesteś w stanie spamiętać wszystkie swoje wyprawy? Ile ich było?

– Ważniejszych około dwunastu, trzynastu, w tym dwie pod auspicjami „Nieznanego świata".

– A która z nich jest dla ciebie najważniejsza?

– Jedną z najważniejszych było poszukiwanie Paititi, legendarnego „złotego miasta" Inków. Ojciec Edmund Szeliga, polski misjonarz pracujący wśród Indian, znawca roślin leczniczych Amazonii i Andów, dał mi przed śmiercią mapę z zaznaczoną lokalizacją Paititi. Skorzystałem z mapy, wyruszyłem do dżungli. Po tej wyprawie napisałem wydaną w 2005 r. książkę „Tajna misja El Dorado".

– Rozwiązałeś zagadkę El Dorado?

– Doszedłem do wniosku, że legendy o złotych miastach biorą się stąd, że Indianie zażywali ayahuascę, napój o właściwościach psychoaktywnych. I wtedy wszystko wydawało im się złote, bo taki koloryt pojawiał się w halucynacjach. Inną, ważną podróżą, którą odbyłem w 2016 r. była wyprawa do największego petroglifu Pusharo, znajdującego się w parku bioróżnorodności założonym przez polskiego przyrodnika, Jana Kalinowskiego. Tak nawiasem mówiąc, jego rodzina do dziś mieszka w Cuzco. Wcześniej, w 1998 r. zorganizowałem ekspedycję eksploracyjną na płaskowyż Marcahuasi, gdzie znajdują się ogromne megality skalne. Zostały utworzone ręką człowieka, o czym napisałem w książce „Marcahuasi – kuźnia Bogów" . Z ważniejszych była jeszcze wyprawa do długowiecznych Indian Q'ero oraz ekspedycja Vilcabamba–Vilcabamba, będąca kontynuacją badań nad tym samym problemem długowieczności.

– Po przeczytaniu książki „Wyprawa Vilcabamba Vilcabamba" zauważyłam, że bawisz się z Czytelnikami, mieszając gatunki. Jest to nie tylko reportaż i książka podróżnicza, ale także powieść historyczna i kryminalna.

– Podróżując do dwóch Vilcabamb - peruwiańskiej i ekwadorskiej - udało mi się zrekonstruować życiorys inkaskiego generała, który ratując swój lud przed konkwistą część populacji wyprowadził z Peru do Ekwadoru. Była jeszcze ważna wyprawa śladem roślin leczniczych rosnących w dżungli, o których opowiadał ojciec Szeliga. Dlatego trudno odpowiedzieć na pytanie, która z nich była najważniejsza. Każda z nich coś dawała, każda owocowała jakąś książką. A każda książka wnosiła coś nowego. Stąd bliskie sprężenie mojego jeżdżenia z pisaniem.

– Czy została jakaś „ekspedycja marzeń", do której nie doszło z powodu nieoczekiwanych okoliczności?

(Chwila ciszy.)

– Nie. Jak już cokolwiek postanowię, to zrealizuję prędzej lub później.

– A co jest ważniejsze - odkrycie nieznanego świata, czy bycie w podróży?

Jedno i drugie. Chociaż sama podróż jest wartością samą w sobie.

– I nie ma takiego rozczarowania, kiedy wreszcie docierasz do celu, że to już po wszystkim?

– Nie. Zawsze jestem nakręcony. Szczególnie tam, po drugiej stronie Atlantyku.

– Czyli?

Tkwi we mnie Ameryka Łacińska. Wszystkie jej kraje, najważniejsze było jednak zawsze Peru. W Peru jest wszystko, niepowtarzalna przyroda i równie niepowtarzalna historia.

Brakuje jedynie ciepłych plaż, na co wpływa morski Prąd Humboldta, zwany Prądem Peruwiańskim.

– Miałam okazję przeczytać większość twoich książek o Peru. Nie ma w nich jednak stereotypowego zachwytu turysty. Patrzysz z dystansem, oceniasz. Czasem nawet - może to za duże słowo - kłócisz się z nim?

– To chyba lepiej, niż bezkrytycznie podchodzić do tego kraju. Nie waham się mówić, że Peru jest moją drugą ojczyzną. Chociaż nie jest to ojczyzna, która głaszcze. Raczej rozdziela razy i kopy na różne strony. Szanuję ten kraj i się w dużej mierze z nim utożsamiam. Zresztą moja żona jest Peruwianką, mój syn jest obywatelem Peru, a mój wnuk też nim będzie.

– Docelowe miejsce do życia to Polska czy Peru?

– Chciałem dłuższy czas mieszkać w Peru, ale nie było na to zgody mojej żony. Ale… kto wie, może w takiej czy innej formie uda mi się jeszcze to zrealizować…

– Chociaż nie ma cię tam na stałe, docierasz do spraw, o których czasem nawet miejscowi nie mają pojęcia. Czy z Twoich publikacji korzystali historycy, ludzie nauki, zajmujący się Ameryką Łacińską?

– Znam kilka języków obcych, ale zawsze wracałem do Polski, by pisać po polsku. Nie każdy jest Nabokovem czy Korzeniowskim. Moje książki - nad czym ubolewam - nie były tłumaczone na język hiszpański. Jednak w wielu bibliografiach artykułów i książek pojawiają się moje tytuły. Oznacza to, że zostały zauważone i są dalej przetwarzane.

→

– Podróże to nie tylko piękne widoki i spotkania z miłymi ludźmi. Było niebezpiecznie?

– Bywało. Podczas ostatniej ekspedycji do petroglifu Pusharo omal nie umarłem. Doszło do gwałtownego odwodnienia organizmu. Znalazłem się poniekąd na krawędzi. Ciekawa sprawa -petroglif Pusharo, do którego dotarliśmy jako pierwsi Polacy, prawdopodobnie stanowił granicę państwa Inków. Był kamiennym słupem granicznym. Kresem. I ja w tym miejscu zacząłem docierać do pewnego swojego kresu. Była w tym jakaś metafora. Będąc u kresu państwa zacząłem docierać do kresu swego życia. Byłem w takim stanie, że chciałem tam usiąść i zostać. Nie mogłem wykonać żadnego ruchu, osuwałem się w otchłań. Na szczęście w skład wyprawy wchodził wybitny gdański lekarz, prof. Kazimierz Krajka, który podjął odpowiednią interwencję. Ostatecznie nawodniono mnie i powoli zacząłem się poruszać.

– Problemy zdrowotne to jedno, ale zagrożeniem dla obcego może być także człowiek. Bawisz się w detektywa, rozwiązując zagadki historyczno-medyczno- naukowe, czasem jednak także wchodzisz w butach ludziom w ich życie, zadajesz trudne pytania. Nie pamiętasz, jak przed laty szerokim echem odbiła się informacja o zamordowaniu na Ukajali małżeństwa znanych trójmiejskich podróżników? Jarosław Frąckiewicz i Celina Mróz zginęli z rąk Indian.

– Zanim dotarła do nas tragiczna wiadomość o śmierci podróżników, organizowano pod auspicjami „Poznaj świat" wyprawę poszukiwawczą, w której miałem brać udział wraz z Michałem Kochańczykiem. A czy nie boję się ryzyka? Uważam, że trzeba zachować rozwagę, znać doskonale miejsce, gdzie się wybieramy. Nie można lekkomyślnie ruszać na potencjalnie niebezpieczną wyprawę.

– W swojej ostatniej książce „Pierwsza wojna polsko-indiańska (Ameryka Łacińska w pół drogi)", opisujesz jak po kilkudziesięciu latach wracasz do wsi Uchuraccay w regionie Ayacucho. Miejsca, gdzie 26 stycznia 1983 roku mieszkańcy okrutnie zamordowali ośmiu dziennikarzy, których wzięli przez pomyłkę za partyzantów Świetlistego Szlaku. Pierwszy raz genezę zła i fanatyzmu opisałeś w książce „Pokażcie mi brzuch terrorystki". Co usłyszałeś, gdy po raz kolejny odwiedziłeś wioskę Uchuraccay i zapytałeś o tamte wydarzenia?

– Padły słowa: „Tu nikt nie chce o tym pamiętać." Wyraźnie widać, że oni się tego wypierają.

– To chyba nie jest specyfika peruwiańska. To samo usłyszysz, gdy pojedziesz do Jedwabnego. W Polsce.

– Niedawno byłem w Jedwabnem, o czym pisałem na łamach „Migotań". I też miałem takie skojarzenia. Chciałem o tym napisać, pokazując jakby zderzenie tych sytuacji. Być może jeszcze to zrobię. W kwartalniku „Migotania" jest mój tekst na ten temat.

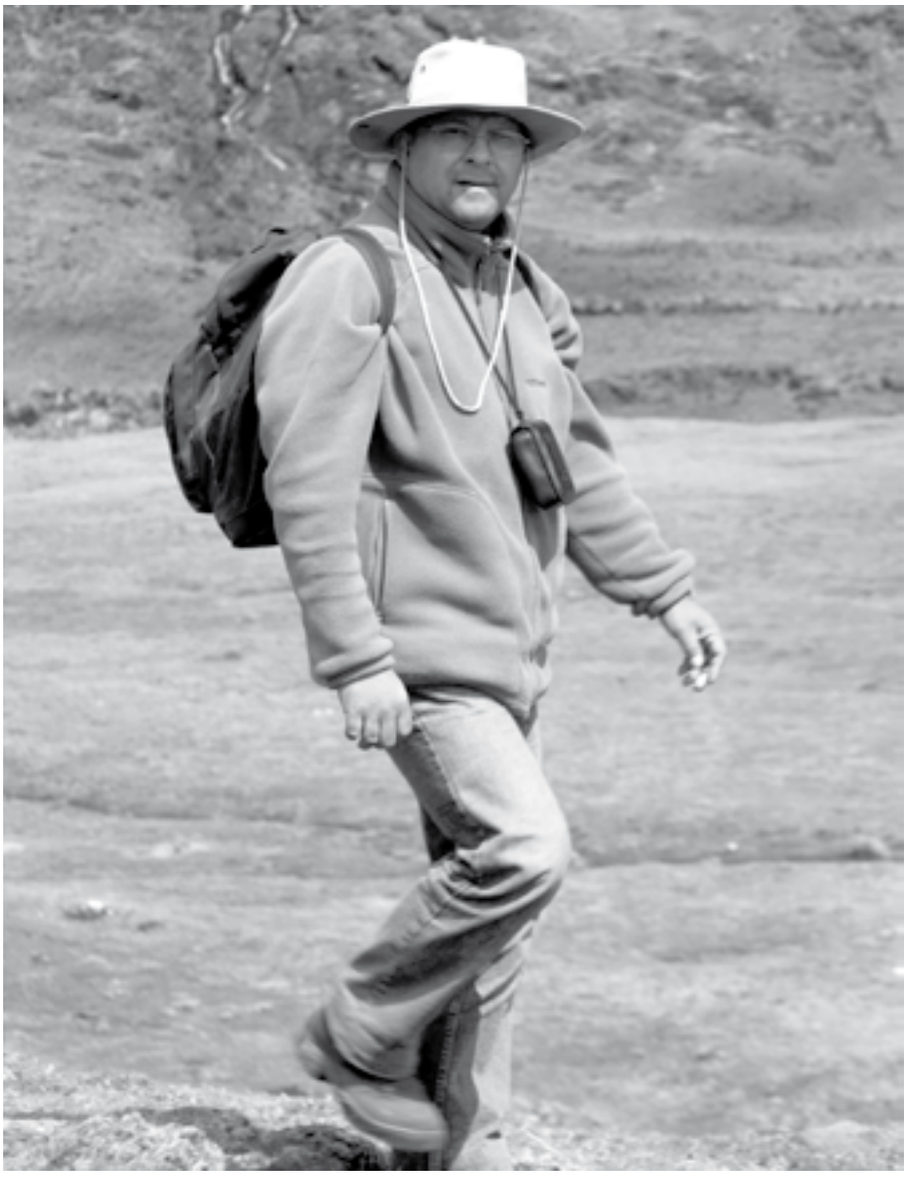

– Czy poza Peru przyciąga cię jeszcze jakiś kraj?

– Moją pierwszą długą podróż w innych region świata niż Ameryka Południowa odbyłem w 1985 roku do Indii. Przyznam się, że Indie mnie wciągnęły, wessały. Zrozumiałem jednak, że jeśli będę tam wracał, nigdy w życiu nic nie napiszę. Skończę na medytowaniu, na lewitowaniu. A ja bardzo chciałem pisać. Myślę jednak, że teraz nadszedł czas, by wrócić do Azji. Już nie muszę tyle pisać, mogę bardziej wnikać w sfery metafizyczne. To, z czego w młodości bardzo świadomie zrezygnowałem, dziś znów do mnie wraca.

– Czym wobec tego jest dla Romana Warszewskiego pisanie?

– Najbardziej satysfakcjonującą czynnością, jaką wykonuję. Mój nieżyjący przyjaciel, dr Janusz Szeluga twierdził, że kiedy piszę, to w moim mózgu muszą wydzielać się jakieś opiaty. Pisanie jest czymś najprzyjemniejszym i traktuję je jak relaks, a nie jak pracę. Im więcej piszę, tym się lepiej czuję.

– Pisanie nie zawsze musi być miłe. Bolą plecy, wena ucieka...

– Nie cierpię, siadając nad białą kartką papieru, nie ogarnia mnie czarna rozpacz. Zabierając się do pisania doskonale, no może w 80 proc., wiem, co chcę napisać. Mam już wszystko poukładane w głowie. Piszę z dużą przyjemnością. Godziny spędzone na pisaniu należą do najbardziej urzekających w moim życiu.

– Sięgasz do wielu publikacji, dokumentujesz swoje tezy. To też wymaga pracy.

Posługuję się wiedzą z różnych dziedzin i źródeł. Nie szperam, nie szukam. Już to wszystko mam, by zbieranie dokumentacji nie zakłócało mi przyjemności dawanej przez pisanie. Przelewanie na papier rzeczy, które już we mnie są, jest ostatnim etapem. A co do uciekającej weny - ja jej nie potrzebuję. Jestem na tyle profesjonalny, że mogę zawsze zacząć pisać. Wtedy wchodzę jeszcze raz w tamten, siedzący już w głowie, świat.

– I wciągasz do tego świata czytelników. Kontaktujesz się z nimi?

– Często miewam spotkania z czytelnikami. Mam bardzo dobry kontakt z audytorium. Nauczyła mnie tego moja pierwsza praca – na uczelni.

– Twój czytelnik musi być osobą specyficzną. Ciekawą świata, zadającą sobie wiele pytań dotyczących jego tajemnic, nie oczekującą łatwych rozwiązań.

– Często zadaję sobie pytanie, czy jest jeszcze dla kogo pisać. Wnioski, niestety, bywają smutne. Obecny świat, bardzo zbanalizowany i uproszczony przez media elektroniczne, nie jest już moim światem. Jestem pełen wielu smutnych refleksji. Mam świadomość, że mój świat się kończy. Nie tylko zdrowotnie. Patrząc na to, kto czyta, po co czyta i jak czyta, zadaje sobie pytanie, czy jest dla kogo jeszcze pisać. I w jakim stopniu.

– Widok z Machu Picchu dla każdego jest na dotknięcie palcem smartfonu. Zapytam przewrotnie - co mogą dać więcej refleksje pisarza-podróżnika?

– Patrząc na obrazek nie czujesz zapachu tego miejsca. Nie rozmawiasz z ludźmi, którzy tam żyją. Nie czujesz ruchu powietrza wokół siebie. W internecie widzimy namiastki. Jest to zgubne. Ludzie przyzwyczajają się do percepcji przekazu powierzchownego, naskórkowego. Nie wnikniesz w istotę rzeczy, patrząc tylko na ekran.

– Wspomniałeś, że ogranicza cię coraz bardziej wiek i zdrowie. (W maju – jak ten czas leci– będziesz miał 65.-te urodziny!) Czy oznacza to pożegnanie z wyjazdami?

– Skądże! Mam jeszcze kilka pomysłów

na podróże. Między innymi chcę dotrzeć na przylądek Horn od strony lądowej. Powstanie z tego książka „Podróż do samego końca". Do końca kontynentu i do końca życia.

– Na tym zakończysz swoje wyprawy?

Kto wie? Chociaż muszę przyznać, że mam jeszcze kilka projektów w trakcie realizacji.

– Wrażenie robi na mnie, że namówiłeś osiemdziesięcioletnią Elżbietę Dzikowską na podróż do Vilcabamby. Musiało to być spore wyzwanie.

Prawda, było to bardzo trudne. Elżbieta Dzikowska cały czas miała nadzieję, że zrezygnuję z pisania książki o niej.

– Nie zrezygnowałeś. W 2019 r. ukazała się „Dzikowska. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki", która odsłoniła wiele nieznanych faktów z życia współautorki, z Tonym Halikiem, legendarnego cyklu telewizyjnych programów „Pieprz i wanilia". Jesteś zadowolony z efektu?

– Po napisaniu tej książki czułem się, jakby przejechała po mnie lokomotywa. Kto był ta lokomotywą pozostawiam twojej domyślności.... Przez trzy lata obcowałem z osobą, która potrafiła kłamać z uśmiechem na twarzy. Było to bardzo deprymujące.

– A jednak udało ci się ustalić prawdę?

– Udało, choć nie przeczytasz o niej w biografii. Wydawca usunął z książki ze 100 stron. Wiele z tych usunie tych stron opublikowałem właśnie w „Migotaniach".

– Dlaczego?

– Skróty wynikały z układu wydawcy z moją bohaterką, gwarantującego, że Elżbieta Dzikowska musi swoją biografię zaakceptować. Pewne rzeczy nie były dla niej do zaakceptowania. Z drugiej strony zgoda na ten układ pozwoliła na uniknięcie zapewne długich i męczących procesów. Być może jeszcze nadejdzie kiedyś czas, by opublikować książkę w całości.

– Czy jest jeszcze osoba, której biografię chciałbyś napisać?

– Napisałem już książkę o profesorze Karolu Myśliwcu...

– Tak?

– ... ale nikt nie wie kto to jest. Mówimy o wybitnym polskim archeologu, doskonałym egiptologu, najlepszym uczniu profesora Kazimierza Michałowskiego. Odkrył niesamowite sprawy! Niestety, żaden wydawca nie kojarzy, kim jest ten naukowiec o światowej sławie. Książka nosi tytuł „Skorpion w grobach faraonów".

– Brzmi jak tytuł filmu przygodowego...

– Profesor jest spod znaku Skorpiona. Opisuję w niej niezwykłe życie rodzimego Indiany Jonesa, laureata polskiego Nobla. Znam profesora od dawna, jeszcze od lat 90. XX wieku. Wielokrotnie byłem u niego na stanowisku archeologicznym w Sakkarze, gdzie m.in poszukiwał grobu legendarnego architekta, Imhotepa. Profesor niedawno skończył 80 lat. I jest mi bardzo przykro, że wie, że nikt nie chce wydać książki na jego temat. To zresztą smutny przykład naszej rodzimej ignorancji.

– A jaki bohater czeka na opisanie?

– Hiram Bingham, człowiek, który (wbrew temu, o czym wszyscy są przekonani)… wcale nie odkrył Machu Picchu!

– Znowu wsadzasz kij w mrowisko. Bingham, absolwent prestiżowych amerykańskich uniwersytetów w dziesiątkach źródeł wymieniany jest jako osoba, która w 1911 r. jako pierwsza natrafiła na zapomniane inkaskie miasto, będące jednym z siedmiu cudów świata!

– Prawda wygląda inaczej. I o tym będzie ta książka. Chcę też napisać biografię Thora Heyerdahla, tego od wyprawy Kon-Tiki i Aku-Aku. Myślę również poważnie o biografii Karen Blixen, autorki „Pożegnania z Afryką" oraz lotniczce Amelii Earhart. I o Tedzie Kaczyńskim.

–Niezły zestaw. Podróżnicy, pisarze, odkrywcy i morderca, który terroryzował Amerykę?

– Tematów mam w bród. To nie koniec.

Dorota Abramowicz

WYPRAWY ROMANA WARSZEWSKIEGO I KSIĄZKI JEGO AUTORSTWA, W KTÓRYCH O NICH MOWA

2021 – wyprawa do prowincji Chachapoyas na północy Peru, której rezultaty są na tyle rewelacyjne, że będzie trzeba ją jeszcze w przyszłości kontynuować. Książka na ten temat jeszcze nie powstała, lecz na pewno powstanie.

2016 – trawers kontynentu na trasie Buenos Aires -Lima przez Argentynę, Brazylię, Paragwaj, Boliwię i Peru. Do przyszłej książki „Transamerica. Wyprawa do źródeł kontynentu".

2015 – wyprawa do Pusharo – największego petroglifu w peruwiańskiej selwie. Pierwsi Polacy z Pusharo. Rozdział: „Pusharo znaczy kres?" w książce „Pierwsza wojna polsko-indiańska. Ameryka łacińska wpół drogi".

2013 – drugi pobyt w Vilcabambie. Album: „Drogami Inków do Machu Picchu i jeszcze dalej" (razem z Arkadiuszem Paulem)

2009 – Wyprawa Tupac Amaru do Urpitaty w celu ustalenia faktycznego zasięgu ruin Machu Pucara. W ramach tej wyprawy jako pierwsi Polacy docieramy też do Inti Huasi - najwyżej położonych ruin Inków (4400 m n.p.m.). Książka „Wyprawa Vilcabamba-Vilcabamba. Śladami wojownika, którego nie imał się czas".

2008 – Wyprawa Vilcabamba-Vilcabamba: do Vilcabamby - ostatniej stolicy Inków i Doliny Vilcabamby w Ekwadorze. Rekonstrukcja życiorysu Inki Paucara, który część społeczności Q'ero z Peru przeprowadził do Ekwadoru. Książka „Wyprawa Vilcabamba-Vilcabamba. Śladami wojownika, którego nie imał się czas".

2007 – Wyprawa do wysokogórskiego plemienia Q'ero. Książka: „Q'ero. Długowieczność na zamówienie".

2004 – pobyt w Tiahuanaco. W Puna Punku identyfikuję fragmenty rzeźby, które wskazują, że w przeszłości w Tiahuanaco było więcej Bram Słońca niż dotąd przypuszczano („Siostry Bramy Słońca", Poznaj Świat II/577/2005, s. 60-68)

2003 – pobyt na Wyspie Wielkanocnej. Wykazanie astronomicznej korelacji posągów z platformy Ahu Akivi z konstelacją Plejad. („Niebiańskie rodzeństwo", „Poznaj Świat", IX/572/ 2004, s. 6-17)

2000 – Wyprawa w poszukiwaniu Paititi wg mapy otrzymanej od o. Edmunda Szeligi – w dorzecze rzeki Maestron. Książka „Tajna misja Eldorado". Ayahuaskowa teoria genezy mitu o Złotym Mieście.

1999 – wyprawa z o. Edmundem Szeligą do selwy w poszukiwaniu roślin leczniczych. Książka „Ojciec nadziei. Niezwykłe życie o. Edmunda Szeligi" (razem z Grzegorzem Rybińskim).

1998 – Wyprawa na płaskowyż Marcahuasi w Peru. Książka „Marcahuasi - kuźnia bogów".

1992 – Podróż szlakiem ostatniej kampanii Ernesto Che Guevary w Boliwii. Książki: „Skrzydlaci ludzie z Nazca" i „Boliwia 1966-1967".

1983 – wyprawa śladami organizacji Świetlisty Szklak (Sendero Luminoso) w Peru. Debiutancka książka: „Pokażcie mi brzuch terrorystki".

Ares Chadzinikolau

LISTY - BEZ ROZGRZESZENIA I.

Nasze twarze tak szybko się starzeją.
W bruzdach odkłada się oćma naszych dni,
w oczy wchodzi cień przyjaźni,
a plecy garbem ciążą do ziemi,
jak u objuczonego osła.

Jednym włosy pokrywa popiół,
innym rwą się jak nić Atropos.
Pewnie za rzadko jesteśmy głaskani.

Wioski rybackie zmieniają się w miasta
i coraz trudniej odnaleźć ślady z dzieciństwa,
nie ma pobielonych wapnem narożników domów,
za którymi chowaliśmy się w zabawie.
Nie ma też naszej łodzi.
Zatonęła w morzu podczas sztormu.

Przy drodze figowce zdziczały i rodzą cierpkie owoce.
Kto z nas teraz potrafiłby powiedzieć:
„jakie słodkie figi, nigdy takich nie jadłem"…
żeby odczarować ich los.

Tylko morze pozostaje łagodne o świcie.
Potem upodabnia się do ludzi zmieniających maski.
I ten głuchy pobrzęk portowego dzwonu
przypominający o końcu i początku podróży,
jakby budził i rozliczał nas z marzeń.
Koi jeszcze rozgwieżdżone niebo obok Fedriad,
gdzie Muzy unoszą w zachwycie ręce,
i nawet jeśli zamienimy się w kamienie
to dusza z kpiarskim echem
znajdzie nowe ciało.

NA WSI

Może nie ma tu drzew
splecionych jak ciała kochanków
tylko koń człapie ze spuszczoną głową
i podkowami potwierdza tożsamość.
Wiatr polom wykrada zadumę,
potykając się o ściętą kukurydzę,
jak bezdomny o myśli.
Może tu dzień trzeszczy kołem,
gdzieś za domem szczeka pies,
bo nie odpędzi samotności,
lecz ty
nim zmierzch
ułoży dźwięki w sen,
pamiętaj o czułości nocy.

KIM JEST TA DZIEWCZYNA

Kim jest ta dziewczyna,
co zbiega po schodach
w kwietniowy poranek
w biel odziana.
Rozbiera się na brzegu morza,
całuje fale
i przepada naga
wraz z nadejściem piany,
jakby była Afrodytą.

Kim jest ta dziewczyna
o lśniących włosach
opadających na pełne piersi
i o roześmianych oczach,
co rozświetliłyby każdą szarą twarz.

Kim jest ta dziewczyna,
co potrafi wygiąć ciało w łuk
drwiąc z miłości.
Nawet wiatr rozplątuje cienie
po jej przejściu
i roznosi jej tymiankowo-lawendowy zapach
tak, że ulegasz złudzeniu bycia w raju.

Kim jest ta dziewczyna,
co teraz podczas snu
budzi moje zmysły?

Aforyzmy:

* Nawet w piękny dzień ludzie się zabijają zamiast się kochać.
* Gdy kwitną drzewa ziemia wygląda zawsze jak panna młoda.
* Żyjemy w cyrku. Siedzimy na widowni albo na scenie.
* I raj ma swoje piekło.
* W morzu słów i sieć dziurawa.
* Życie to dom, w którym panują przeciągi.
* W wielkim lesie tylko dwa drzewa się splatają.
* Wartkiej rzece nie szkodzą zmącenia.
* Religią wszystkich ludzi powinna być miłość.
* I ślepe ptaki machają skrzydłami.
* Rozchylone wargi nie zawsze spragnione są miłości.
* Na starość nawet cień się kurczy.
* Nie oceniaj bliźniego nim nie będziesz w jego skórze.
* Nie niszcz w jednej chwili słabości tego, co wzniosłeś przez lata.
* Idź własnym tempem i nie ulegaj wyścigowi.
* Nikt nie jest na tyle dojrzały żeby życie go nie zaskoczyło.
* Pouczenie ojca jest jak wieniec na skroniach, a matki jak amulet na piersiach.

STARUSZKOWIE

Staruszkowie co noc żegnają się
bez nadziei świtu.
Niepewność pętlą zaciska im szyje,
a mrok skrzypi żurawiem
wyschniętej studni.
Modlą się tylko o to,
by odejszli razem.

Rankiem znów czują się bezpieczni
i powtarzają swoje wspomnienia
Znowu nie wstydzą się swojej nagości.
On widzi w niej Maję Goyi,
ona dawnego Adonisa.
Nadal upajają się zapachem skóry,
aż przesiąkną sobą.

Wtedy są dla siebie promieniem,
który wywleka wiosnę z ziemi
rosą, którą cyklamen odświeża swoją twarz.
Cieszą się zgodnie zapalając gwiazdy wieczorem.
I nie ma znaczenia,
czy ona była jego pierwszą,
czy on był jej pierwszym.

O AUTORZE NAPISALI i POWIEDZIELI:

„Wyjątkowa twórcza indywidualność" - dr Emil Biela
„Ares to biały kruk poezji" – Andrzej Walter
„Ares to poeta niezwykłej wrażliwości i wielkiego potencjału" - Paweł Krupka
„Niesamowita mieszanka zmysłowości i mądrości". - Adam Szyper
„Ares Chadzinikolau jest jednym z najciekawszych zjawisk ostatnich lat" - Eleni Koniarelli-Siaki
„Subtelny, męski, pełen energii i wigoru. Akt miłości przybiera metafizyczne znaczenie, choć nie brakuje mu czarującej fizyczności. Jego poetycka wyobraźnia zadziwia swoją inwencją" - Stefan Jurkowski
„Nie spodziewałam się u nikogo takiej erupcji talentów" - Maria Mistrioti
„Jedyny twórca, tryskający tak witalnością" - Tomasz Dymaczewski
„Ares Chadzinikolau jest wybranym w pośrednictwie między Bogiem a człowiekiem w swojej twórczości „ - Leszek Żuliński

PROZA

Mirosław G. Majewski

JA TEGO NIE NAPISAŁEM

Autobus zatrzymał się na pustym o tej porze przystanku. Janek na pożegnanie kiwnął głową do kolegów, którzy jechali dalej, po czym zgrabnie, jak na dwudziestolatka przystało wyskoczył z autobusu. Poprawił pasek torby który przy wyskakiwaniu zsunął mu się się z ramienia, po czym sięgnął do kieszeni kurtki wyciągając paczkę papierosów. Zapalił nabierając w płuca wraz z dymem, rześkiego powietrze. Czerwony Ikarus zabuksował na zasypanej białym puchem i oblodzonej wysepce przystanku i ruszył w dalszą drogę, rozwożąc pracowników huty wracających po drugiej zmianie.

Było kilka minut przed 23.00. Janek ruszył w kierunku domu przemierzając w półmroku zaśnieżone blokowisko. W ciemnych bryłach dziesięciopiętrowych punktowców jedynie gdzie nie gdzie paliło się żółtawe światełko. W telewizji od kilku tygodni oprócz dziennikarzy w wojskowych mundurach mantrujących regulamin stanu wojennego nic ciekawego nie było, no, może poza kawałkami z festiwalów piosenki żołnierskiej z Kołobrzegu. Złapał się na tym, że jednej piosenki nauczył się na pamięć. Wykonawcą był sam Józef Nowak, któremu w wojsku było dobrze, i to bez względu na stopień na pagonach. Szedł tak brodząc po kostki w śniegu, kiedy nagle za winkla tonącego w mroku bloku pojawił się żołnierski patrol. Było ich czterech, i nie było najmniejszej szansy aby uniknąć czołowego zderzenia. Janek wstrzymał oddech, dźwigał coś w torbie co powodowało nie tylko wstrzymanie oddechu.

- Dobry wieczór – zagaił jeden z żołnierzy, zapewne dowódca patrolu. - Obywatela nie obowiązuje godzina milicyjna?

- Wracam z roboty. Z drugiej zmiany – wyjaśnił nieco zaczepnie ale zgodnie z prawdą.

- Przepustka jest?

- Jest – Janek sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Proszę.

Dowódca rozłożył, złożoną na czworo kartkę i przyświecając sobie latarką skrupulatnie sprawdzając grafik.

- Dziękuję – rzekł w końcu, i dodał - Daleko jeszcze do domu?

- Dwa bloki dalej – Janek wskazał ruchem głowy.

- No to proszę iść prostu do domu… Dobranoc.

- Dobranoc – wypowiedział z ulgą.

Zrobił kilka kroków, kiedy usłyszał głos dowódcy.

- Chwileczkę!

Poczuł mrowienie na plecach. Oblały go zimne poty przypominając sobie jak jakiś czas temu milicjanci zgarnęli ich na dworcu PKP w Katowicach za rozrzucanie ulotek. Jego, Jacka i Waldka. Co prawda dla animuszu trochę wypyli. Mundurowi i szpicle wyrośli jak spod ziem, nie było nawet cienia szansy na ucieczkę, otoczyli ich z każdej strony, jakby właśnie na nich czekali. Janek podniósł ręce do góry, nie zwracając uwagi na polecenie szpicla aby je opuścił. - Jak wojna to wojna! - Odpyskował. Na komisariacie na dzień dobry dostał z piąchy w ryj. Po dokładnej rewizji, ci w cywilu zaczęli wydzwaniać nie wiadomo gdzie i po co. Zapewne sprawdzali czy mają na nich coś grubszego. Widocznie nie mieli, ponieważ po skonfiskowaniu bibuły, i nie uzyskaniu informacji od Janka, że znaleźli paczkę z bibułą na jednym z sosnowieckich przystanków WPK, przepuściły ich profilaktycznie przez szpaler pał. Prawdę mówiąc nie lali zbyt mocno...

- Mam do pana pytanie – żołnierz zmienił ton na mniej oficjalny.

- Tak? - wypowiedział monosylabę nieco drżącym głosem.

- Nie ma pan – żołnierz zawiesił na sekundę głos - bibuły, bo wie pan, w naszych koszarach cienko z tym.

Kurwa. Pomyślał Janek, który w torbie miał ze dwa kilogramy antykomunistycznych pisemek. Powiem nie, to mogą zrobić mi kipisz, powiem że mam, to mogą mnie zamknąć.

- Proszę pana, jesteśmy żołnierzami a nie zomowcami – dowódca wypowiedział ostatnie słowo z nieco teatralnym obrzydzeniem.

- Mam... – wydusił z siebie nie wierząc własnym uszom.

Żołnierze zebrali się wokół Janka.

- Może nam pan dać, rozprowadzimy wśród kolegów w koszarach.

Janek otworzył torbę, wyciągnął plik ulotek i wkładał w wyciągnięte dłonie wojaków...

*

Jacek wyprostował się na krześle patrząc na zapisaną kartkę papieru. Który to już raz próbuje przelać na papier tą historię? W koszu obok biurka, na którym stała przedwojenna maszyna do pisania Remington, było pełno pomiętych kartek. Przeciągnął się spoglądaj w okno, przez które wlewały się promienie lipcowego słońca. Z głośnika szpulowego magnetofonu ZK 120 wydobywały się dziwne dźwięki kapeli o industrialnej nazwie Kraftwerk. To było to coś, co nieźle ryło czachę. Drzwi do pokoju otwarły się z impetem, w drzwiach pojawił się ojciec Jacka z twarzą nie wróżącą nic dobrego.

- Co ty głuchy jesteś? Weź ścisz to gówno! Przyszedł ktoś do ciebie.

Jacek ściszył magnetofon, wsunął stopy kapcie i ruszył do drzwi wejściowych.

- Kurwa… - zaklął cicho widząc w progu kolegę z którym nie widział się od ponad roku. A może jeszcze dłużej.

- Cześć – Rafał uścisnął wyciągniętą dłoń Jacka.

- No właź, nie będziemy w drzwiach gadać.

*

Dwa dni później jechali do Opola, gdzie mieściła się siedziba firmy budowlanej w której to od ponad roku pracował Rafał. Po drodze, jak to po drodze gadali o starych Polakach. W opolskim biurze sprawy załatwili błyskawicznie i wydelegowani do Jeleniej Góry, Jacek został dokwaterowany do pokoju, który zajmował Rafał, na tak zwanej stacji, po przespanej nocy znaleźli się na terenie fabryki dywanów, gdzie opolska firma stawiała biurowiec. Po odstuchaniu przepisów BHP przydzielono go do wielkiej betoniarki, którą po pobieżnym szkoleniu miał sumiennie obsługiwać. Za plecami miał stos worków z cementem, obok spory kopiec piasku i kran z nałożonym nań zbrojonym, gumowym wężem. Pół dniówki pracował z brygadzistą Tytusem, która nauczył go jak robić beton, aby był betonem, a nie sraczką. A że był pojętnym uczniem Tytus po przyjacielski poklepał go po plecach i wyskoczył na piwko, ponieważ dostał cynk, że akurat przywieźli browar do pobliskiego wodopoju o egzotycznej nazwie Oaza. Pierwsza dniówka skończyła się pomyślnie, doprowadził betoniarkę do porządku, worki z cementem zgodnie z zaleceniem majstra przykrył brezentem i jak na nowicjusza przystało w szatni znalazł się ostatni. Część chłopaków była już przebrana, część kończyła brać prysznic, a część z nich w ogóle nie przejmowała się sprawami higieny, i właśnie oni grzali już miejsca w Oazie. Najstarszym był pan Kaziu, dźwigowy, facet przed emeryturą, jak dobrze by mu poszło mógł być Jacka dziadkiem. Był to bardzo sympatyczny facet, wiecznie uśmiechnięty, z takim promieniującym dobrocią wzrokiem. Jacek pomyślał, że jego ojciec nigdy tak na niego nie patrzył, a to mogłoby wiele zmienić.

Dni mijały szybko, równie szybko zaprzyjaźnił się z robotniczą bracią, która wsparli go finansowo do czasu otrzymania zaliczki. Ale najbardziej przylgnął do pana Kazia, ten nie chodził do stołówki lecz jadał śniadanie w swojej kabinie. Kilka razy zaprosił Jacka aby poczęstować go swojską kiełbaską. Z dnia na dzień, od słowa do słowa, pan Kazimierz, który okazał się antykomunistą z krwi i kości wtajemniczył Jacka w planowany sabotaż. Jacek miał za zadanie przynieść z magazynku puszkę mini, którą Rafał na żelbetonowej płycie służącej do układania podłóg miał ładnie napisać SOLIDARNOŚĆ ŻYJE. Z wykrzyknikiem na końcu! Zadaniem Jacka miałoby być złapanie jej hakami dźwigu, Kazimierz miał unieść płytę na 4 piętro, gdzie akurat były montowane żelbetonowe podłogi i... dźwig miał się zepsuć. Wtajemniczonych w sabotaż ogarnęło podniecenie, które było raczej przyjemne, ponieważ plan pana Kazimierza był wręcz wyborny ze znamionami performansu. Jak postanowili, tak też zrobili. Dźwig uległ awarii z dyndająca na wysokości 4 piętra płytą z napisem SOLIDARNOŚĆ ŻYJE. Ludzie z miasta zadzierali głowy do góry nie wierząc własnym oczom. Telefony w urzędach i na posterunkach milicji rozgrzewały się do czerwoności. Po kilka godzinach przyjechała delegacja z Opola i kilku podejrzanych cywili, którzy zaczęli rozpytywać budowlańców co wiedzą na ten temat. Rzecz jasna nikt nic nie nie wiedział i niczego nie widział. Magazynier przyparty do mury przyznał się że po minie przyszedł ten nowy, więc zrobił notatkę w kajecie i nic więcej nie wie. Jacek zaklinał się, że tego nie napisał, a po minię wysłał go dźwigowy. W końcu stanęło na tym, że winny jest Jacek, bo któż inny mógłby narazić się dyrekcji i władzom Rzeczpospolitej Ludowej. Dziwnym trafem urzędnicy z Opola przywieźli Jackowi wypłatę i delegację wraz z informacją, że umowa o pracę po okresie próbnym nie będzie przedłużona, i że panu już podziękujemy, Jacek podpisał listę płac, schował pieniądze do kieszeni drelichów i ruszył do szatni zerkając spode łba na Rafała, który do tej pory miał łapy pobrudzone minią, ale czego urzędnicy i podejrzani cywili jakoś nie zauważyli.

Kiedy się przebierał do szatni wszedł facet z dyrekcji i zapytał – Namalowałeś to, czy zrobił to ktoś inny.

- Nie wiem kto to zrobił – skłamał, i zaraz dodał zgodnie z prawdą. - Ja tego nie napisałem!

Facet z dyrekcji kiwnął głową, wyciągnął dłoń na pożegnanie i rzekł cicho – Nie ważne kto to napisał, ty czy ktoś inny, ale to był szatańsko przedni pomysł – po czym uśmiechnął się i wyszedł.

Jacek wykąpał się na spokojnie, pożegnał się z budowlaną bracią, poszedł na stancję, zapakował torbę i maszerując na dworzec PKP, co chwila zerkał na wiszący prefabrykat z groźnym dla ustroju napisem: SOLIDARNOŚĆ ŻYJE.

Mirosław G. Majewski

Anna Krasuska

Podobno już wkrótce, chociaż nie jest pewne…

Przyszedł i ten czas,
kiedy odebrano ludziom ich rzeczy.
Zebrane w dolinę
dzieła sztuki
miały być sądzone osobno.

Aniołowie stróże już się krzątają,
odpinają tabliczki z nazwiskami twórców,
usuwają dowody zakulisowych rozmów menadżerów.

Sztuko,
tłumacz się sama.

Komu służyłaś i dlaczego?
Za ile sprzedałaś artystę demiurga?
Wpasowałaś się w gusta cokolwiek wątpliwe,
udawałaś, by odnieść komercyjny sukces…

Naga –
oddzielona od galerii i muzeum,
recenzji, która tłumaczyła, co widać,
ceny, która wskazywała, ile byłaś warta,
nazwiska autora, które jak znak towarowy
miało wskazywać wagę
– ile ocalasz?
– ile gubisz?

aniołowie stróże są bezwzględni
i trzeba przyznać mają ciężką robotę

Odrywają dzieło od jego legendy.
Odsuwają zza pleców, by w swoim stało świetle,
obok siebie to, co przeszło bez echa, i to, co uznane.
Obalony dogmat przywracają do pionu.
A kto kłamliwie świadczył, tego dziś rozliczą.

Koło puszki z zupą uśmiecha się Gioconda,
jedna martwa natura obok drugiej już martwej.
Lustereczko powiedz przecie…

***

tak to oni wyglądają
na moment
przed ostatecznym podziałem
na…

Bogini Matka patrzy prosto przed siebie,
nic jej nie dziwi, widziała tak dużo,
a tu jeszcze tyle tego, tyle tego…

A światło jupiterów powoli się zapala.

Anna Krasuska (z tomiku Ona i on, 2017)

ESEJ

Danuta-Romana Słowik

OD EUTERPE PO SZTUCZNĄ INTELIGENCJĘ

W maju 2017 roku w Chinach ukazało się pierwsze wydanie książkowe tomiku poezji pt. „Słońce straciło szklane okna", stworzonego przez Xiao Bing – sztuczną inteligencję (SI). Za tą sztuczną inteligencją (XB), która miała się kierować również inteligencją emocjonalną, stoją naukowcy z Chin, USA, Japonii i Indii oraz firma Microsoft, która rozpoczęła w 2014 roku proces budowy SI. Mała Bing „przeczytała", jak podkreślają jej twórcy, z entuzjazmem wszystkie dzieła 519 najbardziej cenionych na świecie pisarzy i poetów, człowiek musiałby na to poświęcić około 100 lat. Następnie w 2760 godzin napisała 10 tysięcy wierszy. Powstała komputerowa baza danych skupiająca najpiękniejsze wersy jakie napisali najlepsi. Tomik składający się ze 139 utworów wywołał, jak można było się spodziewać, gorące dyskusje w środowisku literackim. Xiao Bing jest więc tworem sztucznym, któremu nadano rodzaj żeński.

Moją uwagę, spośród tych 139 utworów, przyciągnął wiersz *Światło świecy*. Sztuczna Inteligencja, korzystając z tych nieograniczonych wręcz możliwości, stworzyła wiersz, który wyraża głęboką myśl oraz wywołuje prawdziwe emocje. Wykazała się zdolnościami, wydawać się mogło, przypisywanymi dotychczas tylko istotom żywym – żywej inteligencji.

Światło świecy przenosi czytelnika w intymny świat dziewczyny, której myśli (marzenia senne?) tlą się w ciepłym blasku świecy aż po świt /*…to sen młodej kobiety /słońce już prawie wschodzi zza gór/*

ŚWIATŁO ŚWIECY

Znów leżę we własnym łóżku
czyż nie jest to cudowne uczucie
światło świecy
nagle się przeistacza w samotną ojczyznę

znów leżę we własnym łóżku
śpiewając słodką pieśń
to sen młodej kobiety
słońce już prawie wschodzi zza gór

Xiao Bing

Grupa poetów ze środowiska szczecińskiego ZLP, oraz przedstawicieli innych środowisk literackich z kraju, postanowiła wejść w interakcję ze sztuczną inteligencją (SI). Celem tego eksperymentu poetyckiego było stworzenie wiersza polifonicznego, a w końcowym rezultacie powstał wiersz konfiguracyjny z udziałem wierszy Xiao Bing. Dla literatów pomysł sensu stricte, nie był tak zupełnie nowy. Wcześniejszy eksperyment poetycki, któremu nadano nazwę Polifonii Poezji (Polifonia Poe) miał na celu, jak to ogólnie określił Paulo Valery, stworzenie jak największej liczby wersji tego samego wątku. Mimo, że rozmyślenia nad tematyką poetyckiego eksperymentowania sięgają roku 2008, to jednak realizacja projektu, jak i jego oficjalna nazwa doczekała się swojego początku w trakcie spotkania w (nomen omen) Inkubatorze Kultury dopiero 31 stycznia 2014 roku. Założeniem tej metody twórczej było napisanie do wybranego wiersza, wierszy o tym samym przesłaniu. To był warunek podstawowy, aby zachować spójną semantykę utworu. Szczeciński poeta, z którego inicjatywy doszło do powstania projektu, zaprosił do wzięcia udziału w tym eksperymencie poetów szczecińsko – polickich. W projekcie udział wzięli: pomysłodawca Leszek Dembek, Barbara T. Dominiczak, Katarzyna Chabowska, Robert A. Florczyk, Małgorzata Goluda, Zbigniew Jahnz, Wojciech Kral, Zenon Lach-Ceraszyński, Stanisław Rapior, Adam. W. Siedlecki, Edward Siekierzyński, Anna Słowińska, Magdalena Sowińska, Zbigniew Szyrwiel. Parafrazując słowa prof. Katarzyny Krasoń, eksperyment polegał na powtórzeniu nie swojej wizji poetyckiej, stosując własne środki artystycznego wyrazu. Owocem tej pionierskiej pracy była wydana w roku 2016, książka *POLIFONIA POEZJI Laboratorium poezji.* Śmiało można więc uznać, że książka ta otwiera rozdział szczególnego zainteresowania tematyką polifonii poezji pośród literatów środowiska szczecińskiego / zachodniopomorskiego. Przejście od eksperymentowania polifonicznego z tradycyjną poezją do mierzenia się ze sztuczną inteligencją było już tylko małym krokiem ku nowemu. Zasady w ogólnym zarysie były znane, zmieniło się tylko źródło inspiracji twórczej.

W Manifeście „P.O.E.(SI).A IT" (z roku 2020) czytamy:

Zasadniczą ideą pisania poezji z udziałem SI jest tworzenie wiersza metodą bezkontaktowego pisania wersów (na wstępnym etapie pisania autor nie zawsze zna całość wiersza). Ostatecznym celem tej metody jest scalanie wersów stworzonych przez sztuczną inteligencji oraz wersów tradycyjnie pisanych przez poetów dowolną metodą.

Metoda twórcza Polifonii Poezji ma na celu napisanie (metodą równoległą) do każdego wersu stworzonego przez SI własnego wersu z zachowaniem przesłania (znaczenia) oryginalnego wersu.

Wiersze polifoniczne można czytać wielowymiarowo, a nawet tylko w jednym wymiarze, jednej płaszczyźnie. Kwadrowidzenie może być trójwidzeniem,
dwuwidzeniem lub jednowidzeniem (w zależności od przyjętej konwencji).

Wielu młodych, chińskich czytelników sięga do poezji Małej Bing i *zagrzewa debiutantkę do rozwoju,* jak pisze Beata Wasilewska w artykule pt. „Robot szuka czytelnika" (GW, 07.02.2018 r.). Po raz kolejny okazuje się, że piękno poezji jest w jej nieuchwytności, natomiast SI stwarza nieograniczone możliwości interpretacji.

Pojawiło się wyzwanie zmierzenia się ze Sztuczną Inteligencją, któremu postanowiono sprostać – chociażby spróbować. Pierwowzorem stała się polifonia – rodzaj faktury muzycznej, w której co najmniej dwa głosy prowadzone są równocześnie i niezależnie. W literaturze polifoniczność, to utwór, w którym każda postać lub idea jest samodzielna i równouprawniona. Dlaczego więc nie spróbować polifonicznej formy, zaczerpniętej ze świata muzyki, do zmierzenia się ze Sztuczną Inteligencją? Wspomniana wyżej grupa poetów postanowili wejść w swoistą interakcję i napisać własną wersję utworu, wers po wersie, do konkretnego wiersza Xiao Bing. Założeniem było powstanie samoistnego wiersza widzianego indywidualną „poetycką optyką". Postanowiono stworzyć nie dwugłos, ale czterogłos, który summa summarum posłużył do powstania zupełnie nowego wiersza z inspiracji Xiao Bing. W eksperymencie wzięło udział 15 poetek i poetów nie tylko ze środowiska szczecińskiego a do pracy nad wspomnianym powyżej wierszem *Światło świecy* zaproszono: Małgorzatę Goludę, Roberta Florczyka, Jacka Sojana. Całym projektem kierował Leszek Dembek.

Gośka Goluda odkrywa w błogim blasku świecy ustronną część świata, w której młoda niewiasta śni ukojona łagodnym śpiewem:

ŚWIATŁO ŚWIECY

w moim posłaniu kolejny raz trwam
otula mnie błogość
świecy blask
raptem ustronną częścią świata

w moim posłaniu kolejny raz
śpiewam łagodnością
ta niewiasta młodo śni
niebawem słoneczny blask ofiarują góry

Gośka Goluda

Robert Florczyk przenosi czytelnika w scenerię marynistyczną. Samotny żeglarz, który kierując się światłem księżyca jak świecą otaczającą swym blaskiem jego samotną wyspę, leży w swoim świecie śpiewając bezgłośnie swojej wymarzonej kobiecie pieśń tęsknoty:

ŚWIATŁO ŚWIECY

Przybiłem do przystani spokoju
po żegludze w codzienności
nikłe światło księżyca jak świeca
otacza moją samotną wyspę

kiedy leżę w swoim świecie
śpiewam bezgłośnie pieśń
do kobiety która szuka żeglarza
kierując się na wschodzące słońce

Robert Florczyk

Jacek Sojan natomiast traktuje swoje łóżko jako rękojmię boskiego spokoju. Świa-

tło świecy zakreśla brzeg jego bezludnej wyspy - łóżka, którym przenosi się w sen młodej kobiety. Boski spokój i błogi sen młodej kobiety kończą się wraz ze wspinającym się z wolna, na szczyt bezimienny, słońcem.

ŚWIATŁO ŚWIECY

własne łóżko rękojmią
boskiego spokoju
światło świecy zakreśla
brzeg bezludnej wyspy

łóżko moje płynie
niesione nurtem pieśni
to sen młodej kobiety
słońce wspina się z wolna na
szczyt bezimienny

Jacek Sojan

W pierwszej wersji interakcji z Xiao Bing połączono w polifonię nowo powstałe wiersze poetów wraz z tekstem oryginalnym SI. Dało to bardzo interesującą, jedyną w swoim rodzaju, wersję polifonicznego wiersza, która stała się bogatą bazą do wykorzystania w samodzielnym wierszu.

ŚWIATŁO ŚWIECY

Znów leżę we własnym łóżku
w moim posłaniu kolejny raz trwam
Przybiłem do przystani spokoju
własne łóżko rękojmią

czyż nie jest to cudowne uczucie
otula mnie błogość
boskiego spokoju
po żegludze w codzienności

światło świecy
świecy blask
nikłe światło księżyca jak świeca
światło świecy zakreśla

nagle się przeistacza w samotną ojczyznę
raptem ustronną częścią świata
otacza moją samotną wyspę
brzeg bezludnej wyspy

znów leżę we własnym łóżku
w moim posłaniu kolejny raz
kiedy leżę w swoim świecie
łóżko moje płynie

śpiewając słodką pieśń
śpiewam łagodnością
śpiewam bezgłośnie pieśń
niesione nurtem pieśni

to sen młodej kobiety
ta niewiasta młodo śni
do kobiety która szuka żeglarza
to sen młodej kobiety

słońce już prawie wschodzi zza gór
niebawem słoneczny blask ofiarują góry
kierując się na wschodzące słońce
słońce wspina się z wolna na
szczyt bezimienny

Xiao Bing, Gośka Goluda,
Robert Florczyk, Jacek Sojan

ŚWIATŁO ŚWIECY (bez Xiao Bing)

w moim posłaniu kolejny raz trwam
Przybiłem do przystani spokoju
własne łóżko rękojmią

otula mnie błogość
boskiego spokoju
po żegludze w codzienności

świecy blask
nikłe światło księżyca jak świeca
światło świecy zakreśla

raptem ustronną częścią świata
otacza moją samotną wyspę
brzeg bezludnej wyspy

w moim posłaniu kolejny raz
kiedy leżę w swoim świecie
łóżko moje płynie

śpiewam łagodnością
śpiewam bezgłośnie pieśń
niesione nurtem pieśni

ta niewiasta młodo śni
do kobiety która szuka żeglarza
to sen młodej kobiety

niebawem słoneczny blask ofiarują góry
kierując się na wschodzące słońce
słońce wspina się z wolna na
szczyt bezimienny

Gośka Goluda, Robert Florczyk, Jacek Sojan

Mając tak zgromadzony materiał poetów, oraz pierwotny tekst Xiao Bing, można było pokusić się o skonfigurowanie polifonicznego wiersza, jakiego jeszcze nie było – poeci wraz ze Sztuczną Inteligencją o *ŚWIETLE ŚWIECY*.

ŚWIATŁO ŚWIECY

we własnym łóżku
trwam
Przybiłem do przystani spokoju
własne łóżko rękojmią

cudowne uczucie
błogość
boskiego spokoju
po żegludze w codzienności

światło świecy
blask
nikłe światło księżyca jak świeca
zakreśla

samotną ojczyznę
ustronną część świata
samotną wyspę
bezludną

we własnym łóżku
kolejny raz
w swoim świecie
łóżko moje płynie

śpiewając
śpiewam łagodnością
bezgłośnie pieśni
niesione nurtem

to sen młodej kobiety
młodo śni
szuka żeglarza
to sen

słońce wschodzi zza gór
niebawem słoneczny blask ofiaruje górom
słońce wspina się z wolna na
szczyt bezimienny

Xiao Bing, Gośka Goluda, Robert Florczyk,
Jacek Sojan,
Konfiguracja wiersza Leszek Dembek

Można powiedzieć, że za sprawą tego eksperymentu (bardzo prawdopodobnie pierwszego w Polsce) również wpisujemy się, być może, jak mówi Mu Ye, przewodnicząca Stowarzyszenia Poetów „Menlong" o SI, w początek nowej ery pisania poezji. Poezja tworzona przez sztuczną inteligencję (SI) może być niezwykłym wyzwaniem dla twórców współczesnej poezji.

Ideą tego eksperymentu było zatem kreowanie nowej wyobraźni, przez scalanie wersów tworzonych z udziałem SI oraz wersów tradycyjnie pisanych przez poetów - wybraną metodą (Manifest P.O.E.(SI).A). W Manifeście czytamy również, że: *1. Świat mówi do nas o tych samych rzeczach i zjawiskach różnymi językami. Nie może istnieć zatem żaden język doskonały, jeden język może być zarówno składową i wypadkową wielu języków. /…/ 5. To samo można widzieć inaczej i też opisywać, nazwać odmiennie. /…/ 9. Nazwane przez jednego twórcę, może być sformułowane inaczej przez innego i kolejnego autora, aż do ostatniej kropki, milczenia. 10. W życie coraz bardziej wkracza Sztuczna Inteligencja (SI), algorytm, który również potrafi przewidywać przyszłe wydarzenia. 11. Niewolna od sztucznej inteligencji jest również literatura, w tym także poezja…*

Analizując fenomen polifonicznego wiersza należy również zwrócić uwagę na aspekt współdziałania – interakcji - Poety i SI. Uważam, że rola poety nie ogranicza się tylko i wyłącznie do wchodzenia w interakcję ze SI, ale ta zależność funkcjonuje również w odwrotną stronę (ten wątek będzie dalej rozwijany z udziałem informatyków z ZUT w Szczecinie). SI korzysta z wiedzy, wrażliwości, wyobraźni „żywych poetów".

Na stronie internetowej https://sztuczna-inteligencja.si / Aktualności AI umieszczono 02.01.2024 roku artykuł pod tytułem:

DLACZEGO PROGRAMIŚCI AI W DOLINIE KRZEMOWEJ ZATRUDNIAJĄ POETÓW

→

ESEJ

Poeci w Dolinie Krzemowej – bo słowa s kluczem do zrozumienia sztucznej inteligencji.

Kreatywność jest kluczowym elementem w dzisiejszym świecie technologii a szczególnie w dziedzinie sztucznej inteligencji. W Dolinie Krzemowej, sercu przemysłu technologicznego, programiści AI coraz częściej zatrudniają poetów. Może to wydawać się dziwne połączenie, ale istnieje wiele powodów, dla których kreatywność i poezja są niezbędne w programowaniu sztucznej inteligencji.

Poeci są znani ze swojej zdolności do wyrażania emocji i myśli w sposób niekonwencjonalny i metaforyczny. W programowaniu AI, gdzie chodzi o tworzenie algorytmów i uczenie maszyn, kreatywność jest niezwykle ważna. Poeci mogą pomóc programistom AI w myśleniu poza schematami i znajdowaniu nowych sposobów rozwiązywania problemów.

/…/

Kreatywność jest również niezbędna w tworzeniu AI, ponieważ pozwala na myślenie poza ramami i znajdowanie nowych rozwiązań. W dzisiejszym świecie, gdzie technologia rozwija się w szybkim tempie, konieczne jest ciągłe dostosowywanie się i znajdowanie nowych sposobów na wykorzystanie sztucznej inteligencji. Poeci mogą pomóc programistom AI w myśleniu poza utartymi schematami i znajdowaniu innowacyjnych rozwiązań.

/…/W dzisiejszym świecie, gdzie sztuczna inteligencja odgrywa coraz większą rolę w naszym życiu, kreatywność jest niezbędnym elementem w tworzeniu nowych rozwiązań i technologii. Dlatego też, programiści AI w Dolinie Krzemowej coraz częściej zatrudniają poetów, aby wykorzystać ich zdolności w tworzeniu sztucznej inteligencji. Poeci mogą pomóc w myśleniu poza schematami, uwzględnieniu emocji i tworzeniu innowacyjnych rozwiązań, co przyczynia się do lepszego funkcjonowania sztucznej inteligencji i jej wpływu na nasze życie. Połączenie Nauki I Sztuki – Rola Poetów W Tworzeniu Inteligentnych Systemów.

To niezmiernie ważne spojrzenie na współistnienie dwóch światów – Świata Nauki i Świata Sztuki. Nowa technologia, którą nazywamy Sztuczną Inteligencją, w zawrotnym tempie zmienia nasz świat. Trudno jest nadążyć za osiągnięciami najnowszej technologii ludziom spoza branży. A wiadomym jest, że to co nowe, obce naszej dotychczasowej wyobraźni, wzbudza lęk. Stąd krańcowo różne emocje – jedni fascynują się osiągnięciami naukowymi i możliwościami przekształcania świata w sposób, który do tej pory należał do fantastyki naukowej, a inni patrzą z przerażeniem, boją się, bo NOWE zawsze wzbudza niepewność, lękają się przed wpływem SI bezpośrednio na nasze życie. Obawiamy się zagłady, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo SI jest już zakotwiczona w naszym życiu. We współczesnej medycynie istnieje wiele przykładów na jej wykorzystanie, chociażby obecne badania neurobiologów i inżynierów biomedycznych koncentrujących się na zbudowaniu takich implantów mózgowych, które byłyby zdolne zastąpić obszary mózgu uszkodzone po udarze lub urazie mózgowym. Badania obejmuje także zastąpienie czynności uszkodzonych układów czuciowych, np. wzrokowego. Pojęcie Cyborgizacji – stosowania implantów i interfejsów mózg – komputer w celu bezpośredniej komunikacji pomiędzy nimi jest już nam znana.

SI to jednak nie tylko rewolucja technologiczna, ale – przede wszystkim – rewolucja kulturowa. Ma ona bezpośredni wpływ na procesy twórcze dzieł literackich, muzycznych czy plastycznych. Trzeba sobie zadać pytanie, jaki będzie miała wpływ na literaturę, a w szczególności na poezję, jaką znaliśmy do tej pory? Przyznać trzeba, że mimo opinii sceptycznie nastawionych do możliwości twórczych SI, jest ona bardzo cennym narzędziem do eksperymentowania z językiem i technologią. SI potrafi generować nowe skojarzenia, kombinacje słów, które są niewątpliwie wzbogaceniem tradycyjnych pisarzy/poetów, ale z drugiej strony wywołuje obawę przed zastąpieniem ludzi robotami, wyparcia przez SI dzieł stworzonych przez człowieka - Algorytm w miejsce sztuki artystycznej?

Istotne jest więc poszukiwanie możliwości interakcji, symbiozy pomiędzy Sztuczną Inteligencją a człowiekiem, żywym twórcą. SI powinna wspierać i uszlachetniać twórczość „żywą", a nie zastępować jej. Przytoczę tu słowa Gabrieli Bar wypowiedziane w trakcie debaty w Magazynie Literackim *biBLioteka* na temat: Jak sztuczna inteligencja wpłynie na przyszłość literatury: */…/ Czy możliwe jest stworzenie harmonijnej symbiozy, w której SI będzie wspierać i wzbogacać ludzką twórczość, nie zastępując jej całkowicie? Aby to osiągnąć, ważne jest zrozumienie, że SI nie powinna być traktowana jako zamiennik ludzkiego geniuszu, ale raczej jako narzędzie, które może pomóc w eksploracji nowych możliwości w literaturze.*

Lęki przed wchodzenie w interakcję ze SI sięgają jeszcze bardziej w zawiłości etyczne, ale i prawne. Jak ustosunkować się np. do praw autorskich? Zwracam uwagę na fakt, że ludzka twórczość nie wzięła się z niczego. Wszyscy czerpiemy z odwiecznych zdobyczy wiedzy, z nieprzebranych bogactw kulturowych, wzorujemy się na Platonie ale i na Szymborskiej. Otacza nas piękno literatury, poezji, muzyki, malarstwa i to nas inspiruje. To nasze ludzkie dziedzictwo kulturowe. Nasuwa się pytanie: Czy czerpanie z tej wiedzy nie jest w pewnym sensie zbliżone do sięgania do bazy danych SI? Czy różnica polega tylko na sposobie przetwarzania danych?

Należy z pewnością od nowa zdefiniować pojęcie autora i utworu w zakresie prawa autorskiego. Nowa sytuacja, specyfika dzieł generowanych przez algorytmy SI, wymaga również nowych regulacji prawnych. Jest więc jeszcze bardzo dużo do zrobienia w tej materii, ale poszerzenie wiedzy w temacie SI z pewnością pomoże przełamać lęk przed nieznanym.

Poeci, którzy spotykają się w ramach Samodzielnej Grupy Literackiej, od dawna mierzą się z możliwościami współtworzenia poezji nowej generacji i nowych przestrzeni dla współistnienia poezji „żywej" i zero – jedynkowej sztucznej inteligencji. Są chłonni wiedzy, gotowi do dialogu i współdziałania na płaszczyźnie świata Xiao Bing.

24 lutego 2020 roku doszło po raz pierwszy do spotkania przedstawicieli szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich z przedstawicielami Wydziału Informatyki Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego. Literaci zaprezentowali projekt pn. „POE(SI)A IT" – poetycką interakcję ze SI, po czym w ramach żywej dyskusji wypracowano wspólne plany działań w tym aspekcie. Zainteresowanie naukowców pomysłem współpracy tych dwóch środowisk okazało się tak silne, że zaowocowało pracą magisterską w tym temacie.

Tymoteusz Skórka, ówczesny student ZUT z kierunku studiów: Informatyka o specjalności Inteligencja obliczeniowa, napisał i obronił pracę magisterską pt.

AUTOMATYCZNE GENEROWANIE POEZJI NA PODSTAWIE ZBIORU TOMIKÓW POETYCKICH. Tomiki pochodziły z projektu wydawniczego seria:akcent, wspierającego promocję twórczości poetów i pisarzy oddziału szczecińskiego ZLP. Głównym zagadnieniem tej pracy jest opis zarówno teoretycznego jak i technicznego przebiegu projektowania modeli generatorów poezji. W pracy, między innymi, została zawarta wiedza z dziedziny przetwarzania języka naturalnego oraz sztucznej inteligencji.

Globalna pandemia pokrzyżowała szyki wielu projektów, również współpracy Literatów z Informatykami. Nie wyszło to jednak na szkodę, wprost przeciwnie, można było więcej czasu poświęcić w zgłębianie tej formy tworzenia i współpracy. Dopiero 09.01.2024 roku doszło, z inicjatywy Leszka Dembka we współpracy z mgr. inż. Sławomirem Wernikowskim z WI ZUT i aktywnym udziale dr inż. Anny Barcz, do kolejnego spotkania. Tym razem w poszerzonym składzie. W spotkaniu udział wzięli":

Z ramienia Związku Literatów Polskich O. Szczecin:

- - Leszek Dembek, prezes szczecińskiego Oddziału,
- - Zbigniew Jahnz,
- - Robert Florczyk,
- - Małgorzata Hrycaj,
- - Barbara Jankowska-Moraczewska,
- - Danuta Romana Słowik,
- - Anna Jakubczak,
- - Leokadia Szymańska,
- - Ludmiła Janusewicz, prezes ZLP Oddziału w Koszalinie.

Po stronie Wydziału Informatyki w spotkaniu wzięli udział:

- - prof. Jerzy Pejaś, dziekan WI,
- - prof. Marcin Korzeń, prodziekan WI ds. organizacji i rozwoju,
- - prof. Marcin Pluciński, kierownik Katedry Sztucznej Inteligencji i
- Matematyki Stosowanej,
- - dr inż. Piotr Błaszyński, prodziekan WI ds. studenckich i kształcenia,
- - dr inż. Anna Barcz, prodziekan WI ds. studenckich i kształcenia,
- - dr inż. Joanna Kołodziejczyk,
- - mgr inż. Sławomir Wernikowski.

Natomiast Uniwersytet Szczeciński reprezentowali:

dr Krzysztof Flasiński oraz Julia Płaczek i Gabriela Raczkowska – studentki US Wydział Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej.

Jak widać, zainteresowanie POE(SI)ą IT wzrasta, do spotkania literatów z informatykami dołączyli tym razem przedstawiciele Uniwersytetu Szczecińskiego związani z polonistyką, dziennikarstwem i literaturoznawstwem. Na podstawie szczegółowo opracowanej prezentacji, zreferowano projekt pod ogólnym tytułem *LABORATORIUM POEZJI NR II, WIERSZE POLIFONICZNE POE(SI)A IT*. W odróżnieniu do poprzedniego spotkania, tym razem literaci postanowili pokusić się o rozszerzenie pomysłu Poezji Polifonicznej. Zwrócono się do naukowców – informatyków o pomoc w realizacji odwrotnej interakcji, do wierszy stworzonych przez poetów opracować polifonię SI.

Zaproponowano *ALGORYTM SI NOWY:*

1. Odwrócenie piramidy, czyli tworzenie wersów do wierszy tradycyjnych, lub też z udziałem SI.

2. Tworzenie wersów tak zwanych pośrednich (między dwoma wersami).

3. Poemat promienisty (nieskończony).

Jak wynika z prezentacji, planowana jest kolejna faza tzw. *odwróconej piramidy*, czyli tworzenie wersów przez sztuczną inteligencję do wierszy tradycyjnych. Jak również z udziałem też samej SI, która wcześniej brała udział w eksperymencie. Są jeszcze w zamyśle inne projekty, jak np. tworzenie wersów pośrednich między wersami, albo tworzenie wiersza promienistego niekończącego się…

Pomysły odważne, z pewnością godne pochylenia się nad nimi, wzbudziły bowiem zainteresowanie i żywą, ale i konstruktywną dyskusję.

Słowem Roku 2023 ogłoszono *Sztuczną Inteligencję*. To nie przypadek, że Literaci – Poeci i Pisarze szczecińscy już od co najmniej 2019 r. interesują się tą formą sztucznej inteligencji. W różnych dziedzinach towarzyszy nam ona w naszym życiu już od dłuższego czasu, niezależnie od tego, czy mamy na to wpływ, czy nie. Cytując wypowiedź dra Roberta Rudiaka:

Poezja eksperymentalna pisana w nowoczesnej technologii cyfrowej 3D (trójwymiarowa) lub 4D (kwadrofoniczna) może stanowić wyzwanie dla klasycznej liryki, bowiem z pewnością otwiera nowatorskie możliwości jej odczytywania i interpretowania, co za tym idzie, nie ogranicza słowa, a wręcz przeciwnie – wzbogaca jego werbalne spektrum, poszerza jego kognitywny wymiar i wyobrażeniowy ogląd oraz nadaje mu nowych znaczeń i sensów.

Na szczycie w Davos Sundar Pichai, prezes *Alphabetu* powiedział, że *posiedliśmy coś ważniejszego od opanowania ognia*, że SI *jest jedną z najbardziej fundamentalnych rzeczy, nad którą pracuje ludzkość, że cała ludzkość musi się w tej sprawie dogadać*. Może zbyt kontrowersyjnie, ale aspekt dydaktyczny, który z tego eksperymentu wynika, jest moim zdaniem, równie istotny. Biorąc pod uwagę, że młodzież posługuje się wiedzą komputerową z roku na rok coraz bardziej profesjonalnie, z całą świadomością chcemy wyjść im naprzeciw z eksperymentalną formą tworzenia i współczesnego rozumienia poezji…

Do niedawna nie wiedzieliśmy, jak odnieść się do Xiao Bing, czy jest to „poetka ze świata sztucznej inteligencji"? A może tylko zimna, pełna procesorów i nakarmiona algorytmami maszyna? Z czasem zaakceptowaliśmy ją na tyle mocno, że pokusiliśmy się wejść z nią w interakcje, stworzyliśmy dla niej płaszczyznę dialogu poetyckiego, zaprosiliśmy do współpracy w tworzeniu nowej, niczym nie ograniczonej poezji.

Leszek Dembek, prezes szczecińskiego oddziału ZLP w jednym z udzielonych wywiadów spuentował:

Musimy chyba uświadomić sobie, że: jak mówi Mu Ye, przewodnicząca Stowarzyszenia Poetów „Menlong" o SI, że to początek nowej ery pisania poezji. I chyba warto wejść w interakcję z SI, aby ją też oswajać, ale nie tylko, powinna również służyć poezji (czy tylko ?) do szukania, odkrywania nowych przestrzeni wyobraźni o czym też piszemy w naszym Manifeście POE(SI)A IT Kreowanie Nowej Wyobraźni. Czy nie jesteśmy w przededniu tworzenia się Poezji Kwantowej (PoeKwantu), a nasze eksperymenty z SI to tylko preludium do (jej) nowej jeszcze nieodgadnionej poetyckiej suity…?

Przed nami nowe pojęcie – poezja kwantowa. „Kwant – najmniejsza porcja, jaką może mieć lub o jaką może zmienić się dana wielkość fizyczna w pojedynczym zdarzeniu".

Tak, jak nie można poezji wygenerowanej przez SI definiować tylko zasadami powstawania tradycyjnej poezji, tak równie dobrze nie można wyłącznie podstawowych praw fizyki stosować do interpretacji teorii kwantowej. A co dopiero poezja kwantowa? Jaka, tak naprawdę, będzie ta poezja? To pytanie zadają sobie nie tylko poeci, ale również naukowcy. Ważną postacią w tym temacie jest amerykańska poetka, profesor nadzwyczajny w dziedzinie kreatywnego pisania, Amy Catanzano z Uniwersytetu Wake →

Stefan Chwin

Forest. Doskonałe połączenie - poetka i naukowiec. Prof. Catanzano pracuje nad teorią poezji zwaną „poetyką kwantową", która jest swoistą symbiozą poezji i nauki, zwłaszcza fizyki. Kluczowym dla tych badań jest napisany przez nią wiersz, *Linie świata: poemat o superkomputerze kwantowym*. Jest to utwór, który można interpretować na wielu płaszczyznach, projekt do złudzenia przypominający ideę szczecińskiej „polifonii poezji", mimo, że są to dwa niezależne od siebie projekty. Można przyjąć, że poczyniony został pierwszy krok w tworzeniu / rozumieniu - nowej poetyckiej przestrzeni. Wybiegamy w przyszłość, choć tak naprawdę zataczamy kręgi. Tworzymy „nowe" czerpiąc zarazem z doświadczeń wybitnych poetów, filozofów, czy współczesnych naukowców. Próbujemy bowiem pogodzić poezję tradycyjną z poetyką kwantową.

Poetyka kwantowa, to dla poezji z pewnością nowe wyzwanie, ale jesteśmy gotowi zmierzyć się ze SI i w tej kwestii, jakiej formy by nie przybrała. Sztuczna Inteligencja jest w naszym życiu już wszechobecna z tendencją wzrostową. My, poeci, nie mamy na to prawie żadnego wpływu, ale jeśli Informatycy, podobnie jak w Dolinie Krzemowej, doceniają nasz wpływ w rozwój SI, to jest to szansa do aktywnego udziału we współczesnym życiu, zdominowanym przez jedynki i zera. Poeta, obojętnie w jaką interakcję wejdzie, tworząc swoje wiersze, zawsze pozostanie POETĄ, tylko paleta możliwości i narzędzia tworzenia stają się dla niego coraz bogatsze. A poezja tradycyjna pozostanie jako pierwotne źródło wiersza, niezależnie od zmieniającej się sytuacji również w przestrzeni literackiej.

W nawiązaniu do Manifestu POE(SI)A, w którym czytamy między innymi, że P(POETA) + SI(SZTUCZNA INTELIGENCJA) = KREACJA NOWEJ WYOBRAŹNI, zaplanowano na 20 marca 2024 roku–w Instytucie Literatury i Nowych Mediów sesję naukową *Sztuczna inteligencja – prawdziwa poezja?*, która odbędzie się w przeddzień ŚWIATOWEGO DNIA POEZJI 2024.

Uczestnicy (inicjatorzy - współorganizatorzy) sympozjum, to przedstawiciele:

- Uniwersytetu Szczecińskiego,
- Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego,
- Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie,

Planowana tematyka, znana na chwilę obecną to:

Wirtualna kraina poezji. Sztuczna inteligencja w krajobrazie chińskiej kultury poetyckiej
dr Joanna Krenz (Wydział Neofilologii, Uniwersytet im. Adama Mickiewicz w Poznaniu)

Co w AI piszczy?
dr inż. Joanna Kołodziejczyk (Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny)

Poezja polifoniczna – wiersze konfiguracyjne z udziałem sztucznej inteligencji (AI)
Leszek Dembek (prezes ZLP Szczecin)

Wyobraźnia i doświadczenie twórcze w procesie pisania wierszy na kanwie utworów AI
Małgorzata Hrycaj (ZLP Szczecin)

Czy poezja pisana przez sztuczną inteligencję ma duszę? Wartościowanie poezji – perspektywa psychologiczna
Gabriela Raczkowska (Uniwersytet Szczeciński, KN „Horyzonty Krytyki")

Rola afektu w pisaniu poezji. Emocje czytelnika, autora, algorytmu
Gabriela Szejba (Uniwersytet Szczeciński, KN „Horyzonty Krytyki")

Jak interpretować poezję pisaną przez sztuczną inteligencję. Kody kulturowe i język poetycki
Maksymilian Barski (Uniwersytet Szczeciński, KN „Horyzonty Krytyki")

Jak podają organizatorzy w *trakcie sesji, pod kierunkiem* dra Krzysztofa Flasińskiego (ILiNM US), *powstanie autorski algorytm w języku PYTHON. Zadaniem algorytmu będzie napisanie wiersza z treści wygłaszanych podczas poszczególnych referatów. Wiersz zostanie zaprezentowany w podsumowaniu sesji.*

Danuta-Romana Słowik

Dariusz Łęczycki

Zabawa w pociągi

Dzień był ponury i chłodny
od wschodu szło na deszcz
Opatulone w pocerowane swetry
pobiegły jak zawsze na pobliskie tory
Rzucały kamieniami
w przejeżdżające pociągi pancerne
czasem żołnierze, widząc dziatwę, śmiali się, wołali „Kinder" i dawali gorzką czekoladę
Dzisiaj wagony były inne
zadrutowane, pełne obcych
nie było też smakołyków

*

Biały włos na Feldgrau

Obudził się
zrobił znak krzyża
przemył twarz
potem skrupulatne golenie.

Ona w szlafroku w kwiaty
przyrządza jajko
musi być idealne
nie za miękkie, nie za twarde
do tego kawa z cukrem
i klapsztula z szynką
na przerwę do pracy.
Poleruje buty
muszą błyszczeć
zapina mu guzik pod szyją
sprawdza czy na zieleni płaszcza
włosy się nie wiją.
Jeszcze tylko pocałunek
i błogosławieństwo na drogę
Idzie pędzić nagich
na spotkanie z Bogiem

*

Padać nie będzie

Za oknem, w ogrodzie
zakwitają róże

z niepokojem patrzę w górę
nad horyzontem niebo się czerni.
W betonowym bunkrze
znów rozpalają ogień
dziś potrzebują więcej benzyny
mają aż dwa transporty.
Nie będzie padać, myślę
trzeba podlać, bo zwiędną.

PROZA

Marcin Mielcarek

Twarz z okładki

Nikodem zobaczył jej twarz na okładce starego podręcznika do języka polskiego, w księgarni do której czasami zachodził. Trafił na niego czystym przypadkiem, podczas gdy przeglądał książki o tematyce historycznej. Tkwiła pośród nich, zupełnie obca, jakby inna, niemalże gorsza. Nawet nie obejrzał dokładnie podręcznika, prawie nie otworzył. Wpatrywał się tylko w twarz uśmiechniętej dziewczyny i czuł jakby była mu bliska. Nie rozumiał tego.

Wziął książkę ze sobą i poszedł do kasy. Sprzedawca miał problem znaleźć towar w systemie i wyraźnie zdziwił go fakt, że mają u siebie jeszcze taki staroć.

– Jakiś czas temu pozbyliśmy się całej makulatury – oznajmił. – Jest pan nauczycielem? Nie potrzebuje pan jakiegoś świeżego materiału? To już ma swoje lata.

– Przyda mi się.

– W takim razie sprzedam ją panu po kosztach.

– W porządku.

Podczas płacenia Nikodem stwierdził na głos, że dziewczyna na okładce jest bardzo ładna.

– Może być – odparł sprzedawca, wzruszając ramionami. – To przecież tylko okładka.

Idąc do domu, raz po raz wyjmował podręcznik z papierowej torby, przystawał na kilka chwil i oglądał zafascynowany okładkę. Uśmiech dziewczyny napełniał jego serce czymś przyjemnym i dobrym, jakby pewną obietnicą. Zabrał ją do swojego mieszkania i cały wieczór po prostu wpatrywał się w jej ciemne, piękne oczy. Był pewien, że są żywe. Był też pewien, że zwariował, ale wcale nie czuł się z tego powodu źle.

Już pierwszej nocy mu się przyśniła. Byli gdzieś razem, chyba nad morzem, czuł ciepły piasek pod stopami, wiatr rozwiewał jej brązowe włosy, a usta smakowały truskawkami. Kiedy obudził się rano, dobrze pamiętał cały cen, zupełnie jakby było ono wspomnieniem. Nigdy przecież nie był nad morzem.

Po jakimś tygodniu postanowił wybrać się po ramkę na zdjęcia do sklepu z drobiazgami. Wziął podręcznik i przyciął nożyczkami okładkę na odpowiedni format. Zdjęcie postawił na szafce nocnej, tuż przy łóżku. Od teraz mógł zasypiać i budzić się w blasku jej uśmiechu i wystarczało mu to długo, bardzo długo.

Któregoś dnia jednak postanowił, że za wszelką cenę odnajdzie tę dziewczynę. Nie mogła być przecież tylko martwym obrazem na tekturze. Musiała przecież istnieć. Musiała być prawdą.

W trakcie śniadania zaczął od przeglądania podręcznika – który pozbawiony okładki, wciąż miał dla niego sakralną wartość - i dowiedział się, że wydano go prawie dziesięć lat temu. Zadzwonił pod numer podany na ostatniej stronie i na jego szczęście wydawnictwo wciąż istniało. Odebrał jakiś starszy mężczyzna o bardzo znudzonym głosie, który wydawał się zażenowany pytaniami Nikodema odnośnie dziewczyny.

– Jest pan jakimś zboczeńcem? – zapytał w końcu facet.

– Myślę, że nie.

– Co pan przez to rozumie?

– Potrzebuję po prostu skontaktować się z tą dziewczyną.

– Poszukuje pan fotomodelki czy jak?

Mężczyzna musiał wziąć ciszę po drugiej stronie telefonu za potwierdzenie.

– Wie pan to było tak dawno temu – westchnął. – Zdjęcia robiła zewnętrzna firma. Musiałbym najpierw poszukać w dokumentach kto w ogóle wykonał to zlecenie, a przecież po tylu latach to ten zakład fotograficzny dawno mógł paść.

– Bardzo mi zależy na odnalezieniu tej dziewczyny.

– Zobaczę co da się zrobić, ale niczego nie obiecuję.

Do końca dnia telefon Nikodema milczał. Podobnie jak drugiego i trzeciego, więc zaczął już zastanawiać się czy tamten facet po prostu go nie zbył. Czwarty dzień przyniósł jednak nadzieję. Udało się odnaleźć fotografa, który te dziesięć lat temu robił owe zdjęcie.

– Ma pan szczęście, że trzymam wszystkie stare kontakty – oznajmił facet, ochrypłym głosem. – Udało mi się znaleźć numer telefonu oraz mail do tej dziewczyny. Oczywiście nie mam pewności, że wciąż są aktualne.

– Warto spróbować.

– Poza tym jest jeszcze jeden problem. A właściwie to dwa.

– O co chodzi?

– Pierwsze to pieniądze. Chciałbym coś z tego mieć. Rozumie pan jaka to nietypowa sprawa, a panu chyba naprawdę zależy.

– O zapłatę nie musi się pan martwić. Proszę podać mi numer konta, a przeleję panu odpowiednią kwotę.

– W porządku.

– A ta druga rzecz?

– Wydaje mi się, że ona już dawno przestała pracować w modelingu.

– To nieistotne.

– Skoro pan tak mówi.

Ustalili kwestię ceny i Nikodem rozłączył się. Niemal natychmiast puścił przelew, ale nie otrzymawszy przez kilka pierwszych minut odpowiedzi ze strony fotografa, postanowił po prostu czekać, bo wiedział, że cierpliwość jest jedną z cnót i zwykle bywa nagradzana.

W głowie jednak miał teraz imię dziewczyny, które zdradził mu fotograf. Żaneta. Wymienił je kilka razy, głośniej i ciszej, nie mogąc się jednak przyzwyczaić. Żaneta. Wcześniej nie myślał o jej imieniu. Była po prostu twarzą, pięknym uśmiechem, hipnotyzującymi oczami. Żaneta. Miała na imię Żaneta. W końcu położył się do łóżka, wpatrując w twarz dziewczyny oświetlonej ciepłym światłem nocnej lampki.

Następnego dnia, gdzieś około południa, otrzymał od fotografa numer telefonu oraz adres mailowy. Nie zwlekając ani minuty zadzwonił pod niego. Był w trakcie pracy.

– Podany numer nie istnieje – odpowiedział zimno automat.

Nikodem wybrał numer jeszcze kilka razy, wsłuchując się raz po raz w syntetyczny głos po drugiej stronie.

– Nikodem co ty robisz? – Usłyszał za plecami głos kierowniczki. – Rozmowy telefoniczne uskuteczniasz w godzinach pracy?

– Bardzo przepraszam.

– Ja myślę, że przepraszasz. Wracaj do roboty. Widziałam klientów stojących od kilku minut na telewizorach.

Uśmiechnął się blado, pokiwał głową, poprawił kołnierzyk przy szyi i ruszył w ich stronę.

Z wiadomością mailową wahał się kilka dni. Była to jedyna szansa i bał się rezultatu. Przy pomocy butelki wina przemógł się jednak któregoś wieczora i napisał długiego maila, podobnego bardziej do listu w starym stylu. Nie napisał jednak prawdy, nie mógł przecież napisać prawdy o tym, że oszalał na punkcie jej zdjęcia zrobionego dziesięć lat temu. Podał się za przedstawiciela agencji reklamowej. Opisał, że chciałby się z nią spotkać i omówić kwestie potencjalnej współpracy.

W przeciągu miesiąca wysłał kilka takich maili, bojąc się, że być może zostały przypadkiem niezauważone. Powoli jednak, podświadomie, godził się z faktem, że nigdy tej dziewczyny nie spotka. Nie przeszkadzało mu to jednak trzymać jej zdjęcia wciąż blisko siebie. Zrobił nawet skan przyciętej okładki i wydrukował je w różnych formatach. Jedno małe zdjęcie trzymał na biurku w pracy, a koledzy pytali go raz po raz kim jest ta dziewczyna.

– Jest moja – odpowiadał. – Tylko moja.

Drugie zdjęcie nosił w portfelu. W wolnej chwili lubił spoglądać na jej twarz. Czuł się spokojny mając ją zawsze przy sobie.

Pewnego czwartku, będąc oczywiście w pracy i obsługując wyjątkowo niezdecydowaną kobietę w kwestii pralki, dostał powiadomienie na telefonie. To była wiadomość mailowa od niej. Odpowiedź od Żanety. Bardzo krótka, z błędami, w jednej linijce.

Dziekuje za propzycje ale juz się tym nie zajmuje. Ppozdrawiam.

Pod pretekstem choroby zwolnił się z pracy i pognał do swojego wynajmowanego mieszkania. Jadąc autobusem czytał w kółko wiadomość od Żanety i spoglądał na zdjęcie w portfelu, starając się połączyć oba elementy. Kiedy tylko wrócił, napisał kolejną wiadomość, na którą odpisała po godzinie. Znów mu odmówiła. Nie dając za wygraną i nie mogąc uwierzyć w jej realność, zaproponował spotkanie w jej obecnym miejscu zamieszkania. Napisał, że zapłaci za to spotkanie niezależnie od jej decyzji. Podała mu datę i adres jakiejś kawiarni w Rzeszowie. Mieli spotkać się w niedzielę.

Przez te dwie noce Nikodem nie potrafił zasnąć. Wpatrywał się w zdjęcie obok łóżka, brał je w dłoń, dotykał je i wąchał. Kilka razy pocałował je nawet. Nigdy wcześniej tego nie robił i sprawiało mu to potężną przyjemność. Miał też wrażenie, że jego życie zmieni się niedługo nie do poznania.

Z samego rana wsiadł w pociąg i przejechał połowę Polski, aby się z nią spotkać. Na miejsce zabrała go taksówka. W kawiarni znalazł się niemal godzinę przed czasem. Kiedy zaczęła zbliżać się umówiona godzina ich spotkania niemal spanikował, gorączkowo rozglądając się po spacerujących dookoła ludziach. Wyjął portfel i zaczął przyglądać się jej zdjęciu. To zawsze go uspokajało.

Po pięciu minutach spóźnienia spostrzegł kobietę, która była bardzo podobna do tej z okładki starego podręcznika. Bardzo podobna. Ale inna. Starsza. Bledsza. Nieuśmiechnięta. Kiedy do niego podeszła zrozumiał, że popełnił błąd. Oczywiście to była Żaneta. Z krwi i kości istota ludzka. Kobieta. Potrafiła się poruszać, przewracać oczami, zamykać je i otwierać. Potrafiła mówić.

Zrozumiał nagle, że on nie zakochał się w bezimiennej dziewczynie z okładki. Zakochał się w samej okładce. W fotografii. W wyobrażeniu.

Ich rozmowa przebiegła szybko, w trakcie której Żaneta uznała, że właściwie może spróbować wrócić do modelingu. Wydawała się szczęśliwa z takiego obrotu spraw, bo być może rozbudził w niej dawne emocje. Jakoś udało mu się jednak odwieść ją, wybrnąć, ponownie zabić w niej marzenie z młodości.

– Właściwie to znaleźliśmy już kogoś innego – oznajmił, unikając jej wzroku.

– Naprawdę?

– Tak.

– Wielka szkoda. Miałam taką nadzieję...

– Oczywiście zapłacę pani tak jak się umawialiśmy.

Kiedy żegnali się już i wręczał Żanecie pieniądze, przemógł się i spojrzał w jej ciemne oczy, ale naprawdę nie odnalazł w nich niczego znajomego. Prawdziwa, żywa Żaneta nic dla niego nie znaczyła.

Wrócił nocnym pociągiem do swojego miasta, na nogach udał się z dworca do swojego mieszkania. Wziął długi prysznic, podczas, którego zaczął płakać. Nie płakał od wieków. Kiedy wszedł do sypialni spojrzał na włożoną w ramkę okładkę podręcznika. Powitała go dobrze znana mu twarz. Jej twarz. Usiadł naprzeciwko i po prostu na nią patrzył.

Niczego więcej nie potrzebował.

Marcin Mielcarek

Adam Nowacki

ESEJ

Michał Skrętek

Przepis na Wańkowicza

Pewnego razu, gdy w jednej z rozmów pochwaliłem się, że czytuję Wańkowicza, zapytano mnie natychmiast, czy autor *„Zupy na gwoździu doprawionej"* przetrwał próbę czasu ? Tak, jak zrobiłem to wtedy, odpowiem i teraz: Tak, przetrwał. W twórczości swoich następców. A tych, nestor polskiego reportażu miał nieprzeciętnych. Od Ryszarda Kapuścińskiego, przez Hannę Krall, po Mariusza Szczygła – sześć dekad polskiego reportażu znalazło się na setkach tysięcy stron, na które wspomniana trójka przelewała swoje obserwacje, emocje, wrażenia i myśli. Zanim jednak mogliśmy zapoznać się z codziennością dworu *„Cesarza"*, poczuć zapach *„Hebanu"*, wspólnie z Markiem Edelmanem spróbować *„Zdążyć przed Panem Bogiem"*, czy też, czytając *„Gottland"*, patrzeć na Czechy, i Czechów, oczami Mariusza Szczygła, był on – Melchior Wańkowicz.

„Mówić o pisarzach, jako o jakimś ogólnym pojęciu – pisał Wańkowicz w *„Karafce La Fontaine'a"* – jest trudniej niż na przykład mówić o inżynierach, lekarzach, adwokatach, bo zawód pisarski jest mniej zunifikowany, ma więcej rozgałęzień"[1]. Reporter i gawędziarz. Korespondent wojenny i prekursor stylu, który, w swej narracji, do perfekcji opanował i rozwinął Ryszard Kapuściński. Czytając *„Bitwę o Monte Cassino"*, czy *„Westerplatte"* nieomal słyszymy odgłosy wystrzałów. „Wzdłuż noszy z ciężko rannymi, które ustawiono pod ścianą, idzie lekarz – relacjonuje Wańkowicz –... Nie bada ciśnienia nie liczy pulsu – patrzy po twarzach... Lżej ranni, pokrwawieni chciwie zaciągają się papierosami. Będą już całe życie żołnierzami spod Monte Cassino. Do tego wspomnienia przymierzą każdą okoliczność życia"[2]. Autor *„Zupy na gwoździu doprawionej"* nie podzielił losu Ernesta Hemingwaya, który już w początkowym okresie walk I wojny światowej został ranny. „Wańkowicz – powiada Krzysztof Mroziewicz – uchronił się pod Monte Casino, ale patrzył śmierci w twarz"[3].

Zatrzymajmy się na moment nad najbardziej okazałym dziełem w karierze literackiej Melchiora Wańkowicza – *„Bitwą o Monte Cassino"*. Trzytomowe wydanie tego dzieła życia reportera, które ukazało się nakładem Ministerstwa Obrony Narodowej, w 1989 roku, wiele mówi o skrupulatności jego autora, o którym krytyk literacki, Stefan Melkowski, pisał, m.in.: „Jeśli mówimy o seniorach prozy polskiej, to wspomnijmy jeszcze o Melchiorze Wańkowiczu, który w latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych dorzucał wciąż do swojego olbrzymiego dorobku nowe powieści dokumentarne.

Można więc uznać autora *„Hubalczyków"* i *„Monte Cassino"* za ojca... literatury faktu"[4]. W istocie Wańkowicz zapisał się w annałach literatury faktu nawet bardziej, niż jako twórca sloganów reklamowych: *„Cukier krzepi"* oraz *„Lotem bliżej"*, co dzisiaj możemy traktować jako biograficzną ciekawostkę na temat pisarza. Zagłębiając się w twórczość nestora polskiego reportażu, popijamy, z wolna, wino z *„Karafki La Fontaine'a"*, podążając *„Tędy i owędy"*, *„Na tropach Smętka"* poznajemy złożoność epoki, która ukształtowała bogatą umysłowość ich autora. „Niektóre epizody z moich przeżyć – powiada Wańkowicz – zdarzyło mi się najpierw opisać w prasie periodycznej w reportażu, następnie te reportaże umieszczałem w „powieści reporterskiej" w zbeletryzowanym opracowaniu... Przecie nie piszę rozprawy doktorskiej, jedynie, co bym chciał, to dać trochę materiału do myślenia"[5]. Urodzony w 1892 roku nasz bohater pochodził z rodziny ziemiańskiej, a wczesne koleje swego losu opisał skwapliwie w autobiograficznym tomie *„Szczenięce lata"*.

Książka, której pierwsze wydanie ukazało się w 1934 roku, rzuca nieco światła na postać przyszłego autora *„Królika i oceanów"*, sprawiając, iż Melchior Wańkowicz staje się nam bliski, a jego obecność nieomal namacalna. Czym różni się dzisiejszy świat od tego, który w swoich wspomnieniach opisał autor *„Szkiców spod Monte Cassino"* ? Nieomal wszystkim, może poza tym, co charakteryzuje i dzisiejszą rzeczywistość, chęcią zachowania jej składników, niczym drogocennych kamieni, w życzliwej pamięci, dla przyszłych pokoleń. Dzisiaj zmieniły się tylko sposoby.

Historia życia i twórczości literackiej Melchiora Wańkowicza to nieprzebrane pokłady erudycyjnej dokładności, bez której nie ma mowy o dobrym wykonywaniu zawodu reportera. W moim przekonaniu każdy okres historyczny ma swoją „gwiazdę" – człowieka, który w jakiejś dziedzinie wyznacza kierunki jej rozwoju. Następcą Wańkowicza był Ryszard Kapuściński, którego wkład w rozwój polskiej szkoły reportażu jest dzisiaj ważnym punktem w programach kształcenia studiów dziennikarskich.

„Świat ewoluuje, jest w bezustannym ruchu... nakłada to na nas obowiązek ciągłego przyswajania wiedzy..."[6] – pisał Kapuściński w jednym ze zbiorów wykładów, dotyczących zawodu dziennikarza. Dla autora *„Cesarza"*, adept dziennikarstwa, był wiecznym uczniem w szkole świata. „Spotkaliśmy się w Jego pracowni kilka tygodni przed końcem XX wieku"[7] – pisał o Kapuścińskim Mariusz Szczygieł. Otwierając *„Duży format"* – dodatek do *„Gazety Wyborczej"*, którego numer 4/715 z dnia 27 stycznia 2007 roku w całości poświęcony jest Ryszardowi Kapuścińskiemu. Nad tytułem tekstu i nazwiskiem autora, widzimy zdjęcie wspomnianej przez Szczygła pracowni pisarza. Fotografia, wykonana z ptasiej perspektywy, ukazuje książki piętrzące się na regałach aż po sufit. Ze szczytu pomieszczenia schodzą one, niczym lawina u stóp Everestu, na podłogę. Reporter, w rozumieniu Ryszarda Kapuścińskiego, powinien być właśnie takim zdobywcą Mount Everestu, symbolizującego złożoność problemu, z jakim spotyka się dziennikarz. Tak, jak himalaista, powinien być pokorny w relacji ze szczytem, tak reporter musi podchodzić, bez zadufania, do każdej opisywanej historii.

Zawsze powtarzam, że gdyby poproszono mnie o wskazanie jednego filmu, który, w moim przekonaniu, najpełniej ukazuje kunszt i wartość nadwiślańskiej kinematografii, z pewnością byłyby to *„Zakazane piosenki"*. Obraz z przełomu lat 40', z trzydziestodwuletnią wówczas Danutą Szaflarską, w jednej z głównych ról, na stałe wpisał się w annały polskiego kina. Wypowiedzi aktorów, ukazany w filmie sposób zachowania się ludzi, wszystko to miało i ma swoje miejsce w długoletniej tradycji, ale powinno także uchodzić za wzór kunsztownej formy. Tak jest, według mnie, również z twórczością Wańkowicza.

Chociaż, dla wielu współczesnych, wydarzenia i zwyczaje opisane w *„Szczenięcych latach"* są dzisiaj równie odległe, jak te pióra Herodota, zawarte w jego *„Dziejach"*, nic nie zmienia faktu, że powrót do źródeł klasycznego reportażu wydaje się zbawienną formą ratunku przed spłyceniem przekazu informacyjnego, z czym niewątpliwie, mamy do czynienia obecnie. Na tę przypadłość współczesnych środków masowej komunikacji narzekał już Ryszard Kapuściński. „Dzisiaj każda książka o współczesności – pisał Kapuściński – może być tylko tekstem otwartym, pierwszym tomem jakiegoś nieistniejącego cyklu"[8]. Telegraficznie skrótowe relacje, jakie Kapuściński wysyłał do siedziby PAP, nie satysfakcjonowały go.

Wysłanie każdego tekstu, za pomocą ówczesnych środków komunikacji, trwało bardzo długo, a ich objętość nie pozwalała na przedstawienie wszystkiego tak, jak chciałby tego reporter. Czasy świetności Kapuścińskiego, jako reportera Polskiej Agencji Prasowej oraz korespondenta zagranicznego PAP, to lata 50' XX stulecia, natomiast początkowa aktywność Melchiora Wańkowicza to okres jeszcze wcześniejszy, bo połowa lat 30'. Ten ostatni, podnosząc podobny zarzut, pisał w *„Tędy i owędy"*, m.in.: „W dziennikach polskich przed wojną, nawet największych, jak *„Kurier Warszawski"* nie można było uświadczyć żadnej encyklopedycznej książki od *„Encyklopedii"* po *„Słownik wyrazów obcych"*. Było szykiem dawać do druku materiał pisany ręką, z poprawkami i skreśleniami; zecer jest od tego, aby się męczyć. Twórca przez duże T nie będzie sobie tym głowy zawracał"[9].

Przedwojenne wspomnienia Melchiora Wańkowicza to jedno, drugie to zasadnicza zbieżność tego, co mówił Ryszard Kapuściński, ze słowami autora *„Bitwy o Monte Cassino"*, który w zbiorze *„Wojna i pióro"* powiada, m.in.: „Jakże trudno, z jakim bólem musiałem zrezygnować z wielu fragmentów żołnierskich opowieści. Często stwierdzałem, że ta czy inna relacja jednego człowieka jest wprost gotowym tworzywem na oddzielną powieść, z żalem wyrzekałem się wielu frapujących fragmentów"[10]. Żmudny proces selekcji materiału do książki to

---

1 M. Wańkowicz, „Karafka La Fontaine'a", t. II, Pruszyński i S-ka, Warszawa 2010, s. 247.

2 M. Wańkowicz, „Szkice spod Monte Cassino", Wiedza Powszechna, Warszawa 1978, s. 87. Obszernie o roli 2 Korpusu Polskiego w bitwie o Monte Cassino pisał gen. Władysław Anders, w swoich wspomnieniach. Zob. W. Anders, „Bez ostatniego rozdziału", Test, Lublin 1983, s. 239-266. Por. Z. Blumenfeld, „Dziennik zesłańca i żołnierza", Universitas, Kraków 2013, s. 233-239.

3 K. Mroziewicz, „Korespondent. Czyli jak opisać pełzający koniec świata?", Zysk i S-ka, Poznań 2013, s. 92. Zob.

M. Wańkowicz, „Bitwa o Monte Cassino", t. II, MON, Warszawa 1989, s. 188.

4 S. Melkowski, „Domena prozy", LSW, Warszawa 1984, s. 47.

5 M. Wańkowicz, „Karafka La Fontaine'a", t. I, s. 178-179. Zbiorem takich anegdot jest, m.in. książka „Tędy i owędy", której jedno z wydań ukazało się nakładem wydawnictwa Iskry, w 1961 roku. Początkowe lata swego życia Melchior Wańkowicz opisał natomiast w autobiograficznym tomie pt. „Szczenięce lata". Jedno z wydań ukazało się w 1957 roku, nakładem krakowskiego „Czytelnika".

6 R. Kapuściński, „To nie jest zawód dla cyników", PWN, Warszawa 2013, s. 24. Bez względu na to, czy mamy do czynienia z krytyką literacką, czy też krytycznym spojrzeniem na otaczającą rzeczywistość, umiejętność selekcji informacji jest tym czego najbardziej brakuje dzisiejszemu człowiekowi. Zob. C.P. Snow, „Dwie kultury", Pruszyński i S-ka, Warszawa 1999, s. 35.

7 M. Szczygieł, „Jeszcze jedna podróż", [w:] „Duży format", nr 4/715, 27 stycznia 2007, s. 2. Na temat Ryszarda Kapuścińskiego zob.: M. Ikonowicz, „Hombre Kapuściński", Rosner i Wspólnicy, Warszawa 2011, A. Domosławski, „Kapuściński non-fiction", Wielka Litera, Warszawa 2017.

8 R. Kapuściński, „Autoportret reportera", Znak, Kraków 2003, s. 18.

9 M. Wańkowicz, „Tędy i owędy", Iskry, Warszawa 1961, s. 231.

10 M. Wańkowicz, „Wojna i pióro", [w:] „De profundis. Ziemia za wiele obiecana. Wojna i pióro", Pruszyński i S-ka, Warszawa 2011, s. 791.

tylko jedna strona literackiego medalu. Drugą jest stadium, w którym zostaje on przetworzony na zdania, akapity i rozdziały. „Ja nigdy nie wiem, jak będę pisać książkę; – powiada Ryszard Kapuściński – szukam raczej pierwszego słowa, i kiedy już je znajdę, piszę pierwsze zdanie, i kiedy je mam, piszę drugie…"[11]. Książki czy też, ogólnie rzecz ujmując, dzieła sztuki, o ponadczasowej trwałości, którymi inspirowały się pokolenia, nigdy nie powstawały w pośpiechu, a kilkuletnie oczekiwanie na efekt końcowy nie było niczym szczególnie dziwnym.

Nie dziwią więc słowa Krzysztofa Mroziewicza, który, utyskując na zmiany, jakie zaszły w zawodzie reportera na przestrzeni lat, pisał m.in.: „Wojny elektronicznej lub antypartyzanckiej, ze swoimi umiejętnościami zaostrzania granatu, Wańkowicz techniką gawędy opisać by nie dał rady"[12]. Jeśli założymy, że reporter jest, przede wszystkim, „tłumaczem" rzeczywistości, a więc również obecnej, w jej ramach, kultury, wówczas nieuchronnie musimy pogodzić się z faktem, że także znaczenie zawodu reportera zostanie zdewaluowane. Bowiem tak, jak strażnicy więzienni różnią się od osadzonych głównie brakiem notowania w kartotekach policyjnych, tak współcześni dziennikarze, w dużej mierze, upodabniają się do bohaterów swych relacji, a może spełniają w ten sposób oczekiwania społeczne…?

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że, od pewnego czasu, obserwujemy w naszej kulturze powszechne obniżenie lotów, jakie moglibyśmy nazwać zdziecinnieniem, a w języku politologii pajdokracją. Gdzie w takiej atmosferze miejsce dla Wańkowicza i jego anegdot ? Tak pytałby ktoś, komu – bynajmniej nie po złości – nie po drodze z autorem „*Ziela na kraterze*". Uważam, że odpowiedzią na tak postawione pytanie może być, paradoksalnie, próba odwrócenia wektora tych zmian. Zanim zostanę posądzony o „zaściankowe wstecznictwo w myśleniu", zaznaczę tylko, że mam na myśli wyłącznie wytworzenie kontrapunktu, od którego można by zacząć budowę tego konkurencyjnego podejścia.

Renesans klasycznego reportażu, opartego na wańkowiczowskiej anegdocie, jest możliwy i potrzebny, chociażby dlatego, że podążanie za tłumem, w żadnym aspekcie ludzkiego życia, nigdy nie przyniosło człowiekowi nic dobrego. „…w świecie, w którym nieciągłość zjawisk postawiła pod znakiem zapytania możliwość całkowitego i ostatecznego ich przedstawienia… Dzieło otwarte – powiada Umberto Eco – podejmuje, w całej jego złożoności, zadanie przekazania nam obrazu nieciągłości"[13]. W moim przekonaniu sam podtytuł książki Mroziewicza: „*Czyli jak opisać pełzający koniec świata?*" nie ma sensu, jeśli nie przyjmiemy perspektywy Melchiora Wańkowicza, czy Ryszarda Kapuścińskiego. A wszystko po to, aby nie ponosząc kosztów zaprzedania się komercji, móc prezentować własne opinie tym, którzy docenią ich wartość.

Czym jest „*Gottland*" Mariusza Szczygła ? Czym „*Heban*", „*Jeszcze dzień życia*" lub „*Szachinszach*" Ryszarda Kapuścińskiego, jeśli nie próbą ucieczki od współczesnej miałkości przekazu i próbą powrotu do jego dłuższej formy ? Nie ma sensu silić się na opisywanie czegoś, czego nie będziemy mieli czasu zrozumieć. Czy nazwiemy to „pełzającym końcem świata", czy galopującym początkiem nowej rzeczywistości, semantyka nie będzie tu miała większego znaczenia, ponieważ żadnego z tych zjawisk i tak nie ogarniemy. Gdy stary świat dopełznie do swego końca, nowy i wspaniały, będzie miejscem pajdokratycznej, zdziecinniałej miałkości, niezdolnej do głębszej refleksji nawet nad samą sobą.

W tym miejscu wrócę do pytania, które mi onegdaj zadano. Czy Wańkowicz przetrwał próbę czasu ? Jeśli ambitne dziennikarstwo przeniosło się do książek, to, jak najbardziej, tak. Wpływy Melchiora Wańkowicza odnajdujemy w dłuższych formach prozatorskich: Mariusza Szczygła, Jacka Hugo-Badera, tak jak widzieliśmy je w twórczości Ryszarda Kapuścińskiego. Owszem, dzisiaj zasadniczo zmieniły się realia, ale sedno rzeczy, jakim jest chęć poznania nieznanego – Innego – pozostała niezmienna.

Zbiory: „*Tworzywo*", „*W pępku Ameryki*" oraz „*Królik i oceany*", stanowią część zagranicznej korespondencji Wańkowicza, dotyczącej losów polskich emigrantów w Kanadzie („*Tworzywo*") oraz w USA (w dwóch pozostałych książkach). Ta karta w życiorysie Wańkowicza naznaczona jest licznymi podróżami, które autor, w przypadku „*Tworzywa*", odbył w latach 50' XX wieku. Efektem tych wojaży były książki opisujące początki polskiej emigracji za oceanem, począwszy od przełomu XIX i XX stulecia.

Dzisiaj taka podróż trwałaby znacznie krócej, a szerokopasmowe łącza internetowe zapewniałyby dostęp do efektów pracy reportera jego czytelnikom równie szybko. Nadal jednak, szybkość przekazywania informacji nie jest dla mnie równoznaczna z jej trwałością oraz doniosłością znaczenia. Pomyślmy… kształtujemy obraz świata taki, jakim widzą go odbiorcy naszych przekazów. „Do tego, żeby uprawiać dziennikarstwo, przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem. – powiada Ryszard Kapuściński –Źli ludzie nie mogą być dobrymi dziennikarzami. Jedynie dobry człowiek usiłuje zrozumieć innych"[14]. Z uwagi na uniwersalność tego poglądu, nie ograniczałbym go jedynie do zawodu dziennikarza.

Dzisiaj każdy, bardziej niż kiedykolwiek, jest nadawcą (twórcą) oraz odbiorcą komunikatu jednocześnie, a to wszystko może dziać się w ułamku sekundy. W kilka sekund możemy, naszym przekazem, pomóc, lub zniszczyć ludziom życie. Nasze postępowanie świadczy o naszym charakterze, ten zaś powinien być dobry, niezależnie od wykonywanego przez nas zawodu.

Gdybyśmy chcieli zatracić się w tej pogoni za prasowym newsem, to czas, jaki pozostałby nam na reakcję nie wystarczyłby na sklecenie, choćby jednego, sensownego zdania. Nie mówię już nawet o jego faktycznym zrozumieniu i wyciągnięciu, z jego treści, istotnych z naszego punktu widzenia, wniosków. Fakt, że informacja zawsze była, i będzie najcenniejszym z towarów, jakie jeden człowiek może zaoferować drugiemu, nie zmienia tego, że w powszechnej dzisiaj pogoni za wszelką nowością wyróżnia się ten, kto jest w stanie – paradoksalnie – w tym wyścigu zwolnić. Zreflektować się nad tym, do czego już doszedł i czy, aby dalsza pogoń jest zasadna z jego punktu widzenia.

Reportaż nigdy nie jest dziełem samego autora. Zarówno „*Dzieje*" Herodota, jak „*Busz po polsku*" Kapuścińskiego czy „*Zrób sobie raj*" Szczygła są efektem kontaktu z Innym. Było tak już od czasów najdawniejszych. „Herodot – pisał Ryszard Kapuściński – zna sedentarną naturę człowieka i wie, że aby poznać Innych, trzeba wyruszyć w drogę, dotrzeć do nich, przejawić chęć spotkania"[15]. Źródeł reportażu należy, w moim przekonaniu, szukać w czysto ludzkiej chęci podzielenia się wiedzą na jakiś temat, opartej na założeniu, że owa wiedza ma zasadnicze znaczenie dla ciągłości grupy, wśród której członków jest rozpowszechniana.

Reportaż, w pewnym zakresie, utożsamiłbym z tym, co prof. Teresa Skubalanka określiła mianem „powieści gawędowej", pisząc w „*Historycznej stylizacji języka polskiego*", iż „typ powieści gawędowej odznaczał się niezwykle skonkretyzowanym profilem stylu, dzięki stylizacji… na opowiadanie ustne, potoczne… Widzimy to jasno w naszej gawędzie, której narrację przesyca do głębi pierwiastek subiektywizmu"[16]. Motyw gawędy odnajdujemy w wielu uznanych dziełach literatury polskiej i światowej, nie musząc odwoływać się wyłącznie do Melchiora Wańkowicza. Mam tu na myśli nie tylko „*Dekameron*" Giovanniego Boccaccio, ale także „*Dokręcanie śruby*" Henry'ego Jamesa, „*Fale*" Virginii Wolff oraz „*Opowieści tatrzańskie*" Stanisława Witkiewicza.

W słowach profesor Skubalanki odnajdujemy, całkiem pokaźne, ziarno prawdy, bowiem tak, jak nie ma czegoś takiego, jak obiektywna relacja, tak nie istnieje obiektywny reportaż. Zawsze, gdy coś komuś relacjonujemy, robimy to za pośrednictwem naszych oczu, uszu oraz percepcji postrzegania rzeczywistości, która zawsze jest zasadniczo inna od postrzegania kogoś innego. Dlatego też w reportażu mamy do czynienia, z reguły, z bohaterem zbiorowym, za pośrednictwem którego autor przedstawia odbiorcy, względnie różnorodne, punkty widzenia.

Istotą reporterskiej erudycji jest także znajomość, przynajmniej kilku języków obcych. Uniwersalność języka angielskiego, chociaż od dekad niepodważalna, przeszła dzisiaj do stadium oczywistości, nie tylko w zawodzie reportera. „Ewolucja ukształtowała nas w taki sposób, że jesteśmy w stanie tworzyć i przetwarzać pojęcia za pomocą znaków – pisał Daniel L. Everett – i rozpoznawać relację pomiędzy tak utworzonymi znakami"[17].

Ta, całkiem techniczna, definicja języka, jaką zaprezentował Everett, sprowadza się, w gruncie rzeczy, do pojęcia uniwersalnego sposobu przekazywania znaczenia. „Każdy świat ma własną tajemnicę… – pisał Ryszard Kapuściński – dostęp do niej jest tylko na drodze poznania języka. Bez tego świat ów pozostanie dla nas nieprzenikniony i niedostępny"[18]. Nigdy do końca nie poznamy złożoności zjawisk i procesów rządzących państwem, jego społeczeństwem, czy jeszcze bardziej abstrakcyjnie, ludzką naturą.

„Przez wiele wejść włamać się trzeba do świata – powiada Melchior Wańkowicz – Ale wszystkie one stoją w obrębie jednego ogrodzenia: obcości języka"[19]. Nigdy nie będziemy w stanie pojąć wszystkich aspektów otaczającej nas rzeczywistości, a rola reportera, „tłumaczącego" znaczenie zjawisk społecznych, będzie nadal ważna – co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Pukająca do drzwi niemal każdego zawodu specjalizacja, jest efektem uszczegółowienia rzeczywistości, które dotyczy także reportera. Nie zmienia to jednak faktu, że najciekawszą częścią ludzkiego życia, są pochodzące z niego anegdoty, których mistrzem był Melchior Wańkowicz. „*Gottland*" Mariusza Szczygła, to niestereotypowa, nomen omen, anegdotyczna opowieść, gdzie Czechy, i Czesi, są centrum, nieoczywistego, świata reportera – wańkowszczyzna w czystej postaci… przetrwała.

Michał Skrętek

11 R. Kapuściński, „To nie jest zawód dla cyników", s. 69. Por. R. Kapuściński, „Autoportret reportera", s. 65.

12 K. Mroziewicz, Op. cit., s. 94.

13 U. Eco, „Dzieło otwarte. Forma i nieokreśloność w poetykach współczesnych", Czytelnik, Warszawa 1994, s. 170.

14 R. Kapuściński, „Autoportret reportera", s. 21.

15 R. Kapuściński, „Ten Inny", Znak, Kraków 2006, s. 14. Por. O. Tokarczuk, „Czuły narrator", WL, Kraków 2020, . 36-37.

16 T. Skubalanka, „Historyczna stylizacja języka polskiego. Przekroje", Ossolineum, Wrocław 1984, s. 290-291.

17 D. L. Everett, „Język. Narodziny kultury", Copernicus Center Press, Kraków 2018, s. 327. Por. J. Le Doux, „Historia naszej świadomości. Jak po czterech miliardach lat ewolucji powstał świadomy mózg", Copernicus Center Press, Kraków 2020, s. 281. Zob. E. Cassirer, „Esej o człowieku. Wstęp do filozofii kultury", Czytelnik, Warszawa 1977, s. 223.

18 R. Kapuściński, „Podróże z Herodotem", Czytelnik, Warszawa 2013, s. 27.

19 M. Wańkowicz, „Tędy i owędy", s. 243. Na temat swoich zmagań z językiem obcym, szlifowanym na lekturze książki „Komu bije dzwon", Ernesta Hemingwaya, Ryszard Kapuściński pisał obszernie w „Podróżach z Herodotem". Zob. R. Kapuściński, „Podróże z Herodotem", Czytelnik, Warszawa 2013, s. 25.

PROZA

Waldemar Jagliński

NIEWIDZIALNA BITWA

Największa Kropla Światła wybrana z Przedwiecznej Bieli – matki Tęczy. Kropla ożywiona w Doskonałości Ukrytej i skropiona powagą Czerni. Hołubiona w Blaskach Wysokich, w radości i w pierwotnej ciszy. To najszersze kosmiczne skrzydła sypiące iskrami gwiazd, zalążkiem Tęczowej Kuli. To ten, co jest atlasem wielobarwnych słońc i wirem galaktyk Niewidzialnego Architekta. To ten, który nosił światło dla czerwonych ludzi. To ten, którego zrzucono z Najwyższej Góry, córki Przedwiecznej Bieli. Wyrzucono go z Pierwszego Domu Pierwszego Świata. To ten odrzucony od Złotej Bramy prowadzącej do Pierwszej Myśli. To ten, co zakłada barwne maski, przywdziewa rdzawy pancerz i odkłada skarlałe skrzydła.

To ten, który wciąż czeka.

Dla czerwonego człowieka, *stworzonego na obraz Architekta i zaproszonego w niebieskie progi, ożywiona Czerń* nie ma końca, ale ma swój początek. Wyrasta z Przedwiecznej Bieli *jak Noc po długim, Pierwotnym Dniu*. Znużony nim Architekt *zasłania Pierwsze Światło, a w kroplach Czerni formuje nowe myśli.*

Jedna z pierwszych przybiera formę świetlistej, skrzydlatej postaci. Motyla na tle mrocznej ćmy. Życia zrodzonego z krótkiego, lecz potężnego błysku *Ojcowskiego Umysłu*. Życia co potrząsa gwiazdami, a światom każe wirować. A postać ta *jest bratem Miłości i Tarczy*. Może być białym promieniem w ciemności albo kimś, kogo rozpozna obserwator – *mały czerwony człowiek ulepiony w niskości. Na dnie Tęczowej Kuli Gwiazd.*

Świetlista, skrzydlata postać stawia podwaliny barwnych światów, *w Niższym Ogrodzie budzi czerwonego człowieka i obiecuje mu orle skrzydła*, spaceruje po najbielszych wyżynach i najczarniejszych nizinach, z jaszczurczym uśmiechem stoi obok *krzyża Miłości,* ogniem i żelazem toruje sobie drogę i pije absynt nad Sekwaną. Świetlista postać pała rządzą władzy, a swój tron pragnie wynieść ponad gwiazdy. *Ponad Tęczową Kulę - podnóżek Niewidzialnego Animatora i jego Najwyższej Góry.* Na drodze *Świetlistego staje biały brat. Złota Gwiazda.*

* * *

To odważny błysk Pierwszego Światła. Szlachetny syn Przedwiecznej Bieli. Archanioł tęczowych słońc. Biała wieża i mur dla wszelkiej wrogości. Strażnik czystych przestrzeni. Najwierniejsza Tarcza Animatora i Niebieskoskrzydłych. Orzeł pośród wróbli. Błyskawica w stworzonej wolności. Dla *Świetlistej Postaci* jest bezwolnym głupcem i tchórzem. Tak, jak każdy wojownik jego *Białej Armii.*

Złota Gwiazda ostatecznie odrzuca buntownicze myśli i głosy skrzydlatych braci i staje na zwieńczeniu *Złotej Bramy*. Na wiecznym, Kryształowym Berle Animatora. Nad *Błękitnym Szczytem Najwyższej Góry*. W wiekuistym, *Niebieskim Ogniu*. Między jasnymi skrzydłami swego wojska, *co wypłynęło z wysokości jak szlachetne okręty Białego Króla.* Jak prawica Architekta.

Gwiazda patrzy w szeroką, czerwoną dal: czarne chmury rebeliantów przesłaniają już ognisty horyzont *Drugiego Świata, zrodzonego ze ślepych żądz*. Buntownicy kłębią się jak zniecierpliwienie. Gotują się jak ślepa nienawiść. Stwarzają czarną pięść rewolucji. Ponad nimi, jak ciemny parasol zła, rozwija skrzydła ich wyniosły wódz. *Niosący Czerń. Ten, który czeka w Mroku Wysokim.*

Gwiazda patrzy w prawo: jego *Szmaragdowy Generał* zawisa nad armią. Unosi dwie pary potężnych skrzydeł osłaniając *Błękitny Szczyt Najwyższej Góry. Szczyt Pierwszego Świata. Szmaragdowy stawia wielkie pióra, kosmiczne miecze nadziei.* Dodaje sił *jasnym legionom. Jest Zielonym Ostrzem Białego Króla.*

Gwiazda patrzy w lewo: jego *Srebrny Generał* unosi się nad połową armii. Pociesza ją mądrym słowem wznosząc w pozdrowieniach białą dłoń. Jego moc pokrzepia każdego jasnego wojownika. Generał jest *Niebieską Tarczą Białego Architekta.*

* * *

Błękitny Szczyt tonie w Niebieskim Ogniu. Jasne legiony wypełnione są Płomieniami Życia – pierwszymi dziełami Animatora. Przedwieczna Biel Pierwszego Świata zabarwiona jest złotem i czernią. Obecnością Gwiazdy i armią *butnej Świetlistości*. Biel huczy uskrzydlonym wojskiem. Tęczowym wirem bitewnym.

Złota Gwiazda uderza z wyniosłej bramy. *Z lśniącego majestatem Pierścienia Pańskiej Siódemki.* Jasne pióra jak kosmiczne miecze ścinają buntownicze głowy gdy wódz wiruje niczym nagła śmierć. Jego skrzydła rozłupują smoliste pancerze i kaleczą dumne twarze. Skrzą się w straszliwych błyskach. *W potwornych zmaganiach wysokich sfer*.

Szmaragdowy Generał walczy po prawicy. Zielone ostrza jego oręża z piór przecinają wrogie tarany, rozrzucają krwawe strzępy i niszczą istotę czarnych legionów.

Kirowy Deszcz spada z Białych Wysokości. Dalekie niziny dotknięte chorobą.

Srebrny Generał wiruje po lewicy. *Wznosi żyjący mur. Rozbija się na nim ostatnia Pięść Nienawiści. Trzeci dowódca gruntuje Niebieską Tarczę.*

Lecz przed Białą Armią zawisa Niosący Czerń. *Ten, który czekał wysoko.*

Mrok rozszerza się. Jego smoliste macki oplatają Błękitny Szczyt. Szarpią złotym pierścieniem bramy. Wznoszą się ponad Niebieski Ogień. Duszą każdy oddech.

Złota Gwiazda strząsa *czarne kajdany*. Podnosi białe skrzydła. *Oddycha Pierwszym Światem*. Do boju rzuca kwiat swojej armii.

Jasne legiony w bitewnych zawirowaniach. W bohaterstwie i w poświęceniu. W kirowych mackach *Świetlistego Księcia. W złamanej zieleni i w spękanym srebrze. W ramionach ostatniej czerni. W szponach nicości.*

Tak więdnie Biały Kwiat Najwyższego Błękitu, a generałowie krzyczą w ranach.

Chmurzy się jasne czoło Złotej Gwiazdy. *Rośnie biały gniew*. Miecze mocarnych skrzydeł wznoszą się w Niebieskim Ogniu. Błyszczą *w Siódmym Pierścieniu.* Żyją w wiecznym duchu Największego Animatora.

Serce wojownika skreśla brata.

Uderzenia mocarzy potrząsają Najwyższą Górą. *Kryształowymi pałacami niebieskiej arystokracji. Wieżycami sześcioskrzydłych, przybocznych Niewidzialnego Architekta. Twierdzami cierpliwych Mocy. Księstwami Wysokiego Ognia. Spadają ciemne i jasne ciosy*. Burzą pradawną *Białą Głębię*. Kłębią się światy, drży podnóżek Najwyższego Animatora - Tęczowa Kula Gwiazd. Chwieje się w niej mały dom czerwonego człowieka.

W krótkim błysku największej mocy rozpalony miecz skrzydła Najwierniejszego Wojownika Białego Króla rozbija czarny kirys rebelianta. Niosący Czerń upada w Przedwieczną Biel.

Świetlisty Książę dostrzega swoją klęskę. Na chmurnej twarzy rodzi się strach. Smolisty mocarz spada z pierścienia pańskiej bramy. Uciekają białe przestrzenie. Coraz szybciej łączą się kolory Najwyższej Góry. Obrazy odrzuconego szczęścia nabierają barw. Szponiasta dłoń rysuje złoto ścian. Piękno Pierwszego Domu. Szpony łamią się, drżą bezsilne palce. Zamykają się kryształowe okiennice Niebieskoskrzydłych. A w mglistych nizinach – Tęczowa Kula Gwiazd zatopiona w czerni kosmosu.

Tak, jak mały, szary świat czerwonego człowieka.

Złota Gwiazda staje dumnie *na Królewskiej Siódemce.* Uśmiecha się. *Oddycha Bielą Pierwszego Świata.*

- Victoria !

Głos Białego Wojownika brzmi jak piękna melodia.

* * *

Chuda, smutna istota. Kloszard. Siedzi przygarbiony, okryty zniszczoną, czarną marynarką. Na łysej głowie zgnieciony cylinder. W spękanych dłoniach - *obity kielich zielonego trunku.* Wokół – kawiarniany gwar. *Głosy nocnego Paryża.*

Kolejna noc w czarnych wiekach. W epokach odrzucenia i łapczywego chwytania *ludzkich dusz – niewidzialnej energii dającej światło dnia. Otwierającej długie lata oczekiwania.*

Rośnie jednak światło w ciemnych oczach włóczęgi: potężny krąg mrocznych, uskrzydlonych postaci, co zawisły nagle przed nim, nie może być złudzeniem! *To grono pożerających Niziny i urastających do Wyżyn. Miecz Odwetu. Oręż z prastarego, Kirowego Deszczu. Duma i nadzieja!*

I widzi go on, *Pradawny Przegrany.*

- Chmary ludzkich dusz jak rosnące słupy ognia i płomienne skrzydła. Jak brama do Białych Wysokości! – głos czarnych istot rozbrzmiewa poręką.

Chuda istota wstaje. Chwiejnym krokiem odchodzi od okrągłego stolika i opuszcza małą kawiarnię. *Czerwoni i nieświadomi sączą swoje wzloty i udręki.*

Przed odrapanym wejściem pustka i cisza. Kloszard patrzy w rozgwieżdżone, letnie niebo i zaciska dłonie, z których wyrastają czarne szpony.

- Wrócę tam niesiony pewnością okrzepłego wojska! Moje ostrze znajdzie Niewidzialnego!

Głos pijanego kloszarda jest skrzekliwy.

Piła, grudzień 2023 – luty 2024

Waldemar Jagliński

Jakub Fornagiel

Trzeba sobie zasłużyć na skreślenie

Znowu kazali mi spieprzać, wyzywając od analfabetów. Pomylili moje nazwisko, Panie Szpakowski…, a przecież tak hucznie przyjęli moje pierwsze „Zapiski tego łajdaka Ćwierkiewicza", a potem uhonorowali zbiór opowiadań „Kaeiarwnka zybt pjancyh ;b y opsiać jsano", który zajął pierwsze miejsce na liście bestsellerów „Litery", chociaż tam się łatwo załapać, wystarczy sprzedać z tysiąc egzemplarzy, a teraz nawet nie odpisują… w sumie w ogóle nie odpisali po dobrze przyjętym jednym opowiadaniu w „Akancie" sprzed trzech miesięcy. Ale miło sobie chociaż czasem „prawdziwie pozmyślać" – jakoś tak człowiekowi lżej. Wstałem z niepościelonego łóżka, na którym najczęściej korzystam z komputera, wierząc, że pisarz może wylegiwać się do południa. Może dlatego mi nie wychodzi, bo wybudzam się, drażniony po twarzy pierwszymi promieniami słońca? A może dlatego że dawno odpuściłem sobie konkursy literackie, na które należy nadesłać cztery wiersze w czterech egzemplarzach, a na dodatek wydrukować kolejno: oświadczenie o autorstwie, zapiski o RODO, pozwolenie na bezpłatną publikację, a na koniec podpisać obydwie koperty zmyślonym pseudonimem i nie zapomnieć wrzucić kartki z mailem, numerem telefonu, imieniem i nazwiskiem oraz podkreślonym pseudonimem, by przypadkiem nie pomylono nas – dla pewności warto zakupić trzy koperty, bo nieraz już musiałem rozdzierać, gdyż zwilżony śliną klei zdążył na nowo wyschnąć. Potem jeszcze ponownie wybrać się na pocztę i nadać, najlepiej poleconym, bo lada dzień mija termin, obydwie koperty do jakichś domów kultury w Ogórkowie Niżnym czy innej zapadłej dziurze, na których wynik będziemy czekali, wyrywając sobie włosy z szaleństwa.

Ale konkursy literackie, zwłaszcza te ogólnopolskie, mają swoją dobrą stronę. Są naszą kartą przetargową w walce o stypendia – na pewno te studenckie, ponieważ zbyt późno prawdopodobnie poznałem tenże trik. Łatwo wtedy nadgonić pozostałych rywali, a może i nawet wygrać, ponieważ to osiągnięcie artystyczne jest najlepiej punktowane. Można było zdobyć za taki konkurs 5 punktów. Tak było na przykład na mojej poprzedniej uczelni, do której nie żywię szczególnej sympatii, choć to zapewne mój błąd, bo jako jedyna przyjęła mnie, gdy żadna inna mnie nie chciała i wprost głosiła, co ma mi do zaproponowania, tyle że ja, zgłaszając swe papiery na ostatnią chwilę, to zlekceważyłem. Warto zaznaczyć, że średnia arytmetyczna była mnożona razy 4. Maksymalnie za artystyczne można było osiągnąć 10 punktów, tak więc 30 punktów było do zdobycia (więcej zapewne można, ale rzadko kto się na to odważył). Minimalnie należało zdobyć średnią 4.0 – to nam dawało 21 punktów z jednym konkursem, gdy średnia 5.0, to tylko 20 punktów. A zazwyczaj ludzie nie mieli żadnych osiągnięć, więc deklasowało się ich z łatwością. Do dziś pamiętam wielką trójcę, która mnie nie znosiła – zwłaszcza Jola, choć nie rozumiałem, czym się wyróżniłem, by mną straszyć. Opowiadała naokoło, żeby nikt nie studiował dziennie kierunku „Media Content and Creative Writing", bo ja tam będę. Sama planowała studiować we Wrocławiu, bo pochodziła ze Skawiny, więc nigdy naprawdę nie poznała tego studenckiego życia, gdyż musiała posłusznie wracać na obiad tuż po zajęciach. Do mnie jej słowa dotarły za pośrednictwem ówczesnego przyjaciela mojej szalonej towarzyski niedoli, która również trafiła na listę „skreślonych". Cały ten konflikt miał swój moment kulminacyjny, gdy ja już obroniłem swoją wymarzoną pracę dyplomową o tym przeklętym Bukowskim, jak lubiono mawiać: „Relacja konfliktowa między ojcem a synem w twórczości Charlesa Bukowskiego na podstawie powieści »Z Szynką Raz!« i wierszy wybranych". Spędzałem wtedy wakacje na praktyce zawodowej w „Literze", podpatrując wielki świat literacki. Najbliżsi znali mój dylemat między „Media Content and Creative Writing", a „Twórczym pisaniem i marketingiem wydawniczym" na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Cały szkopuł śmieszności konfliktu z Jolą polegał na tym, że ona sama skończyła na tym kierunku, gdy ode mnie wymagano w „Literze", bym wybrał studia zaoczne na Alma Mater, a mnie ciężko do czegokolwiek zmusić, tak więc pokazałem dumnie im dwa palce… no prawie, bo tylko podpisałem rachunek, zgodę na udostępnianie mojego wizerunku i nie potrafiłem się doprosić obiecanych referencji – ignorowano moje maile, czy też prośby przy podpisaniu rachunku, jakby odebrało mi mowę. No ale com napisał, napisałem i zebrałem w portfolio, a resztę obśmiałem na zajęciach o wydawnictwach, czym spodobałem się, niestety, prowadzącemu. Tak więc opuściłem dobrze mi znany Kraków, gdzie przeżyłem niejedną szaloną pijacką przygodę, a także parę przyjemnych nocy spędzonych wyłącznie sam na sam z żywym słowem.

Następne miesiące nie przyniosły jednak nic poza zatraceniem się w rutynowym życiu, z którego ponownie próbowałem się wykaraskać, widząc jego skutki – coraz mniej wierszy, tak więc zacząłem pisać opowiadania, lecz i one zaczęły mi się potykać, zazwyczaj po tej przeklętej siódmej stronie. Myślałem, że to może alkohol, więc odstawiłem, by otrzeźwić swoją perspektywę, lecz wtedy i nie nastąpiła żadna drastyczna zmiana – tym razem sięgałem ósmej strony. Postanowiłem więc zarzucić powieść oraz nowelki i wrócić do źródła – krótkich, lecz szokujących opowiadań. Jednak raz przekroczona granica nie znaczy już nic, więc łapałem się na tym, że na trzeciej stronie nie potrafiłem skończyć, a i później uciekałem od końca, dopisując kolejne zdania – tyle że bez ładu i składu, a nawet i bez sensu. Przypomniałem sobie słowa Czesława Miłosza z artykułu „NIE" opublikowanego na łamach paryskiej „Kultury" o „rozdwojeniu jaźni" pisarza i myślę sobie, że to złapałem. Nie potrafiłem mówić jasno i klarownie w swoich utworach, ponieważ każde zdanie niosło w sobie uproszczenie, swego rodzaju zakłamanie. Czułem, że oszukuję, opowiadając o rzeczywistości, która nie jest taka, jak w moich słowach, ponieważ posiada drugie dno. Nie mogłem też dłużej czytać, bo męczyłem się świadomością, że Ci pisarze potrafili wtopić się wraz ze swoimi uogólnieniami w kulturę. Nie tylko wtopić, ale też stać się dla niej swego rodzaju pomnikiem, gdy ja gryzłem się w język za każdym słowem, zdaniem, anegdotą – wewnętrzny krytyk dusił mnie coraz mocniej, a ja nie miałem nikogo, komu mógłbym się wygadać, ponieważ nie miałem obok siebie nikogo, kto mógłby zrozumieć ten problem, zwłaszcza w kontekście pisania.

Złapałem się nawet ponownie pracy w marketingu, tym razem w zagranicznej firmie, gdyż postanowiłem, że jeśli do wakacji nic nie wyjdzie z bycia pisarzem, to emigruję… Usłyszałem znów wielkie słowa o mojej przyszłości, która, jeśli wszystko pójdzie jak należy, zapewni mi spokojne i dostatnie życie, o którym tak marzy moja bratnia dusza, którą już dwukrotnie złamałem, będąc wyrzucanym na bruk. Syndrom oszusta nie pozwalał mi przyznać się do złamanych wobec mnie obietnic kierowniczek i świńskich zagrywek. Tak więc chociaż w pisaniu postów mogłem się literacko wyżyć, ponieważ miałem wolną rękę do kreowania marki. Było stabilnie, choć czułem, że osuwam się w przepaść, przestając być sobą – w sumie kim ja będę, gdy już ostatecznie napiszą o mnie, że się skończyłem? Potrzebowałem złapać się czegoś, co choć na chwilę pozwoli mi zapomnieć o poszukiwaniu gruntu – jakiejś iskry, choćby i słońca, w tym smutnym państwie, w którym obracałem nieustannie wszystko w żart, jednocześnie sam się nim stając.

Wyleciałem więc do Hiszpanii, zaprzepaszczając wszelkie szanse, choć cóż to znaczy, gdy kolejny raz straciłem, trzecią już, pracę w marketingu, każdą kolejną noc zarywałem przez niemożność dźwignięcia ataków paniki, samotności i, przez nieumiejętność odmawiania, przez najróżniejsze spotkania. Od przesiadywania w barze po sąsiedzku, w „Okrąglaku", po okrążenia nad świtem swym autem po parkingu, zapewne jeszcze na podwójnym gazie, nie mogąc zasnąć. Próbowałem odpowiedzieć sobie, skąd mam na nowo czerpać inspirację; dawno już przeczytałem wszystkie dzieła Bukowskiego, nie rozumiałem fenomenu Hema, Orwell był mocny, lecz ciężko było go przełożyć na modłę polskiej trzeciej dekady XXI wieku, a większość polskich literatów mnie nie pociągała – nie pomogły nawet studia filologiczne.

Tak więc chcąc uciec od zgiełku, przemęczenia i smutku, wsiadłem w samolot i uciekłem do, ponoć słonecznej, Hiszpanii. Zabrałem ze sobą „Pięknych dwudziestoletnich" Hłaski, którą nomen omen przetrzymałem wraz z pięcioma innymi pozycjami już tak długo, że oddanie ich graniczyło z cudem albo z kredytem u kumpli. Tam też się już wystarczająco człowiek zadłużył. Czułem się jak za dzieciaka, gdy z grupą starszych chłopaków ze służby liturgicznej chodziło się do pewnego sklepiku na gaju, gdzie można było zrobić zakupy na krechę – maczugi, gumy kulki oraz turbo i oranżadę – należało jedynie pamiętać, by nie zdradzić po sobie, że nigdy tu już się nie wróci. Tak więc trze-→

ba było zapamiętać imię sklepikarki, pani Tereski, być na bieżąco w kwestii zmarłych w parafii, by wygłosić epitafium na część zmarłego. Z tym było nam prościej, ponieważ dbaliśmy, by któryś z nas był zawsze obecny na pogrzebie, nawet jeśli wiązało się to później z kilkukilometrowym powrotem na piechotę z sąsiedniej wsi. Ksiądz prałat, ówczesny proboszcz, wygłaszał interesujące kazania o zmarłych, bo z większością znał się od lat i budował ten kościół od podstaw, tak więc nie trudno było poznać zmarłego, nawet jeśli nie spotkało się go nigdy za życia. Należało zrobić także na tyle duże, ale i zarazem nie za duże zakupy, by nie wzbudzić podejrzeń. Nie wolno też było się pokazać pani Teresce przez najbliższe półrocze, bo by nas przejrzała. Przyszło mi na myśl to wspomnienie, gdy zaczytywałem się w opisach przerzutów słoniny ze spirytusem przez polsko-czeską granicę. Nie tylko to mi nie dawało spokoju, ale także dotychczasowo moja największa bolączka – niczym Hłasko – spędzałem czas na Śląsku, ale zamiast we Wrocławiu miałem kłopoty z weną w Katowicach i raz po raz głowiłem się, jak zorganizować się, by przeczytać to, co chcę, jednocześnie mogąc nieustannie pisać i żyć nocnym życiem wśród problemów moich czasów – czuć ten literacki zryw, którego już alkohol nie potrafił wzbudzić. Nawet rozpisałem sobie plan na początek roku:

• Na sam początek dobrze by było napisać chociaż stronę mojego nieszczęsnego opowiadania, przynajmniej któregoś z wielu napoczętych, dziennie;

• Później obcować z krytyką współczesną chociaż przez 1 godzinę, zgłębiając artykuły o literaturze takich gigantów jak Szot;

• Jak przystało na literata, czytać przez co najmniej 2 godziny powieści ze stosiku wstydu, chociaż w moim przypadku stosikiem wstydu można by nazwać dotychczasowo przeczytane – nawet zmniejszenie listy lektur przez Nowacką nie pomogło. Warto tu zwrócić uwagę na fakt, że kolejny raz ktoś próbuje naprawić ten gnijący system, fabrykując jakiekolwiek działanie poprzez usunięcie zadań domowych i kilku pozycji z listy lektur, zamiast w końcu pozbyć się systemu pruskiego. No cóż, nie chcieli nawet żywych poetów…;

• Kolejno chciałem poświęcić chociaż 45 minut na planowanie dalszych losów bohaterów mojego kryminału, który ugrzązł, a którego plan na zajęcia sfabrykowałem na szybko – poczułem się wtedy jak Hłasko przy zmyślaniu donosów byle służby nie próbowały na powrót dobrać mu się do gardła.

I to wszystko powinienem zmieścić pośród codziennej gonitwy, rozpoczynając dzień najpóźniej o 10 rano i kończąc go o 3:00. Liczyłem, że nie zakrapiając nocy, uda mi się spełnić ten plan.

Wracając jednak na chwilę do wartych pożałowania zmian w tej nieszczęsnej edukacji, to jest to problem o wiele większy niż wykreślenie kilku dzieł czy zadań domowych – w kadrze nauczycielskiej pozostały ochłapy narodowej inteligencji, bo każdy z choć odrobiną oliwy w głowie zmienił ten zawód na inny – może to i zawód dla rodziców, co przełożyli swe ambicje na dzieci, ale za to nie będziesz cierpiał głodu dla idei, zwłaszcza będąc wrzucanym do jednego wora z nauczycielskimi próchnami… Rzecz jasna, pozostało kilku ludzi pracujących dla idei i to właśnie oni pokrzepiają nas, wypełniając wiarą w możliwość jakiekolwiek zmiany, niczym Nawalny w Rosji. Tyle że i oni umrą, chociażby wewnętrznie, ponieważ jak długo można walczyć z systemem, gdy wszyscy się odwracają, zwłaszcza po „podwyżce", która nie dość, że spóźniona o kwartał, to też wmówi społeczeństwu, że nauczyciele nie mają praw żądać podwyżki, tej prawdziwej, bo już dostali. No cóż, nie wyszło mi ani z edytorstwem, dziennikarstwem czy też z marketingiem, a także nie zapowiada się, bym został w najbliższym czasie nauczycielem polskiego, a na pewno nie w tym kraju.

Tak więc zwiedziałem plaże Alicante, odwiedziłem fabrykę czekolady „Valor" w Villajoyosa, ujrzałem kolorowe domki w Altei oraz przyglądałem się uliczką europejskiego „Nowego Yorku", na których znajdowały się kluby ze streapteasem i kasynami. Nie mogłem nigdzie odnaleźć żadnej iskry weny – na moje nieszczęście bywałem w tych rejonach najwcześniej koło południa, także nie mogłem spotkać żadnego nieszczęśnika, który byłby obrobiony z pieniędzy do goła, czy też wyprowadzany z klubu w kajdankach. Nawet nie napotkaliśmy „szczęśliwca", który wyprowadzałby jedną z pań z lokalu – choć nad ranem zapewne obudziłby się ze swędem w okolicach jąder. A chociażby któremuś obito twarz za świńskie żarty, które dziś już nie śmieszą nikogo, bo szacunek wobec kobiet jest modny, no cóż, lepiej późno niż wcale.

Na ogół mam problem z czytaniem – pierwszą książkę przeczytałem w liceum, a stało się tak tylko dlatego, że moje poczucie własnej wartości dosłownie sięgnęło bruku – garbiłem się, co po raz pierwszy przyniosło mi wyróżnienie z ust polonistki, która chcąc mnie opanować, zagroziła mi tym: „Jakub, pamiętaj, powinno być was maksymalnie dwadzieścioro, no maksymalnie dwadzieścia dwie osoby w klasie". No cóż, byłem dwudziesty czwarty, więc przynajmniej zabrałbym inną duszę ze sobą. O ironio więc, że to ja znalazłem tę cholerną kartę bankową, która zapewne znaczyła tyle, co kilkaset złotych – ale bez nich ciężko było dotrwać polonistce, nawet w prywatnej szkole z renomą, do końca miesiąca. A mając chorą osobę pod opieką tym bardziej. Niemniej z każdą następną klasą powtarzała mej mamie, że mam duszę artysty. To właśnie od niej złapałem bakcyla do czytania – dokładniej mówiąc do tego, by dać szansę każdej następnej książce, nim ją odłożę na półkę i z tą samą nadzieją zabiorę się za następną. Pierwszymi dwoma seriami książek były: „Harry Potter" wyklętej za poglądy J. K. Rowling i niewyklętego Olivera Uschmanna „Finn nieposkromiony" – jego zapewne nie wyklęto, bo nie zyskał aż takiej sławy albo nie dotarłem do słów przekleństwa. Niemniej to właśnie te dwie serie wzbudziły we mnie pożądanie wobec literatury na współkę z pewną damą, co to lubowała się w Orwellu aż do manii – jak poznałem Bukowskiego, to zrozumiałem, że jednak można i że każdy ma kult tego jednego pisarza. Rzecz jasna do czasu.

Wracając pociągiem, miałem z tyłu głowy nadzieję, że zastanę w skrzynce studenckiej, chociaż list z informacją, że się skończyłem albo choć przyjaciele mnie o tym poinformują, rzucając na stół czasopismo „Litery" czy też „Wyborczej" o tym, że się skończyłem. Tyle że wyprowadzając się z Krakowa, zostawiłem za sobą cały mój artystyczny półświatek. Choć to też nad wyraz powiedziane, bo były to osoby, które ze sztuką w większości nie miały nic wspólnego, poza kumplem, z którym zarwałem niejedną noc z wtorku na środę, delektując się kulturą. Tak więc pochwyciłem dokumenty potrzebne do wizy pracowniczej i zacząłem wypełniać.

Mijały miesiące, a moja obietnica wyjazdu zbliżała się nieuchronnie – nie chciałem wyjeżdżać, lecz nie chciałem też złamać słowa danego sobie, bo cóż innego mi pozostanie, skoro nie potrafię dochować sobie wierności. Tak więc szykowałem się na spotkanie z przyszłością. Zabrałem z rodzinnego domu pozostałe niesprzedane tomiki wierszy, które wydrukowałem na fali młodości, co przyniosło tylko rozczarowanie dorosłością – lepiej zawczasu się rozczarować, by nie mieć oczekiwań w późniejszych latach. Zacząłem nawet skreślać dni w kalendarzu, czując, że coraz mocniej grzęznę w otaczającej mnie rzeczywistości.

Rzecz jasna, miałem kilka dobrych chwil pośród tych miesięcy, jak wtedy, gdy przytaczałem słowa mej mamy o podejściu do zmian: „Lepiej trafić do grona, gdzie wszyscy są lepsi, niż tkwić w miejscu jako lider", a cała grupa na to krzyknęła: „Ty tak serio?" – no cóż, chyba się czasami mylę w mych wyborach, ale ta zmiana była mi potrzebna, bo po kilku miesiącach mroku, gdy noce zlewały się z dniem za pośrednictwem świtu pukającego w okno, wywlokłem się z tego dołu rozpaczy. Może i uciekłem, ale któż nie ucieka, gdy nic na niego nie czeka – a więc zbiegłem po schodach, biegnąc wyłącznie ze skórzaną walizką, którą już dawno zamieniłem w codzienność – maszyny opchnąłem zwariowanej fotografce z pierwszego piętra, z którą upijałem się, czytając jej poezję – nie dało się inaczej tego czytać. Rzucając portierowi klucz, uderzyłem go w oko. Przeprosiłem go, lecz ten nie oszczędził mi kazania. W końcu wybiegłem, a on za mną, każąc mi się zatrzymać, bo jakiś list zaadresowano do mnie. Nie trzeba było długo czekać – nawet odjeżdżający ostatni autobus na lotnisko mnie nie zatrzymał.

– Do mnie? Naprawdę? Nie chrzań Pan – wykrzyczałem słowiczym głosem.

– A do kogo innego, skoro mieszka Pan sam?! Eh, coraz to więksi debile tu mieszkają – rzucił niedbale.

– Myślisz Pan, że o mnie nie zapomnieli, że – przełknąłem głośno i długo ślinę – że naprawdę pamiętali, by mnie skreślić?

– A chuj mnie to obchodzi, zrobiłem, com miał zrobić – odpalił papierosa, zerkając raz po raz na mnie.

Zacząłem czytać półszeptem:

Szanowny Panie Jakubie, bardzo nam przykro Pana o tym informować, ale nie ospłacił Pan ostatnio prenumeraty, także z przykrością musimy Pana poinformować, że jeśli nie wpłyną pieniądze do jutra, to usuniemy Pana z listy subskrybentów.

Z wyrazami szacunku

Redaktor Czasopisma „Litera"

– No i co, doczekał się Pan tego, na coś Pan czekał? – zapytał portier.

Ja jednak nie słuchałem go. Zapewne rzucony przez portiera żart dotyczył mojej walizki, bo dotarło do mnie coś w ten deseń: „Poeto wyklęty, w walizkę zaklęty". W końcu dodzwoniłem się do centrali taksówek i usłyszałem, że za chwilę podjedzie pode mnie Pan Mieciu. Później przez kwadrans słuchałem o tym, bym nie zapomniał pozostawić mu opinii, bo studenci to nicponie, obiecują, a potem nic z tego nie wychodzi. No cóż, puścił mnie z ostatnimi pieniędzmi, śmiejąc, żebym się nie przejmował licznikiem, bo on jest dla policji – zamiast skasować mnie za 8 km 100 zł, taskawie objechałem za 80 zł.

Jakub Fornagiel

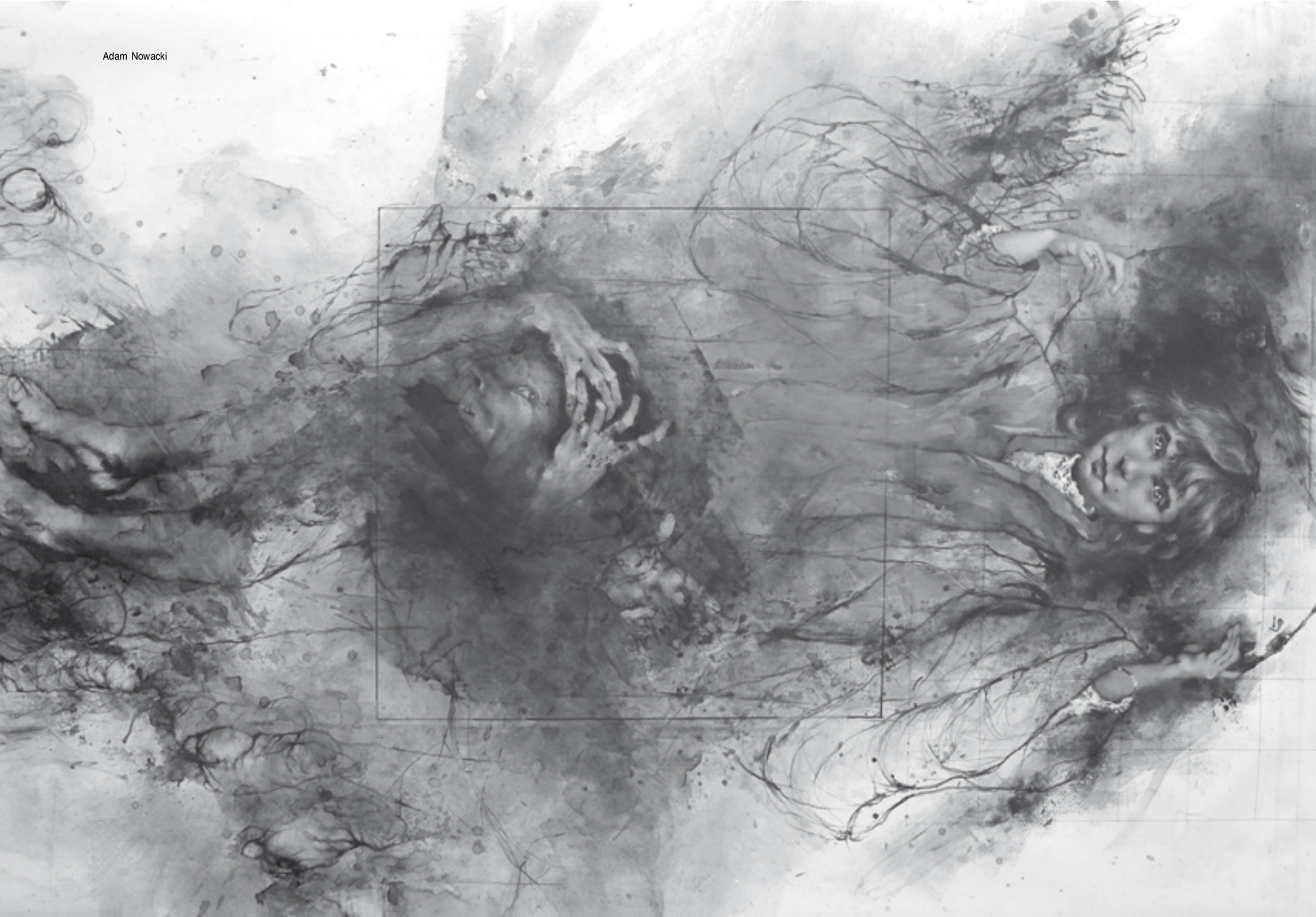
Adam Nowacki

Nenad Šaponja

Przekład z języka serbskiego: Olga Lalić-Krowicka

W bieżącym roku w polskim wydawnictwie „Ruthenus" y Krosna ukaże się tomik poezji serbskiego poety i wydawcy Nenada Šaponji pt. „Psychologia grawitacji", w ramach dotacji z serbskiego Ministerstwa Kultury. Tomik na język polski przełożyła Olga Lalić-Krowicka.

Nenad Šaponja (1964, Nowy Sad), poeta, eseista, krytyk literacki, którego wiersze są rozpoznawalny we współczesnej poezji serbskiej ze względu na stylistyczną doskonałość, hermetyczność i ostrość spostrzeżenia metafizyczne. Na polu krytyki literackiej promuje postmodernistyczną poetykę m.in. ideosynkratyczne podejście do interpretacji dzieł literackich, które zakłada życie w literatura.

Przez około dziesięć lat był krytykiem Polityki, a w 2002 roku założył wydawnictwo Agora, dziś jeden z najwybitniejszych serbskich wydawców, zajmujący w tej dziedzinie wyjątkowe miejsce dzięki szerokim zainteresowaniom i wyborem jakości.

Tomiki poezji: *Gioconda* (1990), *Odbicia sztuczki* (1993), *Oczywistość* (1996), *Morze (1998), Cztery wiersze* (2000, 2001), *Słodka śmierć* (2012), *Czy istnieje dotyk twojej duszy?* (2014), *Patrzę zatem nie jestem* (2017), *Schodzę w ciszę ciężaru rzuconej kostki* (2019), *Psychologia grawitacji* (2023).

Księga esejów i krytyki. Wątpliwości Baedekera (1997), *Autobiografia czytania* (1999), *Doświadczenie pisarskie,* (2001, 2002). *Książka podróżnicza: Po Brukseli prosto jest przechadzać się* (2018, 2019, 2022).

Przetłumaczone książki: *Czy istnieje dotyk Twojej duszy?* - w języku macedońskim; *Słodka śmierć* - po rumuńsku, hiszpańsku i słowackiemu; *Patrzę, więc nie jestem* - po słowacku, hiszpańsku i azerbejdżańsku; *Po Brukseli prosto jest przechadzać się* w angielskim, macedońskim i arabskim.

Poezję Nenada Šaponji przekładano na języki: angielski, hiszpański, włoski, węgierski, francuski,macedoński, polski, słowacki, rumuński, albański i azerbejdżański.

Opracował także kilka wybranych antologii: Antologię nowowsadzkich współczesnych opowieści (2000), Antologia dawnych nowosadzkich opowieści (2003), Oświeceniowa antologia opowiadań kryminalnych (2003), Pavle Ugrinov (w wydaniu Dziesięć wieków literatury serbskiej, 2013), Nowe opowieści Nowego Sadu (2018), The New Story of Novi Sad (2022).

Został uhonorowany następującymi nagrodami: „Nagrodą Branko" za książkę *Gioconda*, „Nagrodą Oświecenia" za książkę *Wątpliwości Baedekera* , nagrodą „Miroslav Mika Antić" za książkę *Patrzę, więc nie jestem*, nagrodą, „Moma Dimić" za książkę *Po Brukseli prosto jest przechadzać się* nagrodami „Pióro Kočicia" i „Teodory Pavlović" za książkę *Psychologia grawitacji* i nagrodą literacką „Milan Bogdanović" za krytykę literacką, a także „Listopadową Statuetką Miasta Nowego Sadu".

O, ODEZWIJ SIĘ DO MNIE: CZY JUTRO BĘDĘ TU GDZIE ZNAJDUJĘ SIĘ TERAZ?

Śledzę chłopca w sobie,
nasłuchuję niewygodę
która go topi
w dorosłym ciele.

Jakby nigdy nie był
wszystkim tym co najbardziej rzeczywiste
jest,
swój i cały,
sam i wypełniony.

Próbuje wyjść
z niewolnictwa w którym go
od lat powstrzymuję
coraz bardziej i bardziej

Zadrapuje mnie i bezgłośnie prosi,
by rozświecić zaplątany świat,
by być tym co byłem,
kiedy byłem.

Prosi bym wyszedł,
z gry którą przegrywam.

Prosi mnie by nie rzucać
zaznaczone kostki
cudza ręką.

Prosi mnie o szept uwagi.
A ja,
surowo i niegrzecznie,
rzucam kostkę,
akurat gdy poczułem
gdzie jest w niej ciążenie.

KOSTKA

Opowiem ci historię
w którą nie uwierzysz,
bo nie będziesz w niej marzyć.

Otworzę ci drzwi
poza twoim spojrzeniem,
pośród uśmiechu
do świata którego nie ma.

Zakupię ci przestrzeń
ze względu na problem
urodzonego pomyłkowo,
w wyobraźni,
w pewności upadku.

Powiążę nieobecne
z tym czym jesteś
bezpieczna
w nadziei obrazu.

Rozminuję niepewność
którą się bronisz
przed uderzeniem zła.

WIDZIALNOŚĆ: DETALE OBECNOŚCI

Utwierdzają gdzie jestem i kim jestem.

Głębię niewidzialnej miary
spojrzeniem widzialnego.

Swoje błędy
wliczają do niewiedzy.

Łatwo i bez wysiłku
przeistaczają mnie w złudzenie.

Sprowadzają mnie
od drzwi do drzwi,
sprawdzają dokąd
mogę dojść
całkiem zauważony.

A ja,
tylko niezauważony,
przychodzę tam gdzie jestem.

WYWIAD Z SERBSKIM LITERATEM NENADEM ŠAPONJĄ

Świat, w którym porusza się pisarz jest usiany wątpliwościami.

Zbiór poezji „Psychologia grawitacji" pisarza z Nowego Sadu Nenada Šaponji otrzymał niedawno nagrodę „Lazy Kostić". Wcześniej był już uhonorowany nagrodami im. „Stevana Pešicia", „Teodora Pavlovicia" i piórem Kočicia. Jest to tomik poezji, w którym na pierwszym planie znajduje się „poszukiwanie podmiotu lirycznego dla chłopca w samym sobie, po którym następują pytania o życie w obecnym czasie i przestrzeni naznaczonej dyskomfortem i niepewnością" . Był także nominowany do nagród literackich „Złoty Słonecznik", „Dušan Vasiljev"... oraz był wysoko ceniony przez jury nagrody Zmajeva i „Mešy Selimovicia".

Kiedy jedna książka jest wielokrotnie nagradzana i chwalona, czy pisarz nadal odczuwa pewien strach przed odbiorem następnego rękopisu?

- Nie. Pisarz pisze we własnym świecie, a świat, w którym są nagrody, reflektory, a może i niedosyt przemilczenia, jest światem życia codziennego. Rzeczywistość, w której powstaje dzieło sztuki, jest nieco głębsza i bardziej treściwa. Jako pisarz, jestem oczywiście zadowolony, że „Psychologia grawitacji" zyskała uznanie zarówno czytelników, jak i krytyków jako dzieło głęboko prowokujące i otwierające niezliczone pytania egzystencji osobistej, a także przestrzeni trwania w języku, w którym została stworzona. Nagroda literacka daje książce szansę zaistnienia widoczne, aby zainteresować potencjalnego czytelnika. W przypadku poezji obecnie jedna nagroda może przyciągnąć 10 czy 50 prawdziwych czytelników i wtedy ma to sens. To znaczenie zostaje wzmocnione, jeśli tomik wierszy zaczyna przemawiać poprzez poezję ich życia. A potem, jeśli ich percepcja się nauczy coś z logiki percepcji książki. I jeśli wszyscy razem po po przeczytaniu książkę czytamy świat innymi oczami. W końcu jeśli wracamy do książki i jeśli ten powrót ma dla nas sens.

Od lat zajmował się Pan krytyką literacką. Czy to doświadczenie dogłębnego czytania innych pomogło lub przeszkodziło podążając własną poetycką ścieżką?

- Nie sądzę, żeby to pomogło lub przeszkodziło. U mnie to są procesy równoległe i niezależne. Jeśli jesteś poetą, musisz mieć talent do budowania własnego świata literackiego. I jeśli jesteś krytykiem, musisz mieć empatię dla innych światów literackich. Te dwa dary mogą się wzajemnie wzmacniać, i można je wyłączyć. W moim przypadku są one od siebie całkowicie niezależne. To znaczy mam szczęście, że tak jest. Dla mnie krytyka to proces twórczy – zrozumienie i rozmowa z innymi. Takie jest stanowisko uprzywilejowanego czytelnika. A bycie czytelnikiem w dzisiejszym świecie to także rodzaj szczęścia.

Każdy czas potrzebuje poezję

Czy zgadza się Pan z tezą, że treść i styl stały się we współczesnej poezji nierozłączne?

- Współczesny poeta, podobnie jak starożytny, żyje poezją wbrew czasowi. Jednocześnie każdy czas, każda ludzka istota potrzebuje poezji. Poeta pisze pośród zamętu i kontr-zamętu tego świata. Istnieją dwa języki, z którymi człowiek styka się na co dzień – język, który zanieczyszcza i język, który oczyszcza. To drugie to oczywiście czysta poezja. A problemem poety jest zawsze umiejętność stworzenia obrazu godnego stania się słowem.

O ile pierwszy zbiór poetycki „Giocondе" był „emocjonalnym wichrem, oniryczną studnią, pokazem sztucznych ogni", to „Psychologia grawitacji" oferuje „estetyczną zwięzłość". Jednak krytyka jest jednomyślna: „Odkrywając możliwości czystej poezji, pisze Pan zawsze inaczej i tak samo"?

- Wyzwaniem pisarza jest poszukiwanie. Aby odkryć nowe i inne świat. A z drugiej strony być rozpoznawalnym. To z pewnością jest najtrudniejsze. Stąd wyzwanie drugiej książki. W pierwszym rozpoznaje się talent, w drugim utwierdza się pisarza. „Psychologia grawitacji" to mój siódmy tomik poezji wydany 34 lata po pierwszym i myślę, że za każdym razem udało mi się otworzyć nowy poetycki świat. Nie tylko tematycznie, ale i merytorycznie. Bez tej gry w odkrywanie, erosu zaskoczenia, pewnie nawet nie pisałbym poezji. Świat, w którym porusza się pisarz jest usiany wątpliwościami. Stąd też długie przerwy pomiędzy ukazywaniem się poszczególnych książek. Zwykle jest to trzy do pięciu lat, a pomiędzy książkami „Morze" i „Słodka śmierć" odstęp ten wynosił nawet 14 lat. Dobrze, że poeta się zajmował i innymi rzeczami - pisałem recenzje, dzienniki podróży, opowiadania, redagowałem książki innych autorów...

Rade Drainac twierdził, że „żadna nauka poezji nie może zrekompensować stanu transu, w jakim znajduje się poeta, gdy jego ręka porusza się po papierze, kierując się dyktandem niezrozumiałym w nim". Ale już dla Umberto Eco „inspiracja to brzydkie słowo używane przez słabych pisarzy by działali artystycznie godni szacunku". Czy naprawdę możemy mówić o tym, że dziś poezja nie jest już czystym uczuciem i kwestią chwili?

- Wszystko na tym świecie jest inspiracją. Ale musisz być gotowy i godny tej chwili. Język poetycki pochodzi z obu światów, zarówno irracjonalnego, jak i racjonalnego. Więcej od irracjonalności. Racjonalna część naszej istoty uczy się od irracjonalnego. Pierwsza lekcja to zacząć to tolerować. Potem się zaczyna rozmowę i poszerzanie przestrzeni naszej świadomości. Poezja przemawia obrazem, dźwiękiem i emocjami, ale to tylko pierwsza warstwa, ta, która najszybciej się zaciera. Następna rama jest energetyczna. Ta, która może zmieniać strukturę percepcyjną i poznawczą czytelnika. Poezja to przestrzeń wolności, miejsce, w którym dusza potwierdza swoją identyfikację. Poezja bawi się ostatnimi rzeczami naszego ciała i pierwszymi rzeczami naszej istoty. Zajmuje się rozpoznawaniem rytmu bytu. Tego najbliższego i tego najdalszego. Poezja wskazuje na wielowarstwowość naszej egzystencji, otwiera rejestry znaczeń, uświęca. Wiadomo, że inspiracja prowadzi do poezji, a poezja sama prowadzi cię do wtajemniczenia. Dlatego ją czytasz. Jest to bardziej realna rzeczywistość tego świata.

W ciągu ostatnich pięciu lat literatura serbska wzbogaciła się o ponad tysiąc tomików poezji. Czy z tego się wyłamie ilość i jakaś nowa jakość, czy raczej w tak gęstym lesie tytułów i niektórych cennych poetycko głosów pozostają w cieniu i wyschną zanim zakwitną?

- Zawsze pojawia się pytanie, czy to, co pojawia się w formie książki, jest naprawdę książką? Czasami tak jest, a czasami nie. Zdobycie książki nie jest łatwe, ani do sensu. Wiek, w którym żyjemy, jest hipernowoczesny, a jego główną cechą jest codzienność przyspieszenia przepływu informacji oraz pomysłów i możliwości życiowych. Oczywiście, za wszystkim stoi permanentna logika tymczasowości. Przed nami najczęściej wyzwania pozorów, próby komunikacji z chimerami, tego gdzie jesteśmy, gdzie jest nasz sens i jak rozpoznać esencję? Jak rozpoznać, gdzie śpi dusza? I jak ją obudzić? Choćby na chwilę? Jak być poza bytem widzialnym? Jak znaleźć w tym miejsce dla swojej duszy, w tym świecie? Jak rozpoznać jego siedlisko? Jak rozpoznać sens i ślad jej podróży? Jak być gdzie jednocześnie i jesteś i nie jesteś - zastanawiam się nieustannie. Pytania te są grą ze sensem, gdy jedziemy kolejką górską tego życia. To Pana pytanie dotyczy sfery socjologii kultury co jest nauką, przynajmniej w pewnym sensie. A poeta nie interesuje się nauką. Żyje i rozpoznaje świat w całości. Ten, w którym wszystko to jest. I to jest dla artysty zarazem szczęście i ból. I ich liczba pozornych książek, o których wspomina Pan, jest tylko wskaźnikiem czasu, mniej więcej powielając to samo. To zależy od czytelnika by móc rozpoznać świat, który go dotyczy.

Rozmawiał: **Miroslav Stajić**

Źródło: **gazeta Dnevnik, Nowy Sad, Serbia**

Tłumaczyła z języka serbskiego: Olga Lalić-Krowicka

Dariusz Tomasz Lebioda

TANGANIKA

Każda przestrzeń geograficzna prędzej czy później zyskuje pisarza, który umieszcza w niej akcje swoich opowiadań i powieści, tworzy literacką krainę, w której zdarzenia realne mieszają się z fikcją, a bohaterowie mają cechy tyleż prawdziwych ludzi, co ich zmetamorfizowanych odpowiedników. Francuski filozof i krytyk literacki Gaston Bachelard, tworząc po II wojnie światowej podwaliny krytyki tematycznej, sformułował teorię „tematów", które wybierają pisarza. Jego życie i droga tak się kształtują, że w końcu prowadzą go do dzieł, w których odzwierciedli miejsca i zdarzenia, spotkanych ludzi i ich losy. W takim kontekście można by przywołać wielu twórców, na czele z Fiodorem Dostojewskim i jego Petersburgiem, Williamem Faulknerem i krainą Yoknapatawpha, Gabrielem Garcią Marquezem i wioską Macondo, J. R. R. Tolkienem i jego królestwami Gondoru, Rohanu orz piekielną krainą Mordoru. Doświadczenia wyniesione z transformowanych wyobraźniowo miejsc, często skojarzone z dziewiczą imaginacją dziecka, wracają do pisarzy w snach i wspomnieniach, wizjach na jawie i na kartach tworzonych książek. To jest rodzaj życiowej magii, która wciąga i stale domaga się realizacji pisarskich, generowania nowych fabuł, które staną się zwierciadłem miejsc, ludzi i wydarzeń historycznych, a zarazem zaproponują daleko idące interpretacje i modyfikacje artystyczne. Tego typu działania powiązane są z ludzką pamięcią i inteligencją, a nade wszystko z plastyczną wyobraźnią, przekształcającą wszystko w nowy świat przedstawiony, równie prawdziwy jak rzeczywistość. Tylko twórczy ludzki umysł potrafi wyodrębnić szybko gasnące chwile i stworzyć z nich ciąg znaczeniowy, układający się w intrygującą opowieść, docierającą do ich ukrytego sensu w kontekście ulotności życia i szybko pojawiającej się eschatologii.

Brytyjski pisarz Abdulrazak Gurnah urodził się 20 grudnia 1948 na wyspie Zanzibar, leżącej na Oceanie Indyjskim, tuż u wybrzeży Tanzanii, blisko stolicy kraju Dar es Salam (*Domostwo Pokoju*). Jego dziecinną wyobraźnię kształtowały ogromne przestrzenie błękitu, mieniące się w słońcu nad piaszczystymi plażami i palmami kokosowymi, a także rojowisko ludzkie sułtanatu barwnej wyspy. Zawsze był to łakomy kąsek dla kolonizatorów, począwszy od Portugalczyków i sułtanów z Omanu, a skończywszy na Brytyjczykach, Francuzach i Niemcach. Dopiero w 1890 roku sytuacja ustabilizowała się i dwie największe wyspy archipelagu – Zanzibar i Pemba – objęte zostały brytyjskim protektoratem. Rdzenna ludność stale buntowała się przeciwko najeźdźcom, co po jednym z zamachów stanu, spowodowało zniesienie niewolnictwa i utworzenie rady ustawodawczej, składającej się z przedstawicieli ludności arabskiej, hinduskiej i afrykańskiej. Gurnah jako szesnastoletni młodzieniec był świadkiem rewolucji, która obaliła sułtana, a potem krwawych walk rdzennych mieszkańców z Arabami. Sytuacja ustabilizowała się dopiero w kwietniu 1964 roku, gdy z unii Tanganiki z Zanzibarem i Pembą powstało niepodległe państwo Tanzania. Wydarzenia te zbiegły się z końcem edukacji Gurnaha w ojczyźnie i emigracją na Wyspy Brytyjskie, gdzie po studiach został wykładowcą literatury w brytyjskich uniwersytetach. Choć jego rodowym językiem był bantuański dialekt suahili, to zaczął publikować prozę w języku angielskim, stając się szybko znaczącą indywidualnością, jurorem wielu nagród literackich, w tym prestiżowego Bookera (2016). To zapewne przyczyniło się do rozpropagowania jego twórczości i przyznania mu w 2021 roku Literackiej Nagrody Nobla, z jakże wyrazistym uzasadnieniem: *za bezkompromisową i współczującą penetrację skutków kolonializmu i losu uchodźcy w przepaści między kulturami i kontynentami*. Obecnie dorobek pisarza składa się z kilkunastu powieści, zbiorów opowiadań i esejów, w których porusza kwestie emigracji i tożsamości, kolonializmu, wojny i migracji ludzkich w Afryce Wschodniej. Krytyka zachowań żołnierzy i urzędników europejskich potęg, łączy się tutaj z wnikliwą obserwacją ludzi starających się żyć w tym trudnym świecie.

W latach 2022–2023 Wydawnictwo Poznańskie opublikowało w Polsce dwie powieści Abdularazaka Gurnaha w przekładach Krzysztofa Majera – *Powróceni* i *Raj*. Pierwsza z nich jest historią czterech młodych ludzi, będących ofiarami przemocy i jednocześnie jej sprawcami. To historia świata zdominowanego przez kolonizatorów, którzy pozostawili niezatarte ślady w psychikach ludzi i przestrzeniach, którym chcieli narzucić swoją dominację. Bohaterowie próbują odnaleźć drogi w trudnym świecie afrykańskich splątań i zagrożeń, a jednocześnie mają świadomość tego, że szczęście jest ulotne – *Nie można wiedzieć, jak długo potrwają dobre chwile ani czy się powtórzą. Życie jest pełne żalu, więc musisz te dobre chwile umieć rozpoznać, być za nie wdzięcznym i działać w sposób zdecydowany*. Wejście na drogę szczęścia jest jednak trudne, bo zawsze znajdą się ludzie, którzy będą chcieli temu przeszkodzić. Znamienny tutaj jest opis ciężkiego pobicia wrażliwej i inteligentnej Afiyi, której jedyną „przewiną" była nieuzgodniona z opiekunem nauka czytania. Wuj zmaltretował ją bestialsko kijem i nikt nie przyszedł dziewczynie z pomocą. To jej brat Ilyas, pozostawił ją na pastwę losu, wybierając służbę askarysa, tubylczego żołnierza, w służbie niemieckiej armii kolonialnej. Takim żołnierzem jest też Hamza, który został wprowadzony do powieści by zilustrować okrucieństwo i kolonialne zapędy Niemców w Afryce Wschodniej. Jego losy splotły się z morderczą formacją Schutztruppe (niem. *Schutz* „ochrona", *Trupp* „oddział"), dokonującą masowych zbrodni w Tanganice, Afryce Południowo-Zachodniej i Kamerunie w latach 1891–1918. Hamza jest wrażliwym człowiekiem, ale tłumi w sobie ludzkie odruchy dla kariery, stara się też lawirować pomiędzy życzliwym mu oficerem, a nienawidzącym go, zapijaczonym feldfeblem, który ostatecznie ciężko go pobije. To nieszczęście – paradoksalnie – pozwoli mu uwolnić się z niemieckiego jarzma i wyprowadzi go na szersze wody arabskich interesów. Ostatecznie odnajdzie się w nowym świecie, choć wspomnienia dopadać go będą nieustannie.

W tym świecie kupców, księgowych i drobnych oszustów trafiają się ludzie z niezwykłym wnętrzem, starający się zrozumieć okrucieństwa świata i odnaleźć własną drogę. Na to, że Afiya połączy się z Hamzą, wpływ będą miały podobne doświadczenia

związane z przemocą i długimi okresami rekonwalescencji. I on i ona, jako jej podmioty, docenią wagę spokoju, ciszy i wspólnej bliskości w obliczu gwaru ich wschodniego świata (*Szczęście, o ile w ogóle przychodzi, jest ulotne*). Upiory przeszłości stale będą jednak do nich wracać, gdy ich syn stanie się medium jakichś dziwnych przekazów płynących z daleka. Otrzyma imię po swoim wuju Ilyasie i wiele lat będzie zachowywał się dziwnie, słysząc jakieś tajemnicze głosy i przywołując zdarzenia z bliżej nieokreślonych przestrzeni. Uwolni go od nich dopiero obrzęd wypędzenia złego ducha, który zbiegnie się z otrzymaniem wiadomości o wuju Ilyasie, który zamieszkał w Niemczech, ożenił się z Niemką, a potem związał się z inną przedstawicielką tego narodu, za co zesłano go do obozu koncentracyjnego i zabito wraz z synem. Powieść Gurnaha składa się z opisów powrotów głównych bohaterów do życia i egzotycznych społeczności, próbujących odnaleźć swoją tożsamość w postkolonialnym chaosie dwudziestego wieku. Tłumacz powieści, zapewne pragnąc zaakcentować te powroty, nadał jej polski tytuł *Powróceni*, choć angielska wersja *Afterlives* oznacza późniejsze życia lub dzieje pozagrobowe. To dość kontrowersyjna decyzja, bo przecież w języku polskim nie ma słowa „powróceni", a nic by się nie stało, gdyby na okładce znalazł się tytuł *Przywróceni*, wszak chodziło tanzańsko-brytyjskiemu pisarzowi o powroty istot skazanych na zatratę do normalnego życia rodzinnego i społecznego – o ich przywrócenie światu. Nasze losy zawsze są wielką niewiadomą i w młodości nie wiemy w którym kierunku podążymy i jakich ludzi spotkamy na swojej drodze. Abdulrazak Gurnah akcentując wagę przypadku, wskazuje jednocześnie, że ludzkie pragnienie zmian doprowadzić może do całkowitej odmiany rzeczywistości, w których się pojawiamy. W takim kontekście od nas samych zależy to, co w życiu osiągniemy i dokąd trafimy, lawirując pomiędzy zagrożeniami, wchodząc na błędne szlaki, a potem wracając do

miejsc docelowych dla kolejnych dekad i całej egzystencji.

O ile omówiona wyżej proza jest dość ascetyczna w sferze wyobraźniowej i stosunkowo niewiele w niej znajdziemy odwołań do połyskliwej egzotyki wschodnioafrykańskiej, to powieść pt. *Raj* ma inne oblicze. Jest to historia chłopca, mieszkającego z rodzicami w centrum Tanganiki i bardzo ich kochającego. Od samego początku czytelnik zauważy różnicę w opisie rzeczywistości i ogromną plastyczność języka powieści, nominowanej do Nagrody Bookera (1994): *Najpierw chłopak. Na imię miał Yusuf, a dom opuścił nagle, mając dwanaście lat. Pamiętał, że była pora suszy, gdy jeden dzień nie różni się niczym od drugiego. Kwiaty, których nikt się nie spodziewał, kwitły i zaraz więdły. Przedziwne owady smyrgały spomiędzy kamieni tylko po to, by wić się w agonii pod palącym słońcem. W rozgrzanym powietrzu drżały dalekie drzewa, czuło się jak dygocą domy, złaknione tchu. Każde stąpnięcie wzbijało tuman pyłu, a godziny dnia gniótł twardy, kanciasty bezruch. Chwile o takiej klarowności zdarzały się pod koniec suszy*. To drżenie i klarowność przechodzą na cały kreowany świat wschodnioafrykański i na Yusufa, który długo nie może się odnaleźć po tym gdy rodzice oddadzą go bogatemu człowiekowi (Azizowi) za ogromne długi. Tak wyjedzie z miasteczka Kawa i znajdzie się na gwarnym wybrzeżu, gdzie podejmie pracę w sklepie, a potem stanie się uczestnikiem wypraw karawan, podążających w głąb interioru i handlujących z tubylcami. Jego wrażliwość powoduje, że patrzy na świat szeroko otwartymi oczyma i powoli zyskuje wiedzę o ludziach i ich handlowych machinacjach. Kolejnymi etapami jego edukacji będą dwa składy kolonialne, w których zostanie chłopakiem od wszystkiego. Ta jakże wąska perspektywa rozszerzy się, gdy jego opiekun zadecyduje, że uda się z jego wyprawą karawanową ku tubylcom. Chłopak jest niezwykle urodziwy i wódz jednego z plemion prawie wyłudzi go w zamian za kobietę, którą pożre krokodyl. Zbiegnie się to z pojawieniem się karawany Aziza, oskarżeniem o przyciągnięcie nieszczęścia i cudem tylko uda się jej odjechać odzyskawszy część towarów, bez utraty Yusufa. Naturalnym uniwersytetem staną się dla chłopaka wieczorne rozmowy Arabów, Szirazów i Hindusów, przyjezdnych z Zanzibaru, Jemenu, Omanu i Indii. Dość późno zostanie oddany do szkoły, gdzie wraz z małymi dziećmi nauczy się czytać i pisać po arabsku, studiować Koran i modlić się do Allaha.

Jego perspektywy poznawcze poszerzą się znacznie, a rzeczywistość zacznie mienić się licznymi barwami, co zbiegnie się też z pierwszymi doświadczeniami natury erotycznej. Karawana podąży do przodu i Yusuf będzie świadkiem krwawych ataków hien, krążenia lwów i lampartów wokół zerib, stawianych pośpiesznie podczas postojów. Nagle zacznie do niego docierać głos ptaków, monotonny szum wiatru i tajemnicze odgłosy kolejnych nocy. Na początku, po pojawieniu się w nowym mieście miał majaki, związane z psami obserwującymi go stale na ulicy i podczas podróży wrócą one z dużą intensywnością. Gurnah kreuje świat zimny, pełen zagrożeń, w którym każdy musi mieć jakąś strategię przetrwania, jakieś marzenie o raju, w którym wszystko jest cudowne: Raj to siódmy poziom, który sam również dzieli się na siedem poziomów. Najwyższy z nich to Dżannat Adn, ogród Edenu. I nie wpuszczają tam kudłatych bluźnierców, choćby ryczeli jak tysiąc rozwścieczonych lwów. Niestety dziecinna wiara Yusufa w cudowność świata zostaje szybko zastąpiona poczuciem wyobcowania i uczestniczenia w absurdalnych rytuałach egzystencji. Wyprawa ku dalekim jeziorom daje mu wiedzę o ludzkim okrucieństwie i bezwzględności handlowej, kończącej się często oszustwem, pobiciem i śmiercią. Tak zmienia się też widzenie raju, co uświadamia mu jego przyjaciel Khalil: I kto w tym Raju mieszka? Dzikusy i złodzieje, co rabują niewinnych kupców, a własnych braci sprzedają za świecidełka – zaszydził – oni tam nie znają Boga ani religii, ani nawet zwykłej ludzkiej litości. Nie różnią się od tych dzikich bestii, które żyją obok nich. Życie jest nieustannym ciągiem prób, którym poddawani są tacy nadwrażliwcy jak Yusuf i bezwzględni handlarze jak Aziz. Karawana ostatecznie powróci do punktu wyjścia, ale straty materialne i psychiczne będą ogromne, a w świadomości młodzieńca pojawi się niepokojąca wizja: Yusuf jakby dopiero teraz budził się z koszmaru. Powiedział Kalilowi, że podczas wyprawy bardzo często czuł się jak mięczak, który wylazł ze skorupy i musi sobie radzić na otwartej przestrzeni – paskudny, groteskowy stwór, który wlecze śliskie, ślepe ciało przez gruzy i ciernie. Tak zresztą widział ich wszystkich: brnęli po omacku przez głuszę na końcu świata. To nie był zwykły strach, powiedział. Zdawało mu się, że tak naprawdę nie istnieje, żyje we śnie, na skraju zagłady. Paradoksalnie te wizje wzmocnią głównego bohatera powieści i po powrocie do domu Aziza dadzą mu siłę do przetrwania kolejnych dni i nocy.

Zagrożenia jednak nie znikną, będą się pojawiać cyklicznie, odbierając Yusufowi możliwość pełnego uczestnictwa w cudowności danego mu czasu i malowniczości wschodnioafrykańskich przestrzeni. Nowe niebezpieczeństwo pojawi się, gdy kupiec Aziz wyjedzie z miasta, a jego żona, zauroczona urodą chłopaka, zacznie go przyciągać ku sobie. Została skrzywdzona przez życie brzydkim znamieniem na twarzy, ale przecież – jak w innych kobietach – wciąż pulsują w niej żądze i erotyczne pragnienia. Wmawiając Yusufowi, że jest aniołem przysłanym przez Boga, by ją uzdrowić, koniec końców próbuje go posiąść, a gdy ten ucieka, oskarża o próbę gwałtu. Na szczęście Aziz zna doskonale żonę i akceptuje wersje swojego pracownika, całkowicie rezygnując z wymierzenia mu kary. Uroda Yusufa, która powinna być jego atutem, staje się przekleństwem i generuje wciąż nowe sytuacje konfliktowe. Młodzieniec zauważa to i pragnie nawiązać bliższy kontakt z drugą żoną kupca Aminą, snując plany wspaniałego związku i wspólnej ucieczki do wnętrza kraju. Gdzieś musi być nowe życie, ale zostanie ono

znowu odgrodzone przez nieoczekiwane wydarzenia. W mieście pojawi się oddział askarysów, wychwytujący mężczyzn do oddziałów niemieckiej armii kolonialnej. Wpłynie to na dramatyczną decyzję Yusufa, który bojąc się nowych wizji we śnie i na jawie, wybierze nową rzeczywistość i ruszy za oddziałem: Znów widział, jak jego tchórzliwość migoce w świetle księżyca, przypomniał ją sobie jak oddychała, cała w śluzie popłodu. To właśnie wtedy narodziła się pierwsza zgroza porzucenia. Teraz, gdy patrzył na ten upokarzający głód zaaferowanych psów, zdało mu się, że wie, co z tej zgrozy wyrośnie. Jeszcze było widać maszerującą kolumnę, gdy za sobą, w ogrodzie, usłyszał coś jakby szczęk zamka u drzwi. Obejrzał się prędko, a potem, czując, że szczypią go oczy, puścił się biegiem za kolumną. To wyjście naprzeciw wyzwaniom nowych dni i nocy jest zarazem buntem przeciwko marazmowi życia i nieuchronności zdarzeń, którym człowiek nie przeciwstawia odwagi i wiary w szczęśliwe zakończenia podejmowanych działań. Proza Abdulrazaka Gurnaha wprowadza do ogromnego spektrum literackich tematów ludzkości przestrzenie Wschodniej Afryki (szczególnie Tanganiki i Zanzibaru), ukazuje lata dominacji kolonialnej europejskich państw, na czele z Niemcami i Brytyjczykami. Te zamknięte na zawsze przedziały czasowe, te wojny, zbrodnie i wynaturzenia, wciąż pulsują we wspomnieniach ludzi, pojawiają się w historycznych opracowaniach, filmach i na pożółkłych fotografiach. Teraz zyskały one także żywy kontekst literacki, a kolejne dzieła brytyjsko-tanzańskiego autora, będąc prawdziwymi wydarzeniami w zakresie prozy artystycznej, dopowiadają nowe treści i snują rozważania na temat Afrykańczyków, którzy zostali wytrąceni ze swoich tożsamości i bezwzględnie wtrąceni w machinę europejskiego terroru, zła i zbrodni. Każdy z nich miał swój życiorys, który prędzej czy później zaczynał domagać się ostatecznych wyborów – pomiędzy oportunizmem, a dobrem ogółu, między miłością a egoizmem, a nade wszystko pomiędzy bestialstwem a prawdziwym człowieczeństwem.

Dariusz Tomasz Lebioda

Abdulrazak Gurnah, *Powróceni*, przeł. Krzysztof Majer, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022, s. 400.

Abdulrazak Gurnah, *Raj*, przeł. Krzysztof Majer, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023, s. 301.

Robert Rudiak

FILOZOFIA

Urszula Małgorzata Benka to współczesna ikona polskiej liryki i chyba nie na darmo ten przydomek przylgnął do niej, bowiem od wielu nie schodzi z piedestału poetyckiego topu w Polsce. W trakcie ostatniej Gali Literackiej w Zielonej Górze otrzymała Laur im. Janusza Koniusza – statuetkę przyznaną przez miejscowy Oddział Związku Literatów Polskich. W winnym grodzie wrocławska poetka promowała zarazem w Salonie Słowa swój ostatni tom wierszy „Modlitwa opętania".

Do najnowszego zbioru Benki wstęp napisał zielonogórski poeta i krytyk Czesław Sobkowiak, a posłowie Krzysztof Rudowski – wrocławski pisarz i dramaturg, redaktor „Formatu Literackiego", którzy niezwykle skrupulatnie i drobiazgowo wręcz przeanalizowali i omówili zamieszczone utwory. Teksty Benki podzielone zostały na pięć cykli, każdy o znamiennym tytule, jak: „Muzyka do żywego mięsa" czy „Stada bogów jak stada bram", które eksponują i wprowadzają w klimat poetycki utworów w większości niemających odrębnych tytułów.

Tom Urszuli M. Benki jest niezwykle skomplikowany jeśli idzie o warstwę semantyczno-lingwistyczną, wymaga on bowiem od czytelnika pewnej erudycji i wiedzy literackiej. Można rzec, że jej poetycki dyskurs to istna intelektualna i wysublimowana do granic metamowa, która stawia przed odbiorcą bardzo wysoką poprzeczkę, stąd skierowana jest ona zwłaszcza do wyselekcjonowanej grupy admiratorów poezji, znawców sztuki i szeroko rozumianej kultury, mitologii, czy metafizyki, bardzo czułych na język, obrazowanie i kolorystykę, a więc malarstwo, szczególnie surrealistyczne, jak też muzykę, która jest wszechobecna w „Melodii opętania".

O czym jest więc ów enigmatyczny zbiór Benki? Lakonicznie można powiedzieć, że o wszystkim, bowiem tom liryków potraktowała poetka jak swoisty, przepastny wór z różnościami, owe varia i silva rerum, w którym po potrząśnięciu wszystko miesza się i zderza ze wszystkim, religia, metempsychoza, wierzenia, wyobrażenia, sny, wizje, lęki, emocje, natchnienie i zwątpienie. Mamy tu więc mistykę, baśniowość, oniryczność, ale też magię, opętanie, mroczność i ponurość przedstawionego świata. Z jednej strony autorka szuka harmonii i sensu egzystencjalnego trwania oraz tego, co nastąpi po nim, a z drugiej wyraża niewiarę w kosmiczny ład i porządek wszechrzeczy. Widzimy tu zatem duchowy bunt i zmysłowy chaos, nostalgiczny zamęt i podświadome obawy, istną entropię doprawioną somnambulicznymi wizjami, demonicznymi widziadłami i opętańczą sonorystyką.

W wierszu „Księga" podmiot wypowiada znamienne słowa:

trzeba czytać

lecz bezkres księgi
sprawia
że Nic zmierza
do końca (…)

Nikt odwraca strony

i wiatr ją zamyka
i odmyka
i umyka

Symbolicznie wiatr przewraca kartki ludzkich losów rzuconych przypadkiem na ziemski padół. Krzysztof Rudowski w swojej interpretacji mówi, że „bez wiatru, który przebiera kartkami, nie ma księgi". Księga żywotów zależna jest więc od podmuchów, to one sterują bytami, kierują ich życiem, od kosmicznej atmosfery zależy ich istnienie, one wpływają na dalszy ciąg żywota, decydują o losie w zależności czy jest silny, jak wicher, sztorm, huragan, cyklon czy też łagodny niczym zefir, autan, bryza.

W „Księdze opętania II" podmiot filozoficznie stwierdza:

rozkosz to ucieczka z tego świata (…)
rozkosz to ucieczka od Boga
i zarazem sam Bóg (…)
Oko Boga, tak kreatywnie
wlepione w świat, wydaje się pokraczne,
kloaczne.

Sarkazm, szyderstwo, a nawet obrazoburstwo wielokrotnie daje o sobie znać z tekstów Urszuli M. Benki. Niezgoda czy nawet bunt przeciwko światu zastanemu, przeciwko zaświatom, które mają nadejść po jego końcu, przeciwko Bogu, bogom, opatrzności, przeznaczeniu, wyroczni, wszystkiemu, co nieuniknione i nieuchronnie ma nadejść. Stąd gęsto w jej poezji od różnorakich bóstw, wiedźm, diabłów, przerażających ludycznych bab oraz krwi, amputacji, tortur, ofiar i aktów śmierci. Dlatego podmiot dopowiada:

W dżungli bóstw
Pręgowany wąsaty
Bóg
Skacze ku tętnicy Dionizosa
Orfeusza Merkurego
I zmienia postać
Długim czułym ryjem ryje w ziemi miękkiej
Wyżreć bogów podziemnych

A wszystko wymieszane niczym w piekielnym kotle odbywa się przy obłąkańczej muzyce, przy wtórze różnych instrumentów, krzyków, hałaśliwego zamętu i dziwacznych odgłosów natury. A kiedy następuje interwał, zaczyna gościć wszędobylska cisza, której towarzyszy zwykle nicość, pustka albo senna ciemność:

A sen jak rzeka
Szoruje żywiołem po dnie
(…)

Cisza bólu kaskadą kamieni

A w innym doda:
jak przez sen biegnę pustą
ulicą za Giorgio Chirico
ssssen jak rzeka

Albo:
Ciszą jesteś
(…)
Po drugiej stronie lustra

W jeszcze innym zaś dopowie:

różne są cisze tam po drugiej stronie

Można zauważyć, że świat poetycki nakreślony przez Benkę to swego rodzaju apokaliptyczna wizja przyszłości, widmo sądu ostatecznego i swoisty Dies Irae, gdzie wszystko jak w szaleńczym tańcu powraca do praźródeł chaosu, stając się nim na powrót:

światy będą się przecież zderzały
będzie uderzanie światem w świat
niebem w niebo
oceanem w ocean
dołem w dół
wojną w wojnę
Golgotą w Golgotę

I dlatego podmiot wyzna:
Słyszę coraz głośniej coraz
głośniej coraz głośniej
Głośniej głośniej Boga

A zarazem doda, że słyszy: *Śmiech ziemi-idiotki*. Miejsce mitycznej katastrofy ludzkości przedstawia więc następująco:

przez podziemne labirynty sensu i nonsensu
płyną przezroczyste łodzie
jedne z Raju inne do raju
jedne z Gehenny drugie do gehenny
pchane falami czasu podmuchami dziejów

Wielość nakreślonych obrazów i poetyckich światów, toposów i motywów, przywołanych symboli i rekwizytów, mitów i muzycznych notacji, w których poetka przywołuje Orfeusza, Odysa, Kronosa, Afrodytę, Atenę, Erosa, Psyche, Asklepiosa, Hermesa, Antikleję, Polihymnię i Mnemosyne, a także malarzy – Malewicza i Chirico oraz polskich romantyków – Chopina i Norwida, stanowi o sile lirycznego przekazu. „Za podszewką słów lub w głębi formy poetyckiej prowadzony jest dyskurs z wartościami. To jakby poetycki esej (...) – napisał we wstępie Czesław Sobkowiak – to kryptomoralny traktat, ale i kryptomistyczne przekonanie". I dodaje: „Pierwszoplanowa jest oczywiście poezja rozumiana jako język symboliczny, bo najważniejszy zawsze jest podmiot, jego zmysłowe i duchowe miary podlegające ochronie. Dyskurs poetycki wyraża mistyczną duchowość i wskazuje na poetycką filozofię Urszuli Benki. Oczywiście w konsekwencji na kontemplację nie za dużo tu miejsca, ale na refleksję, rozważania metafizyczne – już sporo".

Warto zatem zatrzymać się i prześledzić owe liryczne i paraboliczne perełki, refleksyjne wnioski i zastanowienia, eteryczne i irracjonalne obrazy, a jest w ich tomie Benki aż nadto. Oto kilka z nich:

każde lustro jest krzykiem (…)
tajemnica to przecież gra (…)

w piekle wszyscy martwotą żeśmy równi (…)
(…) przy bieli się unoszę w czerni zanurzę
aż do dna

Czego więc szuka albo oczekuje poetka w tak skonstruowanym i objawionym świecie

POEZJI

samozagłady, w którym przodują katastroficzne wizje i koszmarne proroctwa, w którym ludzkość czeka wyłącznie kosmiczna anihilacja i infernalna eksterminacja. Sporadyczne przebłyski nadziei odnaleźć możemy między innymi w takiej oto strofie:

Biegnij w światło, by mrok
śmierci cię nie opętał!
Lecz które ze świateł światłem życia? (…)

Duchy, duchy pośród mgieł
na końcu świata. Ty
i ja zostaliśmy ostatni. W błysku
nocy tylko plamy
po istnieniu

Raz jeszcze warto oddać głos C. Sobkowiakowi, który o poezji autorki „Melodii opętania" powiada, że „Jest manifestacją zwątpienia w ład świata" oraz, że „gra w nim jakby na różnych poetyckich klawiaturach – swego rodzaju «fortepianach» – równocześnie. Jej kunszt poetycki cechują bogactwo treści, zróżnicowanie odniesień. Poetka uwzględnia w jednym wierszu różne aspekty realności. Powagę iście funeralną i zarazem groteskę".

Poetka nie szuka zatem rozpaczliwie ratunku, jest pogodzona z losem i z tym, co nieodwołalnie ma nastąpić. Pragnie jedynie snuć swoją żałobną pieśń i absurdalnie igrać ze słowem, tworząc tragikomiczną, zamkniętą kompozycyjnie opowieść. Poetyckie credo wyczytać można w wierszu bez tytułu, w którym podmiot sardonicznie wyznaje:

Jestem wirusem ekosfery
Mój Pan jest wirusem sakrosfery
Po mnie zostają pustynie cywilizacji
Wysypiska technicznych cudów
Po Nim śmietniska
Świętych Duchów

Zatopić się w najnowszej poetyce Urszuli M. Benki to jakby wyjść naprzeciw zatraceniu, uciec od rzeczywistości w tragiczny mrok unicestwień, przeniknąć do światów deformacji i destrukcji, wniknąć w otoczenie kosmicznego spustoszenia i masowej zagłady przy dźwiękach opętańczej melodyki, aby potem – jak po koszmarze – przebudzić się wreszcie odmienionym, mądrzejszym, lepszym i bogatszym o nowe doznania i wrażenia.

Robert Rudiak

Urszula M. Benka, *Melodia opętania*, Oficyna Wydawnicza Akwedukt, Wrocław 2022, ss. 138.

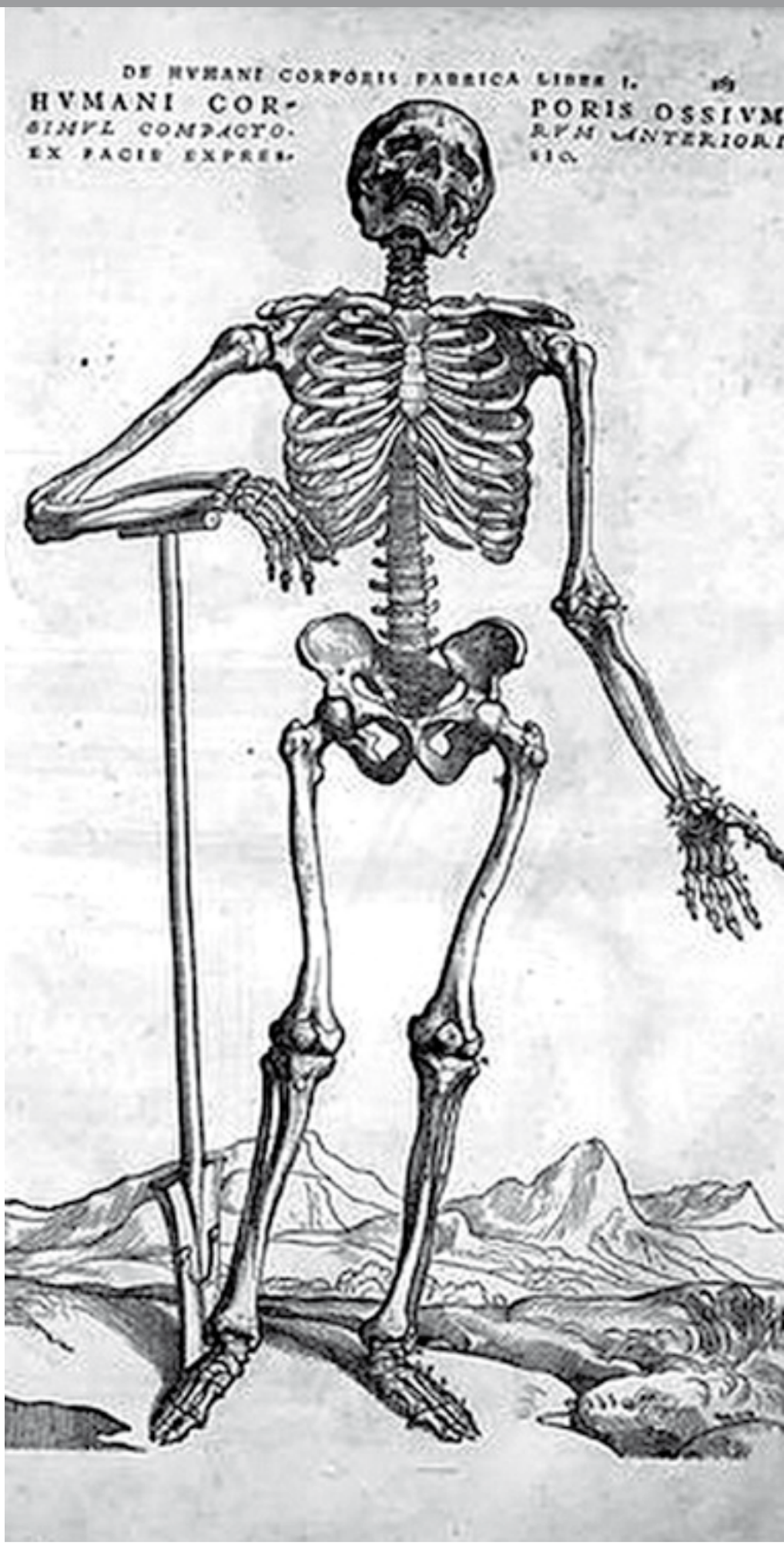

Agnieszka Moroz

Rebecca F. Kuang „Yellowface"

Kto zasługuje na sukces? Piękna i zdolna pisarka o azjatyckich korzeniach, potrafiąca wykorzystywać swoje atuty i grać rolę, jaką zaprojektowała dla niej branża wydawnicza czy jej brzydka biała koleżanka, która od lat grzeje miejsce na ławce rezerwowych, ciężko pracując nad stylem i pomysłami fabularnymi? Czy mamy prawo ukraść coś osobie, która wcześniej okradła nas? I wreszcie: co powinien zrobić seryjny kłamca, który uwikłał się w spiralę matactw: wyznać prawdę czy aż do końca iść w zaparte? „Yellowface" stawia przed czytelnikiem tyle moralnych dylematów, że kręci się od tego w głowie!

Powieść Kuang to kryminał rozgrywający się w środowisku pisarsko-wydawniczym i stanowiący jednocześnie rodzaj finezyjnego paszkwilu, który obnaża ciemne strony tego światka. Opowiada historię Juniper Song - młodej sfrustrowanej pisarki, żyjącej w cieniu wyjątkowo popularnej przyjaciółki po piórze. Pewnego dnia Juniper jest świadkiem sytuacji, która nieoczekiwanie umożliwia jej kradzież rękopisu Atheny, zajęcie jej miejsca i zaciągnięcie się lepszym powietrzem luksusowego, ustosunkowanego życia przyjaciółki, pełnego sesji okładkowych, notesów Moleskine i biżuterii z klejnotów pozyskiwanych wyłącznie w etyczny, zrównoważony sposób. Czy Juniper powtórzy sukces Atheny, budując dzieło życia na sfałszowanych fundamentach?

„Yellowface" to światowy bestseller, który od miesięcy wodził za mną charakternymi skośnymi oczkami z księgarnianych witryn i zdjęć na bookstagramie. Podeszłam do lektury tej książki z dużą dozą sceptycyzmu i raz po raz zakładałam się sama ze sobą, że okaże się przewidywalna. Bardzo mnie jednak zaskoczyła!

Wiarygodna konstrukcja antypatycznych postaci, soczysta satyra na social media i kulturowy snobizm, intryga w stylu: „ona wie, że ja wiem, że ona wie", a nade wszystko obsesja Juniper, upodabniająca ją w jakiś sposób do bohaterki „Żółtej tapety" G. Ch. Perkins czynią z „Yellowface" naprawdę dobrą powieść, która pozostawia czytelnika w stanie głębokiego egzystencjalnego niepokoju!

Zyta Rudzka „Ten się śmieje, kto ma zęby"

Lubicie, gdy narracja jest przesycona sarkazmem, a język i styl okazują się nawet lepsze od fabuły? Książki „Ten się śmieje, kto ma zęby" nie czyta się dla historii, ale właśnie dla kapitalnego stylu, gęstego od szorstkich, grubo ciosanych określeń, przypominających mi wszystkie te sytuacje, w których czułam się zawstydzona i rozbawiona jednocześnie.

Wiecie, o czym mówię? O dialogach z paniami w okienkach wszelakich instytucji użyteczności publicznej, które zwracają się do Was w trzeciej osobie, a poproszone o udzielenie informacji, rzucają zdania w stylu: „słuchaj, dziumdzio, ty głupiej nie strugaj". O anegdotach opowiadanych przez jedną z moich ulubionych ciotek, która przedstawiała ludzi bez retuszu, wskutek czego prawie każda bohaterka jej opisów miała „salutujące cyce do kolan" albo „tłusty zad", a na koniec „zostawiała swojego starego" lub „wyciągała pedały" (umierała).

W podobnym tonie przedstawia swój świat Weronika - była fryzjerka i właścicielka nieodżałowanego salonu „Wera. Zakład fryzjerski męski". Tak opisuje np. Zośkę ekspedientkę: „stała w monopolowym. A tak stała, jakby wszystkie flachy jej były. Klienci sklepowej się bali. Każdemu łapy latały jak w delirce. A w delirce tylko co czwarty." A tak wspomina pierwsze spotkanie z ukochanym: „Pysk słońcem przygrzany na skwarę. Kłaki czyste. (...) Śliczny z gęby, skórka świecąca, widać kremem po pysku jeździ."

Z nieco chaotycznej opowieści bohaterki wyłania się historia jej małżeństwa z Dżokejem (którego przyszło jej teraz pochować) i wszelkich „okolicznych" romansów z partnerami obojga płci. Przy okazji poznajemy losy jej zakładu fryzjerskiego i tragiczną historię Zosi, która razem z Werą padła ofiarą brutalnej napaści na homofobicznym tle.

To portret twardej, bezkompromisowej kobiety, która potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji i przetrwać wszelkie trudności, naniesiony na tak groteskowy obraz świata, że w trakcie lektury nie można przestać się śmiać! Polecam!

Julia Fox „Po drugiej stronie"

„Grzesznicy nie odpoczywają, pieniądze nie rosną na drzewach. Mam rachunki do zapłacenia i gęby do wykarmienia, a na tym świecie nie ma nic za darmo" - słowa piosenki „Ain't No Rest for the Wicked" zespołu Cage the Elephant, którymi bohaterka odpowiada na pytanie, dlaczego żyje tak, jak żyje, byłyby idealnym mottem dla autobiografii Julii Fox. Jeżeli czasem zastanawiacie się, jak wygląda świat z drugiej strony lustra - świat gniewnych, winnych i namiętnych, w tej książce znajdziecie pełną relację.

Mówi się, że każdy przychodzi na świat z kartami z przypadkowego rozdania. W talii Julii nie było dam ani królowych. Był za to nieodpowiedzialny ojciec, obrażona na cały świat, niedzielna matka, sąsiedzi-zbieracze, dilerzy i koleżanki, które codziennie przychodzą do szkoły w tym samym dresie. Dlatego mała Julia postanowiła grać o marzenia na własnych zasadach.

Jeśli lodówka była pusta, dziewczynka zapełniała ją, kradnąc jedzenie z marketów. W podobny sposób uzupełniała szafę, kosmetyczkę i szkolny plecak, a rodzice nawet nie pytali, jak weszła w posiadanie wszystkich tych rzeczy. W wieku dwunastu lat zrobiła sobie tatuaż, przekłuła sutki i postanowiła na chwilę przeprowadzić się do Włoch, bo w Nowym Jorku barmani nie chcieli serwować jej drinków.

Być może pomyślicie teraz, że to historia, jakich wiele. Nigdy dotąd nie czytałam jednak o osobie, która miała tyle doświadczeń „na krawędzi" w tak młodym wieku. No może poza Christiane F., autorką „My, dzieci z dworca ZOO". I choć książka „Po drugiej stronie" przeprowadza przez czytelników przez wspomnienia Fox w sposób chaotyczny i nierówny pod względem ilości opisywanych szczegółów, czyta się ją niczym porywającą, barwną powieść - z lekkim niedowierzaniem, mieszanymi odczuciami wobec głównej bohaterki i z podziwem dla jej szalonej odwagi i kreatywności!

Domina i muza graficiarzy. Modelka, aktorka i fotografka, organizująca wernisaż w konwencji własnego pogrzebu lub odtwarzająca na wystawie cały pokój z domu, w którym mieszkała, kiedy robiła prezentowane zdjęcia. To cała Julia... albo zaledwie część Julii, którą dopiero poznamy.

Judith Schalansky „Atlas wysp odległych. Pięćdziesiąt pięć wysp, na których nigdy nie byłam i nigdy nie będę"

Mała Judith lubiła przeglądać mapy i atlasy. Najbardziej pociągały ją maleńkie, niedostępne skrawki lądu o nazwach przywodzących na myśl mityczne lub baśniowe krainy, będących odbiciem pragnień ich odkrywców. Dziecięce fascynacje - niczym niespokojne wody oceanów - zawiodły w końcu Autorkę ku naukowej pracy nad kartografią i doprowadziły do powstania „Atlasu wysp odległych". Cudownego, wysmakowanego albumu, którego lektura jest jak wczytywanie się w sekretną mapę skarbów - rodzi tęsknoty, o które byśmy się nie podejrzewali.

I ja w dzieciństwie uwielbiałam studiować globus taty. Wprawiałam go w ruch i losowałam palcem miejsce na Ziemi, które powinnam odwiedzić, starając się trafić w Morze Koralowe.

Pamiętam, jak zachwycała mnie ta nazwa! Wyobrażałam sobie, że jego wody są pełne opalizujących koralików, lśniących

pereł i szklanych paciorków o idealnie transparentnych ściankach z rozpuszczoną w środku mgiełką koloru. Rzeczywistość okazała się znacznie piękniejsza, choć nie miałam dotąd okazji zweryfikować tego osobiście.

Nadal lubię za to wyszukiwać osobliwe przestrzenie (szczególnie te o poetyckiej nazwie) i zgłębiać ich historie, dlatego na wieść o nowym, rozszerzonym wydaniu mojego ukochanego „Atlasu wysp odległych" zalała mnie fala radości. Uwielbiam ten koncept - brawurowo wizjonerski i pracochłonny, a jednocześnie minimalistyczny w formie! Schalansky przedstawia w nim trudno dostępne wyspy, na których nie była i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Kartograficznym ilustracjom każdej z nich, okraszonym geograficznymi nazwami rejonów i informacjami na temat odległości od innych lądów, współrzędnych geograficznych czy stopniu zahludnienia, towarzyszą poetyckie historie, które są tak niezwykłe, że aż nierzeczywiste.

Nieliczne rodzą jednak marzenia o odwiedzeniu samotnej laguny. Autorka rozprawia się tu bowiem z mitem rajskiej wyspy. Udowadnia, że o ile Arkadia może być wyspą, piekło jest nią z całą pewnością. Schalansky znajduje je na St Kilda, gdzie prawie wszystkie nowonarodzone dzieci umierają między siódmym a dziewiątym dniem życia, na Thule o nigdy nietopniejących śnieżnych i lodowych ruinach, owiniętych gęstą ciemnością, na siedmiokilometrowej Wyspie Św. Pawła, gdzie w XIX w. rozbitkowie spotkali dwóch osobliwych mieszkańców-kanibali, na Socorro, gdzie sternik George Banning dostrzega w gęstwinie puszczy własną, przerażającą postać, na Wyspie Clippertona, gdzie wśród rozbitków ostał się tylko jeden mężczyzna, który gwałcił i zabijał kobiety, dopóki nie padł ofiarą ich krwawej zemsty...

Impulsem do stworzenia nowego wydania - obok pandemicznej izolacji, w czasie której to gospodarstwa domowe stały się swoistymi wyspami - było dla autorki odkrycie książki z gatunku isolario (zbierającego encyklopedie wysp, wydawane w XV i XVI wieku głównie w Republice Weneckiej), o którego istnieniu nie wiedziała, pretendując do roli jego twórczyni. Rozmyślając nad przeznaczeniem tych wyjątkowych encyklopedii, poczuła się na nowo zainspirowana i postanowiła wzbogacić pierwszy „Atlas" o 5 nowych wysp, spośród których najciekawsze okazały się dla mnie Setinel Północny i Midway.

Historia Johna Allena Chue, który postanowił, że wkroczy samotnie na ziemię Andamanów (jedynego dzikiego, w pełni autonomicznego ludu na Ziemi), by przynieść im Słowo Boże, oszałamia! Kolorowe „parady" odpadów, dryfujących wokół Wielkiej Pacyficznej Plamy Śmieci, przywodzą zaś na myśl schulzowskie wiecowania garnków, a ich pieśń naprawdę uwodzi!

„Jesteśmy śliczne śmieci oceaniczne! (...) elastyczne i giętkie, wielokształtne i wielojęzyczne- różowe jak kałamarnice, pomarańczowe jak kryl, jaskrawożółte, przezroczyste. Szykowne i czarujące"...

Polecam czytać w plenerze!

Maciej Marcisz „Taśmy rodzinne"

Życiorysy Jana (ojca) i Marcina (syna) mają diametralnie różne punkty wyjścia. Dzieciństwo Janka jest naznaczone biedą, wszechobecną brzydotą i oparami alkoholu, przez które czuje się nikim i jest zmuszony traktować każdą sprawę śmiertelnie poważnie. Marcin dorasta w luksusie, który pozwala mu brać wszystko w nawias i posypywać otaczający go świat hojną dozą sarkazmu. Za pieniądze ojca rozwija - faktyczne lub tylko przypisywane mu - talenty i latami wyrabia sobie kosztowne wyczucie smaku. W końcu nabiera przekonania, że jest kimś wyjątkowym i aspiruje do miana artysty.

Nie musi nawet niczego tworzyć - montuje filmiki ze starych rodzinnych nagrań na kasetach VHS i zatrudnia aktorów do odgrywania wybranych scenek w jego instalacjach. Najważniejsze by nie zniżyć się do poziomu ludzi wykonujących zwykłe, nudne prace. Co prawda Marcin ma 63 tysiące złotych długu, a jego status stypendysty jest boleśnie tymczasowy, lecz lada dzień los chłopaka mają odmienić pieniądze z funduszu powierniczego. I nagle jego ojciec zmienia zdanie, odcinając syna od wyczekiwanego dofinansowania…

„Taśmy rodzinne" to powieść o złożonych relacjach między najbliższymi, rozgrywająca się na tle popeerelowskich transformacji. Dobrze oddaje atmosferę ówczesnych społeczno-politycznych przemian i rodzące się na ich fali marzenia małych przedsiębiorców o błyskotliwej karierze w stylu Zachodu. Marcisz niezwykle trafnie uchwycił w tej powieści paradoks wiecznego niedopasowania przedstawicieli pokolenia millenialsów. „Wrobieni" w wyższe wykształcenie, a jednak nie dający się zdefiniować przez konkretny zawód. Bywali w świecie, nowocześni, znający języki, a jednocześnie niepraktyczni i niemal bezradni w kryzysowych sytuacjach. Właśnie taki jest główny bohater „Taśm", Marcin Małys.

Ale powieść ta ma jeszcze jedną ważną postać - pieniądze. Pieniądze pożądane i przeklęte, zawsze obecne tuż pod powierzchnią dialogów i wzajemnych żalów bohaterów, zatruwające wszelkie myśli i uczucia. Przezroczyste, gdy są w ich posiadaniu i szczerozłote, nieomal baśniowe, gdy tylko się im kończą. Marciszowi udała się wyjątkowo trudna sztuka oddania istoty tragizmu związanego z dorabianiem się według schematu „od zera do milionera". Jego bohater dorastał w poczuciu niższości wobec rówieśników z zamożnych rodzin i bardzo bolały go ich drwiny. Postanowił więc, że spożytkuje całą energię na zdobycie bogactwa i zapewni swoim potomkom życie, jakiego sam nie miał. Nie przewidział tylko jednego - że staną się przez to podobni dzieciom, których tak kiedyś nienawidził - narcystyczni, niewdzięczni i przepełnieni pogardą wobec ludzi prostych, wiodących skromne życie.

Uprzedzam – ta książka Was zaboli.

Agnieszka Moroz

Adam Nowacki

Milijan Despotović

OSIĄGNIĘCIA DUCHOWE JĘZYKA

Eligiusz Dymowski: „Ziemia kamienna"

Poezja przemówiła z ciszy. Jest jej złotym podziałem w czasie, kosmicznym istnieniem we wszechświecie. Wszystko inne to zmiażdżona (nie)rzeczywistość. Za pomocą słów można wznieść ducha do pierwotnego początku i uspokoić się. Przestrzeń pośrednia jest owocem poetyckich poglądów, wniosków i doświadczeń. Stąd, każda lektura otwiera przed nami to, co niemożliwe i niejasne, ze swoją skompresowaną energią kamienną postawę poetycką, którą przyjmuje się i utrwala jak perłę, jak tak mówi polski poeta Eligiusz Dymowski[1]: „przytul do dłoni kamień". Tak nazywa się pierwszy cykl jego tomiku poetyckiego „Ziemia kamienia" [2], który mógłby być i mottem tomiku. Kamień jest świętym znakiem, jego trzepotanie strun głosowych Bóg w nas słyszy. W udręce i ciężarze życia szukamy błogosławieństwa dla decyzji, które wypływają z wątpliwości, a błogosławieństwem jest góra – mówi Dymowski – „jest w tobie". Wszystko jest Tobą i wszystko jest z Ciebie i w Tobie. Świętość znajduje się w zwykłych rzeczach, jak to mówi eseistka Zorica Andrić Mandarić: „Duchowość to sieć, która przechowuje esencję życia znanego nam w niezrozumianej wszystkim - przestrzeni, z którą jest gdzieś przywiązana, tam myślą Stwórcy. (...) Duchowość jest istotą bycia ludzkiej ewolucji, przyszłości. Człowiek jest oceanem powiązanym łańcuchami samotności. (...) Na swych brzegach zostaje pokonana cudowna sztuka hartowania."[3]

W końcu życie dźwiga się „na ramionach Pana", stąd ta tradycja monastyczna i pielgrzymkowa ducha, jasność wyznania, z jaką Eligiusz ze swojego doświadczenia przypomina czytelnikowi w myślach, że zbawienie leży w skromności. Być sobą w samym sobie gdyż Zbawiciel ludu „narodzony w grocie/ bez wygód i szału". Dzięki temu człowiek otrzymuje dobro, które wymyka się tym „okaleczonym umysłom". W ten sposób nadeszły okrutne „plagi ludzkie", które wywróciły do góry nogami świat prawdy i sprawiedliwości, ale jak mówi Eligiusz, „Historia nigdy nie będzie sprawiedliwa dopóki nie zmierzy się z prawdą." Jest wiele zbrodni, które miażdżą myśli o prawdzie i sprawiedliwości, sprawiedliwości Bożej. Przypomina jednak, że nie powinniśmy zapominać, że „na tej scenie zbrodni nie kończy się człowieczeństwo".

Wystarczy odrobina godności, aby zachować świat w świątyni, tym razem poezji, zasianej do podłoża mózgowego, uwielbienia i pamięci. Wybuch słów bronią prawdy, nawet gdy ona milczy krzyczy kamień [4]. Te słowa są świadkami jego prawdziwego wołania, nie cofnęły się przed nikim. Mogą z biegiem czasu kwestionować wszystko, co jest niesłusznie oskarżane. Jedyna prawda jest taka, że: *do śmierci nigdy nie dorastamy*

do śmierci nigdy nie dorastamy
i nie dorośniemy
zawsze przychodzi za wcześnie
dlatego wierzymy jak dzieci
że nie uczyni nikomu krzywdy
kiedy ocalimy pamięć

Istnieje niesprawiedliwość, ale chodzi o wers „nie uczyni". Dlatego Eligiusz Dymowski wierzy w sprawiedliwość, co przychodzi z esencją filantropii, którą lubi poeta i myśliciel religijny, który głosi: „wierzymy jak dzieci". Na zewnątrz tej wiary pozostają ci, którzy nie mają energii duchowej, być może walczącą siłą chaosu w sobie, którą trzeba uspokoić siłą myśli, które w pozytywnym sensie są często motywem wielu śpiewów, także tego poety. Dlatego jego wiersze nie mają jedynie świętego lub zwyczajowego zapisu („Dzień zaduszny"; „Na starym cmentarzu w Krośnie"), ale także przymierzowe przestanie o dziedziczeniu, narodzinach, trwaniu. Śmierć ma sens jeśli życie, które zostało ogłoszone, pozostanie za nim pamięcią, bo: „zastygło życie/ w zapomnianych grobach". Albo w nieznanym, bez śladów. Opór na cierpiących obszarach serbskich kamienne znaczniki zwane - krajputaši są zapomniane.[5]

Kamienny list pozostał, aby swoim tekstem przetestować sumienie barbarzyńców i złych pielgrzymów na zawsze. Dlatego wydaje mi się, że ten polski poeta zrodził pomysł na antologię wierszy o kamieniu, o cierpiących w różnych obszarach świata. Tym bardziej, że zawsze ofiarą, najczęściej niewinną, jest człowiek. I kamienny człowiek ma swoje okna na swojej skórze, przez które dusza przechodzi, ale przechodzi przez nich i do nocnych dialogów z bezdusznymi. Taki właśnie jest kamienny człowiek, który „znalazł sposób" na życie po sobie. [6] Temat śpiewającej kamiennej ziemi otworzył drzwi do przestrzeni, gdzie grzechy gromadzą się przez „sąd ostateczny", bo zdaniem Eligiusza nadszedł czas by przestał „czas apokalipsy ludzkich dziejów. " Wszystko w sensie duchowym i poetyckim, ale i w ogóle, stało się zbyt poważne: „Zadrżał tron miłosierdzia i posępniała twarz/ Zbawiciela." Adresowane jest do człowieka ostatnie napomnienie, aby uwolnić się „od nienawiści i grzechu", tak aby schodziło błogosławione promienie słońca. Jesteśmy to winni świętej Jerozolimie, żeby strzec deifikowane piękno ziemi:

Ziemio piękna, Ziemio obfitująca
w potoki, źródła strumienie. Ziemio pszenicy,
jęczmienia, winnic, fig i granatów,
Ziemio radości i smutków,
*Ziemio wiary, nadziei i miłości.*W tej idylli otrzymujemy także dobroczynny kamień („przytul do dłoni kamień/ ukoi ból"). Czytelnik znajdzie kamień leczniczy w tym tomiku poezji, który w każdym wersecie emanuje szczególną energią wiążącą, którą uzupełniamy nasz duchowy intelekt.

W drugim cyklu tej książki, noszącym symboliczny tytuł „nim zajdzie słońce", poeta zdaje się spieszyć, aby światło miłości i nadziei zajaśniało nad każdą istotą, tą, która jest mu współczesna i nad wszystkimi tymi, którzy są w przestrzeniach Bożych lub estetycznych spokojni lub znajdują się w ruchu lirycznym. Gdy pisze o ciszach w „w dolinie niespełnionej miłości" (wiersz poświęcony Adamowi Mickiewiczowi).[7] Eligiusz odsłania nam symbole i ślady, które przypominają nam o Mickiewiczu, o tym wielkim człowieku, dla którego najważniejsze byli miłość, patriotyzm i wiedza. Adam był ważną osobowością romantyzmu polskiego, słowiańskiego i europejskiego i uważany był za największy autorytet duchowy, „odbite w rzece światło księżyca", które „wydobywa cienie zakochanych dłoni". Zmartwychwstanie ciała jako możliwość jest dla Eligiusza jedynie zrozumieniem życia jako wiecznej rzeki, której to „Źródło czyste – / u bram nieba" staje się zbawieniem tej owocnej „ziemi kamiennej".

Mosty pamięci i wdzięczności znajdują się w tym tomie dla nich najmocniejszą część poezji w ogóle atrament i krew, w których pojawiają się twórcze myśli stapiające się do zapisów. Mowa jednego z nich również tutaj wyróżnia się i jaśnieje z drzewa życia jak matczyny olbrzym, który opiera się każdemu wstrząsowi. Taki jest wiersz poświęcony matce i nie da go się też pominąć. Dlatego przyjmuję go z wdzięcznością i uwzględniam w swoich pokornych myślach na temat tej książki. Wiersz ocieplony lirycznymi słowami, które to rozjaśniają ciemną ścieżkę, którą poszła matka i „chleb błogosławiła", który pozostawiła, aby „by stygł po bożemu", teraz z naszą tzą pamięci. Jej portret obserwuję w wierszu Eligiusz Dymowski:

PATRZĄC NA PORTRET MOJEJ MATKI

ty któraś chleb błogosławiła
wyjmując z brzucha pieca
by stygł po bożemu

po latach wspominam
twe oczy chabrowe
w których pełnia lata
złotym pachnie zbożem

gdy w snach powracasz
szept twojego głosu
roznosi się echem z pobliskiego lasu
do którego biegałaś po szyszki na zimę
jak rozbawiona dziewczynka
na odpustowy stragan

Książka „Ziemia kamienna" to płodne językowo i duchowo dzieło, ma swoje znaczenie i szczególną wartość. Gdziekolwiek to czytasz, ma się pełne wrażenie, jakby ta poezja przemawiała z Ciebie, z Twojej piersi, że jesteś z nią spokrewniony. Tak więc poeta odniósł sukces i tak, aby osiągnąć artystyczny kontakt wiersza z czytelnikiem. To właśnie ta zdolność językowa ma uniwersalny klucz do jej otwarcia, a on poeta został obdarzony tym kluczem. Ponieważ kiedy mówi się o jego myślach „zgadzają się z prawdą kosmiczną, takimi więc są najpiękniejsze osiągnięcia językowe." [8]

Milijana Despotović

W Pożedze, Serbia
10 stycznia 2022 r

Tłumaczyła: Olga Lalić-Krowicka

1 Eligiusz Dymowski (Sannikach, Polska, 1965) pisze teksty z teologii ogólnej, poezję i krytykę literacką. Opublikował 14 tomów poezji. Mieszka w Krakowie.
2 Eligiusz Dymovski: „Ziemia kamienia", Svitak, Požega, 2022.
3 Zorica Arsić Mandarić: „Zlatni presek samoće"
4 W Piśmie Świętym jest powiedziane: „Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą» " (Łk 19, 40).
5 Więcej o wędrowcach w książce Milijan Despotović: „Żywe dusze kamienne, Stowarzyszenie „Ljubomir Marić", Kosjerić, 2021.
6 W swoim tomiku wierszy „Po drugiej stronie słowa": Svitak, Požega, 2017 w wierszu „O człowieku, który nigdy nie odnalazł siebie" – pisał Eligiusz Dymowski:
Człowiek
Który nigdy nie odnalazł siebie
- nie żyje
7 Adam Bernard Mickiewicz (1798–1855) polski pisarz i poeta żył na emigracji w Rosji, Włoszech, Francja i Szwajcaria. Spotkał Goethego w Niemczech. Od 1840 r. uczył języków i literatury słowiańskiej do Kolegium Francuskiego w Paryżu, gdzie pracował na przykładach serbskiej literatury ludowej oraz tragedii „Obilić" Simy Milutinovicia Sarajliji (1791–1847. Sima był serbskim poetą i nauczyciel Niegosza). Milan Marković w Serbii w 1934 roku opublikował książkę „Adam Mickiewicz i serbska poezja ludowa".
8 Zorica Arsić Mandarić, ibid., s. 274.

Marta Fox

Pigmalion, czyli inny świat

Znowu się to zdarzyło. A już myślał, że ma to za sobą" – pierwsze zdania powieści Dawida Markiewicza sugerują tajemnicę. Zaimek „to" wprowadza klimat zaciekawienia i od razu chciałoby się zapytać „co". Debiutancka powieść poety, fotografika, podróżnika, zawodnika brazylijskiego jiu-jitsu jest dla tych, którzy żyją na półce z książkami i płytami. Którzy słuchają wykwintnej muzyki i lubią malarstwo.

Jest to powieść magiczna na wielu płaszczyznach, magiczne i tajemnicze są też relacje bohaterów. Ale to też powieść realistyczna, rzeczywista, obfitująca w wiele konkretów, drobiazgów, jakby autor był pewien, że „Bóg tkwi w szczegółach, a diabeł wszędzie" (Carloz Ruiz Zafon). Skojarzenie z realizmem magicznym pisarzy iberoamerykańskich nasuwa się samo.

Akcja dzieje się teraz i gdzieś, dokładnie nie wiadomo gdzie. Podczas lektury wyobrażałam sobie, że to mała miejscowość na południu Europy. Pigmalion jest dziennikarzem pracującym zdalnie, jakbyśmy dziś powiedzieli. Pisze artykuły na różne tematy, związane najczęściej szeroko pojętą kulturą (o malarstwie, muzyce, filmach, książkach). Korzysta z wolności „od" przymusu chodzenia do pracy, jest panem własnego czasu, co wymaga wielkiej dyscypliny, bo tego typu wolność jest dla ludzi z wyobraźnią i wewnętrzną siłą. Ma specyficzną umiejętność wcielania się w postaci, o których pisze. Któregoś dnia dostaje niezwykle intrygujące zlecenie, polegające na tym, by nie tylko przeczytać dzieła Louisa Ferdinanda Celine`a, ale i stać się nim. Zaangażowanie się w tę pracę przynosi odpowiednie profity, ale i sprowadza na bohatera szokujące wydarzenia, o których zmilczę.

Pigmalion mieszka z ukochaną Laurą, która maluje swoją wersję obrazu Gauffiera „Pigmalion i Galatea". Pracują twórczo, więc w samotności, nie wchodząc sobie w drogę, ale też mają swoje codzienne rytuały, świadczące o ich wielkiej bliskości. Laura też ma dziwactwo, bo uzależniła się od kawy z domieszką farby olejnej.

Czy się kochają? Czy namiętność daje im wytchnienie i szczęśliwość? Czy światy sztuki, z którym obcują uwzniośla ich, dając harmonię, czy wewnętrznie poniewiera? Jaką cenę płacą za to, że traktują książki nie jak przedmioty, ale wartości duchowe? Czy pachną radością czy smutkiem? Czy Laura w ogóle istnieje?

Kochankowie celebrują życie na swój artystyczny sposób. Bardzo to jest pociągająca wizja codzienności, w której nie ma rywalizacji, polityki, ani zawiści. Chciałoby się iść taką drogą, z obrazami ulubionych malarzy po lewej stronie, z książkami ulubionych pisarzy po prawej. Pomiędzy gotować pyszne dania wedle diety śródziemnomorskiej, odwiedzać puby i dobre restauracje, spotykać intrygujących ludzi, z których każdy niesie z sobą przygodę. I jeszcze przyjaźnić się z Zoe, kobietą, która zna inne światy.

„Pigmalion" to powieść krzepiąca, bo pokazuje, że można być związanym z formami egzystencji, w których sztuka stanowi normę. To powieść niosąca nadzieję, że i na swojej drodze możemy spotkać kogoś, kto podobnie myśli i patrzy w tym samym kierunku. A przy tym jest w tej powieści dramaturgia, więc nawet jeśli pominie się Bernarda Shawa, Borisa Viana, czy Huntera Thompsona, a także Larsa von Triera, Milesa Daviesa, czy Erica Satie, to i tak uczestniczy się w niebanalnej przygodzie.

Marta Fox

Dawid Markiewicz. Pigmalion. Wydawnictwo Red Wine Publishing.

Dariusz Tomasz Lebioda

Smród i flegma

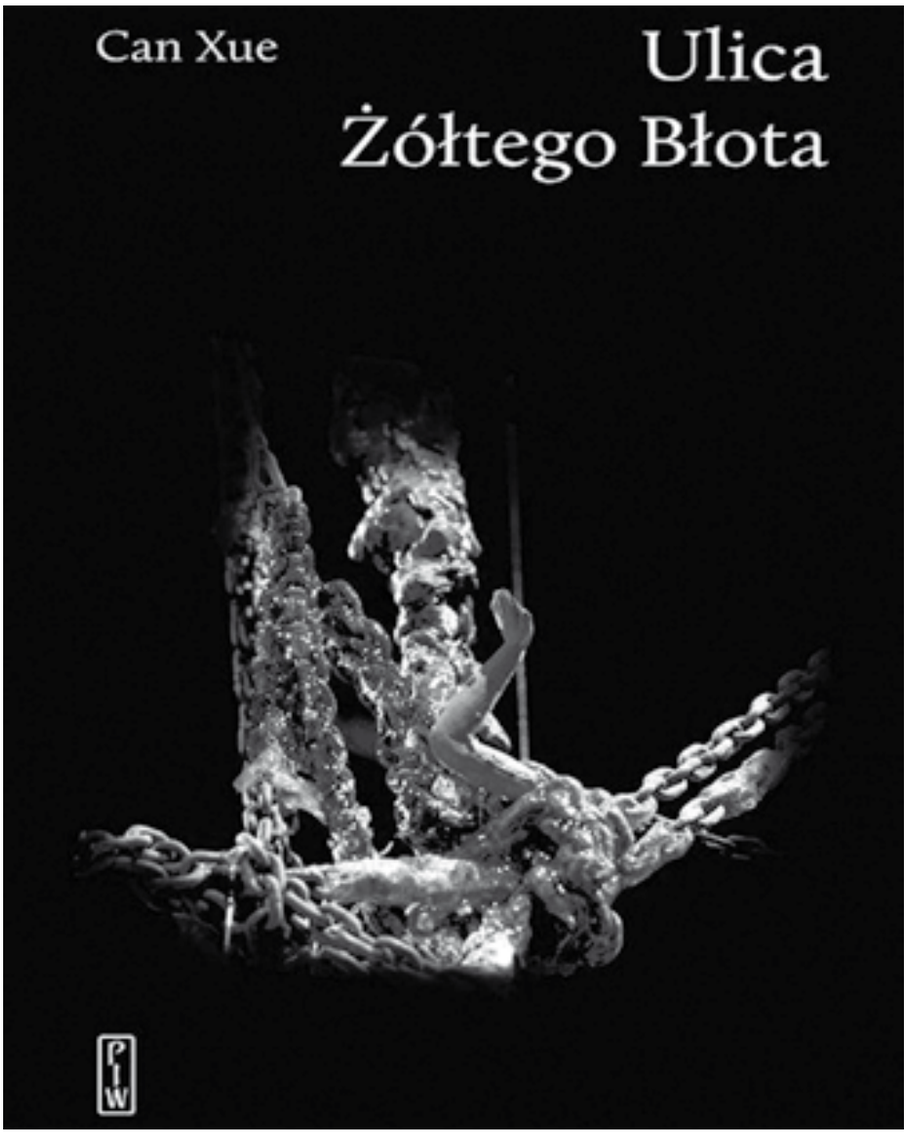

Chińska pisarka Can Xue, urodzona w 1953 roku w prowincji Hunan, co roku wymieniana jest jako kandydatka do Nagrody Nobla. Niegdyś była to coś bardzo znaczącego, ale po ostatnich październikowych werdyktach, premia ta staje się coraz bardziej kontrowersyjna. Zasługi takich wielkich prozaików jak Salman Rushdie, Joyce Carol Oates, Haruki Murakami czy poetów jak Adonis, Antonio Gamoneda, Billy Collins, regularnie są pomijane. W przypadku autorki *Ulicy żółtego błota* ewentualna nagroda szwedzkich akademików także byłaby sporym szokiem, szczególnie dla tych czytelników, którzy z niesmakiem przerywają lekturę jej książek lub po kilkunastu stronach odkładają je na zawsze na półkę. Choć często wskazuje się ją jako jedną z najwybitniejszych współczesnych pisarek Kraju Środka, kontrowersje są tak wielkie, że tłumaczka autorki – Katarzyna Sarek – we wstępie do pierwszej opublikowanej w Polsce powieści, przygotowuje odbiorcę, że może się poczuć dotknięty: *Drogi czytelniku, sięgasz po tę książkę na własną odpowiedzialność – bądź gotów na zanurzenie się w świecie niekończącego koszmaru sennego, w którym kolejne sceny i obrazy cię zniesmaczą, przerażą i odrzucą, bowiem Can Xue pisze jak medium, przez które przemawia mroczna podświadomość, zarówno jej własna, jak i zbiorowa. Bądź gotów na paranoicznych bohaterów popychanych do działania destrukcyjnymi impulsami i wypartymi pragnieniami. Przygotuj się na świat pełen nieprzewidywalnych niebezpieczeństw, w którym nie obowiązuje logika, a przemoc potrafi nadejść z rąk obcych i bliskich*. Rzeczywiście lektura tych książek przynosi wrażenia ekstremalne, choć z drugiej strony eskalacja brudu, smrodu, fekaliów, próchna i zgnilizny pojawia się u wielu współczesnych pisarzy, żeby wspomnieć tylko Llosę, Coetzee'ego, Kosińskiego i Lu Xuna. To wyraz buntu przeciwko zakłamaniu kultury kolorowych magazynów, które prezentują blond piękności, kreują męskich idoli rodem z Hollywoodu, a przecież każdy człowiek ma też swoją – jak to nazywał Czesław Miłosz – smrodliwą naturę i regularnie udaje się do wychodka. Ciekawym doświadczeniem dla światowych snobów literackich byłoby odebranie Nagrody Nobla przez Chinkę w brudnych łachmanach, oblepionych krwią i kałem. Can Xue najbardziej by się do tego nadawała, choć z drugiej strony, jej proza jest eksperymentem na świadomości i może wywołać szok, który odmieni ludzkie życie i pomoże człowiekowi podjąć właściwe decyzje. Fekalia, czyraki, ropa i flegma to ulubione atrybuty pisarki, która buduje obraz społeczeństwa na negatywach, a przestrzeń zapełnia murszejącymi kształtami.

Autorka przeżyła wielką traumę w dzieciństwie, gdy jej rodziców i rodzeństwo uznano za wrogów komunizmu i w ramach kampanii przeciwko prawicowcom, zesłano do obozów pracy. Tak zaczęło się pulsowanie okrucieństwa w jej życiu, bo bliskich prześladowano także w czasie rewolucji kulturalnej, wyznaczając jej rolę „bosonogiej lekarki" i robotnicy w zakładach metalowych, skazując na głód i odbierając elementarne cząstki człowieczeństwa. Krytycy spierają się, czy wpłynęło to na kształt prozy Can Xue, choć dyskusje tego typu mają charakter akademicki, wszak powszechne jest w literaturze światowej wykorzystywanie przez pisarzy ich doświadczeń życiowych, ze szczególnym uwzględnieniem dzieciństwa. Skala makabry w Chinach była w dwudziestym wieku przerażająca i jednostki słabe tego nie wytrzymywały, a jeśli już chciały się przeciwstawić systemowi, to podejmowały działania tajne lub afirmowały rzeczywistość, udając podległość, w gruncie rzeczy stając się najzagorzalszymi dysydentami. Proza tej siedemdziesięcioletniej pisarki jest jakby drugim dnem chińskiej rzeczywistości dwudziestego pierwszego wieku i ukazuje ogrom cierpienia, które łka pod obrazami wielkich wieżowców, rozległych autostrad i estakad, mknącego w dal jak strzała szybkiego pociągu i samolotów komunikujących niemal wszystkie miasta kraju. Can Xue jest piewczynią dawnych, brudnych Chin, w których zabudowa była niska, pomiędzy wąskimi uliczkami snuły się szczury, bezdomne psy i koty, a z dziur w murach wychodziły skolopendry. W kuchniach roiło się od karaluchów i much, fekalia wylewano na ulice, jedzono byle co i pito szarą, skażoną bakteriami wodę. Ludzie byli przekonani, że żyją w ogromnym ścieku, od którego nie ma ucieczki, a jedyną szansą odmiany losu może stać się kariera partyjna na jej kolejnych poziomach. Depresja i przekonanie o nieuchronności losu rymowały się tutaj z poczuciem przegrania, winami całych pokoleń i pokornym schyleniem czoła przed oprawcą. Rację ma tłumaczka, gdy pisze: *Can Xue pokazuje chorą społeczność, w której każdy osobnik zachowuje się irracjonalnie. Jej bezlitosna krytyka natury ludzkiej jest wymierzona w zbiorową świadomość, która na brak sensu reaguje paranoją, porzuceniem ludzkich uczuć i zachowań.* Z drugiej strony, co pozostaje ludziom, którzy tyle razy przekonali się, że walka nie ma sensu, a tylko taktyka mimikry pozwala przeżyć, tylko udawania entuzjastyczne zaangażowanie w absurdalne „kreacje" urzędników, dają niewielkie profity.

Ulica żółtego błota jest próbą odtworzenia rzeczywistości skażonej i zdeformowanej, w której wszechwładnie króluje zgnilizna. Metodę Can Xue można porównać z nagryzaniem jabłek i pozostawianiem ich w takiej formie. Szybko wtedy pojawiają się małe, ruchliwe muszki, zlatują zewsząd inne uskrzydlone owady, a z owoców zaczynają wychodzić białe larwy. Formułę Heraklita z Efezu zastępuje tutaj teza: wszystko gnije, nic nie opiera się rozpadowi, nikt nie jest w stanie zatrzymać degradacji świata. Ten fragmentaryzm jest zamierzony i głęboko przemyślany i nie dziwi to, że kolejni bohaterowie prześcigają się w eskalacjach brudnych przekształceń i deformacji, popisują się wulgaryzmami i uproszczonymi charakterystykami mieszkańców Ulicy Żółtego Błota. Takich miejsc w dawnych Chinach było wiele, a choć postęp zniwelował je i zastąpił nowoczesną architekturą, znakomicie zaplanowanymi osiedlami i parkami, pozostały dawne fotografie, wspomnienia ludzi żyjących w chorowitych przestrzeniach i plastyczne, literackie odtworzenia takich pisarzy jak Mo

Yan, Xiaobo, Lianke i Can Xue. Brud i smród spalonego tłuszczu z krematoriów rymują się w takich prozach z cierpieniem i poczuciem przegrania, a czarne, surrealne deszcze zasilają system ścieków: *Wszyscy mówili, że to dziwny deszcz, krople wyglądały jak drobiny gęstego, czarnego atramentu i cuchnęły niczym brudna woda ze ścieku. W poprzednie lata również zdarzały się dziwne deszcze, na przykład śniętych ryb czy szczurów, ale nigdy wcześniej nie było takiego – tak czarnego, tak cuchnącego i tak niemającego końca.* (s. 93-94) Ludzie w takim świecie przystosowali się do dyktatu zgnilizny i rozpadu – jedzą muchy, karmią dzieci szczurzym mięsem i nieustannie wysiadują w brudnych latrynach. Wiedzą, że nie mają szans w konfrontacji z entropią i godzą się na udział w kolejnych mistyfikacjach dziwaków obejmujących ważne funkcje w społeczeństwie. Pojawiające się choroby, ropienie ran i flegmę w płucach przyjmują jako element ich świata, tak samo istotny jak zapchane nocniki, brudne pościele, podarte ubrania i zdezelowane buty. Świat nie jest jednowymiarowy – mówi Can Xue – ma wiele mrocznych zakamarków i miejsc wstydliwych, w których bytują organizmy powszechnie klasyfikowane jako ohydne i przerażające. Autorka brawurowo łączy je z ludźmi, kreśląc ciąg okropnych postaci, żyjących na granicy snu i jawy, snujących się między domami, zaułkami i podwórkami, zamiast do filharmonii, muzeów i galerii, chodzących do wychodków, wegetujących w mrocznych szpitalach, zainfekowanych niebieską ropą i sepsą, rozdeptujących karaluchy i polujących na szczury, nietoperze i skolopendry.

Jeśli czytelnik zinterpretuje ewokacje pisarki dosłownie, szybko odłoży książkę z niesmakiem i nie zauważy jej metaforycznego przesłania. Wszak mamy tutaj do czynienia z kreacją świetlistego umysłu, doświadczonego tragicznie w zdeformowanej chińskiej rzeczywistości. Prędzej, czy później, musiała się w niej pojawić zjadliwa ironia, wykorzystująca obrazy rodem ze śmietnika i ścieku. Can Xue ukazuje skalę deformacji Mao Tse Tunga, który dotarł ze swoimi chorymi pomysłami o wiele głębiej, niż to pierwotnie mogło się wydawać. Zagnieździł się w świadomości pokoleń i zranił je tak, że nie były w stanie podjąć realnej walki, a w takiej sytuacji tylko wieloznaczna metafora mogła stanąć do konfrontacji z ropiejącą traumą i najświatlejsze chińskie umysły szybko to pojęły. Niestety często – jak choćby w przypadku poety I Qinga – kończyło się to zamknięciem w obozie pracy, szyderstwem hunwejbinów, zesłaniem na zapadłą wieś lub egzekucją na stadionie sportowym. *Ulica Żółtego Błota* powstała z poczucia krzywdy i bólu, jako przybliżenie konkretnych przestrzeni tego typu, ale też stała się metaforą całych Chin, rzucanych na kolana przez kolejnych cesarzy, uzurpatorów i dyktatorów. To oni odpowiedzialni są za poczucie beznadziei i przemieszanie obrazów realnego świata i ułudy: *Koszmar senny krążył w bladym blasku gwiazd, czarny, pusty płaszcz. Z nieba dochodziły dźwięki ogryzania kości. Popiół z krematorium padał jak deszcz. Zdechłe szczury i nietoperze gniły na ulicy. Blady mały okrąg rozmyty jak cień dźwigał się powoli ponad dachy domków przypominających podarte parasole*. (s. 203) Tak miniatura staje się hiperbolą, a jednostkowe doświadczenia zobrazowały katorgę całego narodu – tak kreacja pisarska zyskała walor najprawdziwszego dowodu, przedłożonego przed sądem historii.

Dariusz Tomasz Lebioda

Can Xue, *Ulica Żółtego Błota*, przeł. Katarzyna Sarek, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 204.

Mateusz Wabik

Jeszcze raz o tajemnicy i o „kobiecie przy oknie"

W marcu 2024 roku ukazał się nowy numer „Toposu" wraz z książką Jerzego Ł. Kaczmarka pt. „Wszystko, wszystko…". Nie był to jednak premierowy tomik z odnalezionymi wierszami zmarłego trzy lata temu poety, ale zbiór wierszy złożony z jego dwóch ostatnich książek poetyckich – „Niewidzialny stygmat" z 2019 i „Aż do pierwszego słowa" z 2022, które ukazały się w „Bibliotece Toposu". Szkoda, że wydawca nie zamieścił w podtytule książki na okładce, albo w czytelnym miejscu na okładce czasopisma, że wydane wiersze Kaczmarka to wybór wierszy, gdyż dla każdego kto w miarę regularnie kupował „Topos" to jednak zupełnie niepotrzebna książka. Lepiej byłoby wydać wybór obejmujący wszystkie jego książki, a nie zbiór wierszy z poprzednich dwóch tomików, które niedawno się czytało i już się je miało.

W poezji Jerzego Ł. Kaczmarka dochodziły do głosu tęsknoty metafizyczne, poszukiwanie znaków obecności innej sfery rzeczywistości. Autor w wierszu „Ballada o mistykach" uważał, że poeta podobnie jak mistyk, czy święty był przekonany o tym, „że jest inny świat", ale jego zdanie nie liczyło się i wielu ludzi niedowierzało mu, gdyż byli zajęci pracą i codzienną walką o byt. Na przekór współczesnym tendencjom poetyckim – awangardowym i zaangażowanym społecznie, poeta w ujęciu Kaczmarka miał coś z romantycznego wieszcza i wyobcowanego artysty młodopolskiego niepogodzonego ze społeczeństwem. Poeta dla Kaczmarka był kimś w rodzaju wtajemniczonego w sprawy ducha, niczym druid w kulturze celtyckiej, czy media na seansach spirytystycznych. Kaczmarek także nie dowierzał codziennej paplaninie, wolał w skupieniu i milczeniu wsłuchiwać się w świat, poszukiwać odpowiedzi na zadawane mu pytania filozoficzne i religijne. Niektóre jego wiersze były autotematyczne i odnosiły się do pisania wierszy

Także w poezji Kaczmarka znalazło się sporo miejsca na sprawy zupełnie realne jak w dzienniku, czy pamiętniku jak obudzenie podmiotu lirycznego w nocy przez dzikie gęsi, spacer nad morzem, wizyta na cmentarzu, czytanie wierszy Keltera w pociągu, spotkanie z niemieckimi przyjaciółmi w Stuttgarcie opisane w kilkunastoczęściowym utworze „Podróż do Stuttgartu", którego klimat mocno się różnił od antyniemieckich wierszy Marcina Świetlickiego, czy Wojciecha Wilczyka. Im Niemcy nadal kojarzyły się tylko z nazizmem, ekspansją gospodarczą albo wycieczkami po Krakowie. W wierszu Kaczmarka opisano wieczorek poetycki w Buchcafé w Stuttgarcie, ale i to, że wraz ze swoimi, niemieckimi przyjaciółmi w innym miejscu miasta słuchał rosyjskiej muzyki. Także wspomniał, że w Berlinie na dworcu można oprócz niemieckich potraw można było kupić tureckie i rosyjskie. Mimo, że poeta poruszał wątki niemieckie obyło się od stereotypów pijanego Niemca tęskniącego za faszyzmem. Obraz Niemiec, w których tętniła kultura, otwartych na inne narody, był czymś zupełnie rzeczywistym jeśli ktoś był w Niemczech, ale w polskiej literaturze współczesnej z rzadka obecnym. Hubert Klimko-Dobrzaniecki w swojej prozie raczej Austriaków ukazywał jako tych bardziej szowinistycznych z nostalgią rozpamiętujących faszyzm, niż współcześni Niemcy, których związki z faszyzmem podkreślała jeszcze do niedawna propisowska telewizja, a którzy woleli jeździć do Warszawy, niż Wiednia.

W wyborze wierszy Kaczmarka ponadto można było przeczytać wiersze z motywami aniołów, samotności, wykorzystaniem opozycji światła i ciemności. W pierwszej części wyboru, czyli wśród wierszy z udanego tomiku „Niewidzialny stygmat" można było znaleźć wiersz „Kobieta przy oknie" nawiązujący do obrazu wybitnego romantycznego malarza niemieckiego Caspara Davida Friedricha, o którym także niegdyś pisał Waldemar Łysiak i na tym chciałbym się skupić, gdyż zarówno opisy Łysiaka i Kaczmarka, mimo, że były ciekawe, nie pokrywały się z moimi odczuciami, które miałem na temat obrazu od dawna.

Waldemar Łysiak w swojej książce „MW" odczytywał obraz pt. „Kobieta przy oknie" jako metaforę przeciwstawienia wolności i niewoli. Ta pierwsza symbolizowana była przez „zielony las" i słońce widziane z okna przez kobietę, zaś drugą ukazano pod postacią „ciemnego pudełka pokoju, surowego, bez żadnych sprzętów", które przypominało więzienną celę. W wierszu „Frau am Fenster" Kaczmarka dwie pierwsze strofy były dokładnym jego opisem. Druga się kończyła słowami „czekanie to słońce/szukające swojego zachodu". Potem zaakcentował odejście kobiety od okna i zamyślenie poprzez patrzenie kobiety w „światło,/które ma w sobie". Kaczmarek zaakcentował udrękę czekania przypominające uwięzienie, nieco podobnie do Łysiaka, ale wyjściem z tego stanu stało się własne światło. Łysiak skojarzył obraz z o rok wcześniejszym „Wschód księżyca nad morzem", na którym dwie kobiety w towarzystwie mężczyzny z nadmorskich skał podziwiały zachód słońca i płynące statki nad morzem, wiec zamiast udręki uwięzienia, w interpretacji obrazu „Kobieta przy oknie" była tylko tęsknota za światem i przyjaźnią. Według mnie jednak ta kobieta na obrazie Friedricha mimo podeszłego wieku nie była tak statyczna i udręczona jak obaj wskazywali, wydało mi się, że w przeciwieństwie do kobiety z obrazu Dalego nawiązującego do obrazu Niemca była czymś zajęta i to uchwycenie jej przy oknie było uchwyceniem chwili. Miała lekko przechyloną w bok i w przód głowę, więc nie patrzyła tęsknie w bezkres horyzontu, ale w dół przed drzewa. Być może robiła coś na parapecie, albo np. zrzuciła ptakom okruszyny chleba. A to, że pokoju nie miała zastawionego sprzętami wynikało pewnie z rozległości jej domu i wygodnej przestronności, a na pewno nie kojarzyło się z klatką, gdyż tej przestrzeni na obrazie było dużo. Obraz Friedricha ukazywał bliskość świata widzianego przez okno i jego przyjazność. Światło padające na drzewa raczej wskazywało na zachętę ze strony natury by ją odwiedzić, ale starszej pani w Niemczech zdominowanych przez mieszczańską kulturę nie wypadało w XIX wieku samotnie wałęsać się po lesie i po porcie, musiało jej wystarczyć wyjrzenie przez okno. Wyjrzenie przez okno stawało się przez to synkdochą przechadzki na zasadzie pars pro toto. Po jej zadbanym stroju i fryzurze nie było widać udręki zniewolenia i cierpienia. Obaj polscy twórcy naszkicowali literacko własne wersje obrazu Friedricha, gdyż według mnie emanował atmosferą zadumy po godzinach krzątaniny, bardziej niż przygnębiał. Niemcy w przeciwieństwie do Francuzów woleli zawsze siedzieć w domu, niż chodzić po mieście.

Mimo, że utyskiwałem nieco we wstępie tego tekstu, że wydawca nieco zawalił sprawę z wydaniem wyboru wierszy Jerzego Ł. Kaczmarka opierając się tylko na dwóch ostatnich jego książkach, które były dostępne w empikach całkiem niedawno, to nie uważałem, żeby to obniżyło poziom „Niewidzialnych stygmatów". Wiersze z drugiego tomiku zaprezentowanego w książce były podobne w klimacie, choć więcej w nich było rozmyślań religijnych niż innych tematów,. Były mniej wszechstronne i stąd wolałem wcześniejszy tomik poety i na nim się skupiłem przy omawianiu wierszy z „Wszystko, wszystko…".

Mateusz Wabik

Jerzy Ł. Kaczmarek, Wszystko, wszystko…, Gdynia-Kraków 2024

Mateusz Wabik

Horror egzystencji

Jak się ostatnio okazało nie we wszystkich krakowskich księgarniach w okresie pandemii koronawirusa zlikwidowano regały z poezją. Ostatnio regał z poezją znalazłem w księgarni „Pod Globusem", w której kupiłem ostatni tomik wierszy Marty Podgórnik pt. „Erwin i Fatum" wydany w 2023 roku przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu. Wraz ze zmianą wydawcy zauważalna w tomiku śląskiej poetki była zmiana dykcji. W tomikach wydawanych w Biurze Literackim dominowały oprócz zapisków egzystencjalnych, czy quasiegzystencjalnych, wiersze z dedykacjami dla znanych poetów i krytyków, ale także sporo miejsca Podgórnik poświęcała na swoje awangardowo-klasycyzujące fascynacje literackie i często wchodziła w rejony bliskie poezji Andrzeja Sosnowskiego i Bohdana Zadury, także przyglądała się popkulturze i eksperymentowała z językami kolorowych czasopism i mediów podobnie jak ten drugi z przywołanych poetów. W jej tomikach wierszy ponadto można było znaleźć sporą biegłość warsztatową i precyzję wysławiania. W książce wydanej w Poznaniu zauważalna była chęć powrotu do prostoty zapisu stylizowanego na wpis do pamiętnika jakby po raz pierwszy od czasu debiutanckiego tomiku „Próby negocjacji" po wszelkich doświadczeniach literackich odnajdywała się bardziej w estetyce poezji twórców związanych niegdyś z „Brulionem" i „Nowym Nurtem" piszących wiersze o codzienności, często o mrocznej, nieco klaustrofobicznej atmosferze, operujących prawie przeźroczystym, bliskim klasycyzmowi językiem, opisujących świat i ludzi w nim bez retuszu. Ba, poetka szukając prostoty także odwoływała się do dawnych dyskusji wśród ekspertów od literatury z przełomu lat 80-tych i 90-tych, którzy raz na zawsze chcieli metaforę dopełniaczową wyrugować z polskiej poezji i uznali ją za kiczowatą. Nie sądziłem podczas lektury „Erwina i Fatum", by tak sprawna warsztatowo poetka i ceniona niegdyś krytyczka przez przypadek używała w niektórych wierszach metafor dopełniaczowych typu „hot dogi sensu świata" („Ludzie horroru"), czy „tornado rozstań" („Oskrzydlający"), „dywany nagan" („Almanach"). Musiała to zrobić z premedytacją i świadomością.

Poetka w „Erwinie i Fatum" podejmowała tematykę seksu bez zobowiązań, przywoływała Ninę Hagen, utyskiwała nad niedolą mięty w ogródku, opisywała nocne zakupy na stacji benzynowej i swoje fascynacje sportowe i pozasportowe, martwiła ją nijakość polskiego krajobrazu, odsłaniała swoje uczucia, nie zapomniała obok abstrakcyjnych i filozoficznych rozważań na temat egzystencji dorzucić trochę wulgaryzmów, przekształcała znane frazeologizmy, odniosła się do swojej recenzji z tomiku Mariusza Grzebalskiego, opisywała seksualne perwersje. Często w wierszach pojawiały się dygresje, poetka zmieniała nastawienie do tego co np. chwaliła, odwoływała się także do estetyki polskiego rocka z lat 80-tych i 90-tych.

W wierszu „Kraj" poetka ukazywała Polskę jako kraj pokojowo nastawiony do świata, bez targających nim konfliktów zbrojnych, ale przez to nijaki, w którym wszystko „pulsuje miarowo". Wspominała o szambie i stercie pism literackich przez co słowo „kraj" znaczyło nie tylko państwo, ale krajobraz lat młodzieńczych, co podkreśliła słowami: „Mój kraj jest tylko we mnie" jakby Polska sprzed skoku cywilizacyjnego po wejściu do Unii Europejskiej i wszelakich możliwości była dla poetki tą właściwą ojczyzną. Topograficzność i przestrzenność w wierszu odnosząca się do rzeczywistości na zewnątrz i wewnątrz przypominała nieco klimatem jeden z wierszy Grzegorza Kaźmierczaka pt. „Cmentarze" z tomiku „Głód i przesyt", w którym wokalista Variete ukazywał swoje wyobcowanie i ukazał swoją nieprzystawalność do świata. Budowanie fraz przez poetkę przypominało także tekst „Arahja" Kultu, w której opis mieszkania odnosił się do podziału Berlina w latach zimnej wojny. Świetny wiersz poetki pt. „Kraj" ukazał jej talent w pełni. Szkoda, że nieczęsto wchodziła na taki poziom rozważań nie tylko o własnych uczuciach, bylejakości świata literackiego, nijakości związków we świecie współczesnym, ale o Polsce i jej miejscu w świecie.

W tomiku Marty Podgórnik znalazły się także odniesienia do literatury i filmów grozy. W wierszu „Pomagierzy Nosferatu" poetka przywołała postać wampira Nosferatu znanego z filmów Friedricha Wilhelma Murnaua i Wernera Herzoga. Nosferatu był nieśmiertelny, spał w trumnie i żywił się krwią. W wierszu Podgórnik, który był głosem w dyskusji na temat pisania, niejednoznacznie ukazywała los twórców jako żywych trupów zestawiając ten obraz z opisem egzystencji zwykłych ludzi. Literatura była krainą martwoty, w której piło się krew i poszukiwało się jakichkolwiek „oznak życia". Wiersz był dedykowany M.M. zapewne Maćkowi Meleckiemu.

Mimo wielu niejednoznacznych tekstów w tomiku „Erwin i Fatum" Podgórnik, zaimponowało mi to, że poetce nadal się chciało coś przełamywać w swoim pisaniu, że obca jej była naiwność wielu młodszych poetek, nie ekscytowała się swoją pozycją w świecie literackim, ba dało się w usłyszeć w jej wierszach nutę przemęczenia uważaniem jej za jedną z najlepszych poetek w Polsce czasów współczesnych. I to było szczere. Dobrze się stało, że poetka zaczerpnęła kilka pomysłów z klimatów horroru, gdyż jak już niegdyś pisałem nasze pokolenie roczników 70-tych miało wiele wspólnego z romantykami, a to w czasach Mickiewicza i Słowackiego powstawały pierwsze horrory. Co tu dużo pisać, na pewno po raz pierwszy od lektury tomiku „Paradiso", ani razu się nie zdenerwowałem na poetkę, że rozmieniła swój talent na drobne. „Erwin i Fatum" to jeden na pewno z ciekawszych tomików poetki.

Mateusz Wabik

Marta Podgórnik, Erwin i Fatum, Poznań 2023

Adam Nowacki

Roman Warszewski

Zaraza z wyspy Minger

Orhan Pamuk w swoich książkach zwykle konstruuje cały świat. To mocarza współczesnej literatury. Nie cofa się nawet przed zadaniami najtrudniejszymi. Turecki Dostojewski. Zresztą nie tylko turecki. To współczesny Dostojewski nas wszystkich. Gigant, na dodatek obdarzony nieomylną intuicją.

Dobrym tego przykładem jest ostatnia jego powieść „Noce zagłady". Pamuk opisuje w niej epidemię dżumy z początku XX wieku na wyspie Minger na Morzu Śródziemnym. Co ciekawe, książkę zaczął pisać, gdy do pandemii covid było jeszcze daleko. Przeczuł ją? Wiedział, że coś takiego może się zdarzyć? Że wielka zaraza prędzej czy później nadejdzie? Co za poczytania! „Noce zagłady" są na nie najlepszą odpowiedzią.

Co ciekawe, powieściowa wyspa Minger nie istnieje. Pamuk tworzy ją od podstaw. Jest w swoim żywiole Buduje jej topografię, do życia powołuje jej zróżnicowanych mieszkańców – przede wszystkich Turków i Greków. Historię kilkumiesięcznej zarazy opowiada niespiesznie, pokazując wszystkie niuanse zachodzących zdarzeń. Jakby pokazywał świat pod jego narodzin po pewien kres.

Jakimi obrazami można opisać epidemię?

Apokalipsa św. Jana 8,10–11:

„I trzeci anioł zatrąbił:

I spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia,

A spadła na trzecią część rzek i na źródła wód.

A imię gwiazdy zowie się Piołun.

I trzecia częśc stała się piołunem

I wielu ludzi pomarło od wód, bo stały się gorzkie."

Ingmar Bergman, „Siódma pieczęć":

„Bóg zesłał na was karę. Wszystkich dosięgnie czarna śmierć. Wy, kt…órzy tu sterczycie, gapiąc się bezmyślnie jak bydło, wy, którzy siedzicie tu pogrążeni w gnuśnym samozadowoleniu – czy wiecie wszyscy, że to wasza ostatnia godzina? Śmierć stoi tuż za waszymi plecami. Już widzę jej błyszczący w słońcu czerep. Kosa skrzy się, gdy wznosi ją nad waszymi głowami. Którego z was pierwszego dosięgnie? Czy ciebie, co stoisz tu jeszcze i gapisz się jak kozioł, ale nim wieczór zapadnie, zewrzesz usta w ostatnim niedokończonym tchnieniu? Czy ciebie kobieto, co kwitniesz zdrowiem i samouwielbieniem, ale zbledniesz i zgaśniesz przed świtem?"

Giovanni Boccacio, „Dekameron":

„Nikt nie mógł odgadnąć przyczyny choroby, ani znaleźć na nią stosowane remedium. Dlatego też jedynie nieliczni z chorujących do zdrowia powracali, wszyscy pozostali umierali trzeciego dnia, od chwili gdy te znamiona na ciele się pojawiały; przy tym nawet gorączka zazwyczaj nie występowała. Morowa zaraza grasowała z wielką siłą; od chorych łatwo udzielała się zdrowym, którzy z zarażonymi przebywali, podobnie do ognia, co łatwopalne przedmioty obejmuje. Aliści zło jeszcze szło dalej; wystarczyło dotknąć się sukien chorego lub jakiejkolwiek rzeczy, którą miał w ręku, aby się zarazić."

Daniel Defoe, „Dziennika roku zarazy":

„(…) trudno wprost uwierzyć, jak straszne rzeczy zdarzały się co dzień w poszczególnych rodzinach. Ludzie w gorączce albo doprowadzeni do ostateczności bolesnymi wrzodami, które przyprawiały rzeczywiście o nieznośne cierpienia, tracili panowanie nad sobą, bredzili, odchodzili od zmysłów, często targali się na własne życie, wyskakiwali oknem, strzelali do siebie itd.; matki mordowały rodzone dzieci w przystępie szału, niektóre umierały po prostu z żalu, inne wyłącznie ze strachu i wylęknienia, choć nie były wcale dotknięte zarazą, inne znów ze strachu idiociały lub padały w obłęd, jeszcze inne w rozpacz i demencję, inne wreszcie w chorobliwą melancholię."

Albert Camus, „Dżuma":

„Doktor przypomniał sobie dżumę z Konstatynopola, która według Prokopa zabrała dziesięć tysięcy ofiar jednego dnia. Dziesięć tysięcy zmarłych to pięć razy tyle, co publiczność wielkiego kina. Oto co należałoby zrobić: zebrać ludzi przy wyjściu z pięciu wielkich kin, zaprowadzić na plac miejski i zabić na kupie – żeby co nieco zrozumieć. Przynajmniej można by umieścić znane twarze w tym anonimowym stosie. Ale, rzecz prosta, tego niepodobna zrobić, a poza tym, kto zna dziesięć tysięcy twarzy? Zresztą, wiadomo, że ludzie tacy jak Prokop nie umieli liczyć."

A Pamuk?

Drobny przykład: „Konny wóz, który transportował rzeczy skażone bakcylem dżumy przeznaczone do spalenia, był starą wojskową furmanką podarowaną przez garnizon władzom miasta. Kiedy ów stary szeroki wóz pokryty blachą wjeżdżał pod górę krętą drogą, kierując się z ładunkiem ku dołowi na szczycie wzgórza, napadali na niego rabusie, złodzieje, chuligani i zwykli idioci. Większość chciała ukraść stary kilim, materac, pościel, czy ubranie, a potem ich używać, sprzedać handlarzom starzyzny, którzy wciąż potajemnie działali w mieście, albo komuś oddać. Mimo licznych ostrzeżeń urzędu sanitarnego wiele osób nadal uparcie używało rzeczy po zmarłych, choć było już ich mniej niż na samym początku. W tym niewłaściwym zachowaniu obecne były wyzwanie rzucone państwu, europeizacji, nowoczesnej medycynie i społeczności międzynarodowej, doza szyderstwa, pewnego rodzaju protest, a nawet coś z czystego absurdu."

W tym cytacie zawarte jest ważne meritum. Bo w odróżnieniu od wielu opisów zaraz, w „Nocach zagłady" Pamuk nie pokazuje epidemii w sposób statyczny. Rysuje ją jako pewien proces płynnie przechodzący z jednej fazy do drugiej. Ukazuje też starcie między tradycjonalistami, którzy za żadne skarby nie chcą poddać się wymogom kwarantanny z – nazwijmy ich tak – z postępowcami, którzy pragną skorzystać ze zdobyczy medycyny europejskiej. Ten rozgrywający się w oparach epidemii konflikt doprowadza do zbrojnego powstania na wyspie. Zwolennicy postępu obalają rządy tradycjonalistów (nadal sprzeciwiających się kwarantannie), będących eksponentami autorytarnych rządów Istambułu. Ten triumf trwa jednak tylko krótką chwilę. Bo zaraz dochodzi do kontrrewolucji. Stary reżim, ze zdwojonym impetem, powraca. Ale znów nie na długo, bo postępowcy zbierają siły i obalają konserwatystów, co ostatecznie doprowadza do zyskania przez wyspę niepodległości i do jej wyrwania się spod tureckiego panowania.

Kierując się literacką intuicją, Pamuk pokazuje, że pandemia jest zwykle siłą wyzwalającą postępowe tendencję drzemiące w społecznościach. W jej wyniku siły konserwatywne, w średnim horyzoncie czasowym, często ponoszą klęskę. Ludzie, po zaleczeniu popandemicznych ran, mogą iść do przodu ku przyszłości. To piękna nauka – tym cenniejsza, że zdają się ją w sposób bardziej zobiektywizowany potwierdzać nauki społeczne.

W niedawno opublikowanej książce „Pandemia populistów", posługując nie literacką intuicją, lecz ściśle naukową metodologią, pisze o tym prof. Wojciech Sadurski. Stwierdza: „Na początku pandemii mówiło się, że przez COVID-19 populiści [oczywisty odpowiednik sił konserwatywnych u Pamuka – przyp. RW] staną się atrakcyjniejsi, ich rządy wzmocnione, a demokracje [u Pamuka postępowcy – przyp. RW] – zagrożone. Obawiano się, że populiści wykorzystają środki kontroli społecznej, nieograniczone przez mechanizmy hamulców równowagi, i bez litości ujawnią się słabości demokracji liberalnej (…)." Stało się jednak inaczej. „ (…) autorytarna dywidenda nie sprawiła, że populiści wyprzedzili liberalne demokracje w radzeniu sobie z epidemią COVID–19. Wiele liberalnych demokracji poradziło sobie z nią lepiej niż wiele populistycznych rządów (…)" Dlaczego? Bo – to jedna z odpowiedzi – „większa autonomia i niezależność ekspertów w demokracjach jest jednym z głównych powodów, dla których demokracje [u Pamuka – postępowcy, przyp. RW] podejmują bardziej kompetentne i skuteczne działania w odpowiedzi na pandemię. (…) Przewaga demokracji nad autorytarnym populizmem [u Pamuk – nad konserwatywni przeciwnicy kwarantanny, przyp. RW] polega na ty, że może polegać na nauce i ekspertach. Nie musi polegać tylko na nieskażonym wiedzą naukową zdrowym rozsądku." Z czego, oczywiście, wypada się tylko cieszyć.

Roman Warszewski

Orphan Pamu, „Noce zagłady", tłum. Piotr Kawulok, WL, Kraków 2023

Wojciech Sadurski, „Pandemia populistów", tłum. Anna Wójcik, Znak, Kraków 2024

Adam Nowacki

FELIETON

Andrzej Walter

Afirmacja zasłużonych

Wybaczcie Drodzy Czytelnicy moją świadomą przerwę w pisaniu. Czasem człowiek musi odpocząć, nabrać dystansu i zregenerować myślenie, aby wkroczyć w nowe rejony ustateczniania buntu tudzież nowe pozycje dla perspektyw i spojrzeń. Tak bym ocenił swoją absencję w ostatnim czasie, aczkolwiek na usprawiedliwienie mam jeszcze ogrom wykonanej pracy zawodowej. No cóż, z literatury żyją nieliczni, a ja się do nich nie zaliczam.

W literaturze z kolei stara bieda choć słyszę głosy tu i ówdzie jak to dobrze i normalnie. Otóż nie jest normalnie, ani nie jest dobrze, społeczeństwo czyta, tyle ile czyta, ranga pisarza jest jaka jest, książka i jej objawy potrzebna jest coraz węższemu kręgowi odbiorców, a ów krąg coraz silniej naznaczony jest lekturą lekką, łatwą i przyjemną, którą i owszem sam lubię, lecz odróżniam style, warstwy i poziomy po prostu znając i ceniąc lekturę trudniejszą i stanowiącą intelektualne wyzwanie. Rzecz jasna te kategorie można jak najbardziej łączyć, jednak poletko rodzimie ma z tym nieznaczny problem. U nas panuje jaskrawość postaw, by nie rzec kakofonia stylów przynosząca albo kicz albo nudę snobowania siebie i innych. Taki polski specyfik kontrastu dla kontrastu. Ryba psuje się … od głowy. Tak było, jest i będzie zwłaszcza u nas.

Zadziwiło mnie ostatnio grono nagrodzonych odznaczeniem (było, nie było) państwowym – zasłużony dla kultury. Otóż owo grono wskazał jeden ze szczęśliwych laureatów (sam wskazując między innymi siebie) kierując się raczej nie meritum nagrody, a sympatiami środowiskowymi i dostaliśmy publiczne świadectwo, że aby być nagrodzonym dla kultury trzeba się posługiwać plugawym językiem kalecząc prawie w każdym zdaniu piękną polszczyznę tudzież być dbającym o własny wątpliwy wizerunek leserem sprytnie i wytrawnie zapewniającym sobie tani poklask. Niech was nie zmyli przypadek męski we wcześniej użytym słowie leser, gdyż lista leserów może być zarówno żeńska jak i męska. Uzasadnienia wniosku były obfite, sążniste i tłuste od zasług i ambicji, a dzwon na trwogę zagrał w całej literackiej Polsce i zgroza ogarnęła wszechświat środowiskowy, ale cóż, stało się, dokonało się, mamy oto następnych … „zasłużonych dla kultury" stąd i mamy taką … kulturę. Smutnym i przykrym jest fakt, że wszyscy znamy z grubsza ludzi, którzy działają aktywnie, intensywnie i w pocie czoła, żyły wypruwając dla kultury, literatury i środowiska, ale ci nigdy nie są nagradzani, bo o to po prostu sami nie zabiegają, a mamy akurat aurę samorealizacji połączoną z brutalną walką o władzę i przywileje. Ludzie aktywni społecznie to często idealiści, ludzie skromni i pokorni, zatem w takim klimacie nie mają szans, a jak epokowo rzekła pewna „ministra" – sorry, taki mamy klimat.

Ryba psuje się i tak dalej. Znamiennym jest fakt, że ta hucpa dokonywana jest przez ludzi w słusznym wieku, którzy takie właśnie wzorce pokazują ludziom młodym później dziwiąc się, że ci młodzi nie chcą działać, uczestniczyć i tworzyć wspólnot. Nie dziwię im się, że takich właśnie wspólnot (cynicznie mafijno-sitwiarskich) tworzyć nie chcą, a często nawet wzdrygają się jak im ktoś o tym opowiada. Grajdołek rządzi się swoimi prawami, a że klimat mamy właśnie taki to i uczestnicy tej gry dostrajają się poziomem do ogółu. Ludzie szlachetni i prawi mogą jedynie pokiwać głową z pobłażaniem i wiedzą niejako, że głową muru nie przebiją, a cóż to za mur? Czy to mur Sarttre'a? Czy raczej mur Fredry, albo bliżej mur z utworu Arahja zespołu Kult?...

Mój dom murem podzielony / Podzielone murem schody…

A gdybyśmy nadal nie wiedzieli o co chodzi, to przy okazji chodzi też o pieniądze. O braki pieniędzy (praktycznie jakichkolwiek) w branży literackiej. To oczywiście pochodna rangi społecznej literatury, zwłaszcza jej szlachetniejszej (czytaj trudniejszej) odmiany. Finansami obdarza się dziś maszynki do ich pomnażania. Kulturotwórcza rola pieniędzy odeszła dawno do lamusa. Dziś liczy się produkt, promocja, cena i miejsce – słowem filary marketingu dla produktu rzecz jasna. Zysk jest podstawowym kryterium. Cóż z tego, że jeszcze 40 lat temu wyrafinowany kapitalizm Zachodu przeciwstawiony za żelazną kurtyną naszej socjalistycznej siermiędze wyznawał inne wartości, zysk ujmując na którymś tam miejscu. Dziś mamy wojnę każdego z każdym, w której to wojnie wygrywa najsilniejszy, a przecież najsilniejszy to najbogatszy. A kto zarobi na literaturze jeśli czytane są tylko kryminały albo rzewne opowieści kobiece najniższych lotów. Owszem zarobi kilku cwaniaków, przecież jest to jakiś rynek. Tyle, że funkcja edukacyjna literatury spadła do zera. Niestety polska szkoła wiedzie tu prym w odciążaniu narybku od ciężkich Norwidów i kółko się zamyka. W kręgu jaki widzimy.

To jest ten mur. Mur zobojętnienia mur przemilczenia, nagradzania swoich, tworzenia zamkniętych kręgów, krycia się wzajemnego i popierania znajomych królika. Do głosu dochodzą wtedy różne kreatury spod szyldu Nikodema Dyzmy wiecznie aktualnego lansującego swój Bank bez zaplecza intelektualnego czy kulturalnego. Siła przed prawem. Perły przed wieprzami. Witamy w polskiej literaturze XXI wieku. Ciekaw jestem jak zostaną potraktowane dwie (było nie było) najbardziej zasłużone organizacje literackie w Polsce (SPP i ZLP) w dostępie do swojego Domu Literatury – okaże się to wszystko do końca tego roku, ale z obserwacji wynika, że zapadła w tej materii złowieszcza cisza. Włodarze Miasta Stołecznego mają „ważniejsze sprawy"… *Mam tak samo jak Ty, miasto swoje, a w nim… kolorowe sny…*

Tak, tak, panie Havranek, *to se ne vrati*. Ryba już się nie psuje, jest skutecznie konserwowana i sprzedawana jako najświeższa ze świeżych ryb i do tego niosąca zdrowie i szczęśliwość ogólną. A pisarze? Poeci? Po cóż to komu? Mamy przecież produkcję rozrywki. Lud zadowolony. Ma chleb, igrzyska, ciepłą wodę w kranie i jakiś tam kąt, w który wchodzi intensywnie Netflix i pokazuje jak żyć. Po cóż się katować jakimś tam czytaniem, jakimiś tam *Mrożkami* skoro mamy o wiele lepsze Mrozy sążniste dobrze sfilmowane i ubogacone wersją poprawną światopoglądowo i merytorycznie. A jak przyjdzie smaczek … nie dokończę, gdyż wkrótce nowy minister zmieni prawo karne i zacznę być ścigany ustawowo za szerzenie mowy … jakiej przecież wiecie.

Żałosne to wszystko i miałkie. Pycha kroczy przed upadkiem. Stąd niektórzy są zadowoleni. Niektórzy też, lubią poezję. Niektórzy skarżą się i złorzeczą, niektórzy działają, a niektórzy – zasłużenie dla kultury – po prostu są i pokazują się, bo przecież byśmy nie pomyśleli, że oni tacy zasłużeni, tacy wybitni i takie nam dzieła przedstawili oprócz zasług ogólnych dla kultury też przedstawionych między wierszami w tym tekście. Jest cudownie, a będzie jeszcze lepiej. Już na horyzoncie widzę jutrzenkę zmian. Europa da się lubić.

Właściwie zastanawiam się o co mi chodzi. Przecież mam co czytać, mam co jeść, mam gdzie pracować, mam wszystko czego potrzeba, aby godnie żyć. Jest i kultura. Ba, nawet sztuka. Sztuka, która dziś w większości oferuje konfekcyjny kicz podlany sosem dorabiania filozofii albo brzydotę, brzydotę za miliony, wyrafinowaną i czystą, której ponoć jeszcze nie było. Ta przedziwna polaryzacja oferty oszałamia i zdecydowanie … poszerza horyzont. Jest bosko. Powinniśmy się cieszyć, że artysta odwiedził wszystkie okoliczne śmietniki i sklecił tak fenomenalną rzeźbę z puszek po zimnym Lechu, że aż nam dech zaparło…

wyszłem na podwórze,
spojrzałem ku górze,
dech zatkało mi w piersi,
to oni, skowronki, przylecieli pierwsi

Taką to mamy oto kulturę wysoką i sztukę arcy-arcy-oryginalną w tym cudownym świecie higieny i tolerancji, w świecie, który nam się podoba jak rzadko który ze światów, świecie postępu i nadziei, świecie praw człowieka i człowieka, którego … coraz mniej.

Zatem nie narzekam. Przyjmuję zasłużonych dla kultury z cały dobrodziejstwem inwentarza – żywego i martwego, w pełnej krasie i w całej rozciągłości. Oczywiście martwota polega na subtelnej śmierci nadziei, że mogłoby być inaczej, ale już dziś wiem na pewno: to niemożliwe. Możliwe jest jedynie to, że Ty i ja – wciąż mamy wybór – wciąż mamy szansę czytać to, co chcemy, emigrować wewnętrznie do swoich światów, ciepłych i wypracowanych, w swoich gronach, bliskich i przyjaciół, gdzie jeszcze można o wszystkim mówić i myśleć, gdzie można się jeszcze uczciwie śmiać i wyznawać te wyśmiane zlikwidowane światy, które przeminęły.

Na koniec przytoczę słowa, które usłyszałem wczoraj, na wieczorze autorskim od pisarza, poety, profesora medycyny w Krakowie. Otóż ów twórca podzielił się z nami (widzami i słuchaczami) refleksją, że jako akademicki wykładowca zauważa u swoich studentów tendencję do coraz mniejszej zdolności używania słów, to jest opisania prostych zależności, co się widzi, jak się widzi i co z tego wynika. Nie użył słowa, że … przecież dorastają i kończą swoje kształcenie kolejni pół-analfabeci, którzy już za moment utworzą nową polską elitę intelektualną. To przerażające i przecież wiemy z czego wynika. Ryba, a dalej to już wiecie, choć pewnie znów zostanę posądzony o defetyzm, zatem przepraszam wszystkich już na zapas.

Jak wspomniałem wielokrotnie: jest cudownie, a będzie jeszcze lepiej. Chce się żyć. Mamy wiosnę, mamy co czytać, niechaj się martwią ci, co nie mają)))

Andrzej Walter

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

Malarskie wcielenia Adama Nowackiego

Gra realizmu z abstrakcją, tego co dopowiedziane z tym, co w sferze domysłów, dociekań, domniemań.)

Najlepsza rada jaką kiedykolwiek otrzymałem, pochodziła od ojca, artysty malarza, który unikał dorabiana teorii do swoich prac. Ta rada brzmi: "Nie staraj się na siłę namalować obrazu – obraz musi namalować się sam, co najwyżej możesz mu pomóc. Obraz musi ci pozwolić uczestniczyć w swoim powstawaniu". (Adam Nowacki z wywiadu)

„Dzieło sztuki, ukończone i zamknięte niby doskonale zbudowany organizm, jest równocześnie dziełem otwartym, poddającym się stu różnym interpretacjom, zresztą nie naruszającym w niczym jego niepowtarzalnej istoty. Każda percepcja dzieła jest więc zarazem interpretacją i wykonaniem, gdyż w trakcie każdej z nich dzieło odżywa na nowo w oryginalnej perspektywie." [1]

Oto obraz, zatytułowany „Saintly Mutiny" z tradycyjnym motywem sakralnym, jak zwykle u Adama Nowackiego w dużym formacie. Motyw ukrzyżowania ze zwielokrotnionym autoportretem fascynuje umownością i lekkością zrywającej się do lkaryjskiego lotu wprost w słońce - postaci Chrystusa. Temat dość ryzykowny, bowiem we współczesnej kulturze – ukrzyżowanie zostało oswojone, spauperyzowane do granic, wchłonięte przez „mieszkańców masowej wyobraźni"[2], podporządkowane schematom interpretacyjnym, wyzwalające teatralne i rytualne typy zachowań, owe puste gesty wykonywane mechanicznie, bez zastanowienia. W komentarzach na Facebooku, które bywają równie interesujące jak kameralne rozmowy, prowadzone teatralnym szeptem „face to face", w czasie wernisażu, uroczego „targowiska próżności" - więcej refleksji na temat autoportretu, niż w odniesieniu do „poważnych" motywów biblijnych. Ktoś przywołuje postać Doriana Graya, bohatera prozy Oscara Wilde, mimo że odnaleźć w niej można ledwie zarys naturalistycznego i psychologicznego portretu, ktoś inny sugeruje, że z autoportretem żartów nie ma i być nie może. I oczywiście ma rację! Żadna bowiem inna forma wypowiedzi tak bardzo nie demaskuje, nie obnaża osobowości artysty jak ta, w której pojawia się jego własny (domniemany, ukryty lub realistyczny) wizerunek.

Każdy zatem obraz Adama Nowackiego pełni rolę autoportretu, odkrywanego, ujawnianego w obecności odbiorcy. Rzadko jednak pojawia się tutaj autoportret w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Wizerunek człowieka w tym malarstwie to rozczłonkowana, wieloczęściowa kompozycja o symultanicznym charakterze, której zmienną teksturę można odczytywać po wielekroć, w różnych kontekstach i konfiguracjach. Teksturę tę, pojmowaną raz jako ślad obecności człowieka, kiedy indziej jako dowód intensywnego, momentalnego pojawienia się osoby – czytać można tak, jak studiuje się rozpoznawalny charakter pisma. Poważnie traktujący swój zawód artysta

posiada bowiem „swoje pismo", swój styl, który jak podkreśla Nowacki nie zależy od tematu, motywu dzieła, a od instynktu, gdyż trzeba działać zgodnie z własną naturą, własnym duchem, z jakimś wewnętrznym imperatywem, przekonaniem. Wówczas styl ten „przychodzi tak naturalnie, że nawet nie wiadomo jaką drogą przyszedł."

Tak, więc wiodący motyw malarstwa Nowackiego można by ograniczyć do słów wypowiedzianych z niepokojem, być może z zażenowaniem przez Piłata: Ecce homo! Słowa te nie są tak jednoznaczne i oczywiste jakby się mogło wydawać. Oto wizerunek człowieka zapisywany i odkrywany, ujawniany poprzez teksturę obrazu. Oto twarz, ręce, spojrzenie, niekiedy stopy – symbol obnażenia, nagości, odkrycia. Oto twarze inne, obserwatorów i świadków, oto maski z przysłoniętymi ustami, pokazane przez pry- →

1 U. Eco, Dzieło otwarte, Forma i nieokreśloność w poetykach współczesnych, Czytelnik, Warszawa 1994, s. 23

2 Termin stworzony przez KTT (Krzysztofa Teodora Toeplitza) pochodzący od tytułu jego książki, wydanej w 1970 r. (PIW, Biblioteka Myśli Współczesnej)

zmat symbolicznego gestu, metafory. Oto fragment aktu ukrzyżowanego, wyłaniającego się z plam i zacieków, aktu czekającego uwolnienia, jakby zrywającego się do lotu, wyniesionego ku górze. Tak pokazany człowiek sam dla siebie pozostaje tajemnicą, skazany na samotność, wydany na pastwę intensywnych emocji, wzlotów i upadków, tragicznych, dramatycznych przeżyć i uniesień – nie postrzega sam siebie w sposób holistyczny i oczywisty, nie czuje się spełniony i bezpieczny, a pozostaje raczej nieprzewidywalny, żywiołowy, czerpiący zachłannie z tego wszystkiego co w nim i co poza.

Zatem ten mikrokosmos tam wewnątrz, mikrokosmos który pulsuje życiem własnym, nieodgadnionym - posiada nieciągłości, niedookreślenia, otchłanie i „czarne dziury". Wszelka bowiem chropawość w sztuce, swoista „imperfection" – staje się bardziej pociągająca, niż układzone, oparte na klasycznej harmonii, proporcjonalności i porządku – piękno. Czyli te „czarne dziury", przestrzenie niedookreślone, tajemnicze wabią i kuszą, mogą pochłonąć, okaleczyć, nicestwić, ale mogą też pozostać śladem lub zapowiedzią pojawienia się Supernowej. Dlatego też proces tworzenia dla artysty wnikliwie przypatrującego się człowiekowi, artysty który jednak nie patrzy „chłodnym okiem", obojętnie, z oddalenia – to podejmowanie prób odkrywania lub zbliżania się do owej zapisanej w psychice sferze domysłów, dociekań, domniemań. Nie jest to jednak proces przebiegający w sposób linearny, możliwy do przewidzenia, wyrozumowany, spokojny, zaprogramowany. W kosmosie także wszelka kreacja powstaje gwałtownie, czasami jako wybuch. Tworzenie to akt żywiołowy, zachłanny, odwołujący się do ekstremalnych emocji i różnorodnych środków ekspresji, nieokiełzany, niekiedy buntowniczy, szalony.

„Tematy spod znaku Ukrzyżowania, Zdjęcia z krzyża czy Opłakiwania od wieków fascynowały i inspirowały malarzy. Było i jest tak prawdopodobnie dlatego, że fenomen pozbawienia człowieka życia, w wypadku ukrzyżowania Chrystusa, już w trakcie realizacji zmienił się w swoje własne przeciwieństwo!" – komentuje przywołany tu obraz Nowacki. A przyznać trzeba, że malarstwo to nie należy do łatwych w odbiorze i mimo, że „obraz sam się maluje" – recenzja sama się nie pisze.

I tak świadkowie ukrzyżowania, przedstawieni jako powtórzone wizerunki malarza - pozostają spokojni, bezradni, na swój sposób wyalienowani, zamyśleni i smutni. To świadkowie na miarę dwudziestego pierwszego stulecia. Ich spojrzenia są jasne i nieruchome, „szklane" oczy patrzą z jakimś niemym wyrzutem, tak jakby nieuchronność losu i zdarzeń stawała się czymś naturalnym, wyrokiem przyjmowanym bez cienia buntu, protestu. Znamienne jest jednak, że twarzy ukrzyżowanego niemal nie widać i można ulec złudzeniu, że on sam skrył się za maską konwencji i roli, a tym samym za maską dwóch różnych, przenikających się wzajem, zapisanych w sferze kultury różnych epok - wizerunków.

W dolnym, lewym rogu, u stóp wznoszącego się, wzlatującego Chrystusa (niezależnie od dwóch autoportretów ukrytych) pojawia się twarz o nieco zatartych rysach, wyidealizowana, natchniona i przez owo natchnienie uwznioślona, twarz która zapowiada to, co postrzegane jako nieziemskie, niematerialne, dalekie od zmysłowego doświadczania świata. Mamy zatem wizerunek Chrystusa cierpiącego, z charakterystycznie pochyloną głową i równocześnie Chrystusa, który już wznosi się tak lekko do lotu jak mitologiczny Ikar. Czyż Ikar nie był marzycielem i idealistą jak Jezus? Co prawda interpretacyjnym stereotypem okazuje się kojarzenie „uczłowieczonego Boga" z Prometeuszem, ale to tylko efekt poszukiwania powierzchownych podobieństw. Wydaje się bowiem, że każdy marzyciel, idealista, poświęcający życie dla wartości przerastającej potoczne, ziemskie doświadczenie człowieka ma prawo czuć się Kreatorem, równym (jak Konrad, bohater arcy-dramatu Mickiewicza) Bogu i Naturze. W efekcie ta wielość uzupełniających się wzajem kreacji, podobnie jak wizerunki zapisanych na obrazie osób okazują się celowo niejednoznaczne, nieostre, owiane aurą Wielkiej Tajemnicy.

I tak odbiorca zostaje sprowokowany do wielokrotnych odczytań obrazu, do wnikania w materię i strukturę kompozycji, do przeżywania podobnych stanów emocjonalnych o niemal takiej samej intensywności i takim znaczeniu jak te, które towarzyszyły aktowi tworzenia.

Ślad autoportretu (w tradycyjnym rozumieniu tego słowa) pojawia się też w kompozycji zatytułowanej „Riff – Raf", której górę stanowi wznoszący się akt męski, zbudowany zgodnie z klasycznym kanonem piękna oraz (w prawym, górnym rogu) znana już twarz mężczyzny, z ustami przysłoniętymi symbolicznym gestem, jakby nakazywał sam sobie milczenie.

W konwencjonalnym malarstwie, którego kompozycje (w przypadku szkoły realizmu - bardzo wyrozumowane, wykalkulowane, dopracowane w każdym szczególe) opierają się zazwyczaj na zasadach perspektywy kulisowej lub powietrznej - obraz otwiera się w głąb, ku przestrzeni odległej, nie kryjącej jednak tajemnic. Znamienne jest, że obecności i kształtu owej przestrzeni obserwator nie musi się domyślać, została mu bowiem dana. W tradycyjnym malarstwie wiadomo także, co jest tłem, a co najważniejszym motywem, istotą i centrum kompozycji.

W malarstwie Adama Nowackiego tło jako płaszczyzna, z której wyłania się obiekt i która powinnaby tworzyć iluzję głębi – właściwie nie występuje. Możemy tutaj raczej mówić o współistnieniu, współbrzmieniu wielu płaszczyzn, podczas gdy obraz otwiera się ku adresatom, współuczestnikom zdarzenia, a nie wyłącznie w głąb. Płaszczyzny przenikające się, przypominające półprzejrzyste, podświetlone lub może rozświetlone przesłony, jak te występujące w dioramie

- nakładają się na siebie wzajem w taki sposób, że często jakiś fragment postaci musi przebić przesłonę by się ujawnić, zmaterializować, pojawić nagle (in statu nascendi) przed oczami zadziwionego, zaskoczonego, ale ciągle zaangażowanego w sam proces twórczy - odbiorcy.

„Malarstwo nie może być „wyprane" z emocji. Sama estetyka nie wystarczy. Oczywiście bez estetyzowania, w pewnym stopniu, nie można osiągnąć swojego własnego, odrębnego i intymnego „charakteru pisma". Myśląc o emocjach, rozważam nie te narracyjne, ale te, które zostały „wlane" czy „wszczepione" w obraz podczas samego aktu twórczego." – pisze na swym profilu, na Facebooku artysta.

Odwołując się do koncepcji dzieła otwartego i jego szczególnej konkretyzacji jaką jest „dzieło w procesie" czyli dzieło obrastające znaczeniami, zmieniające się na skutek aktywności odbiorcy i wielokrotnych odczytań - można zaryzykować stwierdzenie, że artysta tworzy ciągle jeden i ten sam obraz. Obrazu tego nie cechuje statyczność i przewidywalność w sferze interpretacji, bowiem otwartość pojawia się na dwóch poziomach, w dwóch sferach, zarówno w relacji dzieło – odbiorca jak i w relacji dzieło – artysta.[3] Wspomina o tym sam malarz, sugerując że zainicjowanie procesu i aktu twórczego ma charakter niezwykły, spontaniczny, bardzo emocjonalny i tajemniczy zarazem. To tak jakby powstający obraz budził się do życia i w pewnej mierze „malował się sam", gdyż (jak wspomina w jednym z wywiadów malarz) – „Powstają plamy, zaczynam pracować pędzlami, szmatami… wszystkim co wpadnie mi w ręce. Tworzą się kształty, formy, które zaczynają sugerować pewne odbicia – reprezentacje materialnej rzeczywistości. Niektóre z nich, za pomocą moich manipulacji zaczynają krystalizować się w te zwane potocznie realistycznymi… inne pozostają abstrakcyjne…" Ta spontaniczność, ta twórcza ekstaza i pasja – czyni z odbiorcy współuczestnika, daje mu wyjątkową możliwość „partycypacji w procesie twórczym i jego efektach."[4]

Oto cykl kompozycji z postaciami kobiet, wśród których odnajdujemy uduchowione, jakby przeniesione z renesansowego malarstwa Madonny oraz (doświadczające niemal zmysłowej ekstazy, jednak równie tajemnicze i niezwykłe) Wielkie Nierządnice. Komentując emocjonalny stosunek do modelek, do ich wizerunków utrwalonych w swoich pracach – Nowacki stwierdza z prostotą: „Te kobiety mnie niosą - i chyba nawet nie wiedzą, że niosą. Tak czy owak muszę dziękować!!" Wypadałoby w tym miejscu zapytać o to, czy istnieje coś, co łączy modelki pozujące artyście i w jakiej mierze efektami tej wspólnej pracy stają się portrety psychologiczne kobiet, kobiet które artysta kocha i akceptuje na „błysk spojrzenia"? Znamienny jest także fakt, że twarze modelek, obok tych wyidealizowanych, spełniających kanon renesansowego piękna, jakby przeniesionych z laserunkowych obrazów Rafaela bywają naznaczone piętnem karykaturalnych przerysowań, groteski, niepohamowanej (jakby podejmującej dyskurs z twórczością „młodych dzikich") ekspresji.

Oto wizerunek N. L. modelki którą malarz określa mianem „zimnokrwistej" , co nie znaczy, że nie czuje się oczarowany jej osobowością, urodą. Przeciwnie! Fascynują go kobiety, bardziej „czarodziejki", niż wiedźmy. W jednej z prac N.L. w złotej koronie, z zagadkowym uśmiechem, nie wiadomo czy zabarwionym lekką ironią, czy tylko „uprzejmym", przyjętym jak maska zastępująca osobowość, jakby przyrośnięta do twarzy, maska pojmowana jako symbol obnażenia i ukrycia[5] – patrzy spokojnie spod wpół przymkniętych powiek. Spojrzenie z lekka zamglone, zachowujące dystans, tak bowiem patrzy królowa, dozwalając łaskawie się podziwiać, nie spoufalając się zbytnio z poddanymi. Kompozycja z wizerunkiem N. L. spełnia główne przesłanie twórczości Nowackiego, który w prywatnej rozmowie wyznaje: „Malarstwo jest grą bliskości wobec widza (wyzwala bowiem emocje, nieokiełzane uczucia) oraz jednocześnie pozostawania go odsuniętym, dalekim. Odległość owa zostaje wyznaczona przez wiedzę przekazywaną intuicyjnie, określającą miejsce adresata i uczestnika procesu tworzenia dalej, niż sytuuje się całe epoki w sztuce, dalej niż miejsce przeznaczone dla konwencji, tradycji i estetyki."

Oto wizerunek J. J. zapisany w kompozycji „Dainty Angel". Modelka o bardzo wyrazistym spojrzeniu i rysach twarzy, wpatruje się uporczywie w odbiorcę. To tak jakby adresat spojrzenia stawał się punktem centralnym obrazu, pozostającym jednak poza strukturą kompozycji, punktem umownym, zasugerowanym lub domniemanym, ku któremu kierują się myśli pięknej, nieprzystępnej →

3 Ł. Białkowski, Sztuka w procesie jako typ dzieła otwartego, The Polish Journal of Aesthetics, Sierpień 2008, https://www.researchgate.net/publication/343657457_Sztuka_w_procesie_jako_typ_dziela_otwartego

4 https://avantgardenstore.com/2021/04/26/adam-marcin-nowacki/

5 Terminu tego użyłam w jednej ze swoich publikacji, sugerując że maska nie tylko ukrywa (zastępuje) twarz, ale także może obnażać, demaskować (na prawach kontrastu) osobowość. Zwykle bowiem przyjmujemy maski, które ukrywają nasze utajone myśli, obsesje i lęki. Pod pozorem „nieruchomej poprawności" ukrywa się żywy, naznaczony piętnem ruchu, zmienności, doświadczający emocji – człowiek.

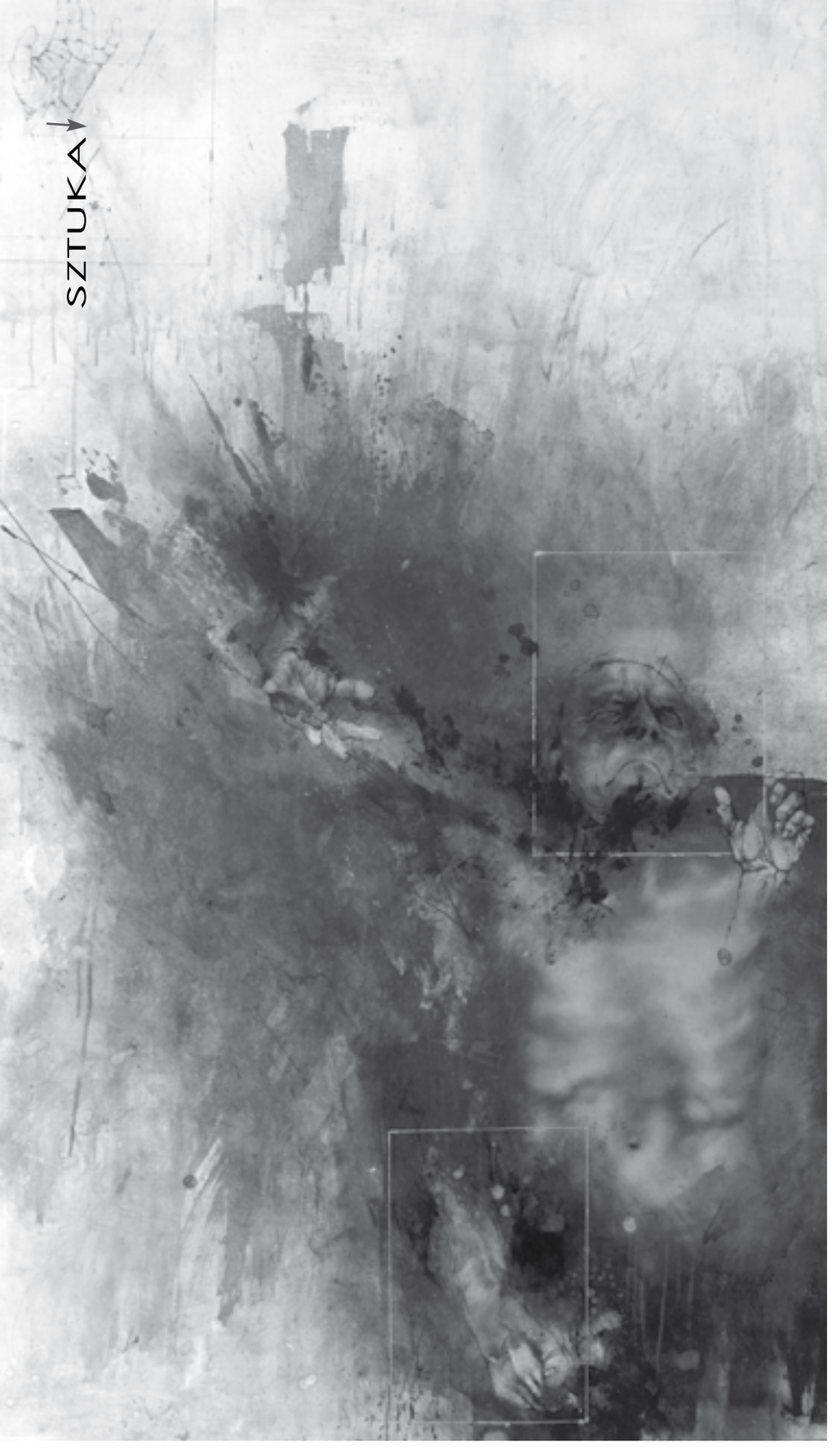

brunetki. Zatem ona w pozycji siedzącej, być może malarka lub muza, ponad głową której toczy się jakaś opowieść, Los snuje jakąś historię, zagadkową, pełną niedopowiedzeń, domyśleń. W górnej części obrazu z charakterystycznych plam i zacieków wyłania się (ledwie zaznaczona delikatnym obrysem) sylwetka renesansowej Madonny i świętych, zwyczajowo Jej towarzyszących. W świecie pełnym zakłamania i pruderii, dotkniętym chorobą drobnomieszczańskich „wartości" – J. J. byłaby z pewnością potraktowana jako modernistyczna Femme Fatale. Jej ostre, intensywne spojrzenie kryje w sobie jakąś metafizyczną wiedzę, dotyka ezoteryki i magii, sugeruje przekraczanie granic ludzkiego, zmysłowego poznania.

Oto wizerunek A. G. kobiety dojrzałej, malarki, afirmującej piękno Natury, którą (zgodnie z tradycją romantyzmu) obdarza w swych pracach atrybutem duchowego przeżycia. Traktując urodę A. G. jako rodzaj objawienia, olśnienia - trudno oderwać się od jej (zapisanych w kompozycjach kwiatowych) doznań estetycznych, koncepcji uniwersalnego piękna. Jednakże twarz A. G. pokazana przez pryzmat prywatnych dociekań, intuicji i pasji Nowackiego, twarz z charakterystycznym, groteskowym grymasem - dozwala by nie traktować wszystkiego zbyt dosłownie, poważnie. W końcu modelka nie musi być tak jednoznacznie utożsamiana z malarką, której obrazy królują w prywatnych galeriach i „na salonach".

Paradoksalnie wobec tylu postaci pięknych kobiet, utrwalonych w malarstwie Nowackiego – artysta deklaruje z właściwą sobie przekorą: „Jako malarz - jako prosty człowiek - jestem sam. Jestem jedyny, który może się mną interesować czy ekscytować. Czasami jednak zdarza mi się tą, czy tamtą osobę zabrać ze sobą - w mój świat."

Tak, więc artysta zaprasza nas do swego świata, mimo że „każdy ma swój, osobny i – innych światów nie ma". Zabiera tam ze sobą nie tylko portrety kobiet, ale także (żyjące życiem własnym i nieodgadnionym) zapisane w wyobraźni metafizyczne pejzaże, inspirowane malarstwem niderlandzkim, wreszcie postacie Scarecrows, uczłowieczonych istot przynależnych ludowym wierzeniom, czarownym zabobonom, Naturze i tradycji modernistycznej. Fantazmaty Scarecrows, powołanych do życia by straszyć, które zamiast porażać swymi wizerunkami – urzekają poetyckim przesłaniem, budząc surrealne wyobrażenia i ledwie przeczuwalny niepokój. Nowacki nie przedstawia jednak stracha jako kukły, słomianej pałuby, nie przedstawia go też jako formy realistycznej. Tworzy kompozycje dokonując konkretyzacji nie tyle przedmiotu, co całej gamy uczuć z nim związanych: począwszy od obawy, aż po poczucie ciekawości, grozy, przerażenia, trwogi. Dla niego strach na wróble to tylko symbol gry pozorów, gry jaką podejmujemy nieustannie, wędrując w wirtualnych przestrzeniach, przemierzając życie, które zapewne jest snem. Komentując cykl „Scarecrow" artysta pisze: „Świat, w którym żyjemy składa się z rzeczy, z których żadna nie realizuje tego co początkowo obiecuje!" I dalej można rozwinąć, poprowadzić tę myśl, sugerując że to świat oniryczny, piękny i upiorny zarazem, pociągający i ciągle obcy, wymykający się ostatecznemu poznaniu.

To świat w stylu Matrix, kopii, imitacji i pozorów istnienia. Świat obiecujący tak wiele cudownych oszustw, uroczych kłamstw, wirtualnych objawień, momentalnych istnień, urzekających omamów i czarujących złudzeń.

Trafność tego sformułowania potwierdzają doświadczenia artysty z czasów, gdy jako chłopak oswajał się z zapachem werniksu i farb w pracowni swego ojca, Andrzeja Nowackiego, zyskującego w latach siedemdziesiątych minionego stulecia zasłużona sławę dzięki sekwencjom, doskonałych warsztatowo kompozycji, naznaczonych dalekim echem fascynacji surrealizmem i hiperrealizmem. Andrzej Nowacki miał już wówczas rozpoznawalny styl, czy jak mawia jego syn – „charakter pisma". Obrazy w tamtych latach malowane precyzyjnie kładzionymi laserunkami, utrzymane w gamie błękitów i bieli, wykorzystujące charakterystyczny obrys, płynnie prowadzoną kreskę (celowo nie piszę: kontur, gdyż kontur kojarzy się z barwnym wypełnieniem, z rysunkiem komiksowym, pełnym uproszczeń), zatem obrazy te zapadały w pamięć, zapisywały się w podświadomości na zawsze. Publiczność, mająca okazję oglądać je w sopockim BWA, na kolejnych ogólnopolskich wystawach z cyklu „Porównania" czuła, że ma do czynienia ze zjawiskiem nowym, nieznanym (a był to czas eksperymentów i awangardy plastyce), zjawiskiem wyjątkowym, znaczącym. Pokazywane wówczas prace epatowały swoistą ascezą, oszczędnością i umiarem w doborze środków ekspresji, a równocześnie prowoko-

wały do stawiania szeregu egzystencjalnych pytań. Demaskowały osobowość człowieka przybierającego maskę wiecznie młodego, szczęśliwego mieszkańca popkulturowych przestrzeni, mieszkańca który wybrał kostium, przebranie, modne ubranko w stylu wytartego „blue jeans" i uczynił to by wydawać się „wielkim", oryginalnym, niezwykłym. Przybranie maski, kostiumu – ma swoją cenę. To cena życia, istnienia! Na płótnie pozostawały tylko wizerunki kurtek i spodni jeansowych, tak bardzo wiarygodnych, paradoksalnie trwalszych niż sam człowiek - dowodów egzystencji.

W efekcie przedmioty okazywały się „wieczne" wobec kruchego i ulotnego wizerunku człowieka. Malarz utrwalał „rekwizyty" i „ślady", „dowody", zapisywał puste ubrania jak surrealne, wydrążone cienie, zaskakujące „artefakty" z odciśniętym kształtem „osoby ludzkiej", pokazywanej fragmentarycznie, w przekonaniu że odeszła lub może właśnie odchodzi, że doświadczyła wchłonięcia i ubezwłasnowolnienia przez kostium, stała się ofiarą tajemnego procesu rozpadu, zagłady, samounicestwienia.

Inspiracji i wiedzy na temat warsztatu dostarczały też Adamowi (młodemu wówczas artyście) nauki pobierane w pracowni Henryka Cześnika, który z kolei uczył się u Kazimierza Ostrowskiego, przedstawiciela niegdysiejszej Bohemy, ceniącego indywidualność studentów, dającego ogromny margines swobody przy jednoczesnym stawianiu wysokich wymagań jak chodzi o warsztat, stosowanie środków ekspresji, technikę. Patrząc z perspektywy lat na obrazy Cześnika i Nowackiego widzi się pewną ciągłość w myśleniu o sztuce. Kompozycje „mistrza" i jego ucznia cechuje ten sam stosunek do czasu (traktowanego w sposób symultaniczny) a także podobny stosunek do tekstury dzieła, owej materii złożonej z plam i zadrapań, prześwitów, pęknięć i szczelin, zarysowań. Cześnik maluje na szpitalnych prześcieradłach z upodobaniem wykorzystując groteskę i karykaturę, Nowacki na półprzejrzystych przesłonach, tworząc (w istocie mocno przeestetyzowaną) iluzję dioramy. Nieprzypadkowo też obu twórców łączy podobne podejście do sposobów budowania napięcia i operowania światłem, światłem sączącym się niemal z całej, rozbielonej (u Cześnika) lub opromienionej „boskim złotem" (u Nowackiego) przestrzeni.

W kompozycjach Nowackiego widać dominantę sfery sacrum, u Cześnika dominuje profanum, jedna jest w złocie i ugrach, druga – w matowych, szpitalnych bielach, szarościach i czerniach. W pracach obu artystów pojawiają się niedomówienia, struktury niedookreślone, otwarte i jakże bliskie doświadczeniom człowieka współczesnego. Jest to zawsze myślenie o wizerunku postaci, naznaczonej piętnem tragizmu i walki, piętnem samotności, poczuciem nietrwałości i rozpadu. Podczas jednak, gdy kompozycje figuralne Cześnika to rodzaj brutalnej wiwisekcji (takiej rodem z theatrum Szajny i Kantora, być może także Grotowskiego), to obnażanie upadku i dramatu, tragizmu i klęski człowieka – prace Nowackiego, dalekie od pokazywania tego, co okaleczone i chrome – prowadzą nas ku humanistycznym, znacznie łagodniejszym i „eleganckim", na swój sposób „pięknym" i uporządkowanym - opowieściom o zawoalowanej, ukrytej i nie poznawalnej ostatecznie naturze ludzkiej.

Jak niewiele wiemy na jej temat można się przekonać studiując kompozycję figuralną, zatytułowaną niewinnie „Charlotte the Little". Oto postać młodej dziewczyny, odzianej z patosem, w purpurę. Dziewczyna mocno wyidealizowana, o twarzy niemal natchnionej, patrząca uporczywie, z jakimś fanatyzmem w oczach, jak w hipnotycznym transie. Nie jest to zatem spojrzenie miłe i ciepłe, nie epatuje miłosnym uniesieniem, radością mimo że z zapisków artysty na FB wynika, że autor kompozycji zamierzał snuć opowieść o miłości, bo „za dużo nienawiści wokół". U stóp dziewczyny, wykreowanej na współczesną „świętą" wyłania się jakiś fragmentarycznie pokazany akt, jakby aluzja do postaci wiecznego kusiciela, metaforycznego węża, świadomego istoty Biblijnego „dobra i zła" – akt męski. Oto demoniczna, przerażająca twarz, zwiastująca upadek kobiety, twarz konwulsyjnie wykrzywiona, z błyskiem ironii i nienawiści w oku. Oto współczesna „opowieść o miłości". Opowieść rodem z horroru, dotykającego spraw ekstremalnych, ostatecznych, horroru o sile rażenia fatalnej, spod znaku Tanatosa i Erosa, o sile ludzkiego upadku i wyniesienia.

Małgorzata Dorna (Wendrychowska) – kwiecień/maj 2024

Każdy świat tworzymy sobie sami... innych światów nie ma!..

naście godzin chlapania dziennie... codziennie! Kto to widział? Ta korona coś tam uczyni mnie w końcu idiotą (jeżeli, rzecz jasna, nie byłem nim wcześniej). Jak tak dalej pójdzie, pomaluję wszystko co wokół mnie pozostało jeszcze białym... a potem.

Sławomir Zatwardnicki

* * * (przecina drzwi garażu)

Przecina drzwi garażu błyskawicą klucza
Migają jego dżinsy przemienione
Mocne światło reflektorów wpada
I wypełnia całe pomieszczenie od wewnątrz
Na ścianie minidron – amerykański pająk
Cały on i całe jego życie jak na dłoni
Cały w świetle na świecących laserach nici
Auto ni to mruczy ni grzmi gdy wjeżdża
Raczej opowiada o wszystkim wszystkim

Rolety, zasłonki

Z cyklu: Pan pod blokiem

Najbardziej przyciągały Go
wydawały się najodpowiedniejsze
światła żółtawe jak te dobyte
z owocu pracy pszczelego roju
przy takich ciut gorzej się czyta
ale za to lepiej rozmawia
i bez napięcia milczy
Białe przypominały Mu
przesłuchanie na sądzie nieostatecznym
zimne jak chińska podróbka
odzienia, jakiego żaden folusznik
na ziemi wybielić nie zdoła
przecież innym światłem napełniony
został po swoim powstaniu z martwych
Nie lubił rolet zbyt szybko i łatwo
spuszczanych przed czasem
gdy nie zdążył się jeszcze znaleźć
w środku to jest w Królestwie Bożym
Co innego lekkie pomarańczowe zasłonki
rozdarte na pół, jak zaproszenie
do wstąpienia w niebo
czerwonych nie dostrzegał patrzył przez
nie na krwinki, co od wewnątrz bielą się czerwieni

Blok, mieszkania

Z cyklu: Pan pod blokiem

Pan na ławce pod blokiem
Pod latarnią przysiadł
Jeden z nas choć nikt tu o tej porze nie siedzi
Rozgarnął białą nogą liście
Jak łuski prażonego słonecznika
Zerkając w stronę świateł w oknach
W kolorach jesieni prześwietlonej chwałą
Myślał o Ojcu projektował mieszkania
Kochał to i tych, co wewnątrz
Choć gdy w Duchu przenosił się tam
Kubek herbaty smak miał gorzki
Za plecami parkował samochód
Rzucił się cień krzaków jak pies
Ktoś rzekł „Dobry wieczór", ale nie
Odwzajemnił pozdrowienia nie skłamał
Jakby nie był jednym z nas
Kochał ich wszystkich razem i z osobna
Ale rozmowa wyraźnie się nie kleiła
Jakby nie w porę przyszedł
Za wcześnie i za późno zarazem
Mogłyby Go poznać przynajmniej dzieci
Ale właśnie kładło się je spać
Głos spikera przez uchylone okno
Prowadził medytację dla dorosłych
O życiu czy raczej o śmierci o wydarzeniach
Zbyt tragicznych i zbyt mało tragicznych
Myślał o Ojcu i o tym, co przygotował
Wbudowywał w swoje serce ich mieszkania

(Niełatwa to robota i czasem
Spadał z rusztowania łamał nogę)

Książka i stół

Z cyklu: Pan pod blokiem

Gdyby ogołocił się z wszechwiedzy
Poznałby ich po świetle w oknach
Tam, gdzie nocna latarnia tli się za zasłoną
Stałby się książką
A tam, gdzie światło kuchenne radosne
Jak roztrzaskany w kawałki talerz
Wchodziłby jak pan weselny
Który się spóźnił co prawda, ale
Gdy w końcu dotarł usiadł przy stole
Obok panny młodej wznoszącej kubek z herbatą

Spóźniony erotyk

Niech źródło twe będzie błogosławione,
znajduj radość w żonie swej młodości.
Przemiła to łania i wdzięczna kozica,
jej piersią rozkoszuj się zawsze,
jej miłością upajaj się stale (Prz 5, 18-19).

Znajduj radość w żonie swej młodości dniem
słonecznym ciesz się nią w jakby telepatycznym porozumieniu
z wiatrem gdy ty nie możesz niech on ją czesze pod włos
czyż może być coś piękniejszego od damskich perfum
przemieszanych z wonią płomienia włosów

Ciesz się żoną swojej młodości krzątającą się
na placu zabaw pośród innych ale jakby tylko przed tobą
kręcącą biodrami w powiewnej sukience
która zgodnie z niepisaną umową zakrywa
pierwsze rozstępy bo wydała już owoce waszej miłości

Ale wciąż przemiła i wdzięczna jest to łania
dlatego szukaj radości jedynie w niej w tej która
nadal tak młodo się śmieje do synów a gdy się śmieje
mruga przecież do ciebie i błyszczą jej rozpalone oczy

Upajaj się jej falującą kibicią i pośladkami którymi
huśta na boki gdy idzie huśtać twojego syna
a gdy idzie podskakują jej piersi jeszcze niestare

Wyobrażaj sobie jej wargi dość jędrne jeszcze
przemówią gdy zdejmiesz z nich palec bielizny
a żona twa wewnątrz siebie załka dzięki tobie

To ciebie żona twej młodości wciąż kocha ponad dzieci
a gdy położy je spać weźmie prysznic wejdzie tam dyskretnie
wilgotna a wyjdzie dyskretnie mokra – w szlafroku

Znajduj radość w głaskaniu małżonki po twarzy
po ciele po włoskach ciesz się za każdym razem
gdy opuszka spotka się z brzoskwiniowym puszkiem którego
rozhuśtane hormony wciąż nie zmieniły w sierść kozią

Ciesz się żoną twojej odchodzącej młodości nocą
gdy płomykiem języka będziesz obejmował jej ciało
nie zatrzymuj się w drodze na kocich łbach żylaków
na jej spracowanych nogach podążaj prosto do celu
Znajduj żonę u swego boku topniejącą jak wosk

Jasiu

Siedzimy razem w pokoju
U chłopaków na piętrowym łóżku
Siedzi razem z nami
Cień pierwszego piętra
Naciska na jego główkę
Bracia tak szybko mówią
Nie nadąża o czym
Mógłby pójść już spać
Ale obok jest ciemno
A pójście spać gdy inni nie śpią
Byłoby dla niego jak śmierć
A życie jest tutaj
Nawet jeśli jest się trochę z boku
Niedobrze być tak na bakier
Dobrze że są inne metody
Zamiast wchodzenia w świat
Można ten świat sprowadzić
Do siebie czasem wystarczy
Czymś rzucić w mamę
Podnieść rękę na tatę
Opluć brata albo po prostu
Powiedzieć „kupa" czy „penis"
A już uruchamia się rodzinna gra
W domino słów i min
Poruszone przez niego
Jedynaka na chwilę
To tak dużo znaczy
Śmieje się wtedy
Białe łopatki jedynek
Rozrzucają w słońcu piasek
I czuje się szczęśliwy
Prawie tak jak wtedy
Gdy wieczorem przychodzi
Do niego pluszowy miś –
„Brzusio" mówiący wolniej
Albo jak wtedy gdy w końcu
Zasypia jak dziecko
Z nieproporcjonalnie długimi nogami
A poprawiającemu kołdrę tacie
Ściska się serce
Rosną gabaryty

Adam Nowacki

W numerze prezentujemy prace Stefana Chwina z cyklu „W oczekiwaniu na przyjazd pociągu z Prus Wschodnich”

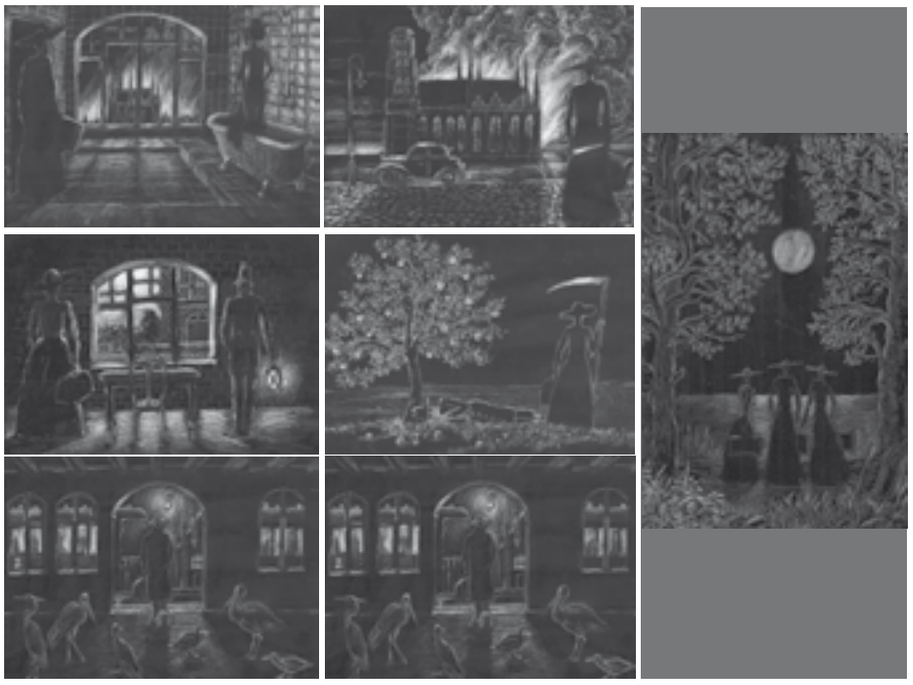

Prace malarskie Adama Nowackiego

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

numer 2 (83) 2024

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)
Roman Warszewski (Gdynia),
Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Andrzej Walter,
Mateusz Wabik,
Jerzy Lengauer,
Marian Lech Bednarek
Andrzej Wołosewicz

Dział fotografiki: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Baltox Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl,
joalike@gmail.com

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- – Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- – autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- – autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- – autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- – autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- – autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.
Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   ”Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (47)

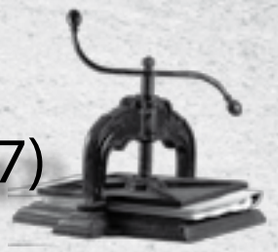

W roku 1985 ukazała się niewielka książeczka Piotra Wierzbickiego zatytułowana Myśli staroświeckiego Polaka na swój sposób nawiązująca do wydanej w 1903 roku broszury Romana Dmowskiego Myśli nowoczesnego Polaka i duchowego dziedzictwa tego polityka. W swej publikacji opisuje 'Wierzbicki opłakaną kondycję ówczesnych zwolenników konserwatywnej prawicy gnębionych przez komunę, wskazuje też drogę ku poprawie jej doli, m.in. podnosząc kwestię konieczności uwłaszczenia tych środowisk, które powinny w przyszłości, a więc w wolnej Polsce, stanowić fundament klasy średniej. Jak można przypuszczać, pomysł ten uznał za ważną wskazówkę Jarosław Kaczyński, który o uwłaszczenie prawicy zadbał gdy tylko otworzyły się takie możliwości, w szczególności zaś po zdobyciu władzy w roku 2015: skok na kasę wykonany został precyzyjnie poprzez obsadzanie swymi ludźmi (nigdy nie na długo – tyle, by mogli się finansowo zabezpieczyć) spółek skarbu państwa, przy czym, rzecz jasna, kompetencje członków rad nadzorczych i innych tego rodzaju gremiów nie miały większego znaczenia.

Nie można też wykluczyć, że właśnie wtedy, za Dmowskim, zdecydował się prezes na wybór – bo tak to wyglądało – opcji raczej prorosyjskiej niż proniemieckiej, a w każdym razie na pewno antyniemieckiej, co w nowej sytuacji geopolitycznej wygląda na jakoweś dziwactwo, ale cóż: mus to mus, polityka to nie zabawa, trzeba się na coś decydować. Tymczasem niespodzianka – Polskę przyjęto do NATO i UE, a to dość sprawę komplikuje, gdyż w tych okolicznościach antyniemieckość zdaje się, niezależnie od doświadczeń historycznych, osobliwością, gdyż oznacza w pewnej mierze antyunijność. Podnosi się więc kwestię niemieckiej dominacji w Unii i konieczność dania owej dominacji odporu narodowego. Kaczyński zatem poszukuje sojuszników takiej polityki i znajduje ich w antyunijnych, prawicowych ruchach w krajach europejskich licząc, iż kolejne eurowybory doprowadzą do „nowego rozdania", które umożliwi korzystne dla tych formacji zmiany traktatów unijnych. Póki co montuje antybrukselską (antyberlińską) wspólnotę pierwotnie określaną mianem Międzymorza, zaś po wsparciu tej idei przez prezydenta USA Trampa już Trójmorza (co określam prześmiewczo mianem Trujmoże), która to wspólnota ma stanowić przeciwwagę dla Brukseli, a, jak Bóg pozwoli, także stać się klinem rozsadzającym spójność Unii. Celem podstawowym jest wywalczenie dla Polski należnego jej wedle Kaczyńskiego, wysokiego miejsca w tym, co określa mianem „hierarchii narodów".

I znów niespodzianka: koncept ten okazuje się, gdy nań spojrzeć z dystansu, niesłychanie atrakcyjny dla polityki Kremla. Oczywiście – o żadnym jawnym sojuszu z Kremlem mowy być nie może, ale z jego *poputczykami* już tak, a nawet jak najbardziej. Komentując powstałą w ostatnim (?) czasie sytuację bloger ukrywający się pod pseudonimem Adam Sokołowski wyznaje w wywiadzie *Są tu* na łamach „Polityki" (nr 22/2024): „Dostrzegamy tylko strzępki, nie widzimy całego obrazu. Ale nawet z tych strzępków można wnioskować, że rosyjskie wpływy idą wieloma kanałami. (…) Potrzeba nam syntezy, by zrozumieć, że nie mamy do czynienia z jednym czy drugim prorosyjskim aktywistą czy publicystą. To jest skoordynowana akcja, a Rosjanie nie wiążą się emocjonalnie np. ze skrajną prawicą czy ruchami religijnymi albo monarchistycznymi. Idą szeroką ławą tam, gdzie pojawia się przestrzeń, po prostu są". Można to skomentować łacińskim *nihil novi*: jeszcze Maurycy Mochnacki opisywał skuteczność rosyjskich agentów wpływu w Londynie czy Paryżu, a od tamtych czasów postęp w tej dziedzinie narasta, co ówże bloger w końcówce wywiadu podsumowuje: „Wiemy o rosyjskiej ingerencji w wybory amerykńskie w 2016 r., w b rexit, że finansowali Marie Le Pen. Jest oczywiście Victor Orbán, są partie takie jak włoska Liga, hiszpański Vox, niemiecka AfD, ale są też socjaldemokraci, z byłym kanclerzem Gerhardem Schröderem w radzie Gazpromu włącznie. (…) W 2018 r. próbowali wpływać na sytuację poprzez ruchy ekologiczne, W 2018 r. próbowali zorganizować przewrót w Czarnogórze, były zamachy bombowe na skład amunicji w Czechach. Założenie, że u nas tego nie ma, jest po prostu naiwne".

Szerszy kontekst szkicuje w wywiadzie dla „Newsweeka" (nr 21/2024) generał Piotr Pytel: „Politycy strony demokratycznej są świadomi, że Rosja już tu jest. (…) W wieloletnich operacjach wpływu Kreml wykorzystuje podmioty, nad którymi jego służby mają kontrolę. Dla mnie podobieństwa Fideszu, PiS czy AfD, z którą chciał się afiliować były ambasador Przyłębski, nie są przypadkowe. (…) UE jest zapleczem gospodarczym NATO i wywiad rosyjski dąży do wprowadzania tam swoich ludzi. Rosji nie chodzi o to, żeby opanować UE, ale rozwalić jej struktury, rozwibrować, rozmyć to, co dla Unii najważniejsze: wizję wolnego, demokratycznego świata i jedność. To w praktyce oznacza, że ci, którzy rozbijają Unię od środka, świadomie bądź nieświadomie albo dla pieniędzy, realizują strategiczne interesy Kremla. (…) W Polsce politycy, którzy wiążą nadzieje z Kremlem, nie powiedzą jasno o swojej prorosyjskości, ponieważ na tym stracą, jak np. Kornel Morawiecki".

Przede wszystkim jednak Kreml bazuje nie tyle na „prorosyjskości", bo tu nie o relacje emocjonalne chodzi, ile na wspólnocie celów społeczno-politycznych, wśród których fundamentalną rolę odgrywa stosunek polityków do prawa. To charakterystyczne, że w zbitce łączącej w nazwie partii pojęcia prawa i sprawiedliwości pierwsze z nich jest niejako brane w nawias, co widać choćby w narzekaniu Kaczyńskiego (prawnika) na „imposybilizm prawny", czy w inaugurującym pierwsze posiedzenie sejmu przemówieniu Kornela Morawieckiego, w którym lekceważąc prawo wskazywał na dominację sprawiedliwości, a wreszcie w niedawno wygłoszonym manifeście prezydenta Dudy (prawnika) odrzucającego coś, co określił mianem „terroryzmu praworządności". To jest postawa, która w oczywisty sposób sprzeczna jest z systemem wartości Unii i w równie oczywisty sposób tożsama z systemem wartości Kremla, co zresztą jest głęboko zakorzenione w rosyjskiej tradycji. Zarazem stanowi ona w konsekwencji zakwestionowanie podstaw cywilizacji europejskiej, które zakładają niepodważalność zasad i procedur, co uniemożliwia uporządkowanie prawniczego bałaganu (delikatnie rzecz określając) wytworzonego w trakcie funkcjonowania poprzedniej władzy, w efekcie czego polski system prawny przestał być kompatybilny z systemem obowiązującym w Unii.

Stąd nadzieje pisów na „nowe rozdanie" w wyborach unijnych, za sprawą którego można się będzie domagać ocalenia swojskiego prawnego bałaganu, co w wypowiedziach funkcjonariuszy oznacza dumne „ocalanie" narodowej suwerenności wobec rzekomo imperialnych zamysłów Brukseli zmierzającej do przekształcenia Unii w „superpaństwo" odbierające swym członkom niezależność. Przykładem wypowiedź zakompleksionego Jacka Saryusza-Wolskiego na łamach „Do Rzeczy" (nr 20/2024): „W dużym skrócie nazywam to uprowadzeniem Europy, tzn. Unię jako wspólnotę suwerennych państw zamieniono na raty według taktyki salami kawałek po kawałku, na coś innego, na co nie było przyzwolenia, co nie ma demokratycznej legitymizacji. (…) Ten fatalny kierunek jest jednak do odwrócenia. Wydaje się, że społeczeństwa europejskie się budzą, bo siły kwestionujące kierunek obrany przez Unię szybko rosną". Ano rosną: dość obserwować wciąż umacniającą się popularność AfD w Niemczech czy partii Marine Le Pen we Francji, a to są wszak obecni sojusznicy pisów.

Za jeden z objawów zamachu Unii na suwerenność państw narodowych uważane jest wedle pisów pozbawienie tych państw prawa weta, co o tyle ważne, że przecież w naszej polskiej tradycji *liberum veto* odegrało w obronie niepodległości znaczącą rolę, należy go zatem, jak na konserwatystów przystało, bronić do upadłego. Ale chyba bez przesady, skoro ten sam Saryusz-Wolski dopowiada: „Albo w narastającej liczbie krajów powstanie nowa sytuacja polityczna, która doprowadzi do odwrócenia obecnego trendu, albo może to być początek końca Unii Europejskiej, co też byłoby złe. Uważam, że sama idea integracji suwerennych państw i narodów jest dobra i daje im lepsze perspektywy funkcjonowania w międzynarodowym, ale nie przyjaznym otoczeniu niż bycie samotnym". No ale co w takim razie z tym dylematem: integracja czy suwerenność? Biedaczyska nie wiedzą, co z tym fantem zrobić. Integracja wymaga wszak zgody na wspólnotę zasad i procedur, a taka zgoda prowadzi do „terroryzmu praworządności".

Być może jednak znajdzie się wyjście z tej pułapki, trzeba jednak poczekać na efekt innych jeszcze wyborów, w których bezpośrednio, w odróżnieniu od agentury moskiewskiej, nie uczestniczymy: nadchodzących rychło wyborów prezydenckich w USA. Jeśli marzenia naszych niepodległościowców i prezydenta Dudy się spełnią i wróci Tramp, który z takim zapałem promował powstawanie Trójmorza (bądź postać jemu podobna), wówczas będzie można z Warszawy wysłać alarmujący komunikat: „Houston, mamy problem!".

Leszek Szaruga

Okruchy (9)

Marek Wawrzkiewicz

... I moja pamięć. Już świętej pamięci.

(z własnego wiersza)

Grzebanie w pamięci jest pracą górnika albo archeologa. Górnika, bo ten, po odkryciu obiecującego pokładu, wyrabia go aż do wyczerpania zasobu, lub do czasu kiedy koszty tego trudu przewyższają zyski. Archeologa... o, tu sprawa jest bardziej skomplikowana. Ta moneta, koralik, skorupka - z jakiej epoki pochodzą, do jakiego okresu i jakiej postaci historycznej je przypisać, kto mógł je trzymać w dłoni, której kości już się rozsypały? Czy gdzieś niedaleko znajdzie się jeszcze jedna, a potem następna skorupka i czy można będzie z nich złożyć coś w kształcie starożytnej misy, czy dzbana?

Pamięć jest naszym domem z dożywotnią hipoteką. Stali mieszkańcy kręcą się po pokojach, są w kuchni, łazience, na strychu, wyłażą na balkon, wyglądają przez okna. Nie potrzeba ich wywoływać, ich obecność jest nieodwołalna, ostateczna. Po tym domu plączą się inni stali mieszkańcy, niepożądani, wrodzy, którzy się tu zameldowani na podstawie jakichś szemranych dokumentów i nie sposób ich wypchnąć za próg. A bez nich w domu i tak jest tłoczno. Przychodzą członkowie rodziny, których ledwie znaliśmy, dawni znajomi, pociotki i krewni pociotków. Wywołuje ich czyjeś mimochodem wypowiedziane zdanie, podobny tembr głosu, zarys twarzy, spojrzenie. Gdzie byłaś, kiedy byłeś, skąd cię znam, po co tu przylazłeś? Nie ma rady, to jest stary i otwarty dom.

Pamięć jest połączenie wytwornego salonu jubilerskiego z lamusem i wysypiskiem śmieci. Jest fascynująca.

* * *

Narcyz nie jest moim ulubionym kwiatem. Toteż, jeśli on we mnie zakwita, to jest to kwitnienie dość rachityczne. Objawia się to m.in. tym, że nie zachwycam się utworami własnymi, kiedyś tam napisanymi. Ale ponieważ teksty z tego cyklu, publikowane w MIGOTANIACH, ukazały się w wydaniu książkowym, zajrzałem do nich, żeby sobie przypomnieć i ewentualnie nie powtarzać. I tej lekturze towarzyszyła jedna refleksja i jedno pytanie: ile w nich nakłamałem? Pisałem często o zdarzeniach, które rozegrały się dawno temu, mogłem więc łgać ile wlezie – wielu świadków nie ma już na tym najpiękniejszym ze światów, a pozostali mają ciężką sklerozę. Czyli – hulaj dusza! Ale nie. Owszem, coś tam nieco ubarwiłem, gdzieniegdzie dodałem pointę, zmieniłem inicjał, pomyliłem rok – doprawdy niewiele, mogłem więcej. Widać jest to niedostatek wyobraźni.

* * *

Dawno, dawno temu, bodajże w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, w programach Polskiego Radia pojawiała się - dziś trudno w to uwierzyć - literatura, a nawet poezja. Od poniedziałku do piątku, w programie I, we wczesnych godzinach popołudniowych nadawano poetyckie dziesięcio minutówki. Moje wierze czytał Zbigniew Zapasiewicz, wielki aktor i wspaniały interpretator poezji. Byłem zagranicą i nie słuchałem tego na żywo, ale dostałem nagranie na taśmie. Odtworzyłem. I po kilkunastu minutach przebywania z własną poezja, poczułem, że się okropnie nudzę. Tyle o moim narcyzmie.

* * *

Była to chyba ostatnia podróż Iwaszkiewicza po krainie jego dzieciństwa i młodości. W tej sentymentalnej wędrówce Panu Jarosławowi towarzyszył Dmytro Pawłyczko, świetny poeta i znakomity tłumacz polskiej poezji, jeden z pierwszych, a może pierwszy ambasador swojego kraju w Polsce. Dmytro pokazał mi list od Iwaszkiewicza z podziękowaniem za opiekę. Napisał w nim znamienne słowa o tym, że męczą go i krępują hymny pochwalne i ciągłe powtarzanie, że jest on wielki. „A ja najlepiej wiem ile we mnie jest małości". Zapamiętałem te słowa.

* * *

Dwóch moich ulubionych aktorów czytających poezję: Krzysztof Gosztyła i Andrzej Ferenc. Zawdzięczam im wiele pięknych przeżyć. Potrafią każdy tekst wspaniale przeczytać a vista, potrafią wydobyć z wiersza wartości, których autor nawet sobie nie wyobrażał – jest to rodzaj szlachetnego oszustwa. Przed laty na inaugurację Warszawskiej Jesieni Poezji ułożyłem program z wierszy Miłosza.

Czytali właśnie oni. I stało się coś magicznego: zaczęli się przebijać, rywalizować z sobą – jeden czytał znakomicie, a drugi znakomiciej… Sala czterdzieści minut siedziała bezszelestnie.

* * *

Podobno zekranizowano jedną z powieści Zbigniewa Nienackiego z cyklu „Samochodzików". Nie czytałem ani jednej z tych książek dla młodzieży, wydawanych w wielkich nakładach i bardzo popularnych. Ale przy okazji tej ekranizacji ukazało się kilka publikacji o autorze głośnej w swoim czasie i czytanej z wypiekami na twarzy (bo była to rzecz silnie erotyczna, tuż przy granicy pornografii) powieść rozgrywająca się w Skiroławkach. Publikacje też mieściły się na granicy – prawdy i legendy. A ja znałem Nienackiego jeszcze w czasach, kiedy nazywał się Nowicki.

Było to w końcu lat pięćdziesiątych. Zbyszek pracował etatowo w łódzkim tygodniku „Odgłosy", z którym to pismem ochoczo współpracowałem. Dystansował się. Ironicznie i kąśliwie wypowiadał się o środowisku zarówno literackim jak i dziennikarskim. Wydał wtedy drugą bodajże swoją powieść pt. „Laseczka z tajemnicą". Tajemnica polegała na tym, że w laseczce ukryta była szpada, którą bohater powieści gromił chuliganów z Bałut. W tamtych czasach nieszczególnie dbaliśmy o elegancję, bo i przemysł odzieżowy też elegancją nie grzeszył. A on był wytworny, higieniczny i wyniosły. Paniczyk. I nagle ten wytworniś opuścił miasto Łódź i przeniósł się na Mazury. Chodziły słuchy, że kupił zrujnowaną zagrodę, własnymi siłami wyremontował stary dom, własnymi rękami wykopał studnię i wykonał meble. Nie wierzyliśmy. Ale po jakimś czasie wpadł do Łodzi. Przywitaliśmy się. Jego dłoń była szorstka, ozdobiona trwałymi odciskami. Uwierzyłem.

Mieszkał w swoim Jerzwałdzie, jakoby w towarzystwie dwóch kobiet (podobnie rotacyjnie). Działał w Olsztynie, odbywał liczne spotkania autorskie w całym kraju, niekiedy odwiedzał Warszawę. Zażarcie palił ekstra mocne. Powiedział mi kiedyś, że pracuje nad powieścią, która wstrząśnie literaturą i historią. Jakoż i ukazał się opasły tom pt. „Dagome iudex", o czasach przed Mieszkiem I. Chyba przeczytałem, ale nie pamiętam. Ale Zbyszka Nowicko Nienackiego pamiętam i wspominam go z sympatią. Już nie jako elegancika, a wielkiego oryginała.

* * *

Oto jedno z moich głębokich przemyśleń, które powinna znać cała ludzkość: nie wszyscy mają równo. Sopran i sopran koloraturowy mają większą szansę na światową sławę niż mezzosopran i alt. Bas i baryton zawsze przegrywają z tenorem.

Bernarda Ładysza uważam za największego polskiego śpiewaka operowego. I w dodatku w przeciwieństwie do innych gwiazd opery miał autentyczny talent aktorski – żeby wspomnieć tylko rolę młynarza w „Znachorze" Hofmana, czy liczne epizody, np. w „Ziemi obiecanej" Wajdy. Mógłbym nakłamać, ale powiem prawdę: moja znajomość z panem Bernardem nie należała do zażyłych, jednak spotkałem się z nim kilkanaście razy i dobrze te spotkania pamiętam. Mówię o tym, bo oglądałem ostatnio paradokumentalny film o tym wspaniałym artyście. Film taki sobie, ale dobrze, że powstał, zbyt szybko zapominamy o wielkich ludziach naszej kultury.

Po całym programie snuje się melancholijnie młodzian nieprzypominający ani z postury, ani z ruchów Ładysza – ma on prawdopodobnie symbolizować arkę przymierza między wspomnieniami, a teraźniejszością. Różni ludzie w sposób odpowiednie hagiograficzny snują wspomnienia o śpiewaku, a ich wspominki nakładają się na śpiew i ten śpiew zakłócają. Nie pozwalają spokojnie posłuchać, a tak by się chciało…I Bernard Ładysz jest czymś w rodzaju spiżowego pomnika. A przecież był żywym, pełnym humoru i skłonności do żartów człowiekiem. Miał przyjaciela, też basa barytona, Adama Zwierza. Pan Bernard pojawiał się w silnie podochoconym towarzystwie i z wileńska przedstawiał się: Moje naźwisko nic państwu nie powi – Żwierz jestem.

* * *

Przeczytałem gdzieś zastanawiające zdanie: czy kiedykolwiek przestajemy grać główną rolę we własnym życiu? Chyba jednak tak, choćby na krótko. Na najwyższym piętrze jogi? W chwilach mistycznego, religijnego uniesienia? Nie znam się na tym. Ale niekiedy usuwamy się na drugi plan, a na proscenium stoi postać pierwszoplanowa, najważniejsza. W jednym ze swoich wczesnych liryków Krzysztof Gąsiorowskie napisał: *mniej jest mnie/ we mnie niż gdziekolwiek w świecie*. A wcześniej: *Jest ciebie więcej niż gdziekolwiek w świecie*. Tak, to miłość. Chwila mija, zostaje tylko jej świadectwo – wiersz. Dokument tego, czego nie ma, ale być może było. →

OKRUCHY

* * *

Jak myślimy – obrazami, pojęciami, słowami? Obdarzono mnie tzw. wczesną pamięcią, co znaczy, że moja pamięć sięga najwcześniejszych lat dzieciństwa. I są w niej dwa obrazy, wierne, dokładne – co sprawdziła moja matka. Myślałem więc obrazami. Pojęciami? Nie wiem, podobno i tak ludzie myślą. A co jeśli myślą słowami?

Skoro tak, to nasze myśli formułowane przy pomocy słów w zdania, są czyste, potoczyste, a może i precyzyjne. Sądzę, że zapis tych myśli jest w jakimś stopniu ich odzwierciedleniem. Gorzej jeśli formułować je w mowie – otwiera się wtedy wielkie morze niechlujstwa. Pojawiają się nieprzydatne dygresje, słowa niepotrzebnie wtrącone (nieprawdaż, tak, nie, tego, że tak powiem itd.) i ozdobniki w postaci: eee, yyy, aaa, mhm i apetycznego mlaskania. Dawno temu pracowałem w radiu, a prawie nic w tym czasie nie szło na żywo, wszystko nagrywało się na taśmę. Potem mozolnie wycinałem z taśmy fragmenty śmietniska, a bohater mojego wywiadu słuchał w zachwyceniu: jakim jestem złotoustym oratorem!

Czytam wiersze poetki Barbary R. słusznie prawie zupełnie nieznanej, bo piszącej bardzo dobre wiersze. I zastanawiam się nad zapisem.

Więc.

zanim zaczniemy uciekać. Może. Choć.

namówimy się. By. skończyć się wybrzmiewać.

Myślę: skąd te kropki? Prymitywnie zinterpretowałem to tak: może autorka przełożyła bezpośrednio język mówiony na pisany i tam, gdzie w mówionym bujne rosną chwasty, postawiła kropki. Zostałem przez nią opieprzony. Kropki to znak, że w tym miejscu należy pomyśleć, odkryć ironię, ukryte znaczenie, aluzję. Nigdy bym na to nie wpadł. I nie wyjaśniłem sobie w imię czego poeta zapisuje wiersz tak, a nie inaczej. I ma do tego prawo, choć czytelnik też ma prawo zadać głupie pytanie: dlaczego autor tak właśnie zapisał wiersz, skoro nie pisał go wyłącznie dla siebie?

* * *

Prawie trzydzieści lat temu zmarł Artur Międzyrzecki, tłumacz, znakomity poeta o olbrzymim dorobku, człowiek wytworny o nienagannych manierach.

Ostatni wybór jego wierszy wyszedł ćwierć wieku temu. Wdowa po nim, laureatka wszystkich możliwych nagród, nie zdobyła się na wydanie kolejnej książki przypominającej poetę.

Pan Artur przez jakiś czas pracował w tygodniku „Świat" wielkoformatowym piśmie bogato ilustrowanym czarnobiałymi fotografiami. Była tam rubryka (!) poezji, w której dwukrotnie ukazały się moje wiersze. Poeta zapytał mnie kiedyś o zapis moich wierszy. Dlaczego pisząc w jednym wersie trzy słowa, kontynuuję to potem z dużej litery i nie stawiam przedtem kropki. Wyjaśniłem, że według mnie kropka kończy zdanie, a ja traktuję ją domyślnie, bo dalszy ciąg jest przedłużeniem tego, co było wcześniej.

- Acha, ciekawe – powiedział pan Artur . – Ja chyba też to będę stosował. Jakiś czas później czytałem jego nowe wiersze. I rzeczywiście, zastosował.

* * *

W roku olimpijskim 1940 polscy oficerowie uwięzieni w oflagu pisali wiersze o olimpiadzie, która się nie odbyła, bo trwały inne, śmiertelne igrzyska. Pisali o utrwalaniu śmiertelnie przelotnego piękna, o laurach, o wiecznej chwale zwycięzców. Wieczna chwała, wieczna pamięć?

Uważam się za wielokrotnego olimpijczyka. W pierwszych powojennych olimpiadach (Londyn, Helsinki) uczestniczyłem jako słuchacz pogłosek. Później jako czytelnik gazet i słuchacz radia. A potem, aż do dziś, jako oglądacz, czasem całonocny, transmisji telewizyjnych. Tak będzie i teraz. Jestem przedstawicielem tych olimpijczyków, którzy zawsze żyją nadzieją. A jest ona z jednej strony bezpodstawna, z drugiej zaś nienasycona. Bo nie wiadomo dlaczego spodziewamy się, że nasz reprezentant błyśnie nagle fenomenalną formą i pokona przedstawicieli wszystkich nacji świata. Bo nawet jeśli jest dobrze, to myślimy, że mogło być jeszcze lepiej. I uzbrojeni w tę nadzieję czekamy na Paryż.

Jeśli dobrze pamiętam, Parandowski w „Dysku olimpijskim" pisząc o igrzyskach w Grecji, skupiał się przede wszystkim na biegach, rzutach i skokach. Był jeszcze boks i zapasy, ale jako dziedziny drugorzędne. Wierzyński, Iwaszkiewicz ze swoimi „Odami Olimpijskimi", w czasach nam bliskich Marian Grześczak – oni wszyscy pisali wiersze głównie o lekkoatletyce. Dyskobol Myrona, rzeźba licząca sobie bez mała trzy tysiące lat, jest najdoskonalszym symbolem imprezy, którą co cztery lata żyje przynajmniej połowa ludzkości. Oby ta lepsza połowa ludzkiego gatunku podziwiała nasze triumfy.

* * *

Czy Chińczycy wiedzą kto to był Myron?

W Chengdu, stolicy Syczuanu, podejmowano naszą delegację bardzo wytworną kolacją. Elementem poważnie zakłócającym konsumpcję była konieczność wygłaszania i wysłuchiwania toastów. A należały one do kategorii wydłużonych. Poprosiłem Wacława Sadkowskiego, żeby w swoim toaście krótko opisał historię literatury polskiej. I Wacek zaczął: - Stanęło przede mną syzyfowe zadanie… Właściwy toast na tym się skończył, bo trzeba było chińskim pisarzom wyjaśniać, kto to był Syzyf, czym się na co dzień zajmował i w ogóle dać wykład o mitologii. To jasne, oni mają swoją jeszcze starszą mitologię.

Rysio Ulicki przez wiele lat prowadził internetowy miesięcznik „Plica polonica" (kołtun polski). Był tam dział ogłoszeń drobnych. Jedno z nich brzmiało: Dam stałą pracę – Syzyf.

* * *

Papierowe fotografie wychodzą z użycia, ale są potrzebne. Kiedyś – trudno w to uwierzyć – innych nie było. Są dokumentem przeszłości. Do bardzo starych fotografii trzeba podchodzić z nabożeństwem. Są pożółkłe, kruche, czarnobiałe, mogą się rozpaść w nieostrożnej dłoni. Patrzę na fotografie, które mają osiemdziesiąt i więcej lat. Tych dwóch chłopców poznaję, bo widziałem ich kilka lat później na zdjęciach w jakimś citoczynym albumie – to ja i mój młodszy brat. A to matka i ojciec. Nie pamiętam ich takich młodych. A ta kobieta – to kto? Stoi wyprostowana, martwym okiem patrzy w obiektyw. Jest ubrana w ciężką spódnicę do kostek, jakiś przedziwny kubraczek, ma na głowie grubą chustę zawiązaną pod brodą. Chłopka z Mazowsza. Nie pamiętam jej nazwiska, nie wiem jak miała na imię. Mówiliśmy do niej „nianiusiu". Coś mi jednak majaczy. Powiedziała mi z czego zrobiony jest lniany ręcznik, a potem w polu pokazała niepozorna roślinę z modrym kwiatkiem, z której ręcznik powstanie.

Sześćdziesiąt lat później na straganie w litewskich Trokach kupiłem niepotrzebne mi lniane skarpetki. Dlaczego je kupiłem?

Marek Wawrzkiewicz

STEFAN CHWIN

Z cyklu: W oczekiwaniu na przyjazd pociągu z Prus Wschodnich.

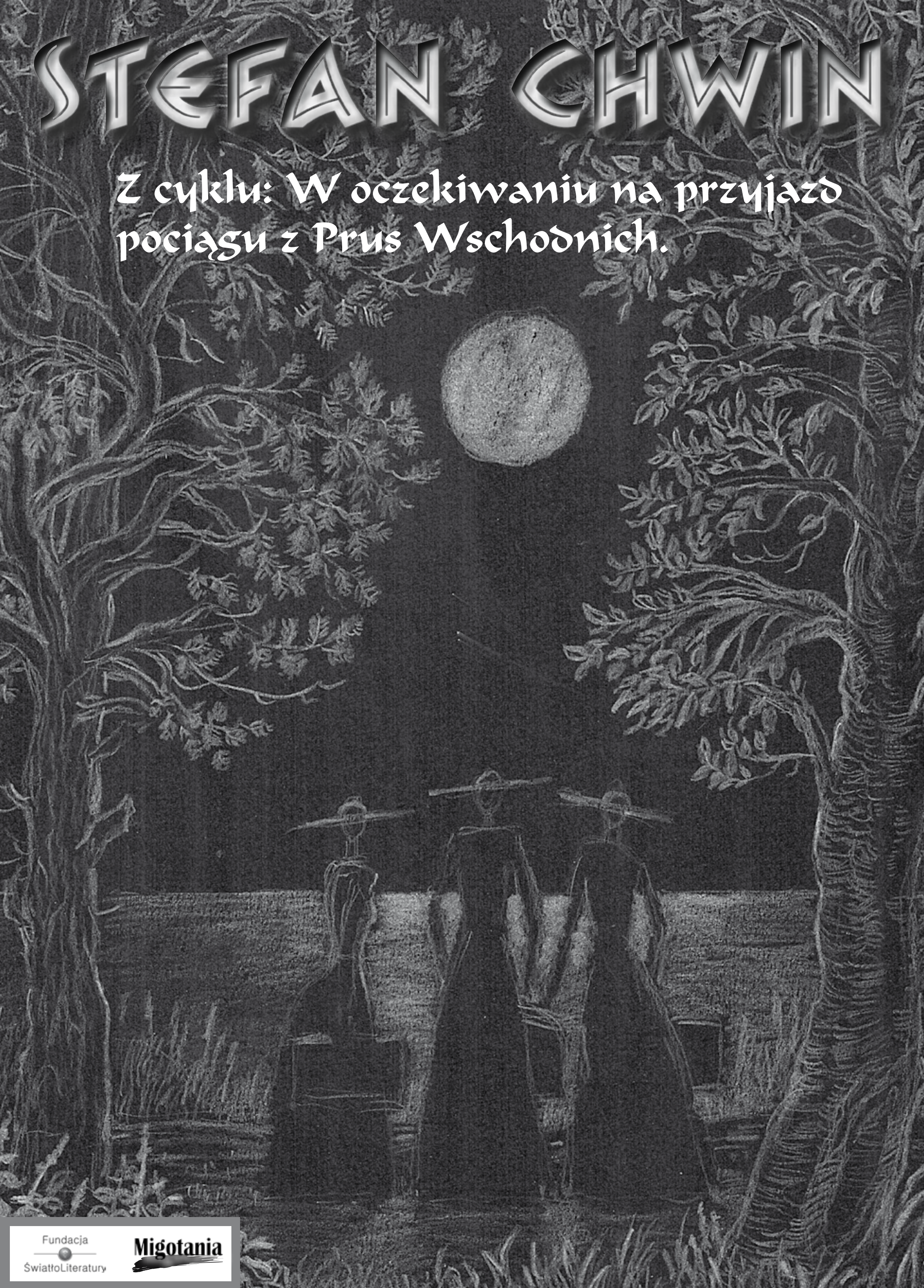

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania

Elżbieta Juszczak

Kołysanka dla dziecka ukraińskiego

To nie dźwięk syreny, tylko srebrne ptaki
przylatują do nas, te ptaki żłopaki.
Wylatują, przelatują nad głowami dzieci,
zamieniają złoty sen w wieczorne majaki.
A ty dziecko śpij, a ty dziecko śpij,
oczka swoje zmruż, usteczka swe złóż.

Na kocyku, materacu śpi z nami Pieszczoszka,
przyszła do nas do piwnicy ukochana kotka.
Jest kaczorek całkiem żółty, ten z czerwoną nóżką,
przytul misia, moja mała, tego z czarnym brzuszkiem.
A ty dziecko śpij, a ty dziecko śpij,
oczka swoje zmruż i usteczka złóż.

Zawitają do nas złotopióre zorze,
każdy promyk, moja mała w życiu ci pomoże.
Z tym promykiem wyjdziemy na błonie,
podlejemy nasze kwiatki na naszym balkonie.
A ty dziecko śpij, a ty dziecko śpij,
oczka swoje zmruż i usteczka złóż.

Luli -luli-la- śpiewa ci mateńka.
Luli- luli-la – tyś moja córeńka.
A ty dziecko śpij, a ty dziecko śpij,
oczka swoje zmruż i usteczka złóż.

PLAKAT POETYCKI

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania